

1984 Orwella dla niepokornych i wrażliwych

ZAWŁADNIĘCI

ELANA JOHNSON



ZAWŁADNIĘCI

ELANA JOHNSON

Przekład
AGNIESZKA ZAJDA



Redakcja stylistyczna
Halina Bogacka

Korekta
Renata Kuk
Halina Lisińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
Copyright © Christophe Dessaigne/Trevillion Images

Tytuł oryginału
Possession

Copyright © 2011 by Elana Johnson
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2011 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4325-2

Warszawa 2012. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62
www.wydawnictwoamber.pl

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o. o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Mojej rodzinie. Wybrałabym Was spośród wszystkich i wszystkiego.

Dobre dziewczyny nie spacerują z chłopakami. Nawet z dobrymi chłopakami – a Zenn jest najlepszy. Szedł koło mnie, po wojskowemu z rękami założonymi do tyłu, w czarnym mundurze rekruta Sił Specjalnych. Zielone paski na rękawach koszuli błyskały srebrnymi techno-światłami, prawdopodobnie wszystko rejestrując. Prawdopodobnie? Kogo ja nabieram? Te cholerne paski z całą pewnością wszystko rejestrowały.

Teoretycznie, wieczorny spacer po parku nie jest wbrew przepisom. Dobre dziewczyny często tam spacerują. Ale spacer po parku z chłopakiem mógł wpakować mnie w kłopoty.

Gdyby zapadł zmrok, kolejna reguła zostałaby złamana.

Wysoko ponad drzewami rozległ się warkot poduszkoptera. W tym parku rosły młode okazy, wyższe ode mnie o centymetr czy dwa. Niektóre drzewa w Wodnym Mieście są bardzo stare – co najmniej stuletnie. Ale las objęty jest zakazem wstępu i nawet ja wiem, że tego prawa nie można łamać.

Brudnografitowy odcień nieba dorównywał nieczystościom, które filtrowałam w jeziorze podczas dzisiejszych zajęć. Wyobrażałam sobie, że to kolor podobny do ścian fabryki, gdzie pracował mój ojciec. Jednak nigdy w niej nie byłam, a taty nie widziałam od lat, więc nie mogłam mieć pewności.

Ze Złych Ziem ludzie nie wracają.

– Vi, cieszę się, że w końcu odpowiedziałaś na mój e-comm – odezwał się Zenn głosem równie gładkim, jak jego skóra i idealnie płynne ruchy.

– Znasz moją mamę. – Nie musiałam bawić się w detale. Nie z Zennem. – Powiedziałam jej, że pójdę, obojętnie czy się zgodzi, czy nie. – Usiłowałam ukryć, jak rozpaczliwie chciałam go zobaczyć i jaką

radość sprawiło mi jego zaproszenie. Mógłby zaprosić mnie nawet na księżyc, a ja przyszedłabym z ochotą. I poniosła dowolną karę.

Wymknęłam się ze szkoły podczas popołudniowej przerwy. Tereny, gdzie stacjonują Siły Specjalne, leżą o dwie godziny marszu na południe od Wodnego Miasta. Żeby zobaczyć Zenna, przekroczyłam granicę i przewędrowałam kilometr przez Ognisty Region. Przekraczanie granic jest również wbrew regułom, ale Zenn był wart każdego kroku.

Obserwowałam, jak poduszkopty krążą coraz bliżej. Nasze milczenie nigdy mnie nie krępowało. Czasami mówiło więcej niż my sami.

Przed trzydziestoma minutami przestały działać chodniki. Widocznie w tym parku zaczynała się godzina policyjna. Kiedy jeden z poduszkopterów obniżył lot, musiałam zmobilizować całą odwagę, żeby się powstrzymać i chwyciwszy Zenna za rękę, nie rzucić się do ucieczki.

Dawniej mogłabym tak zrobić. Ale teraz coś się zmieniło. Coś, co kazało mi sądzić, że tym razem Zenn nie pobiegłby ze mną.

Kolejne ukradkowe spojrzenie utwierdziło mnie w tym przekonaniu. Jego oczy. Nie było w nich blasku. Życia. Może Siły Specjalne za bardzo go eksploatowały.

Mój uroczy, wspaniały Zenn. Miałam nadzieję, że nic mu nie jest. Jego wzrok mnie niepokoił.

– Skoro przyszedłeś, chciałem ci coś dać – powiedział z uśmiechem.

Przysunęłam się bliżej. W e-commie była mowa o tym, że Zenn ma dla mnie niespodziankę – na pewno coś, nad czym pracował, dopóki nie stało się absolutnie doskonałe. Jak on sam.

– W Siłach ciągle jestem zajęty – tłumaczył, sięgając do kieszeni. Wyglądało na to, że w ogóle nie zwraca uwagi na krążące po niebie poduszkopty, ale w końcu nie żył wiecznie o krok od aresztowania.

– Przez jakiś czas może nie będziemy się spotykać. Za parę tygodni masz urodziny, a przecież jesteś moją...

– Hej, wy tam na dole! – Elektroniczny okrzyk zagłuszył jego gardłowy głos. Wzdrygnęłam się i cofnęłam o pół kroku za Zenna. Powietrzny technolot z jednoosobową załogą, poduszkopter, został

wynaleziony specjalnie po to, by rujnować ludziom życie. Nikt nigdy nie zdoła przed nim uciec. Nawet ja.

Na dolnym sterze migotała w półmroku czerwona róża. Oddech zadrżał mi w piersi – ten poduszkopter już mnie zatrzymywał. Pomyślałam, że skoro Zenn jest rekrutem Sił Specjalnych i zaprosił mnie tutaj, to może nie wpadnę w tarapaty.

Jasne, oczywiście. Sprawiedliwość nie jest tym, czym dyrektor szczególnie się przejmuje.

– Dokumenty! – wrzasnął mechaniczny głos. Zenn wyciągnął limonkową kartę pracy i trzymał ją w uniesionej ręce. Z boku policyjnego pojazdu wyrosło elektryczne ramię i opadło w dół, by zeskanować kod kreskowy na odwrocie karty.

Powoli wydobyłam identyfikator. Nikt w Dobrych Ziemiach nie może nawet postawić stopy na chodniku, by jego kroki nie zostały elektronicznie zapisane.

Mój identyfikator był niebieski ze względu na Wodne Miasto. Uniosłam go trochę, kiedy ramię zaterkotało, usiłując zeskanować kod pod lepszym kątem. Zaraz miałam zostać zatrzymana za przebywanie poza granicami – w dodatku po zmroku.

Zenn przyglądał mi się nieufnie.

– Vi, nie dawaj im prawdziwych powodów do aresztowania. – Podszedł wystarczająco blisko, by ciepło jego ciała przeniknęło moje zmysły. Dotyk był sprzeczny z przepisami, ale Zenn łamał je wcześniej wielokrotnie.

Uśmiechnęłam się, chociaż miał rację. Areszt nie jest zabawnym miejscem. Już sam smród wystarcza, by naprostować osoby łamiące prawo. Mimo to, o mało nie cisnęłam identyfikatora w krzaki jeżyn, gdzie nikt by go nigdy nie znalazł.

Powstrzymała mnie mina Zenna. Usta zacisnęła w wąską linię. Nasze kody kreskowe miały być powiązane – razem byliśmy w parku po zmroku (zgroza!) – więc gdybym wpadła w poważne kłopoty, on mógłby stracić szansę na awans w Siłach Specjalnych. Nie mogłam wziąć takiego ciężaru na swoje sumienie.

Zerknęłam na Zenna, przewracając oczami, czego nie dostrzegł przez szerokie rondo słomkowego kapelusza. To kolejna reguła, której

akurat przestrzegałam. Skaner zapikał cicho i z poduszkoopera wydobyły się straszliwe piski.

– Co znowu zrobiłaś? – w zirytowanym głosie Zenna brzmiała odrobinka śmiechu.

– Nic – odparłam. – Tym razem nic. – Przez dwa miesiące zachowywałam się naprawdę dobrze.

– Tym razem?

– Violet Schoenfeld, pozostań tam, gdzie stoisz! – zagrział mechaniczny głos. – Zieloni żądają przesłuchania.

– Vi! Zieloni? Poważnie, co zrobiłaś?

– Mogę teraz dostać mój prezent?

Każdy wie, że Zieloni to po prostu przezwisko Tych-Od-Myślenia. To właśnie oni nadają transmisje i klasyfikują ludzi. Oni zajmują się myśleniem, żeby zwyczajny człowiek nie musiał tego robić.

Po ukończeniu szkolenia w Siłach Specjalnych Zenn miał do nich dołączyć. Odkąd go znam, chciał być Zielonym, co nigdy nie psuło naszej przyjaźni. Ale to aresztowanie mogło zaszkodzić – agenci Sił nie spotykają się z kryminalistkami.

Wewnątrz poduszkoopera wielkie panele, pełne różnokolorowych guzików i skomplikowanych przyrządów, pokrywały deskę rozdzielczą. Kapsuła nadwozia była oszklona. Dzięki temu pilot mógł lepiej wypatrywać łamiących prawo. Okno w podłodze, pod pojedynczym – zajęтым – metalowym fotelem, dawało dobry widok na teren w dole. Ponieważ nie miałam gdzie usiąść, stanęłam koło małych drzwiczek.

Pod napierającym wokół grafitowym niebem czułam się jak uwięziona w mydlanej bańce. Z każdą sekundą coraz mocniej zaciskało mi się gardło.

Skuwszy mnie kajdankami, mój prześladowca popatrzył spode łba.

– Droga powrotna zajmie nam dwa razy dłużej. Zwykle po zatrzymanych przysyłamy transportery.

Skrzywiłam się za jego plecami. Też mi odkrycie. Niemal równie okropne jak areszt, transportery są jeszcze mniej wygodne niż ciasne poduszkooperty. A ten brud i smród? Obrzydliwość.

Z dodatkowym obciążeniem na pokładzie pilot niezdarnie manewrował pojazdem, pędząc ku wieżom Południowego Krańca Dobrych Ziem.

– Za dwadzieścia minut zaczyna się moja przerwa. Nie mam na to czasu.

Więc mnie wypuść. Patrzyłam, jak Zenn maleje do rozmiaru odległego punkciku. Miałam nadzieję, że nie widzę go po raz ostatni.

Zwolniliśmy. Pilot odwrócił się, mierzając mnie wściekłym spojrzeniem.

– Nie próbuj ze mną swoich sztuczek, dziewczuszko.

Nie miałam pojęcia, o czym mówił. Z całej siły złapałam się uchwyty nad drzwiami, gdy poduszkopter wziął kurs w lewo. W stronę wież.

Południowy Kraniec jest dostępny tylko dla Dobrych, którzy mają specjalną przepustkę albo jakąś ważną sprawę. Nigdy tam nie dotarłam, chociaż nie powiem, że bym się nie starała. Nikt, kogo znam, tam nie był – wodniacy nie rozrabiają.

Kiedy zbliżaliśmy się do celu, ogarnął mnie prawdziwy strach. Może faktycznie nie należało wykradać się na spotkanie. Ta myśl wydała mi się dziwna, zupełnie jakby nie była moja. Narastała, przytłaczając poczuciem winy. Nie powinnaś ryzykować wolności, żeby zobaczyć Zenna.

Głos w głowie zdecydowanie nie należał do mnie. Cholerni Myśliciele. Odrzuciłam wciskane mi pouczenia. Zeszłego lata Zenn zaryzykował dla mnie wolność.

Pod nami, w dole, przeplatały się małe kwadraty pól: brązowe, zielone i złociste. Uprawy w Regionie Centralnym dostarczają żywności Południowemu Krańcowi i reszcie Dobrych Ziem.

Wreszcie pola ustąpiły miejsca budynkom o wysokości dwóch, trzech pięter. Wzniesiono je podobnie jak wszystkie domy w Dobrych Ziemiach – szara lub brązowa cegła, migające technoświatła i czerwone czytniki tęczówki w każdych drzwiach.

Okna były starannie pozasłaniane przed zewnętrznym światem. Absolutnie nie chcemy, żeby do środka wpadały promienie słońca. Nie, to byłoby niedobrze. Przynajmniej według Tych-Od-Myślenia.

Słoneczne światło niszczy skórę, obojętnie jakiego jest ona koloru. Ubrania zakrywają nas od nadgarstka aż po podbródek, od kostek do bioder i wszędzie pomiędzy. W przypadku biznesmenów są to garnitury. Wszyscy pozostali noszą dżinsy i jasnobezowe koszule z długimi rękawami. A poza tym zawsze trzeba mieć na głowie szerokoskrzydły kapelusz.

Dobrzy są chodzącymi marionetkami, pozbawionymi osobowości... i mózgów.

Owszem, ze mną to się nie sprawdza. Nie chcę być marionetką. Właśnie dlatego łamię reguły i przestałam podłączać się do transmisji.

Pilot gwałtownie skręcił i okrążył wysokie gmachy. Nigdy nie widziałam miasta z tak bliska. Mój wzrok nie nadążał od jednej lśniącej konstrukcji do drugiej.

Kierowaliśmy się w stronę ostatniego i najwyższego budynku, tuż przy samej granicy naszych terenów. Tego z godłem, które można zobaczyć wszędzie w Dobrych Ziemiach.

Gałązka oliwna jest symbolem dobra. Oznacza naszą lojalność wobec dyrektoriatu. Czy raczej dyktatoriatu, gdybyście chcieli znać moje zdanie. Ale na ogół nikt nie chce.

– Więc już zobaczyłaś Południowy Kraniec – rzucił pilot. – Właśnie tego oczekiwałaś?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc trzymałam buzię na kłódkę – sytuacja u mnie niespotykana. To był Południowy Kraniec? Żadnych czarów, żadnych złotych dróg, żadnej idealnej ucieczki od mojego parszywego życia. Właśnie pojawił się przed nami mur, blokując wszelkie rozmyślenia o wolności.

Poduszkopter zawisł bez ruchu. W murze uchyliły się drzwi. Cokolwiek czekało wewnątrz, skrywała to ciemność. Co znajdowało się po drugiej stronie? Czy mogłam stamtąd wrócić? Może już nigdy nie miałam zobaczyć Zenna? Całkiem zaschło mi w ustach.

– Lecimy do środka? – zapytałam.

– Kiedy przetworzę twoją kartotekę – odparł pilot. Wpisał coś na małym ekranie. Wyskoczyła długa lista. – Już składałem na twój temat meldunki – powiedział, uśmiechając się lekko.

Pamiętałam ostatni raz: opuściłam Wodne Miasto po zmierzchu,

przemierzyłam uprawne pola w Regionie Centralnym i usiłowałam przedostać się do Południowego Krańca. Naprawdę ładnie się wystroiłam: w elegancką białą sukienkę i staroświeckie pantofelki na koturnach. Właśnie przez nie wpadłam. W takich butach nie da się biegać.

Przetrzymałam sześć tur przesłuchania, zanim przyznałam się, że ukradłam te pantofle z piwnicy domu w Opuszczonym Rejonie – kolejne zakazane miejsce, kolejne wykroczenia. Bo uprawiałam kontrabandę (czego wówczas nie wiedziałam), włożyłam rzeczy przeschmuglowane z nielegalnej strefy, próbowałam wtargnąć na inne zabronione terytorium. I do tego jeszcze ta okropna afera, że skłamałam. Jakby to była najgorsza rzecz pod słońcem.

Widzicie, Dobrzy nie kłamią. Nigdy. Uczciwość jest naszą wrodzoną cechą, ale moją jakimś cudem nie. Być może odkąd przestałam słuchać transmisji. A może dlatego, że mam wszystko w nosie.

Nieźle oszukuję. Akurat to zostało starannie udokumentowane w mojej kartotece, którą pilot właśnie z zainteresowaniem studiował.

– Mhm – mruknął. – Kłamczucha, złodziejka, a teraz Zieloni chcą cię dostać. Nic dziwnego, Vi.

Nienawidzę, kiedy obcy używają tego zdrobnienia, jakby byli moimi starymi przyjaciółmi, więc go zignorowałam. Zbliżyliśmy się do muru. Czerwony promień zeskanował różę pod poduszkopterem. Zamigotał sygnał. Pilot wprowadził maszynę do długiego tunelu o ciemnych ścianach, raczej do wnętrza budowli niż muru. Kiedy przechylaliśmy się w nim na boki, ogarnęła mnie panika – uczucie, którego ostatnio doświadczyłam na wieść o tym, że Zenn wstępuje do Sił Specjalnych. Żałowałam, że nie zdążył mi dać urodzinowego prezentu, zanim ten głupi facet mnie aresztował.

Wreszcie wylecieliśmy z tunelu. Widok, który się pode mną roztoczył, zapierał dech w piersiach.

Za murem wyłoniło się drugie miasto – całe miasto.

Na ulicach mrowili się ludzie. Z rozległej przestrzeni w dole mrugały do mnie srebrzyste przyrządy i różne lśniąca gadzety. Mój żołądek ścisnął się boleśnie. Zmusiłam się do oddychania, żeby nie

zemdleć.

Natłok zaawansowanej techniki palił mi mózg. Wyczuwam technikę, zawsze to potrafiłam. A cała ta nowa część Dobrych Ziemi wytwarzała poważne technoszumy. Miałam wrażenie, jakby moja głowa zmieniała się w działający na pełnym gazie akcelerator.

– A więc jesteśmy – oznajmił pilot. – Oto Instytut, miejsce narodzin wszelkiej technologii.

Nic dziwnego, że czułam się, jakbym miała zwymiotować.

Każdy wie, że w więzieniach są całe rzędy identycznych cel, w których zepsuci Dobrzy mają do dyspozycji betonowe łóżko, toaletę w kącie i żadnych zabijających czas projekcji. Mechany eskortują przestępców na posiłki. Kryminalistom zezwala się na opuszczanie celi tylko w określonym czasie. Wszystko to widziałam w szkole. „Bądź dobra, albo cię tam wsadzimy”.

Ale to więzienie nie przypominało niczego, o czym się uczyłam. Srebrzysta podłoga rozciągała się pomiędzy surowymi, białymi ścianami, które aż raziły w oczy, kiedy podążając za Mechanem na kółkach, przekroczyłam wejście z napisem „Oddział A”.

Zatrzymałam się tuż za progiem i popatrzyłam w głąb korytarza. Liczne drzwi kryły za sobą cele, ale nie dostrzegłam nic, od czego można by puścić pawia. Wyglądało to o niebo lepiej niż areszt. Tam każdy jest zdany na siebie. Zazwyczaj dziewczyny nie trafiają do aresztu, ale ja siedziałam cztery razy. Przepisy są naprawdę głupie. Jakby to miało znaczenie, że nie zamykam na noc okna. Kto przez nie wejdzie? Przebywanie na dworze po zmroku jest sprzeczne z prawem.

Ostatnim razem długo musiałam czekać na przesłuchanie. Mechany prowadziły mnie do łazienki i z powrotem. (Żadnej toalety w kącie – tyle osiągnęłam.) I przynosiły mi pakiety żywnościowe, które mieszałam z butelkowaną wodą o dziwnym smaku. Niemal metalicznym. Technicznie oczyszczoną. Jedna ze ścian wyświetlała zewnętrzny krajobraz. Zastanawiałam się, czy na dworze była właśnie taka pogoda.

Moja matka się nie pojawiła. Została powiadomiona, ale wiedziałam, że zbyttno jej to nie obeszło. Południowy Kraniec to za daleka droga, żeby wyprawiać się w nią z powodu niechcianej córki. Złamałam prawo o jeden raz za dużo, już wtedy, kiedy złamałam

je po raz pierwszy. Mogła chociaż przesłać parę słów e-commem. Nawet Zenn – uwięziony w mateczniku Sił Specjalnych – to zrobił.

Wiadomość od niego liczyła zaledwie kilka linijek.

O tym, że nie mógł wyrwać się na proces, że starał się mnie wyciągnąć. Ale podpisana była „Kochający Zenn”

i właśnie tych dwóch słów potrzebowałam, żeby przetrwać areszt i wszystko, co się z nim wiązało.

Straciłam poczucie czasu. Przecież to już minęło. Czując łoskot serca, ruszyłam szerokim przejściem za lśniącym Mechanem. Jego metalowe koła drapały z chrzęstem stalową posadzkę. Inny hałas wydobywał się z drugiego Mechana, tkwiącego nieruchomo pośrodku drogi. Gdy piski sygnału przeszły w nieprzerwany alarm, moje nozdrza wypełnił oleisty smród rozpalonej przekładni biegów.

Z pomieszczenia na końcu korytarza wybiegło dwóch mężczyzn. Ich szare mundury pasowały do koloru ścian. Obejrzałam się, żeby popatrzeć, jak wyłączają zepsutego robota, grzebiąc mu w jamie piersi. A więc w ten sposób...

Mój Mechan szarpnięciem za kołnierz odwrócił mnie z powrotem. Zjechał z trasy i zatrzymał się pod jakimiś drzwiami. Czekał tam już kolejny strażnik z chłopakiem, na widok którego zamarłam.

Zdradzała go ubarwiona słońcem skóra. Złak.

Jak przystało na osobę siedzącą już od jakiegoś czasu, nosił więzienny uniform. Na ramieniu miał nawet wyszyte nazwisko: „Barque”. Nie mógł być dużo starszy ode mnie, ale wzrostem niemal dorównywał robotowi, mierzącemu metr osiemdziesiąt, przy którym stał, całkowicie wyluzowany. Może wiedział o czymś, o czym ja nie miałam pojęcia.

Chłopak spojrzał na mnie i wyszczerzył zęby, jakbyśmy właśnie wybierali się razem na jakąś odlotową imprezę. Wpadłam w popłoch, czując, że w odpowiedzi unoszą mi się kąciki ust. Nieznajomy sięgnął rękami w techno-kajdankach do sterczącej, czarnej czupryny i poklepał się po głowie.

– Fajne włosy – szepnął bezgłośnie. Wystarczyło jedno spojrzenie strażnika, a opuścił opalone dłonie i znowu zapatrzył się przed siebie.

Błyszczące metalowe drzwi uchyliły się, gotowe mnie połknąć.

– Violet Schoenfeld – zagrzmiął jakiś głos. – Jag Barque. Proszę podejść.

Imię i nazwisko Złego zabrzmiało echem w mojej głowie. Jak można nazywać się Jag Barque? Słyszałam niejedną historię, co potrafią wymyślić Żli. Pewnie ten cały Jag był tego przykładem. Kto torturowałby własne dziecko takim imieniem?¹

Mechan, który mnie eskortował, potoczył się do przodu. Zahamował przy stole, sięgającym mu do metalowego pudła, które miał zamiast torsu, otworzył teczkę, wyciągnął czarny kabel i podłączył go do podium. Teczka się obróciła. Jej kłapa odskoczyła do tyłu, ukazując ekran dotykowy. Ścianę naprzeciwko mnie wypełniło moje zdjęcie. Wzdłuż dolnej krawędzi biegł pasek z imieniem i nazwiskiem, a dalej cała lista przewinień. Przekroczenie granicy. Nielegalna komunikacja elektroniczna. Nieprzestrzeganie godziny policyjnej. Pobyt w parku po zmroku, z mężczyzną. Stawianie oporu podczas aresztowania.

Zacisnęłam zęby. Przecież wlażłam po tej cholernej drabince do poduszkoopera, chwając się przy podmuchach ostrego wiatru. Cud, że nie spadłam i się nie zabiłam. A teraz jestem oskarżana o stawianie oporu. Jakby nie wystarczały pozostałe wykroczenia. Śmiechu warte.

Za wszelką cenę musiałam trzymać buzię na kłódkę. To był sąd. Mówić w moim imieniu miał Mech-rep, mechaniczny reprezentant, chyba że ktoś skierowałby pytanie wprost do mnie.

Na podwyższeniu, pośrodku długiego rzędu krzeseł, jakiś mężczyzna siedział za lśniącym, czarnym blatem.

Oparł na nim ręce i zmierzył mnie z góry spojrzeniem w rodzaju „lepiej ze mną nie zadzieraj”. Natychmiast go zniechęciłam.

Ścianę za jego plecami wypełniały ekrany projekcyjne. Facet nieustannie na coś zerkał. Pewnie na kolejną listę złamanych przeze mnie przepisów.

Koło mnie Mech-rep Jaga podniósł znacznie większą teczkę i podłączył do srebrnego podium dwa przekaźniki sygnału. Zdjęcie chłopaka pojawiło się obok mojego. Mocno zarysowany, kwadratowy podbródek kontrastował z moimi okrągłymi rysami. Jego skóra

była opalona, moja blada niczym skorupka jajka. Za to włosy mieliśmy niemal takie same – wargi znowu wygięły mi się w głupim uśmiechu. Fajne.

Kilka kolejnych ekranów projekcyjnych rozświetliło się od fotografii Jaga. Różnych. Na jednej czerń jego włosów została wywabiona. Śnieżnobiały uśmiech i rozjaśniona czupryna kontrastowały ze śniadą cerą. Z jakiegoś powodu Jag się roześmiał.

Siedzący naprzeciwko nas Zielony gniewnie zmarszczył brwi. Kolejne zdjęcie przedstawiało Jaga ze zgoloną czupryną. Króciutkie włosy, które mu pozostały, wydawały się brązowe. Byłam ciekawa, czy to jego naturalny kolor. Koszulę miał rozpiętą pod szyją, krótkie rękawy odsłaniały gołe ręce. Oczy o barwie czarnych jagód skrzyły się, jakby Jag właśnie usłyszał coś bardzo śmiesznego.

Zdradzieckie kąciki ust po raz kolejny mnie wydały.

– Coś panią bawi, panno Schoenfeld? – zapytał Zielony.

Kiedy ja usiłowałam zapanować nad wargami, Jag znowu zachichotał. Cichy dźwięk odbił się echem od wysokich ścian sali rozpraw. Mój Mech-rep spojrzał na mnie.

– Odpowiedz.

– Nie, sir – wykrztusiłam. Kolejna fotografia przedstawiała Jaga rozdającego telefony Dobrym, których łatwo rozpoznać po parasolowatych kapeluszach i długich rękawach. Już wiedziałam. Jag pochodził ze Złych Ziem, a tutaj został przyłapany na rozprowadzaniu nielegalnej techniki.

Ale... dlaczego uczestniczył w moim przesłuchaniu?

– Pospieszmy się – powiedział Zielony. – Rada w pełnym składzie zbierze się za trzydzieści sekund. Mech-749? Twój wniosek?

Mech-749 najwyraźniej był przydzielony mnie, bo powiedział:

– Wydalenie, Wasza Instytucyjność.

– Mech-512? – Zielony zwrócił się do reprezentanta Jaga.

– Nie do zresocjalizowania, Najwyższa Instytucjo.

– Szkoda czasu?

– Owszem, sir – odparły chórem oba Mechany.

Najwyraźniej powinnam była uczyć się kulawego języka Mechanów, żeby zrozumieć tę wymianę zdań, jednak mężczyzna

na podium nie wyglądał na zbitego z tropu. Bardzo potrzebowałam podrapać się w przedramię, ale ręce miałam skute technokajdankami, które rozsyłały elektryczny dreszcz po moich kościach.

Drzwi za „Najwyższą Instytucją” otworzyły się. Wkroczyło dziesięciu mężczyzn w zielonych togach. Przesunęli się za plecami Najwyższego i zajęli miejsca po jego prawicy. Kobiety weszły drugimi drzwiami – wystrojone w jednakowe zielone szaty – i zasiadły po lewej.

Rany, dwudziestu jeden Zielonych w jednym pokoju. Kimkolwiek był ten Jag Barque, wpadł po uszy.

Zebrani zgodnie popatrzyli na wbudowane w blat ekrany projekcyjne, których blask oświetlił ich twarze.

– Violet Schoenfeld? – zapytali chórem, zupełnie jakby ćwiczili to dziesiątki razy.

Wtedy zrozumiałam. To ja wpadłam po uszy.

– Panno Schoenfeld – przemówił środkowy Zielony. – Ma pani coś do powiedzenia?

Popatrzyłam na mojego Mech-repa. Czy miałam coś do powiedzenia? Co to za głupie pytanie?

– Właściwie nie – odparłam. – Po prostu spacerowałam z przyjacielem po parku.

– Z chłopakiem – odezwała się jakaś kobieta, wychylając się do przodu.

– Tak. – Popatrzyłam na nią. – Jesteśmy wyswatani. – Z pewnością przebywanie z Zennem nie było niezgodne z prawem.

– To już... – Środkowy Zielony zerknął na swój ekran – siódme aresztowanie.

Szybko policzyłam w myślach. Prawdę mówiąc, ósme, ale nie zamierzałam tej kwestii podnosić. Pierwsze przestępstwo popełniłam przed ukończeniem dwunastu lat, więc nie znalazło się w moim Oficjalnym Rejestrze. Nie miałam pewności, czy powinnam o tym wspominać, więc postanowiłam milczeć.

– Violet, informujemy, że wielu członków tej rady uważa cię za niemożliwą do zresocjalizowania.

– Bardzo długie określenie – stwierdziłam, wywołując cichy

chichot Jaga.

Zielony zmarszczył brwi, gniewnie popatrzył w blat i wystukał na klawiaturze coś, co nie mogło być korzystne dla mojej sprawy.

– To oznacza, że nie pasujesz już do Dobrych Ziem. – Każde słowo wymawiał dobitnie i tak cicho, że ich dźwięk nie wywoływał pogłosu w ogromnej sali. Minęło kilka sekund, zanim dotarły do mojej świadomości.

Powiodłam wzrokiem wśród Zielonych, próbując rozszyfrować znaczenie tych zimnych spojrzeń i zaciśniętych warg.

– Co?

– Kiedy przestałaś podłączać się do transmisji? – Łysy mężczyzna na końcu rzędu wychylił się do przodu i patrzył na mnie bez zmrużenia oczu.

– Ależ ja się podłączam – skłamałam. Kolejny ekran projekcyjny gwałtownie ożył. Niepewna, co znaczą wszystkie te czerwone linie, usiłowałam uspokoić rytm serca i oddech.

Łysy uśmiechnął się niczym pobłażliwy rodzic, który przyłapał dzieciaka na podjadaniu czekolady.

– Jestem przekonany, że nie w tym roku.

– Sprawdźcie zapisy – rzuciłam wyzywająco. – Mój komunikator ma połączenie co noc. Obowiązkowe osiem godzin.

Wszystkich dwudziestu jeden Zielonych dotknęło swoich ekranów. Kliknięcia rozniosły się echem po absurdalnie wielkim pomieszczeniu.

– Ona ma rację – powiedziała któraś z kobiet. Zniżony głos i uniesione brwi. – Ale jednak, taka wolnomyślicielka... – Skrzywiła się, jakby spróbowała kwaśnej potrawy i dopisała coś do swoich notatek.

– Co się stało z twoimi włosami? – Inna kobieta wbiła we mnie zdumione spojrzenie małych czarnych oczek. Jej bardzo długie srebrzyste włosy spływały po ciemnej skórze jak zamrożony wodospad technowłókien. Miała wielki nos i wysokie kości policzkowe. Wyglądała jak jastrząb.

– Mama zmusiła mnie, żebym obcięła – znowu skłamałam.

– Dlaczego?

– Też myślała, że się nie podłączam, nawet kiedy pokazałam jej

wydruki. – Moje zdjęcie na ścianie za plecami Zielonych zastąpiła projekcja rozpatrywanego materiału dowodowego.

Dobre sobie. Jak gdybym słuchała transmisji. Zarzuciłam to pewnie z rok temu, a może jeszcze dawniej. Wykombinowałam, jak odciąć komunikator. Technicznie co noc był podłączony do transmisji. Po prostu go nie słuchałam.

Od tego czasu wyrwałam się spod ich kontroli – ale byłam zmęczona. Nie spałam dobrze, żyjąc w ciągłym strachu, że w jakiś sposób mnie zdemaskują. Poddawana praniu mózgu jeszcze zanim nauczyłam się mówić, przeraźliwie się ich bałam. Nawet teraz.

– Panno Schoenfeld? – zachęciła mnie Jastrzębica. Zerknęłam na mojego Mech-repa.

– Uważaj. Zapytała, dlaczego musiałaś obciąć włosy. – Głos robota bynajmniej nie koił nerwów.

– Hm, moja matka użyła gipsu klejowego, żeby odpowiednio umocować łącze. Całkiem polepił mi włosy.

Rozległ się gromki śmiech Jaga. Środkowy Zielony rzucił chłopakowi wściekłe spojrzenie. Dźwięk natychmiast zamarł, ale echo pozostało.

– Więc musiałam je obciąć.

– I ufarbować? – zapytała Jastrzębica.

– Tak. – Popatrzyłam jej w oczy, prowokując do następnego głupiego pytania.

Wszyscy członkowie rady zaczęli stukać w klawiatury jak szaleni. Proszę bardzo. To moje włosy. Przynajmniej tak odpowiedziałam mamie. Tak bardzo jak tego nie chciałam, jednocześnie żałowałam, że się tu nie pojawiła. Czułam, że w gardle palą mnie niewypłakane łzy, choć pragnęłam, żeby tak nie było.

– Mech-749? Czy podtrzymujesz swój wniosek?

– Tak. Złe Ziemie.

Kilku Zielonych pokiwało głowami. Byłam ciekawa, co to oznacza. Miałam tam odsiadywać wyrok? Nawet nie wiedziałam, że w Złych Ziemiach są więzienia.

– Jag Barque?

– Tak – odparł leniwie. Chciałam popatrzeć, ale Mediany stały

mi na drodze, więc nie widziałam jego twarzy.

– Pańska opinia nie uległa zmianie, jak przypuszczam?

– Nie. – Jag zachowywał się, jakby był tutaj już mnóstwo razy. Przerzucał ciężar ciała z jednej stopy na drugą, ręce w technokajdankach zwisały swobodnie. Zazdrościłam mu spokoju, bo moje serce rozsadzało pierś.

– Zgodnie z nakazem ma pan się stawić przed dyrektoriatem – powiedział Zielony. – W Wolności.

Ta jednoznaczna groźba wisiała przez chwilę w powietrzu. Wreszcie Jag przemówił:

– Nie stawię się. – Wyobraziłam sobie gniewne spojrzenie, które odpierał ton jego głosu.

– To pański obowiązek, panie Barque. Wyruszy pan w przyszłym tygodniu – oświadczył Zielony. – Rada musi przedyskutować jeszcze kilka kwestii przed pana zwolnieniem. Violet, nic mi nie pozostaje, jak tylko wydalić cię do Złych Ziemi.

Wygnanie?! Za spacer po parku z Zennem?!

– Co?! – wyrwało mi się.

– Na stałe.

Wszystko działo się zbyt szybko. Ściany sunęły w moją stronę.

– Co to znaczy?! – krzyknęłam. – Mam tam zamieszkać? Na zawsze? – Zrobiłam kilka kroków przed siebie. Natychmiast pojawiło się dwóch ochroniarzy i zdałam sobie sprawę, że przekroczyłam dopuszczalną granicę. Zbyt blisko Zielonych.

– Sir, myślę, że w Złych Ziemiach dziewczyna może stanowić większe zagrożenie. – Łysy facet, ten, który wcześniej przesłuchiwał mnie w sprawie transmisji, wychylił się do przodu. – Jest wolnomyślicielką. Wyobraźcie sobie tylko te problemy.

– Cholera jasna, co to jest wolnomyślicielką?! – wrzasnęłam.

Mech-749 przykleił mi plaster do szyi. Tłumik. Przeklinanie jest zawsze tłumione.

– Nonsens – odparł środkowy Zielony. – Jest niebezpieczniejsza tutaj, wśród technologii. A zważywszy na historię jej rodziny...

– Mojej rodziny? Ma pan na myśli mojego tatę? Gdzie on jest? – Cisza odbiła się echem od ścian. Dałam kolejny krok naprzód, w pełni

świadoma wlepionych we mnie spojrzeń. – Zrobię, co zechcecie! Tylko mnie tam nie wysyłajcie! – Moje słowa zamigotały na ekranach projekcyjnych, przewijając się u dołu jedno po drugim.

Środkowy Zielony uśmiechnął się bez cienia współczucia. Oczy rozbłysły mu, kiedy kręcił głową. Ale i tak się nie zatrzymałam.

Nie rób tego, ostrzegł mnie jakiś wewnętrzny głos. Słyszenie głosów nie jest znowu aż tak niezwykle. Ale akurat ten – z pewnością ten sam co przedtem – oznaczał, że jestem pod nadzorem.

Środkowy Zielony zmrużył oczy, zupełnie jakby też coś usłyszał. Przez krótką chwilę podejrzewałam, że to on infiltruje moje myśli. Ale jego głos był zdecydowanie wyższy od tego, który nadal rozbrzmiewał w mojej głowie. *Nie rób tego, nie rób tego*.

Posunęłam się o kolejny krok.

Środkowy Zielony podniósł rękę, wzywając ochroniarzy, żeby mnie otoczyli i odciągnęli do tyłu, do mojego Mechana. Wyrywałam się i kopałam tak mocno, że chociaż miałam tenisówki na miękkich podeszwach, jeden z napastników się przewrócił. Drugiego walnęłam w twarz rękami w technokajdankach. Desperacko próbowałam zerwać tłumik, jednak nie mogłam sięgnąć wystarczająco wysoko. To bolało – nawet bardzo – ale nie przejmowałam się.

– Nie pojedę! – krzyknęłam tak głośno, że zdarłam sobie gardło. – Nie macie prawa!

Zapewne ktoś nacisnął jakiś guzik albo podniósł alarm, bo nagle w sali rozpraw zaroilo się od strażników. Czterech z nich usiłowało mnie przytrzymać, zanim się uspokoiliam. Zaprzeszałam walki, kiedy kątem oka dostrzegłam błysk elektrycznego paralizatora i ktoś uklęknął na moich plecach. Strażnik skuł mnie po raz drugi. Skrzywiłam się, bo technika oparzyła mi nadgarstki. Dwie pary zaawansowanych technologicznie kajdanek mogły spowodować pęcherze i ostrą wysypkę, gdybym nosiła je dłużej. Od techniki już mrowiło mnie w całym ciele.

– Oto dowód – powiedział środkowy Zielony. – Dajemy ci tydzień. – Zatrzasnął swój ekran projekcyjny i wstał. Pozostali Zieloni poszli w jego ślady i wszyscy razem wymaszerowali z sali rozpraw.

Tydzień na co? Ciężko dysząc z gniewu, zerknęłam na Jaga.

Przykuł moją uwagę, przyglądając mi się bacznie, jakbym stanowiła trudną łamigłówkę, której nie potrafił rozwiązać. Nie odwróciłam wzroku i wpatrywałam się w niego, dopóki strażnicy nie szarpnęli mnie do tyłu.

Właśnie wyciągnęli mnie za drzwi, kiedy jakiś mężczyzna zapytał:

– I co mamy z panem zrobić, panie Barque? – głos ociekał pogardą, ale brzmiał dziwnie... znajomo.

Gdy prowadzono mnie korytarzem, dostrzegłam związek: głos tego, który zagadnął Jaga, niczym nie różnił się od głosu, który przemawiał w mojej głowie.

1. Jag (ang.) – wyszczerbienie; potocznie – popijawa; jagged – postrzępiony, stargany (przyp. tłum.).

Moja siostra, Tyson, to ta utalentowana w rodzinie. Ale ona od dawna nie żyje. Co do mnie, matka nigdy nie oczekiwała, że dotrzmam do szesnastki, wieku, w którym mogłabym naprawdę pomagać finansowo. A prawie dotrwałam. Jeszcze parę tygodni i wylądowałabym na jakiejś beznadziejnej posadzie w nudziarskim wydziale glonów i wodorostów naszego Wodnego Miasta.

Jedyną pociechą w takim życiu był Zenn. Mama pozwalała na naszą przyjaźń, bo ojciec Zenna – urzędnik rządowy w wydziale teleportacji – nazwał nas „inteligentną parą”.

W związku z tym sądziła, że Zenn mógłby utrzymać mnie w ryzach. Niestety, nie wiedziała, że to właśnie on planował większość naszych nielegalnych wypraw. Ani że bił na głowę tych, z którymi Ci-Od-Myślenia mnie porównywali.

– I tak bym cię wybrał, Vi – powiedział tamtego dnia, kiedy wylegiwaliśmy się nad jeziorem. – Więc to super, że będziemy... że oni nas wyswatali. – Przesunął palcami po moich włosach. Wtedy były jeszcze długie. – Wybrałbym cię – powtórzył.

Uśmiechnęłam się i z zamkniętymi oczami odtwarzałam w pamięci jego słowa. Bo w tamtym momencie wydawało się, że mamy u stóp cały świat.

A potem Zenn dostał wezwanie do Sił Specjalnych. I wszystko się zmieniło. Ale nie to, co do niego czułam. Ani to, co on czuł do mnie.

Po bolesnym usunięciu tłumika i technokajdanek, obmacywałam poobcierane nadgarstki.

Pozbawiono mnie identyfikatora, odebrano torebkę, więc jedyne, co miałam, to ubranie: beżową koszulę z długimi rękawami, standardowe niebieskie dzinsy, tenisówki i... no tak, to by było tyle.

Kopałam eskortującego mnie Mechana, ale srebrnej obudowy nie

dało się naruszyć. W efekcie miałam wrażenie, jakby w mojej prawej stopie pękło kilka kości.

Głupi robot głądził monotonnym głosem o panujących tu pustkach.

– Najwyraźniej ostatnio niezbyt wielu Złych pakuje się w tarapaty – oznajmił, po czym wydał z siebie dziwaczny, chrypliwy dźwięk. Śmiech Mechanów. Odrażający roboto-ludzie, pomyślałam.

Mechany mają nieograniczone siły. Mogą gadać i gadać, i gadać. Biec, biec i biec. Z tego powodu nikt nigdy im nie ucieknie. Bo jak można wygrać z robotami?

One nie muszą jeść. Nie muszą spać. Potrafią wyczuwać ciepło ciała, kody kreskowe i nie wiadomo, co jeszcze.

Nienawidzę Mechanów – nawet bardziej niż Tych-Od-Myślenia. Bardziej niż idiotycznych praw.

Chciałam, żeby ten durny blaszak wreszcie się zamknął. I jakimś cudem tak się stało.

Mechan milczał, kiedy z pnącej się w górę obwodnicy weszliśmy na oddział D. Prowadził mnie wzdłuż rzędu więziennych cel z kratami od frontu – ani cienia prywatności – aż zatrzymał się przed jedyną zajętą.

– O, do diabła, nie. Nie ma mowy! – wrzasnęłam, grzebiąc mu pod srebrzystą obudową w poszukiwaniu elektrycznego przycisku, który musiał gdzieś tam być.

Moje palce natrafiły na wyłącznik i nacisnęły. Zawył alarm. Przytknęłam dłoń do uszu, a Jag Barque poderwał się, naciągając na głowę poduszkę.

Wpadło czterech ludzkich strażników. Jeden z nich resetował robota, podczas gdy drugi odsuwał kratę. Kilka par rąk wepchnęło mnie do celi. Ludzki i mechaniczny śmiech zlały się w jeden okropny dźwięk. Przynajmniej nie byłam skuta. Czerwone ślady na nadgarstkach zaczynały blednąć.

Jag wrócił na łóżko, wyciągnął się i splótł ręce pod głową.

– Nieźle.

Zignorowałam go, omiatając wzrokiem celę. Półkę nad posłaniem zajmowało kilka rzadkich drukowanych książek. Taca wałała się

na podłodze, tam, gdzie porzucono ją po śniadaniu. A w kącie była ubikacja. Nareszcie sięgnęłam dna. Obok ubikacji, na metalowej umywalce stała buteleczka z tabletkami do czyszczenia zębów i leżała tubka zielonego żelu.

Jag nieuprzejmie zajmował łóżko, pozostawiając mi betonowe klepisko jako jedyne miejsce do siedzenia. Przez chwilę krążyłam po celi, ale to tylko wzmoгло napięcie, bo już po dwóch krokach musiałam zawracać.

Potem gapiłam się przez kraty, tłumiąc strumień przekleństw. Żałowałam, że nie mogę odlecieć gdzieś daleko i nigdy już nie wracać. Kiedy się odwróciłam, Jag siedział.

– Co? – zapytałam. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Nic.

Jak dla mnie, nie wyglądało to na nic.

– Dlaczego wsadzili nas razem?

– Masz superwłosy.

– Och, zamknij się – powiedziałam, krzyżując ręce na piersiach. – Wsadzili mnie za spacer po parku. Z chłopakiem. Teraz chcą, żebym mieszkała z innym. To się kupy nie trzyma.

Znów się położył. W jego oczach iskrzyło rozbawienie.

– Zamierzasz okupować całe poślanie?

– Tak.

– Fantastycznie. – Usiadłam, opierając się plecami o metalową poręcz łóżka. Drgnęłam, kiedy Jag potargał mi włosy. – Nie dotykaj.

– Podobają mi się. Są prawie takie jak moje. Wyjątkowe.

– Pewnie, że wyjątkowe.

– Złe – dodał. Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Choć ręce miał założone za głowę, zdołał wzruszyć ramionami. – I to mi się właśnie podoba.

Zignorowałam jego uwagę. Zawsze pragnęłam być zła, bo może wtedy moja matka miałaby prawdziwy powód, żeby mnie nienawidzić, a ja nie czułabym się przez cały czas tak strasznie nie w porządku. Ale teraz wizja, że zostanę Złą, przerażała mnie bardziej, niż chciałam przyznać.

– Jak mamy się stąd wydostać? – zapytałam.

– Myślę, że odpowiedź jest ci już znana.

Hm, nie, nie jest. Dlatego pytam. Moje gniewne spojrzenie najwyraźniej go nie poruszyło. W jego oczach mignął wyniosły błysk.

– Nie będę mieszkać tu z tobą przez tydzień – oznajmiłam.

– Możesz zająć łóżko. I tak niewiele śpię.

Jednak to nie nocleg był moją główną troską. Zerknęłam w stronę ubikacji. Jag się roześmiał.

– Możesz korzystać, kiedy zabierają mnie pod prysznic.

– A jak często to się zdarza?

– Każdego ranka.

– Cudownie. – Odwróciłam się, kontemplując pustą ścianę metr przede mną. Byłam ciekawa, ile czasu zajmie mi trening, żeby używać toalety tylko raz dziennie.

Noc rozciągała się w wieczność. Jag odstąpił mi łóżko, ale chodził po celi tam i z powrotem, więc skrzypienie jego butów ciągle mnie budziło. W końcu usiadłam i opowiedział mi o życiu w Złych Ziemiach. Ludzie nie mieli tam teleporterów w każdym pomieszczeniu, bo – ni mniej, ni więcej – przemieszczali się na własnych nogach.

– Naprawdę? – Byłam zdumiona. – Chodzą?

– Tak, Vi – odparł. Moje zdrobniałe imię zabrzmiało w jego ustach naturalnie, jakbyśmy byli starymi kumplami czy kimś w tym rodzaju. – Żli nie mają dostępu do tych waszych technicznych głupot.

– Myślałam, że właśnie dlatego tu jesteś.

– Tak, ale...

– Tak, ale jest pewien drobiazg, głupku. Podobają ci się te nasze techniczne głupoty.

Jag skwitował to irytującym wzruszeniem ramion, sięgnął nad moją głowę i zdjął z półki książkę. Potem dźwignął moje nogi, wsunął pod spód swoje, oparł się plecami o ścianę i wlepił wzrok w stronicę.

– Na co ci one? – Przyjrzałam się dwóm pozostałym tomikom na półce.

– To się nazywa czytanie. – Nie podniósł spojrzenia. – Na pewno umiesz czytać.

– Jasne, że umiem. Tylko że my już niczego nie drukujemy.

Opuścił książkę i spojrzał na mnie tak ostro, aż się wzdrygnęłam.

– Ale drukowaliście. Poprosiłem o coś do czytania. I to właśnie mi przynieśli.

Może nie chcieli go dopuścić do naszych wynalazków i dlatego nie dali mu elektronicznej tablicy. Nieważne. Jag powrócił do lektury, a ja rozmyślałam o tym, co mi opowiadał o Złych Ziemiach. Taka wolność. Wyobraziłam sobie tatę, jak spaceruje, gdzie mu się podoba. Bez strachu. Bez tego napięcia w oczach, kiedy wychodził rozwijać nasze „techniczne głupoty”.

Ubrany w kurtkę, przytulał mnie na dobranoc – tak, to wbrew przepisom. Lśniąca czarna skóra łaskotała mnie w nos zapachem pasty.

I już wiedziałam.

Szedł do lasu. W nocy. Dwa kolejne wykroczenia.

Łamanie prawa musi być w tej rodzinie dziedziczne, odezwał się znowu głos, ten sam, co w sali rozpraw. Szkoda, że nie mogłam się wtedy odwrócić i zobaczyć, do kogo należy.

Przedtem nie słyszałam żadnych głosów. To mógł być skutek przebywania w pobliżu Tych-Od-Myślenia. Albo liczne wykroczenia wpakowały mnie w końcu na czyjąś listę osób kontrolowanych.

A może, mimo wszystko, Żli nie porwali taty. Może Zieloni... Tym razem głos należał do mnie. Odepchnęłam tę myśl i nakazałam sobie spać. Tata pracował w techno-wydziale, poziom dziesiąty, ściśle tajne. Rozwijał w Dobrych Ziemiach najwyższej klasy technikę.

Miał zezwolenie na wejście do lasu. Kiedy tylko chciał. To właśnie powiedział mojej matce, kiedy zapytała. Że uzyskał odpowiednią zgodę; że wiele z jego wynalazków wymaga energii, którą mógł uzyskać tylko wtedy, kiedy reszta ludzi spała.

I ja mu wierzyłam.

Odpywając w sen, niemal czułam zapach skóry jego kurtki. Niemal czułam łagodny uścisk jego objęć.

Niemal, niemal. Ale po siedmiu latach już trudniej sobie to wszystko wyobrazić.

Wodospady, rzeki i strumyki, szum fal bijących o brzeg...

Nie potrafiłam pozbyć się myśli o wodzie. I bardzo

potrzebowałam „skorzystać”. Nadszedł ranek, a Jag wciąż nie szedł pod prysznic.

Przyzywała mnie luksusowo ciepła woda gorących źródeł.

– Muszę! – Poderwałam się z łóżka i zrobiłam dwa kroki w stronę ubikacji. Ale nie mogłam. Po prostu nie mogłam przy nim. Usłyszałyby!

Poczułam na plecach spojrzenie. A on nie potrzebował wizyty w kącie? Odwróciłam się i zobaczyłam rozbawiony uśmiech Jaga, zanim zdążył zetrzeć go z twarzy.

Jag zamknął książkę i zaczął tłuc nią w kraty.

– Hej! Zabierzcie mnie stąd!

Powoli, nieznośnie powoli – tak nieznośnie i tak powoli, że już myślałam, że nie wytrzymam – przywłókł się korytarzem strażnik.

– Muszę wyjść – oznajmił Jag. – Nie zamierzam tu z nią zostać. – Kiwnął głową w moją stronę.

Musiałam mieć naprawdę żalowaną minę, bo strażnik roześmiał się i otworzył celę.

– Co, jednak współdziałacie? – Przesunął czerwonym czytnikiem od ramion Jaga po kostki i skrępował mu ręce za pomocą innych „technicznych głupot”.

Wytrzeszczyłam oczy. Współdziałamy? Co to miało znaczyć? Jag wzruszył ramionami i rzucił mi spojrzenie, od którego moje serce wywinęło koziołka. Strażnik przyglądał się nam przez kilka sekund, po czym ruszył korytarzem, eskortując Jaga.

I wreszcie mogłam skorzystać z toalety.

Kiedy po raz pierwszy zamknięto mnie w areszcie, moja matka pojawiła się natychmiast po otrzymaniu elektronicznej wiadomości. Gdybym posiedziała tam trochę dłużej, może nie byłabym taka chętna, żeby powrócić (areszt zaczął przyprawiać mnie o mdłości dopiero za drugim razem). Mama głądziła, jaki to wstyd mieć w rodzinie osobę łamiącą zasady i że gdyby moja siostra, Tyson, nie umarła, mogłabym sobie być włóczęgą; i że jestem dokładnie taka jak ojciec. Ple, ple, ple.

Z tego ostatniego akurat byłam dumna. Chciałam być taka jak tata. Może nie mieszkać w Złych Ziemiach wbrew własnej woli. Ale w tamtym czasie wydawało mi się, że wszystko jest lepsze niż życie w Dobrych Ziemiach zgodnie z cudzą wolą.

Po niekończącym się wykładzie matka wysmarowała moje łącze gipsem klejowym, mażąc mi przy tym głowę od ucha do ucha, i podłączyła wprost do specjalnej transmisji na temat kłamstwa i kradzieży. A wszystko zaczęło się od tego, że miałam iść na jakąś totalnie drętwą imprezę dla Pozytywnych. I poszłam, ale nie tam. Zamiast tego, przekradłam się do Opuszczonego Rejonu, gdzie miałam ukryty stary identyfikator i wybrałam się na kolejną.. . nielegalną wyprawę.

Z identyfikatorem wetkniętym do tylnej kieszeni udałam się do gminy Głównej, leżącej najbliżej Południowego Krańca. W kilka sekund po mnie zjawił się tam Zenn, używający dokumentów starszego brata.

Bawiliśmy się wspaniale. Trochę zbyt wspaniale. W drodze powrotnej do teleportu zdążyłam minąć zaledwie połowę kwartału, kiedy detektor czerwonych tęczówek wyłapał moje zaczerwienione oczy. Dobrze chociaż, że wszyscy przyzwoici obywatele spali, więc

mój zły przykład nie mógł wywrzeć na nich zgubnego wpływu. Tak, to właśnie słowa mamy.

Teraz, siedząc w więzieniu, powtarzałam sobie, że przecież nie z mojej winy tata został uprowadzony. Nie z mojej winy Ty umarła. Zniesmaczona – bo pozwoliłam, by zdenerwowały mnie myśli o mamie – udałam się korytarzem za Mechanem i nie próbowałam wykrecić żadnego numeru.

Przy wejściu do pryszniców spotkaliśmy strażnika-człowieka.

– Szczęściara – powiedział. – Faceci kąpią się razem.

Szorując się w ledwie ciepłej wodzie, usiłowałam wyrzucić z myśli ten obraz. Kabina nie była zamykana, więc przez cały czas wlepiłam wzrok w drzwi łazienki i trzymałam w pobliżu ręcznik. Może teraz, kiedy Jag wyraźnie zwrócił uwagę, że nie mamy odpowiedniej ubikacji, dostanę osobną celę?

Woda przestała lecieć, gdy tylko skończyłam się opłukiwać. Wytarłam ręcznikiem włosy, ale nie miałam niczego, żeby postawić je na sztorc, tak jak lubiłam. Jagowi najwyraźniej udawało się swoje nastroszyć. Pewnie ukrył w celi jakieś mazidło.

Może wsadzą mnie wystarczająco blisko, żebym mogła je pożyczyć.

Och, i wsadzili. Z powrotem do Jaga.

Strażnik wrzucił nam do celi drugi koc i poduszkę, po czym zmierzył mnie surowym spojrzeniem.

– Tylko nie próbuj robić niczego złego. – Ale kiedy oddalał się, powłócząc nogami, na twarzy miał znaczący, złośliwy uśmieszek. Dlaczego musiałam dzielić celę z Jagiem, kiedy cały oddział był pusty? Chcieli, żebym złamała jeszcze więcej reguł? Dobra, ich niedoczekanie.

Coś dziwnego zapieniło się we mnie, rozpełzło wraz z krwią.

– Jestem niewinna! – Przycisnęłam twarz do krat. Strażnik odwrócił się z jakimś srebrzystym przedmiotem w dłoni.

Dźgnęłam palcem w stronę Jaga, który leżał na łóżku i pisał.

– On rozprowadzał nielegalną technikę. A ja spacerowałam tylko po cholernym parku. – Obce uczucie zakipiało mi pod językiem, pokryło usta. Wściekłość.

Przytępiony ołówek zastygł nad otwartym notesem. Oczy Jaga z niezwykłą determinacją ostrzegały „Uważaj!”

Zauważyłam błękitną iskrę. W moim polu widzenia pojawił się paralizator. A potem okrutny, szeroki uśmiech strażnika.

– Masz jakieś wątpliwości?

Nie był ode mnie wyższy, ale tuż przy metalowych kratkach przepłynęła silna energia elektryczna. Z trudem przełknęłam ślinę.

– Hm, nie.

– Nie, co? – Wyjątkowo nieojcowski błysk rozjaśnił jego ciemne, skośne oczy.

– Hm, nie, proszę pana.

– Tak właśnie myślałem. – Strażnik odszedł powoli, wyłączając paralizator, zanim wepchnął go do kieszeni.

Wściekłość czekała, zwinięta w palcach u nóg. Jag powrócił do pisania. Skrzypnięcia ołówka drażniły moje zszargane nerwy.

– Kim ty jesteś? Jakimś poetą, czy co?

Nie odpowiedział, ale nie poczułam się zignorowana.

– Skąd to w ogóle wzięłeś? Jesteś w Dobrych Ziemiach. My używamy ekranów projekcyjnych i elektrotabliczek.

– I dostajecie kontrolowane wiadomości, transmitowane do waszych komunikatorów – odpowiedział, bazgrząc dalej. – Wielkie dzięki. Myślę, że pozostanę przy moich notesach.

Gdybyśmy wszyscy byli takimi szczęściarzami.

– Skąd wytrzasnąłeś te rzeczy?

Podniósł wzrok. Mieliśmy na sobie jednakowe niebieskie uniformy. Tylko na moim rękawie nie migotało nazwisko. Myślę, że ich zdaniem na tydzień nie było warto się fatygować. Przynajmniej nie pozbawiono mnie jeszcze własnych butów. Wsunęłam w nie stopy, żeby nikt nie mógł się do nich dostać bez natychmiastowego kopniaka.

– Jestem tu już trochę czasu.

– To co? Znaczą, że dali ci notes i kosmetyki do włosów?

Jag przyglądał mi się z uwagą, a mnie serce znowu wywinęło irytującego fikołka. Coś się pojawiło pomiędzy nami, uczucie tak silne, że na pewno też je zauważył.

– Taak – mruknął, nie odrywając spojrzenia od moich oczu. Zdecydowana, że pierwsza nie odwrócę wzroku, czekałam, aż powie coś więcej. Nie powiedział.

– No dobrze, więc mogę pożyczyć twój żel? – zapytałam, rozkładając koc na betonie.

– Pewnie. – Wyciągnął tubkę i cisnął nią w moją stronę. Żel pachniał facetem. Jak mocny płyn po goleniu albo jakiś kosmetyk z piżmem, czy jeszcze co innego. Może sosnowe igły. Wzdrygnęłam się.

– Coś nie tak?

– Śmierdzi.

– Czym śmierdzi?

– Czymś męskim – odparłam. – Nie chcę pachnieć jak chłopak.

– Dobra. – Szybkim ruchem sięgnął po tubkę.

Jednak lepiej pachnieć jak facet, niż mieć ulizaną fryzurę, więc zdecydowałam się na przeprosiny. Straszenie, farbowanie i obcinanie włosów były jedynym zewnętrznym przejawem mojej nieskrywanej odrazy do reguł. To wszystko, co miałam. Nawet jeśli oficjalnie granatowoczarne włosy nie kolidowały z prawem. Jeszcze.

– Wiesz, mógłbym ci pokazać, jak je fajniej ułożyć. – Wlepiął wzrok w tubkę, jakby była najbardziej fascynującą rzeczą na ziemi.

– Co? Moje włosy? – Obserwowałam jego długie palce, bawiące się zakrętką. Przyłapał mnie na tym i uniósł brwi. Wzruszyłam ramionami, jakby mnie wcale ten żel nie interesował. Ale Jag nie dał się nabrać.

Kazał mi uklęknąć i patrzeć w zawieszony na ścianie obłamek lustra. Potem stanął za mną na łóżku. Jego oddech łaskotał mnie w kark, ręce zastygły tuż nad moimi włosami, niemal muskając opuszkami palców skórę na głowie.

Usłyszałam w myślach głośne syknięcie. *Nie pozwól, żeby cię dotknął!* Słowa zabrzmiały rodzicielsko, rozkazująco.

Celowo ani drgnęłam. Prawie nie oddychałam. Ten-Od-Myślenia nie mógł mnie zmusić, żebym jeszcze kiedykolwiek stosowała się do reguł. Czekałam.

Jag wahał się. Napotkałam jego spojrzenie i oboje wzięliśmy

głęboki oddech.

A potem jego palce dotknęły mojej głowy. Aż podskoczyłam.

– To jest zimne!

Skupiony, układał mi fryzurę w najeżone szpice. Na jego czole pojawiła się mała zmarszczka. Kiedy skończył, jeszcze przez chwilę trzymał palce w moich włosach, nie podnosząc wzroku.

– Gotowe? – Włosy wyglądały lepiej niż kiedykolwiek.

Jag zeskoczył z łóżka i wytarł dłonie we własną czuprynę, a potem w spodnie.

– Ślicznie wyglądasz.

– Więzienne ciuchy i dwuminutowy prysznic w lodowatej wodzie.

Chyba żartujesz.

Wzruszył ramionami. Coś kryło się za jego charakterystycznymi gestami, ale się nie zdradzał. Rozścieliłam łóżko i położyłam się.

– Chcę się zdrzemnąć. Ty możesz je zająć w nocy.

– Super. – Usadowiwszy się na moim kocu i poduszce, sięgnął po notes, który nadal leżał na podłodze, tam gdzie upadł.

Zapadając w sen, usiłowałam pozbyć się wspomnienia dotyku rąk Jaga i widoku jego równych, białych zębów.

Bez skutku.

Nie miewam snów. A przynajmniej dawniej nie miewałam. Ale teraz moja siostra szła obok mnie, a jej zielone oczy błyszczały, gdy słuchała, co właśnie mówiłam. Zawsze rozumiała moje żarty, tak jak ja uwielbiałam oglądać jej nowe wynalazki. Miodowozłociste włosy opadły Tyson na ramię, kiedy pochyliła się nad brzegiem wody.

– Udało się – rzekła.

– Co?

Przysiadła na piętach i coś chwyciła.

– Widziałam to we śnie. Zwiększa produkcję alg. – Trzymała jakieś urządzenie na odległość ramienia, jakby mogło ją ugryźć. Cień przemknął jej po twarzy. W końcu wrzuciła znalezisko z powrotem do jeziora. – Nie mów nikomu, dobrze? – Wstała i wytarła dłonie o dzinsy.

– Nie mówić czego? – zapytałam.

Jej śmiech wypełnił mnie radością. Próbowałam go zatrzymać, bo wiedziałam, że Ty odeszła. Ale odpłynął i zastąpił go inny głos.

Naszej matki. Obwiniający mnie o śmierć siostry. Zawsze winiła mnie za wszystko.

– Vi? – Jag wdarł się w moje półświadome wspomnienia. Otworzyłam oczy i ujrzałam go tuż przed sobą.

Obraz Ty zbladł, za to pojawił się gniew, że ją straciłam. Znowu.

Szarpnęłam się do tyłu.

– Dlaczego sterczysz mi przed nosem? Odsunął się, a ja podciągnęłam koc aż pod brodę.

– Rzuciałaś się i krzyczałaś – mruknął.

Miałam nadzieję, że nie gadałam czegoś żenującego ani nie ujawniłam tego, co chciałam przed nim ukryć – czyli mniej więcej wszystkiego.

Jag wyciągnął rękę, żeby mnie dotknąć, ale się powstrzymał.

– Wołałaś „Ty”. Kto to taki?

– Nikt – warknęłam, siadając. Siostra przypomniła mi o szczęśliwszych czasach. O życiu, którego nie mogłam odzyskać. Odrzuciłam kopniakiem koc i wstałam. Musiałam uciec z tej celi, ale nie było dokąd iść.

– Przepraszam, ja tylko...

– Powiedziałam, że nikt. Nie chcę o tym gadać. – Gniewnie się w niego wpatrywałam, dopóki nie opadł na zamkniętą klapę sedesu.

– A ja powiedziałem: przepraszam. – W jego oczach pojawiło się napięcie. Wyciągnął swój notes. – Napisałem coś. Chcę, żebyś to przeczytała i dostarczyła mojemu przyjacielowi w Złych Ziemiach.

Zignorowałam go. Cella wydawała mi się o wiele mniejsza niż jeszcze kilka godzin temu. Mury dusiły mnie, coraz bardziej napierając. Jedna ze ścian drgnęła i przesunęła się odrobinę. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby była w ten sposób zaprogramowana – kontrolna taktyka, żeby pomieszać mi w głowie.

Mogłam wyciągnąć rękę i wziąć list, nie robiąc nawet kroku. Jag potrząsnął notatnikiem. Zaszeleściły kartki. Ten dźwięk zagrał mi na nerwach.

– Nie chcę być twoim posłańcem – oznajmiłam.

– Przestań mnie atakować. Musimy mieszkać tu razem.

– E tam, musimy. – Może gdybym sprawiała wystarczająco dużo problemów, dostałabym własną celę? Czy nie tego właśnie chcieli? Więcej kłopotów?

Odwróciłam się i zaczęłam walić w kraty.

– Wypuście mnie! Muszę wyjść!

Korytarzem nadciągnął z turkotem Mechan w towarzystwie strażnika. Zanim wspólnie odprowadzili mnie do łazienki, zostałam skuta kajdankami. Długo szorowałam ręce w możliwie najgorętszej wodzie, z użyciem trzech porcji śmierdzącego więziennego mydła. Wreszcie plastik zaczął wiotczeć, a ja z trudem rozdzieliłam nadgarstki. Proszę, proszę pęknij.

Kiedy tylko to pomyślałam, technika poraziła mnie elektrycznością. Wstrząs rozszedł się falami aż po ramiona. Stłumiłam

krzyk. Wsadziłam ręce pod kran i szarpnęłam mocniej. Przy większej ilości mydła kajdanki łatwiej się przesunęły. Cienkie elektrody zdawały się rozciągać od wysokiej temperatury.

Ktoś załomotał do drzwi. Łzy spływały po moich policzkach. Byłam już tak blisko! Wyobraziłam sobie rozerwane kajdanki, leżące luzem w umywalce.

Metalowe, wrzynające się w nadgarstki włókna pękły, tryskając mi w twarz fontanną gorącej wody. Z rąk kapłała krew. Pospiesznie przycisnęłam do nich hydroosuszacze. Ale hydroosuszacze pomyślane są w ten sposób, żeby wchłaniać wodę do recyklingu, więc krew w styczności z nimi tylko krzepła. Kilka kropel plusnęło na blat i rozprysło się na nim.

– Chwileczkę! – zawołałam.

Dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam, pokonane urządzenie opadło na dno umywalki. Cała się trzęsąc, zgarnęłam kajdanki do kubła na śmieci i naprędce wytarłam nadgarstki o wewnętrzną stronę koszuli. Kiedy przestały krwawić, spłotłam palce przed sobą i kopniakiem otworzyłam drzwi.

Tuż koło wyjścia czekał Mechan, ale strażnik stał w głębi korytarza, gawędząc z drugim mężczyzną – łysym Zielonym, który był na przesłuchaniu. Teraz już nie mogło się udać. Nie przy Łysolu, zdolnym czytać w moich myślach.

Robot poturkotał w stronę celi, jednak zahamował koło rozmawiających. Minęłam ich, nie rozglądając się, skupiona na stawianiu kroku za krokiem i powtarzaniu w myśli, że nie robię niczego złego.

Zatrzymałam się przed celą. Powietrze wydawało się zbyt gęste, by napęłnić płuca. Gadajcie sobie, pomyślałam. Ja zaczekam.

Korytarzem niósł się szmer głosu Łysola. Odprężyłam się na tyle, żeby złapać oddech.

Jag nadal siedział na zamkniętej klapie sedesu i ścisnął w rękach notatnik.

– Hej – syknęłam. – Jak mam się stąd wydostać? – Przebierałam palcami za kratą, pokazując mu, że się uwolniłam.

Oczy Jaga rozszerzyły się ze zdumienia. Upuścił notes.

– Jakim cudem...?

Warknęłam. We Violomowie oznacza to: „Serio? Nie mam czasu na wyjaśnienia”.

Całe szczęście, Jag rozumiał Violomowę. Zerknął na strażnika, który nadal rozmawiał z Łysolem.

– W dół tymi schodami przy końcu korytarza. Oddział C nie ma więźniów. Ani straży. – Oczy lśniły mu w taki sam sposób jak na zdjęciach. Jakby pod wpływem ekscytacji. Przez krótką chwilę jego palce dotykały moich. Potem pobiegłam.

Przemknęłam schodami na dół tak szybko, jakby były ruchome. Moje miękkie tenisówki poruszały się prawie bezgłośnie. Przede mną majaczył oddział C: ciemny i pusty. Kiedy znalazłam się w połowie pierwszego korytarza, na stopniach za mną zadudniły kroki. Dopadłam do końca rzędu cel, przystanęłam i oparta o ścianę, usiłowałam opanować narastającą panikę.

Co okazało się prawie niemożliwe.

Byłam w stanie ukryć się przed ludźmi. Większy problem stanowiły Mechany, które wyczuwają ciepło ciała.

Gdy strażnicy pobiegli dalej na dół, kilka razy głęboko wciągnęłam powietrze i ruszyłam na poszukiwanie pryszniców. Znajdowały się w okrągłym pomieszczeniu z dwudziestoma natryskami, podobnie jak w oddziale D. W każdym prysznicu odkręciłam zimną wodę. Rozpryskująca się fontanna sprawiła, że zaparło mi dech. Trzęsłam się na myśl o lodowatych torturach. Ale żeby zlokalizować istotę ludzką, Mechany muszą wykryć wyraźną różnicę temperatur, więc do wyboru miałam zafundować sobie chłodzenie albo dać się złapać. A poza tym nie wiedziałam, dokąd dalej uciekać i potrzebowałam chwili, żeby zebrać myśli.

Znalazłam sobie miejsce pośrodku łazienki, gdzie pryskało najmniej wody. Powietrze wokół ziębiło gardło i płuca. Wkrótce zaczęłam się trząść i szcząć zębami.

Mijały minuty. A może godziny. Nie liczyłam. Własna skóra wydawała mi się oślizgła, a wnętrzności zmrożone lodowcem.

I oczywiście Mechany znalazły mnie, kiedy nadal usiłowałam zaplanować kolejny krok mojej żalosalnej ucieczki. Skostniałymi

palcami zdołałam wyłączyć pierwsze cztery roboty. Od razu zawyły ich piskliwe alarmy, niosąc się daleko echem i zdradzając całemu światu moją kryjówkę.

Nie mogłam uwierzyć, że bez celu zadałam sobie takie tortury.

Tyson zniknęła na tydzień przed moimi dwunastymi urodzinami. Mimo że miała zaledwie czternaście lat, zaproponowano jej zadania wspomagające wodnych rangersów, gdzieś na pograniczu Dobrych Ziemi. Nasza matka była taka uszczęśliwiona, jakby każdy musiał się ekscytować „przedterminową pracą z cudownymi” wodnymi rangersami.

I zapewne się nie myliła. W naszym społeczeństwie rangersi zajmują najwyższą pozycję. Mamy ich różne rodzaje, ale wszyscy są najlepsi, superinteligentni, powszechnie lubiani. Ja nigdy nie mogłabym zostać rangerem. To gatunek od początku przeznaczony do wielkości, rozumiecie? Jako dzieci bez najmniejszego trudu dostają najlepsze stopnie. Popularni, uwielbiani przez rodziców. Nie, rangersi to nie dla mnie. Ale Ty? Tak, Ty była urodzonym wodnym rangerem.

I kochała to.

W ciągu kilku miesięcy przed zniknięciem Tyson ulepszyła urządzenie do oczyszczania wody na tyle, że przyjechał jakiś człowiek z Instytutu. Miał ciemną skórę, ale i tak nosił ochronną odzież i szerokoskrzydły kapelusz. Mówił z akcentem, a mimo to każde słowo zapisało się w mojej pamięci.

Melodyjnym głosem mężczyzna opowiadał, jaką wspaniałą córką jest Ty i jak nasza matka powinna być z niej dumna i hej, może Zieloni zabiorą ją ze szkoły kilka lat wcześniej. Mama z uwagą słuchała, potakiwała i zgadzała się – dopóki nie doszedł do tego fragmentu o zabraniu Tyson.

– Potrzebuję mojej córki – oznajmiła z nagle skamieniałym wyrazem twarzy. – Straciłam męża i nie mam nikogo więcej.

Tak się składa, że akurat siedziałam w pokoju, kiedy

to powiedziała. Drań zerknął na mnie.

– Przecież ma pani drugą córkę.

Na tym etapie życia nie zrobiłam jeszcze niczego złego. Chodziłam do szkoły, spędzałam czas z Zennem, puszczałam kaczki nad jeziorem – okej, to jest wbrew zasadom, ale wszyscy tak się bawią.

– Potrzebuję obu moich córek.

Mężczyzna przemówił do starego urządzenia, które nagrywało jego głos, żeby odsłuchać później i wcisnął mamie do ręki jakiś list. Nawet w wieku jedenastu lat wiedziałam, że papier musi zawierać coś ogromnie ważnego. Zwykle przesyłaliśmy informacje za pomocą e-commów.

Matka przeczytała pismo, kiedy nieznajomy wyszedł. Łzy spływały jej po policzkach. Następnego dnia przyszli po Ty.

Odprowadzili mnie strażnicy-ludzie (aż sześciu), nie pozwalając nawet się wysuszyć. Cienki więzienny strój oblepiał moje ciało. Byłam przerażona, że prześwituje. Rozważałam, jak mogłabym się zasłonić na wypadek, gdyby Jag próbował podglądać. W co nie wątpiłam. W końcu to zły chłopak. Mama mówiła, że jedyne, czego oni chcą, to seks. Nie wiedziałam, czy miała rację, ale nie zamierzałam ryzykować.

Jeden z wyższych strażników, zanim wepchnął mnie z powrotem do celi, zakuł mi ręce w technokajdanki. Podwójne. Technika sprawiła, że mroczki zawirowały mi przed oczami.

– Hej! – zawołałam. – Jak mam z tym cokolwiek robić?

– Nie wiem, dziewczuszko. Coś wykombinuj. – Obrzuciwszy mnie gniewnym spojrzeniem, zawrócił do swoich kumpli.

– Dzwoni mi w głowie od czasu awarii tych cholernych Mechanów – powiedział inny strażnik, kiedy całą grupą oddalali się, powłócząc nogami.

– Mnie też. Ile zajęło, żeby ją złapać? Thane będzie chciał dokładnego...

Jag przycisnął twarz do krat, ale za strażnikami już zatrzasnęły się drzwi, tłumiąc słowa.

– Co ty wyprawiasz? – zapytałam.

Nie odpowiedział. Schylił się i podniósł książkę, która mu upadła. Zaburczało mi w brzuchu. Rozejrzałam się za dwiema tacami z jedzeniem, które widziałam tu przed moją żalosną próbą ucieczki. Ale tace znikły.

– Świetnie – mruknęłam. Poczłapałam do sedesu i usiadłam na klapie. Upewniłam się, czy mokry uniform nie prześwituje. Szczęśliwie okazało się, że nie.

– Vi, w życiu nie spotkałem nikogo, kto potrafi pozbyć się technokajdanek. To było fantastyczne. – Posłał mi jeden z tych swoich zwycięskich uśmiechów.

– Złapali mnie, prawda? – A poza tym nie miałam pojęcia, jakim cudem rozwaliałam to urządzenie. Mydło i woda nie powinny wystarczać. Po skórze przebiegły mi zimne ciarki, jakby ktoś mnie obserwował. Zerknęłam dookoła, przez kraty, na sufit. Jednak w pobliżu był tylko Jag.

– Tak, ale technokajdanki! – Przysunął się o krok, chętny do wysłuchania mojej opowieści. – I uciekłaś na jakieś dwie godziny.

Otrząsnęłam się z nieprzyjemnego uczucia, koncentrując całą uwagę na twarzy Jaga.

– Tak, a poza tym ociekam wodą. I zamarzam. Ile jeszcze do obiadu?

– Parę godzin. Jęknęłam rozczarowana.

– Umieram z głodu.

– Przykro mi. Zabrali twoją porcję, nie pytając mnie o zgodę.

– Jasne, że zabrali. – Wkurzała mnie jego wyluzowana poza. Czy w ogóle się nie zastanawiał, dlaczego wsadzili nas razem? Czemu jeszcze tu jesteśmy? Co oni planują, że potrzebny im tydzień?

Obojętny na mój opryskliwy ton, wzruszył ramionami i usiadł na łóżku z tą swoją piekielną lekturą.

Kiedy wyschłam, dołączyłam do niego, opierając się plecami o gładką ścianę. Jag odłożył książkę i popatrzył na mnie, co wzięłam za jawne zaproszenie do kolejnych pytań.

– Skąd wiedziałeś o oddziale C?

– Nie każdego dnia czytam i drzemię. Przeprowadziłem... pewne badania.

– To znaczy, że próbowałeś uciec.

– Nawet kilka razy. – Przyglądał mi się uważnie, jakbym miała coś z tą informacją zrobić. Ale nie wiedziałam co.

– Kiedy przynieśli mi książki, przestałem utrudniać im życie – dodał.

– Ach, więc tyle wystarczy, żeby utrzymać cię w ryzach. Ołówek i papier. Ekstra.

Odniosłam wrażenie, że chciał się rozeźmiać. Jednak zachował powagę.

– Podejmuję własne decyzje – oznajmił, jakbym nie wiedziała.

– Ja też – odcięłam się.

Pochylił się bardzo blisko. Jego spojrzenie co chwila śmigało ku moim oczom.

– Właśnie dlatego potrzebny im tydzień do namysłu, co z nami zrobić. – W głosie Jaga zabrzmiało naleganie, które słyszałam tylko u Zenna. Myśl o Zennie poruszyła moje serce i przypomniała, że Jag nie jest moją parą, więc nie wolno mi się do niego za bardzo przywiązywać. Odsunęłam się i zmieniłam temat rozmowy.

– Opowiedz mi o swojej rodzinie – poprosiłam odrobinę napiętym tonem.

Usta zacisnęły mu się na chwilę. Potem zaczął mówić o swoim starszym bracie. Wszystko, co wiedział, poznał dzięki Pace'owi. Każde wejście do Dobrych Ziemi, każde wyjście, każdą zmianę warty, każde urządzenie, którego używali komandos. Kojący dźwięk jego głosu sprawił, że zaciążyły mi powieki.

Kiedy się obudziłam, ręka Jaga obejmowała mnie, a moja głowa spoczywała na jego piersi, unoszącej się i opadającej w równomiernym rytmie, jakby spał. Podobał mi się dotyk, który czułam na ramieniu. Nie poruszając się, zamknęłam znowu oczy i próbowałam uciszyć krzyk w głowie. Zostałaś wyswatana z Zennem!

Jakby to było jeszcze aktualne.

Zapach obiadu wyprzedził pojawienie się wózka z jedzeniem. Zerwałam się na równe nogi i przycisnęłam czoło do krat. Strażnik poruszał się w takim tempie, że równie dobrze mógłby iść tyłem. Wykręcałam obolałe nadgarstki w technokajdankach, pragnąc

go pośpieszyć.

Jag głośno ziewnął i przyłączył się do mnie.

– Co to jest? – zapytałam, czując, jak ślina napływa mi do ust. W tamtej chwili zjadłabym wszystko, nawet gdyby zajeżdżało gotowaną kapustą, którą wiecznie podawała moja matka.

– Wygląda na to, że dziś wieczór mamy szynkę.

– Szynkę?

– Tak, takie mięso.

– Aha. – Nie byłam całkiem pewna, co to jest mięso, ale nie chciałam się do tego przyznać. Dorastałam na kartoflach, marchewce, fasoli, tych wszystkich warzywach, które mama uprawiała w ogrodzie. Naszą jarską dietę uzupełnialiśmy pakiecikami witamin i protein, wymieszanych z wodą.

Strażnik rozkuł mnie, rzucając paskudne, gniewne spojrzenia. Zdjęcie kajdanek przyniosło natychmiastową ulgę moim spuchniętym nadgarstkom. Jednak ledwie zauważyłam brzydką wysypkę, którą były pokryte, bo strażnik wepchnął przez otwór tacę z jedzeniem.

Czymkolwiek jest ta szynka, okazała się pyszna. Kartofle i marchew wydawały mi się ciężkie i łykowate, jakby hodowano je w hydroglebie. A musujący napój już został z czymś wymieszany. Zdecydowanie były to witaminy, ale o smaku znacznie intensywniejszym niż te, które dostawałam w domu. Może dominował specyficzny aromat wody. I bynajmniej nie smakowity. Raczej metaliczny.

Połknęłam wszystko w trzy minuty. Jag spojrział na moją pustą tacę i roześmiał się. Ten dźwięk sprawił, że poczułam się szczęśliwa. Dawał wewnętrzny spokój, którego wcześniej nie doświadczałam. Nawet z Zennem.

Myśl o Zennie wywołała bolesne ukłucie samotności.

i wyrzuty sumienia. Przez chwilę wyobraziłam go sobie tak, jak wyglądał w parku. Żartobliwy uśmiech, martwe spojrzenie. Odepchnęłam wspomnienia i obserwowałam, jak Jag pałaszuje. Jego opalone ręce i długie smukłe palce poruszały się metodycznie. Każdy skrawek brązowej skóry aż błyszczał. Słońce ponoć wysysa z człowieka życie, wywołuje różne choroby, a jednak Jag sprawiał

wrażenie absolutnie zdrowego. Promieniował życiem bardziej niż ktokolwiek, kogo znałam.

– Dorastałeś jako Zły? – zapytałam, kiedy zawinął swój chleb w serwetkę.

– Tak. Ale to nie znaczy, że naprawdę jestem zły, rozumiesz. Po prostu tak nas nazywacie. W gruncie rzeczy jesteśmy tacy sami jak wy.

Przez długi czasu rozważałam to, co powiedział. Nadal o tym myślałam, kiedy odłożył tacę z resztkami kolacji na półkę i pokazał mi w notesie, jak grać w gry słowne. I gdy dawno już zasnął na podłodze – znowu uprzejmie odstąpiwszy mi łóżko – wątpliwości, czy faktycznie jest zły, kłębiły się w mojej głowie.

A gdybym to ja urodziła się w Złych Ziemiach? Czy byłabym zupełnie inną osobą? Złym człowiekiem, zamiast dobrym? Kim naprawdę jestem? Dobrym czy Złym? Można być i tym, i tym? Czy to w ogóle ma znaczenie?

Oczywiście, że ma, szepnął głos. Nawet bardzo duże.

Zignorowałam te słowa, chociaż brzmiały prawdziwie. Natrętny głos rozpałił w moich wnętrznościach ogień. Nienawidziłam grzebania mi w mózgu. Nienawidziłam braku prywatności. Nawet gorzej – nienawidziłam tego, że czasami zgadzałam się z Tych-Od-Myślenia.

Nigdy nie podejmowałam rozmowy z głosami, bo to mogłoby je tylko zachęcić do ciągłych inwazji. Ale, hej, przecież ja łamię zasady, nawet takie, które ustanawiam sama dla siebie. Czego ode mnie chcesz? – zapytałam, uznawszy, że z pewnością czegoś chce. Czegoś, co wymaga tygodniowego planowania.

Oczywiście, nikt nie odpowiedział.

Wyjadę do Złych Ziem, pomyślałam. Bez problemów, bez walki. Obiecuję.

Ale wizja życia w Złych Ziemiach przerażała mnie, ponieważ miałam już nigdy nie zobaczyć narzeczonego. Serce zabębniło mi szybciej, gardło się zacisnęło, aż do utraty tchu. I to nie tylko z powodu Zenna. Nie wierzyłam, by oni naprawdę chcieli mnie wypuścić. Nie po moim spektakularnym pokazie nieposłuszeństwa.

Żeby odzyskać spokój, przekręciłam się i obserwowałam śpiącego Jaga. Mój puls zwolnił, powietrze stało się lżejsze. Jag miał rację – nie był zły.

Był doskonały.

Jakiś czas później Jag mnie szturchnął. Stęknęłam i przetoczyłam się z boku na bok, prosto na betonową podłogę.

– Au! – jęknęłam, żałując, że nie mogę rozetrzeć sobie ramienia. Zanim poszłam spać, znów założyli mi kajdanki. Nie chcieli, żebym nocą „próbowała czegoś złego”. Barki mnie paliły, bolesne ukłucia techniki przesywały ręce.

– Mamy następne przesłuchanie – powiedział Jag, puszczając zimną wodę do umywalki. Zwilżył lekko palce i przeciągnął nimi po włosach, żeby poprawić sterczące kolce.

Całkiem zaschło mi w gardle. Byłam przyzwyczajona do pakowania się w kłopoty. Ale on? Nie chciałam ściągać na niego dodatkowych problemów.

– Mnie też – poprosiłam. Znowu zamoczył ręce i już miał mnie uczesać, kiedy zobaczył moje nadgarstki.

Chłodnymi palcami przesunął wzdłuż kajdanek.

– Technowysypka – rzucił znaczącym tonem, jakby wcale się nie dziwił, że mnie poparzyły. Kiedy skończył z moimi włosami, obróciłam się. – Super. – Musnął mi dłonią policzek. – Masz genialną fryzurę.

– A ty jesteś maniakiem włosów – stwierdziłam, odsuwając się i uważnie oglądając w lustrze nastroszoną czuprynę. Niemal oczekiwałam, że na swojej twarzy zobaczę jakiś ślad w miejscu, gdzie mnie pogłaskał. – Tutaj większość ludzi nawet ich nie zauważa z powodu naszych kapeluszy. – Właśnie ,w ten sposób przez prawie dwa tygodnie zdołałam ukrywać przed mamą swoją nową fryzurę. Zenn nic nie powiedział, tylko przeczesał mi palcami krótkie kosmyki, kiedy wyjaśniłam, z jakiego powodu się ostrzygłam.

– W Złych Ziemiach nie ma żadnych kapeluszy – powiedział Jag. – Tam włosy dodają prestiżu.

– Co to znaczy?

– Twoimi wszyscy się zachwyca, bo wyglądasz jak prawdziwy

czarny charakter, rozumiesz? Tyle że będziesz czarną charakterką. – Przysunął się do mnie. Przez cienkie więzienne ubranie czułam ciepło jego ciała. W moim pulsował nowy ładunek energii, uczucie bliskości tak silne, tak przemożne, że o mało nie zapytałam Jaga, czy przypadkiem nie znaliśmy się wcześniej. Ale to absurd. Nigdy przedtem nie spotkałam złego chłopaka.

– Nie chcę być zła – zaprotestowałam.

– Za późno, Vi. Jesteś gorsza niż ja. Gwałtownie się odwróciłam, objając się o niego ramieniem.

– Odszczekaj to. Zaczerwieniony, cofnął się.

– Nie jestem zła – oświadczyłam.

– Dobra, w porządku. Nie jesteś zła. – Pilnie wpatrywał się w cementową podłogę. – Ale faktycznie to jesteś – dodał cicho. Gdybym nie była podwójnie skuta, mogłabym odwinąć prosto w ten jego nos przystojniaka. Jednak właśnie wtedy pojawiło się trzech Mechanów i nie mniej niż tuzin solidnie uzbrojonych strażników, więc pomyślałam, że to nieodpowiednia chwila.

Roboty otoczyły mnie – jeden z przodu i po jednym z każdego boku. Wszystkie należały do modelu wysokiej klasy, pozbawionego wyłączników, więc bez pomocy dekodera nie mogłam ich obezwładnić.

Jag szedł przede mną. Nie był skuty kajdankami, a eskortowało go zaledwie dwóch strażników. Pozostali tłoczyli się przy mnie z odbezpieczonymi paralizatorami, gotowi otworzyć ogień, gdybym choć kichnęła. Jakby piętnastoletnia wodna dziewczyna mogła pokonać dziesięciu dorosłych mężczyzn, muskularnych i uzbrojonych.

Nasz pochód przemaszerował wyludnionymi korytarzami. Nie czekaliśmy, aż Zieloni wywołają nazwiska. Od razu wprowadzono nas do lśniącej sali rozpraw. Również pustej.

Staliśmy z Jagiem razem, bez Mech-repów. Jestem pewna, że to było pogwałcenie moich praw. Och, chwileczkę, przecież Dobrzy nie mają praw. Podłączamy się do transmisji, wykonujemy nakazane prace, poślubiamy tych, których nam wybierają. W zamian za to mamy zapewnione dobre życie. A w każdym razie oni chcą, żebyśmy tak sądzili.

Ci-Od-Myślenia musieli mi zrobić pranie mózgu, skoro wierzyłam, że Złe Ziemie są właśnie takie – złe. Po rozmowie z Jagiem nie byłam już tego pewna. Co więcej, zastanawiałam się, czy mój tata nie został wygnany. Złe Ziemie nie mogły być takie okropne, skoro on tam mieszkał.

W pobliżu przez chwilę kręcił się jakiś doktor, wlepiając wzrok w moje nadgarstki. Nie wyglądał na zdziwionego. Zapisał coś na elektrotabczycie, po czym wyszedł.

Chwilę później w drzwiach zaroił się Zieloni, niczym witaminy musujące w wodzie. Wśród gwaru pokazywali sobie coś na ekranach. Jako ostatni wkroczył środkowy sędzia i zajął swoje poprzednie miejsce. Nawet z przekrwionymi oczami i niedogolonym podbródkiem emanował chłodem.

– Zdejmijcie jej kajdanki – zarządził. Strażnik, który ruszył, żeby wykonać rozkaz, nie wyglądał na uszczęśliwionego. Westchnęłam z ulgą, kiedy mnie uwolnił.

– Violet, co mamy z tobą zrobić?

– Zrobić, sir? – zapytałam niewinnie.

Kilku Zielonych wymieniło spojrzenia i uniosło brwi, jakby chcieli powiedzieć: A nie mówiliśmy, co za obrzydliwe zachowanie.

Środkowy zaczerpnął tchu.

– Zgodnie z rozkazami Thane'a Myersa stawicie się przed dyrektoriatem.

Nie drgnęła mi powieka. Nie poruszyłam się. Nie zrozumiałam.

– Kogo? – zapytałam w tej samej chwili, gdy dokończył:

– Obydwojgu wam zostaną wszczepione lokalizatory. Nieustannie kontrolowani. Oznakowani na zawsze.

W Dobrych Ziemiach to naprawdę, naprawdę źle. Każdy skaner, każdy czytnik wychwyci lokalizator. Będą wyły alarmy. Wszyscy dowiedzą się, kim jestem. Nieudacznikiem. Przestępczynią.

Moja przyszłość z Zennem rozplywała się w sinej dali, gdzie prawie nie mogłam już jej dostrzec.

Stojący tuż koło mnie Jag zeszywniał.

– Nigdy w życiu. Nie tkniecie mnie żadnym parszywym wynalazkiem Dobrych.

– Nie masz wyboru, Barque. Przybyłeś tu nielegalnie, uprawiałeś kontrabandę techniki i próbowałeś kraść nasze technologie.

– Chciałem wyjechać sześć tygodni temu.

– Sześć tygodni? – szepnęłam, ale Jag mnie zignorował. Zimne, niebieskie oczy stały się wręcz lodowate. Miałam wrażenie, jakby zwarł się ze środkowym Zielonym w bezgłośnej walce na siłę woli.

– Możliwe. Ale wróciłbyś, żeby znowu robić szum wokół tych twoich Złych Ziemi. Teraz, kiedy jesteście razem, nie mamy innego wyboru.

Moją uwagę przykuło słowo „razem”. Co Zielony chciał przez to powiedzieć? Mówił o nas jak o parze. Czy to znaczy, że działaliśmy tak, jak chciał? Czy wręcz na odwrót?

– Prędzej umrę – oznajmił Jag.

– Nie – szepnęłam. Naprawdę mogli to zrobić. Nie mieli żadnych skrupułów w związku z zabijaniem. Coś o tym wiedziałam: Ty nie żyła.

– Tym razem dyrektoriat nie przyjmie odmowy. Przykro mi – oznajmił środkowy sędzia, ale nie zabrzmiało to wcale przeproszająco. – Thane zezwolił na przetransportowanie was pojutrze. – Skupił się na mnie. Myślał, że nie jestem warta tyle zachodu. Byłoby lepiej po prostu uwolnić się ode mnie tak szybko, jak to możliwe. Czasami oczy nie potrafią wszystkiego ukryć. – Sprawa zakończona.

Zostaliśmy zagnani na górę i kiedy znaleźliśmy się w naszej celi, Jag zrobił najdziwniejszą rzecz na świecie. Padł na łóżko i się rozpłakał.

Nie uważałam go za mazgaja. Zazwyczaj miał takie radosne, pełne życia oczy, jakby kochał kłopoty.

Ty była podobna, tyle że ona kochała wodę i ryzyko bycia sobą – odnajdywania siebie. Tego dnia, kiedy ci dranie przyszli ją zabrać, nasza matka próbowała ich powstrzymać. Ale jeden strzał z paralizatora sprawił, że przez resztę tygodnia leżała pogrążona we śnie. Przespała nawet moje urodziny. Nie żeby zamierzała je świętować, ale jednak.

Uściskałam Ty, a ona otarła mi łzy i obiecała nas odwiedzać. Szepnęła, że znów się zobaczymy i będziemy spacerować wokół jeziora i śmiać się z tego, że przy pożegnaniu beczałyśmy jak dzidzie. Tylko raz przyjechała do domu. Potem ciemnoskóry urzędnik administracji państwowej oznajmił nam, że zginęła, pracując nad jakąś technologią, która zadziałała na opak.

Wobec mnie musiał użyć swoich metod wymuszania uległości, bo inaczej mogłabym go zabić. Właśnie wówczas zaczęły się moje prawdziwe kłopoty.

Patrząc na drgające ramiona Jaga, poczułam jednocześnie wściekłość i rozpacz. Tak jak wtedy, kiedy odeszła Ty. W końcu uklękłam obok, położyłam mu dłoń na plecach i poklepałam niezdarnie w nadziei, że naprawdę tak się robi, gdy ktoś wypłakuje sobie oczy.

– Hej. – Klap, klap. – Wszystko będzie dobrze. Pryśniemy, zanim nas oznaczą. – Klap, klap, klap. Czułam się idiotycznie.

Jag podniósł się i otarł ręką twarz. Omijał mnie wzrokiem.

– Naprawdę potrafisz nas stąd wyciągnąć? Oczywiście, że nie potrafiłam. Nie pamiętał mojej ostatniej żalostnej próby? Nawet nie dałam rady wydostać się z łazienki. Ale te piękne oczy, już nie takie

chłodne, idealnie wygięty łuk warg...

Powiedziałabym cokolwiek, byle tylko przestał się martwić.

– Pewnie – skłamałam. – Uciekniemy dziś wieczorem.

Objął mnie i przyciągnął do siebie, na łóżko. Chłopięcy śmiech wypełnił moją duszę. Niczego nie chciałam bardziej, niż czuć, jak te dźwięki niosą się echem w piersi Jaga. Więc trzymałam policzek wtulony w jego mostek, dopóki nie przebrzmiał ostatni pogłos. Dopiero wtedy, przestraszona uściskiem i własną reakcją, cofnęłam się gwałtownie, lądując na podłodze. Nie miałam odwagi spojrzeć Jagowi w oczy.

Ostrzegałem cię, żebyś go nie dotykała.

Głos sprawił, że wzdrygnęłam się i uderzyłam łokciem o ścianę za plecami. Po raz kolejny otwarcie złamałam prawo. Bo byłam spragniona ludzkiego dotyku. Zawsze byłam. Otrząsnęłam się ze zdradzieckich myśli.

– Przepraszam – powiedział Jag, przesuwając palcami po moim ramieniu. – Nie chciałem cię wkurzyć.

– Wszystko w porządku. Nie... nie jestem pewna.

– Boisz się mnie? – Przechylił się przez krawędź łóżka.

– Jasne, że nie.

Uśmiechnął się. Serce zabiło mi mocniej.

– Super. – To była jego zwykła reakcja. Podobnie jak nawyk wzruszania ramionami.

– Jak to się stało, że jesteś tu od sześciu tygodni?

– Odwyk – odparł zwięźle. – Wciskali mi transmisję, ale nie zakładałem komunikatora. Więc spróbowali konsultacji u jednego z waszych lekarzy od mózgow. Też nic nie pomogło. Nie chcą mnie tutaj, jednak uznali, że to lepsze niż pozwolić mi wrócić do Złych Ziem. Nie sądziłem, że wyślą mnie do Wolności.

– Gdzie leży Wolność?

– Daleko na wschodzie. Vi – zniżył głos do szeptu – nie możemy tam trafić. Bo nigdy już nie wrócimy. Thane... cóż, po prostu nie możemy.

Czekałam na jakieś obszerniejsze wyjaśnienia, ale Jag zamilkł.

– Bo jesteśmy Wolnomyślicielami – powiedziałam, jakbym

stwierdzała fakt. Tak mnie nazwał Łysol podczas pierwszego procesu. To dlatego siedzieliśmy z Jagiem w jednej celi. I dlatego czułam z nim tak silną więź. – Czemu tam nie przetrwamy?

W przyćmionym sztucznym świetle dostrzegłam w jego oczach błysk strachu.

– W Wolności ma siedzibę dyrektoriat.

– Więc co?

– To dobrzy ludzie – odparł.

– Na to wygląda...

– Na to wygląda, że naprawdę dobrzy – powtórzył Jag. Co oznaczało, że dla mnie będą naprawdę źli.

– Kim jest Thane Myers?

– Nikim. – Kłamstwo wybrzmiewało w każdej sylabie.

– On wszystko kontroluje – szepnęłam. Straż. Zielonych. Może nawet Jaga. Słyszałam jego nazwisko wystarczająco często, żeby to wiedzieć.

– Daj spokój Thane'owi – powiedział Jag dziwnie przejmującym głosem. – Kombinujmy, jak stąd prysnąć.

Odsunęłam się, próbując dociec, co musi zrobić Dobry, żeby wydostać się z więzienia. Po chwili zrozumiałam. Być złym.

Nie uciekliśmy tamtej nocy. Obiecałam, że spróbujemy rano, po prysznicu. Kupiłam sobie trochę czasu, sugerując, że muszę jeszcze coś sprawdzić w łazience. A naprawdę musiałam wymyślić, co na naszym miejscu zrobiłby jakiś czarny charakter.

Tymczasem Jag opowiadał mi o Złych Ziemiach i jak przez trzy lata nie chodził do szkoły. Mówił, że każdy może wybierać sobie strój. Długie rękawy czy krótkie. Błękity, czerwienie czy fiolety. To nie ma znaczenia. I nie trzeba nosić kapelusza, chyba że „hołdując modzie” (nawet nie wiedziałam, co to znaczy). Nie potrafiłam pojąć tego rodzaju swobody. Każdego ranka moja szafa wypluwała parę niebieskich dzinsów i burą koszulę z długimi rękawami.

Według Jaga, Źli w większości czują się szczęśliwi, ponieważ nie znają niczego innego. On znał, bo regularnie bywał w Dobrych Ziemiach. Zetknął się z tutejszą techniką i wiedział, ile Złe Ziemie mogłyby zyskać dzięki naszym systemom oczyszczania i różnym

innym udogodnieniom codziennego życia.

Temu nie mogłam zaprzeczyć. Zresztą byłoby to nieuczciwe. Wyjątek stanowiła sprawa prania mózgów. Z łączami i transmisjami rozstawałam się bez bólu.

Próbowałam sobie uzmysłwić, czy jako Dobry kiedykolwiek czułam się szczęśliwa. Oczywiście, też nie znałam niczego innego – przynajmniej dopóki nie zbuntowałam się przeciw transmisjom. Kiedy powiedziałam o tym Jagowi, odparł:

– To właśnie metoda kontroli, Vi, żebyście myśleli tak a nie inaczej.

Miałam tego pełną świadomość. Ale szufladki i etykiety, z którymi stykasz się przez całe życie, są trudne do odrzucenia. Może po prostu potrzebowałam czegoś nowego, ani dobrego, ani złego. Bo jak dla mnie, Jag wyglądał wystarczająco dobrze – obojętnie, gdzie się urodził. Prawdę mówiąc, był kompletnym przeciwieństwem wszystkiego, czego przez całe lata uczono mnie na temat Złych. Tych dręczonych różnymi przypadłościami ofiar losu, niezasługujących na żadną pomoc, po prostu marnych ludzi.

Nic w Jagu nie pasowało do moich wyobrażeń. Wobec Złych żywiłam wyłącznie negatywne uczucia. Bo winiałam ich za długą nieobecność taty.

Ale teraz... tak, teraz nic nie układało się w logiczną całość.

W końcu Jag wetknął ołówek w spirale na grzbiecie notatnika, który wsunął pod poduszkę. Siedziałam obok niego, wpatrując się przez kraty w korytarz. Jak można się stąd wydostać? Pokonałam zwątpienie, zdecydowana jeszcze się nie poddawać. Wierzyłam, że coś wymyślę.

Jag splótł nasze palce i pochylił się ku mnie. Z mojego ciała uszło całe napięcie. Rozkoszowałam się tym samym nieskrępowanym milczeniem, którego dotąd doświadczałam jedynie w towarzystwie Zenna. Odepchnęłam myśli o Zennie. Napiętnowana i skazana na stawienie się przed dyrektoriatem. Moje dawne życie było właśnie tym – przeszłością. Gdybym tylko nie odczuwała takiej pustki.

– Naprawdę pachniesz jak facet – głos Jaga zabrzmiał miękko w moim uchu. Jego oddech powoli spłynął wzdłuż kręgosłupa. Palce

idealnie wypełniły przestrzeń pomiędzy moimi.

– Och, zamknij się – wykrztusiłam resztką tchu. Ten chłopak z pewnością zauważył, jak na mnie działa. Nie byłam zbyt dobra w maskowaniu się. Dopiero od dwóch dni mieszkaliśmy razem w mikroskopijnej celi, ale czułam z nim więź gdzieś w środku – w miejscu, o którego istnieniu nie wiedziałam, dopóki się nie spotkaliśmy.

Zsunęłam się na podłogę, obcierając boleśnie biodrem o twarde cement. Jag wychylił się przez krawędź łóżka.

– Vi?

– Tak?

– Pomogę ci. – Jego ręka spoczywała na moim ramieniu, kiedy zapadłam w sen.

Chyba po raz pierwszy od wieków mogłabym przespać całą noc, ale terkotanie Mechanów obudziło mnie, zanim zrobiło się jasno. Mimo tych odrażających odgłosów, Jag ani drgnął. Niezwykłe, zważywszy na jego czujność.

Mechany (trzy) odeskortowały mnie do windy (totalnie przestarzałe urządzenie) i zjechaliśmy na poziom pierwszy (dobrze, że przynajmniej poszłam spać w butach). Nie dałabym sobie rady z zejściem, więc przyjąłam to z ulgą. Drzwi windy otworzyły się do pomieszczenia zalanego najbielszym ze światła. Kiedy nasilone techno-szumy zaatakowały moje zmysły, zmrużyłam oczy. Przypominało to ślepienie, bo wewnątrz głowy ktoś siekł mnie ostrym narzędziem.

Upadłam na kolana. Nade mną majaczyły postacie w białych fartuchach. Coś trzasnęło mi w mózgu, ale kiedy zdałam sobie sprawę, co się dzieje, nie mogłam już zareagować. Ze skrępowanymi kostkami i nadgarstkami, przypięta pasami do noszy, zostałam przewieziona pod jeszcze jaśniejsze lampy.

Wszczepiali mi lokalizator.

– Nie ruszaj się – ostrzegła z chirurgicznej maski lekarka. – Jeśli będziesz zachowywać się spokojnie, nawet nie poczujesz. W przeciwnym razie, obiecuję, że zaboli.

Zastygłam bez ruchu, nie z obawy przed kłopotami, ale

wystraszona bólem. Przeklęte transmisje zrobiły ze mnie tchórza, jeszcze zanim skończyłam sześć lat.

Czyjeś zimne dłonie uwolniły moją lewą rękę i czarnym markerem namalowały linię wokół nadgarstka. Tusz wsiąkł w ciało. Ta lekarka była najobrzydliwszą kłamczuchą na świecie. Bo chirurgiczna powłoka wypaliła mi dwucentymetrowy pasek skóry. A to boli.

Zmusiłam się, żeby popatrzeć. Ujrzałam swoje tkanki, ścięgna i kości. Krew nie rozlewała się, tamowana przez hemoutylizator, który jeden z lekarzy nałożył mi na nadgarstek. Krzepła tylko w małe grudki, a doktor strząsał je do płaskiego pojemnika.

Palce w rękawiczkach zatrzasnęły mi na rękę bransoletkę lokalizatora, umocowując ją małym supelkiem przy wystającej kostce nadgarstka. W miejsce skóry miałam migoczące czujniki i długi kod kreskowy.

Wieczna biżuteria z piekła rodem.

– Nikt tego nie zauważy – oznajmiła lekarka. – Tylko nasze urządzenia. Nie chcemy kompletnie zatruć ci życia.

– Za późno – jęknęłam.

Inny doktor zbliżył się z długą igłą. Dosyć tego! Zaczęłam się rzucać, kopać i kłać. Czyjeś ręce przytrzymały mnie. Ktoś znowu założył mi tłumik.

Zacisnęłam powieki i przetoczyłam głowę na bok. W uszach i ustach czułam bicie serca. Igła boleśnie dźgała mnie w nadgarstek. Swędziała odrastająca skóra, pokrywająca lokalizator.

Pięć minut i byłam napiętnowana na zawsze. Zastanawiałam się, za jaką część tej techniki odpowiada mój ojciec. Zapewne za wszystko. Musiał oficjalnie akceptować wszelkie nowe wynalazki, zanim weszły w powszechne użycie.

Kiedy widziałam go po raz ostatni, uśmiechał się. Jednak wewnętrzny smutek wyrysował mu wokół oczu zmarszczki napięcia.

Wcześniej, przez kilka nocy tata chodził do lasu, ale kiedy przyszedł uściskać mnie przed snem, nie miał na sobie kurtki. Jego koszula z długimi rękawami pachniała cebulą, którą mieliśmy na obiad. – Do widzenia, V.

Wtedy nie zwróciłam uwagi, że powiedział „do widzenia”, zamiast

„dobranoc”. Przypomniałam to sobie dopiero następnego ranka, gdy się obudziłam, a jego nie było.

Przeszukałam cały dom w nadziei, że znajdę kurtkę. Spóźniłam się przez to do szkoły.

Ale kurtki też nie było. Nigdy już jej nie zobaczyłam.

Prawdę mówiąc, zanim wróciłam po lekcjach, nasz dom został oczyszczony ze wszystkiego, co wiązało się z ojcem.

Ale moja pamięć nie.

Nadal widziałam go, kiedy zamknęłam powieki i dobrze się skoncentrowałam. Złociste iskierki migoczące w zielonych oczach. Starannie przystrzyżone, brązowe włosy. Skóra o barwie kości słoniowej. Ciepłe objęcia, które wieczorami dodawały mi otuchy.

Słyszałam, jak mówi, że mnie kocha. Cichym, łamiącym się, pełnym uczucia głosem.

Po policzku spłynęła mi łza. Sięgnęłam oznakowaną ręką, żeby ją zetrzeć i skrzywiłam się pod wpływem przeszywającego bólu.

Lekarka sprawdziła mój nadgarstek, który nadal porastał skórą. Zrobiła krótką notatkę na dużej elektrotablcy i zostawiła mnie. Odwróciłam głowę do ściany.

Nad drzwiami, promieniując silną technoenergiją, wisiał znak wskazujący wyjście. Moje myśli wypełnił wystraszony głos Jaga. „Oni są dobrzy”.

Nie mogłam pozwolić, żeby wysłali mnie do Wolności. Co oznaczało, że musiałam przedostać się do Złych Ziem. W ten czy inny sposób. Była szansa, że tam uda mi się odnaleźć tatę.

On dokonał wyboru, usłyszałam szept, w którym pobrzmiwała nuta empatii. Coś, czego zdecydowanie sobie nie życzyłam.

Akurat teraz nie obchodziły mnie żadne wybory. Nie potrzebowałam współczucia tego głupiego Tego-Od-My-ślenia. Chciałam, żeby dał mi spokój.

Milcz! – zakomenderowałam. *I wynoś się z mojej głowy!*

Głos nie odpowiedział. A przynajmniej nie usłyszałam go przez kotłującą się we mnie chmurę rozpaczy, płonnych nadziei i gniewu.

Co dziesięć minut lekarze badali nadgarstek i robili notatki. Wreszcie jeden z nich zdjął mi tłumik i powiedział:

– Patrz.

Moje ciało powróciło do poprzedniego stanu. Przesuwając po nim palcami, wyczułam miniaturowy supełek, który równie dobrze mógł należeć do kości nadgarstka. W górę ręki, aż do łokcia, rezonował tępy ból, wywołany przez lokalizator. Nieważne. W końcu do cichego brzęczenia komunikatorów też przywykłam.

– Znaj swoje miejsce, a nigdy nie będziemy musieli tego użyć – powiedział środkowy Zielony. Nie rozpoznałam go bez togi Instytutu, ale jego głos wrył mi się w pamięć. Zielony ściągnął z twarzy maskę i gniewnie spojrzał na mnie z góry.

– Nie możesz wrócić do Dobrych Ziem. Nigdy.

– Wcale nie chcę – prychnęłam. Te słowa wyczerpały resztkę moich nadziei na poślubienie Zenna. Ale wiedziałam, że sobie poradzę. Jak zwykle.

– Teraz chłopak? – zapytał jakiś inny lekarz, podczas gdy mnie wyprowadzano.

– Nie. Thane chce to zrobić osobiście. Poza tym chłopak nie ocknie się jeszcze przynajmniej przez kilka godzin, a ja ledwie żyję. Chodźmy odpocząć. Potem możemy... – Drzwi windy zasunęły się, odgradzając mnie od głosów.

Kiedy znalazłam się z powrotem w celi, Jag nadal spał. Leżąc na podłodze, patrzyłam pod jego łóżko. Beton był twardy jak zawsze.

Zacisnęłam zęby i warknęłam:

– Nie ma cholernej mowy, żeby ten Thane, kimkolwiek jest, oznakował Jaga.

Technika to interesująca sprawa, potęga – na dobre i na złe. W przeciwieństwie do Ty i taty, nie mam genu wynalazcy. Ale z pewnością potrafię rozpoznać nowoczesną technikę, kiedy ją widzę. Albo raczej czuję. A zobaczyłam ją i wyczułam w laboratorium na dole.

Wiedziałam, że nie mogę tak tu tkwić i nic nie zrobić.

Owszem, możesz. W głosie pobrzmiwał protekcyjny ton. Naprawdę tego nie cierpiałam. Usiadłam, podciągnęłam kolana pod brodę i zaczęłam nasłuchiwać w nadziei, że intruz zaaplikuje mi kolejną myśl. Rozpaczliwie chciałam go rozpoznać. Jego głos wydawał się taki znajomy.

Jednak więcej się nie odezwał, więc wstałam i potrząsnęłam Jagiem. Zero reakcji. Ze zgrozą uświadomiłam sobie, dlaczego zdaniem lekarzy miał się szybko nie obudzić. Czymś go nafaszerowali.

Odkręciłam zimną wodę i ochlapałam mu twarz. Wzdrygnął się, otworzył oczy. Były przekrwione i szkliste. Milczał, ledwie rejestrując, że stoję nad nim i wykrzykuję jego imię. Po chwili powieki znowu mu opadły.

– Nie! Jag, musisz oprzytomnieć. Chcą ci wszczepić lokalizator! – Odkręciłam tubkę z żelem do włosów – sam zapach mógłby przebudzić umarłego – i pomachałam nią Jagowi pod nosem. – Wstawaj! – Znowu się poruszył, więc wylałam na niego kolejną garść wody. – Nareszcie – westchnęłam, kiedy usiadł.

– Brrr. – Potarł rękami twarz.

– Możesz wstać? – Wyjrzałam na korytarz, czy nie widać strażników. Pusto. Musiało być bardzo wcześnie, może nawet jeszcze środek nocy.

Zaskrzypiało łóżko, kiedy znowu na nie opadł.

– Przestań – wymamrotałam, ciągnąc go do góry. Był tak odurzony, że ledwie utrzymywałam jego ciężar. – Musisz się podnieść.

– Nie czuję się zbyt dobrze.

– Nie szkodzi. Niedługo przyjdą wszczepić ci lokalizator, a ja sama nie mogę uciec. – Chwyciłam zaoszczędzony podczas kolacji kawałek chleba, który dostrzegłam na półce. – Masz, jedz. Trzeba stąd spadać.

Zjadł i najwyraźniej trochę się otrząsnął ze spowijającej go mgły. Pomogłam mu wstać i przespacerować się po celi, żeby krew szybciej popłynęła w żyłach. Wszystko będzie dobrze, myślałam przy każdym obrocie.

Wreszcie Jag zatrzymał się i popatrzył na mnie rozjaśnionymi oczami.

– Jak się czujesz? – zapytałam.

Dziwna mina przemknęła mu po twarzy, coś pomiędzy zdumieniem i lękiem.

– Ty... ja... – wydukał, po czym pokręcił głową. Znowu zamknął się w sobie.

Nie miałam czasu na jego problemy, obojętnie czego dotyczyły.

– Pospiesz się – powiedziałam. – Trzeba udawać, że ci niedobrze, żeby wypuścili cię do łazienki. Musimy przedostać się do windy.

– To żadne udawanie. – Usiadł na łóżku. – Użyjemy windy?

– Tak. Wczoraj trochę zbadałam teren. – Nie chciałam tracić czasu na wyjaśnienia ani na informowanie go, że już zostałam oznakowana. – Będziesz musiał mi pomóc ze strażnikiem.

– Jasne, wszystko, co tylko zechcesz – zgodził się, zakładając buty.

– Hej! – krzyknęłam w stronę posterunku. – Jag źle się czuje! Zaraz puści pawia! Musicie go stąd zabrać! – Wrzeszczałam tak przez dziesięć minut, zanim pojawił się jakiś mężczyzna z zapuchniętymi od snu oczami. Idąc, wciągał na siebie koszulę.

Na policzki Jaga powróciły kolory. Pochylił się, by ukryć szeroki uśmiech. Poczułam, że moja twarz też odprężyła się w uśmiechu, którego szybko się pozbyłam, kiedy strażnik odsunął kratę. Kurczowo trzymając się za brzuch i jęcząc, Jag powlókł się do wyjścia.

Strażnik wsunął mu rękę pod ramię, żeby go podtrzymać.

– Co się stało?

– A skąd mam wiedzieć? Czy ja wyglądam na lekarza? Jag kuśtykał powoli, dając mi czas na wymknięcie się z celi. Zanim ktokolwiek zauważył, znalazłam się na zewnątrz. A wtedy było już za późno.

Jednym ruchem Jag wyprostował się i strzelił swojego opiekuna pięścią w nos tak mocno, że po korytarzu poniósł się obrzydliwy chrzęst kości. Mężczyzna zgiął się wpół, przyciskając ręce do twarzy. Spomiędzy palców kapą krew.

Wyrwałam mu zza pasa klucze i paralizator. Zawahałam się, nie mając pewności, czy paralizator go nie zabije. Wtedy Jag zwarł dłonie i obiema pięściami wyrzwał strażnika w tył głowy. Potem wciągnął nieprzytomnego do celi, którą ja trzęsącą się ręką zamknęłam na klucz.

Wymieniwszy spojrzenia, popędziliśmy korytarzem. Na panelu przy windzie wcisnęłam najniższy guzik. Była tak przestarzała, że nie potrzebowaliśmy nawet identyfikatora, który Jag zabrał strażnikowi.

Kiedy na dole drzwi się rozsunęły, naszym oczom ukazało się laboratorium. Oboje przywarliśmy do ściany w głębi kabiny. Czując, jak serce podchodzi mi do gardła, przytrzymałam przycisk „Otworzyć” i czekaliśmy.

Rzykowałam, bo niedomknięte drzwi mogły włączyć alarm. Po chwili dałam krok naprzód, skuliłam się i szybko przemknęłam za długi metalowy kontuar. Jag, ciężko dysząc, poszedł w moje ślady. Kiedy na niego spojrzałam, promieniał. Więc ja, przerażona, łamałam sobie głowę nad drogą ucieczki, a ten chłopak sprawiał wrażenie, jakby był na wakacjach.

– Co dalej? – zapytał.

Myśląc intensywnie, kiwnęłam głową w stronę wyjścia, oddalonego przynajmniej o trzydzieści metrów. Otaczająca drzwi technochrona emitowała ostre błyski, które ćmiły mi wzrok.

– Dokąd one prowadzą?

– Na zewnątrz.

– Kocham cię – oznajmił Jag. Moje serce na moment zamarło. Jag badawczo przyjrzał się drzwiom. W jego oczach nadal iskrzyła się energia.

Jakieś żarty. Nieszczególnie zabawne. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zachichotał.

– To najlepszy ubaw, jaki miałem od wieków.

– Ubaw? To nie jest żaden ubaw.

Znowu cicho się roześmiał. Przypomniałam sobie, jak wzruszał ramionami i mówił „super”. I wszystko to coraz bardziej mi się podobało.

Śmiech urwał się, kiedy zapiszczała winda.

Jednocześnie zerwaliśmy się na równe nogi i bez słowa popędziliśmy między stołami operacyjnymi i chirurgicznymi wózkami. Jag miał niezłą wprawę w podchodach. Kiedy bezpiecznie ukryci w cieniu wielkich regałów łapaliśmy oddech, poczułam, że każda komórka mojego ciała płonie. Do sali wkroczyło trzech lekarzy. Nieśli elektrotabllice i gawędzili przyciszonymi głosami. Kiedy podeszli bliżej, wślizgnęłam się za regał. Jag zrobił to samo, skutecznie wprasowując mnie w ścianę i zasłaniając mi widok.

Czekaliśmy przez kilka minut, z których każda oznaczała coraz wyższy stopień napięcia.

– Co oni robią? – wymamrotałam wreszcie.

– Siedzą.

– Daleko od nas?

– Jakieś piętnaście metrów.

– Nie możemy czekać, Jag. Zamierzali przyjść po ciebie za parę godzin.

Odwrócił się i ciasno objął mnie w talii. Zesztywniałam, czując na twarzy jego oddech.

– Skąd wiesz? – Szept Jaga brzmiał dziwnie: płynnie i potoczyście, z lekką błagalną nutą. Prawda cisnęła mi się na usta. Z trudem przełknęłam ślinę, żeby nie trysnęły ze mnie słowa.

– Hm... słyszałam, jak strażnicy o tym gadali, kiedy już zasnęłeś. – Nie odpowiedział, więc dodałam: – Naprawdę musimy się stąd wydostać.

– No to zmykamy, tylko że zaraz włączy się alarm. – Dał krok w stronę drzwi i otworzył je jednym pchnięciem. Rozległo się przeraźliwe wycie, jednak w moim umyśle głośno i wyraźnie

zabrzmiała komenda: Stóp. Nie miałam dość siły, by walczyć z wieloletnim sterowaniem. Cofnęłam się do laboratorium, a Jag za mną.

Środkowy Zielony stał przy stole, z dezaprobatą marszcząc brwi. Uniosłam głowę, niemal go prowokując, by spróbował znowu mnie kontrolować.

Wysunął się przed pozostałych mężczyzn i wyciągnął w górę rękę. Najwyraźniej to on dowodził. Skóra połyskiwała mu dziwnym perłowym odcieniem. Miał na sobie ciemne okulary, więc nie mogłam dostrzec jego oczu. Poruszył ustami. Poprzez ryk syreny nie zdołałam usłyszeć słów, ale odbiły się echem w moim mózgu. *Dokonaj właściwego wyboru.*

Postąpiłam krok naprzód, rozpoznając ten głos, głos...

Już prawie przypomniałam sobie, do kogo należał, ale znów mi to umknęło. Myśli wirowały jak szalone. Zacisnęłam powieki, próbując zatrzymać tę nową informację. Jednak mimo całego wysiłku, w mojej pamięci pojawiły się czarne dziury i kiedy otworzyłam oczy, nie rozpoznałam żadnego z Tych-Od-Myślenia.

Bądź dobra, nakazał głos, wypełniając pustą przestrzeń.

Dałam kolejny krok, gotowa do nich dołączyć, zrobić wszystko, czego zechcą.

Ktoś szarpnął mnie za ramię.

– Nie słuchaj tych wrednych facetów. Popatrzyłam na Jaga. Spojrzenie jego ciemnych oczu przeniknęło przez moje zmaczone myśli. Widok opalonej skóry alarmował, żeby od niego uciekać. To Jag był tutaj wrednym facetem.

– Spadamy – oznajmił i wyciągnął mnie na rześkie poranne powietrze. – Pospiesz się, Vi. – Dźwięk zdrobniałego imienia przypomniał mi dwa ostatnie dni. Nie, to nie Jag był wredny. Wzięłam głęboki oddech, by rozwiać otumaniający mnie opar ścisłej kontroli. Mózg nadal działał ociężale, ale przynajmniej znów mogłam snuć własne myśli.

Kipiąc z gniewu, wkroczyłam na grząską ziemię. Moje tenisówki natychmiast nasiąkły wodą i lepka mazią, aż zaczęły mi ciążyć stopy. Brnęłam przez bagnisty teren do jakiegś opustoszałej ulicy. Nade mną

rozpościerało się niebo, ciche i srebrzyste, ale nie łągodziło to mojej wściekłości.

– Szybciej. – Naleganie w głosie Jaga przypomniało mi, że nie mamy wielkiej przewagi nad pogonią. Każdy krok rozpalał w mojej głowie kolejną gniewną iskrę. Naprawdę, naprawdę nienawidziłam Zielonych.

Gdy oddalaliśmy się, alarm zaczął przycichać. Wreszcie całkiem umilkł. Biegłam w ślad za Jagiem, który kluczył pomiędzy budynkami, utrzymując kurs na Region Centralny. Kiedy dotarliśmy do granicy Południowego Krańca, z trudem łapałam oddech i bolały mnie plecy. Jestem wodniaczką, więc moje największe wyczyny to wiosłowanie (spokojnie i powoli), żeby zbierać próbki wodorostów (nudziarstwo).

Kurczowo przyciskałam ręce do boków, podczas gdy powietrze napierało na mnie ze wszystkich stron. Niewątpliwie ten Myśliciel nie pozwoli nam tak po prostu umknąć. A może jednak?

Przesunęłam palcem po nadgarstku. Malutki supełek lokalizatora sterczał jak głaz.

– Idziemy do Złych Ziem? – zapytałam, dogoniwszy Jaga i biegnąc z nim ramię w ramię.

– Aha – odparł. – Zaopatrzymy się tam w jakiś prowiant i ruszymy do Przymorza.

– Przymorza?

– Tak. Przymorze oferuje azyl polityczny takim... jak my.

– A Złe Ziemie nie?

– Złe Ziemie nie są całkiem wolne. Jesteśmy suwerenni, ale monitorowani przez wasz rząd.

– Nie są wolne? – W moich ustach słowa te zabrzmiały tak obco, jakbym ich nigdy przedtem nie wypowiadała.

– W Przymorzu będziemy bezpieczni. Oczywiście, zakładając, że udzieli nam schronienia.

Zastanawiałam się, jak daleko jest do Przymorza. Ale bezpieczeństwo i azyl polityczny – to brzmiało więcej niż wspaniale.

– Powinniśmy wziąć kurs na Ognisty Region. Tamtejszy upał ukryje ciepło naszych ciał.

– Jasne.

Nie wspomniałam, że wysoka temperatura również zakłóci sygnał lokalizatora, którego wibracje najwyraźniej przeoczono.

– Kim był ten facet? Odebrał mi pamięć. Ale ja go znam. Słowo daję, że go znam.

– Thane Myers.

– Ale kto to właściwie jest?

– Nie wiem – odparł Jag. Było to najnędniesze kłamstwo, jakie kiedykolwiek słyszałam.

– Akurat. Znasz jego imię, nazwisko, a nie wiesz, kto to taki? – Potarłam palcami czoło, żałując, że nie potrafię uchwycić rozwiewających się strzępów wspomnień. – To nazwisko już obilo mi się o uszy.

– Na pewno nie.

– Jesteś kiepskim kłamcą – nie ustępowałam. Jag spojrział na mnie z gniewnym grymasem.

– Mylisz się. Bardzo dobrym. – W jego słowach zadźwięczały prawda i siła. Jag Barque był kimś więcej niż dobrym kłamcą – był niesamowitym kłamcą.

– Musisz mnie nauczyć kilku sztuczek – powiedziałam, nabierając respektu dla jego talentu łgarza.

Z jakiegoś powodu twarz mu spochmurniała.

– Tak, jasne. Chodźmy.

Od pół Regionu Centralnego dzieliły nas już tylko posterunek straży i zębaty płot wysokości przeszło czterech metrów, ale tylko Jag miał identyfikator, ukradziony więziennemu strażnikowi. Przemykaliśmy chyłkiem od budynku do budynku. Jag ciągle mnie powstrzymywał, więc odtrąciłam jego rękę.

– Chcesz zginąć? – syknął.

– A ty? Przestań mnie popychać albo cię zabiję.

– Vi. – Odwrócił się do mnie. – Jesteś niemożliwa. Moje rozdrażnienie jeszcze się wzmogło.

– Dzięki. – Wyjrzałam za róg i pomodliłam się, żebyśmy zdołali dotrzeć do granicy. Jag stłumił śmiech. – Przestań głupio chichotać – warknęłam. – To bardzo wkurzające.

Rozbawiło go to jeszcze bardziej. Chociaż zachowywał się cicho, jego ciało tuż obok mnie się trzęsło. Nasze ramiona zetknęły się i po chwili jego ręka otoczyła moją talię.

Gdybyśmy właśnie nie ratowali życia ucieczką, gdybym nie miała lokalizatora, gdyby nie dręczyła mnie obawa, że nie dobrniemy do Złych Ziem, a potem do Przymorza, mogłabym przerazić się myślą, że chcę go pocałować. Powoli oparłam dłoń na jego piersi.

– Stać! Nie ruszać się! – wrzasnęła jakaś kobieta.

Odskoczyliśmy od siebie, jakby co najmniej moja matka przyłapała nas na gorącym uczynku. Zbliżała się do nas para nieuzbrojonych Zielonych. Jastrzębica i Łysol.

– Doskonale – szepnął Jag. – Ty bierzesz kobietę. Zamiast stawiać czoło komukolwiek, popędziłam w stronę posterunku. Jag biegł tuż za mną. Wydało mi się dziwne, że nie ma tam nikogo, ale może strażnica nie była obsadzona o tak wczesnej godzinie. Albo tych dwoje chciało mieć pewność, że nie będzie świadków naszej śmierci. Przyspieszyłam kroku.

Jag wyminął mnie i przejechał ukradzionym identyfikatorem po czytniku bramy. Przepchnęliśmy się przez nią, zanim zdążyła otworzyć się na oścież. Gdy on usiłował ją zablokować, ja już gnałam ku tarasowym polom Regionu Centralnego. Rozległy się przekleństwa i szczęk metalu. Zerknęłam przez ramię. Nadzieja, że zgubiliśmy pogoń, prysła na widok Łysola, który biegł o kilka metrów za mną i Jaga, nadal mocującego się z bramą.

Gwałtownie skręciłam w prawo, kierując się do pobliskiego urwiska. Skoczyłam w ostatniej sekundzie, co uczyniło moje lądowanie jeszcze trudniejszym. Toczyłam się i toczyłam, aż wreszcie wyhamowałam na poletku fasoli. Nawet nie miałam czasu poczuć bólu, który pulsował mi w plecach.

Z dolnego tarasu ujrzałam, jak Łysol – nadal na górze – grubym kijem okłada Jaga po nogach. Ruszyłam z powrotem, wbiegając po nieruchomych schodach, jednocześnie zdesperowana i zniesmaczona, że muszę go ratować.

Kiedy dotarłam na miejsce, Jag klęczał z rękami splecionymi za głową. Odbezpieczyłam paralizator, zastanawiając się, czy starczy mi odwagi, by użyć broni. Błękitna elektryczna iskra odwróciła uwagę

napastnika i w tym samym momencie Jag zaatakował. Zaczęli się mocować. Podbiegłam bliżej. Jag zdążył go odepchnąć tuż przed tym, jak strzeliłam. W ramię.

Łysol krzyknął, padając. I cisza. Szarpnął się i zastygł bez ruchu. Wpatrywałam się w niego, a żołądek podchodził mi do gardła. Mogę łamać zasady, ale nie jestem agresywna. Czułam ciężar w piersi. Powietrze wokół jakby wyparowało.

– Vi, chodźmy. – Jag pociągnął mnie za rękę. Odwróciłam się i pobiegłam. Na zachodzie, za ciągnącymi się w dal polami pszenicy, fasoli i złocistej kukurydzy, płomień Ognistego Regionu barwił horyzont na pomarańczowo.

Jako pierwsza wystartowałam w dół po schodach, tylko po to, by usłyszeć za sobą stłumione stęknięcie. Po czym wpadł na mnie Jag.

Nigdy wcześniej nie zaznałam takiego bólu, nawet wówczas, gdy chirurgiczna powłoka topiła mi ciało. Spadałam, uderzając głową o ostre krawędzie stopni. Coś chrupnęło mi w plecach. Poczułam krew w ustach i zakrztusiłam się. Jag klął przy każdym zderzeniu. Chętnie bym mu zawtórowała, gdyby moja dolna szczęka nie sprawiała wrażenia, jakby miała rozpaść się na kawałki.

A w górze, nad nami, śmiała się Jastrzębica. Wreszcie zatrzymałam się u stóp schodów. Srebrno-czarne błyski wirowały mi przed oczyma. Czaszka wydawała się jednocześnie ciężka i nadmuchana. Chciałam się poruszyć, ale nie mogłam. Czas zwolnił do rytmu oddechu i bólu.

– Paralizator. – Jastrzębica pochyliła się nade mną. Zdołałam unieść głowę. Po policzkach ciekła mi krew, ale przynajmniej nie musiałam już wdychać gorącej miedzianej woni.

Jag zajęczał, ale nie drgnął. Krew pokrywała mu prawie całą twarz. Lewy rękaw miał kompletnie zaplamiony na czerwono.

– Paralizator – powtórzyła Jastrzębica, wyciągając rękę. Sterczała nade mną, o jeden stopień wyżej. Jej srebrzyste włosy połyskiwały w świetle brzasku.

Oddaj jej paralizator, rozkazał głos. Nie potrzebujesz go. Obrażenia, których doznałam, wyraźnie przytępiły moje reakcje. Nie potrafiłam wykrzesać z siebie dość energii, by powiedzieć Myślicielowi, że nie

ma prawa mnie pouczać, czego potrzebuję, a czego nie.

Ale gdybym oddała jej paralizator, oboje z Jagiem skończylibyśmy jak Łysol. Pozbawieni przytomności. I kto wie, gdzie byśmy się obudzili – o ile w ogóle byśmy się obudzili. Jednak nie umiałam strzelić po raz drugi. Krzyk Łysola nadal dźwięczał mi w uszach. Jego puste oczy...

Oddaj jej paralizator, znowu rozkazał głos.

– Jag – jęknęłam błagalnie. – Zostaw mnie.

Używając solidnych metalowych schodów jako podpórki, Jag dźwignął się na nogi i wytarł zakrwawione dłonie o swój więzienny uniform. Obserwował, jak powoli wyciągam broń w stronę Jastrzębicy. W jego oczach pojawiło się zrozumienie.

– Nie! – wrzasnął, podbijając mi rękę. Paralizator widowiskowym łukiem poleciał na taras za nami. Jastrzębica, klnąc, kopnęła Jaga w pierś. Głucho grzmotnął o ziemię i już więcej nie próbował się podnosić.

Mimo rozpacz i bólu, poczułam przypływ złości. Nasza prześladowczyni pochyliła się nad Jagiem, kiedy potrzasałam go za ramię.

– Vi, zostaw tego złego chłopaka. Jesteś dobrą dziewczyną. Twój ojciec chciałby, żebyś była wolna. – Jej słowa brzmiały jak wyćwiczony tekst, ale przypadkiem opatrzyła mnie etykietką, której łaknęłam: wolna. Jednak jeśli oznaczało to porzucenie Jaga, nie mogłam się zgodzić.

Wybieraj, wybieraj. Głos wyraźnie sobie ze mnie kpił. W mojej głowie pojawił się obraz Tego-Od-Myślenia z ciemnymi szklami, maskującymi oczy. Okrutny uśmiech wykrzywił mu twarz. Ten facet najwyraźniej sterował sytuacją. Dobrymi Ziemiemi. Jastrzębicą. Wszystkimi i wszystkim.

Ale nie mną. I nie Jagiem.

Jag z grymasem bólu przetoczył się na bok. Zazgrzytałam zębami i dźgnęłam łokciem prosto w dziobopodobny nos Jastrzębicy.

Zatoczyła się do tyłu. Złapałam Jaga za ramię, podciągnęłam na nogi i niemal powlokłam przez pola pomiędzy dwoma tarasami, a potem w górę schodkami po przeciwnej stronie. Nie odwracałam

się, dopóki nie dotarliśmy na miejsce. Srebrzysta Jastrzębicą już się pozbiierała i szukała paralizatora.

Tylko tego brakowało, żebym miała czekać i patrzeć, czy go znajdzie.

Zacęłam biec. A raczej kuśtykać. Półprzytomna od utraty krwi, nie zauważyłam, że Jag się zatrzymał. Dopóki mnie nie zawołał.

Odwróciłam się zbyt gwałtownie i upadłam. Prawdę mówiąc, z przyjemnością zostałam tam już do końca życia. Coś chłodnego musnęło mi głowę i sondowało skórę pod włosami. Zacęłam odpływać, kiedy Jag jakąś szmatką delikatnie dotykał poranionych miejsc. Potem jego łagodny głos wypowiedział moje imię. Zabrzmiało tak kojąco, tak spokojnie.

– Nie – wybełkotałam. – Zaraz zasnę.

Zamilkł. Kiedy otworzyłam oczy, pożałowałam, że to zrobiłam.

– Wyglądasz strasznie – przeraziłam się. Krew ciekła mu po twarzy i skapywała z podbródka. Ścierał ją kawałkiem materiału – jednym z rękawów, które oderwał od koszuli.

Mimo że umazany był krwią – zapewne nas obojga – jego widok sprawił, że moje głupie serce uderzyło trochę szybciej.

– Zbieraj się – powiedział. – Nie możemy tu zostać. Uczepieni jedno drugiego, podążaliśmy w kierunku Ognistego Regionu. Wydawało mi się dziwne, że nie krążą nad nami poduszkoptery, ale nic nie mówiłam. Może oni po prostu pozwolili nam odejść. W końcu byłam oznaczona. Bez trudu mogli mnie znaleźć, gdyby tylko chcieli. Przynajmniej dopóki nie dotarliśmy do terenów, gdzie wysoka temperatura mogła zakłócić sygnał lokalizatora.

Słońce wznosiło się nad górami, gdy zawędrowaliśmy na samotną farmę pośród falujących łąnów pszenicy. Osunęłam się na ziemię pod murem. Powietrze parzyło mnie przy każdym wdechu i wydechu. Jag rozwinął ogrodowy wąż i polewał się od stóp do głów, krzycząc i tańcząc w strumieniach zimnej wody.

Chciałam się roześmiać, bo wyglądał jak kompletny idiota, ale na samą myśl o tym rozboleły mnie wnętrzności. Kiedy skierował wąż w moją stronę, żar w płucach przestał być największym problemem.

– Hej! – Woda spłynęła czerwienią, przyprowadzając mnie o mdłości.

Zakończywszy prysznic, Jag przesunął mi palcem po czole, wzdłuż nasady włosów.

– Teraz to nie moje włosy – mruknęłam oschle. Zachichotał na swój miękki, seksowny sposób.

– Jasne, fryzura padła, ale to ta rana mnie martwi.

– Sam nie wyglądasz za dobrze. – Za jego lewym uchem biegło długie skaleczenie.

Skinieniem głowy wskazał tylne wejście do domu.

– Jesteś zainteresowana małym naruszeniem prawa?

– Zawsze – odparłam. – Ja biorę żywność i apteczkę, ty ciuchy. Okej?

Jag wspiął się po schodkach i przystanąwszy przed drzwiami, zajrzał do środka, żeby ocenić sytuację. Tak bardzo przypominał mi Zenna: sposób, w jaki objął dowodzenie, to, że zdawał się mieć plan na każdą okoliczność.

– Droga wolna. Właściciel na pewno jest w polu. – Uchylił drzwi i wszedł. Jednak w przeciwieństwie do Zenna nie czekał na mnie, więc kiedy prześlizgnęłam się do kuchni, już go tam nie zastałam. Nawet nie zdążyłam usłyszeć jego kroków. Najwyraźniej nie było to pierwsze włamanie Jaga.

Z tradycyjnego miejsca pod kuchennym zlewem wydobyłam apteczkę. Upewniwszy się, że jest należycie wyposażona, chwyciłam dwie garści proteinowych saszetek i wepchnęłam do foliowej torby, razem z zapasem medykamentów.

Farmer nie miał żadnego suchego prowiantu, więc zapakowałam jeszcze tylko dwie butelki wody i wycofałam się na tylny ganek, żeby tam poczekać. Kilka sekund później pojawił się Jag z plecakiem, do którego załadowałam moje łupy.

Bolała mnie głowa. Od czasu do czasu musiałam wycierać strużkę krwi. Wspierałam się na Jagu bardziej, niż chciałam, ale zdawało się, że on w równym stopniu szukał oparcia we mnie.

Przypomniała mi się pewna noc zeszłego lata, którą spędziłam z Zennem w Opuszczonym Rejonie. Żeby nie zasnąć, opowiadaliśmy sobie, jak wyglądałoby życie, gdybyśmy to my rządili. Bardzo tęskniłam za Zennem, ale myśl o nim przynajmniej dodawała

mi energii.

W końcu znaleźliśmy się na skraju pola pszenicy. Gdybym zrobiła jeszcze jeden krok, stanęłabym na cemencie. Krajobraz przed nami usiany był małymi domkami, wzniesionymi wyłącznie z kamienia. Żadnej trawy, żadnej roślinności. Poza wściekłą temperaturą, potrzebną do technoprodukcji, Ognisty Region składał się tylko z betonu i techniki. Zaczęło mnie łupać w oczodołach. Skaleczenie na całej długości pulsowało bolesnymi ukłuciami. W powietrzu migotały fale gorąca.

Jag ruszył na zwiad i znalazł jakąś budę koło nieczynnego elementu grzewczego. Wpadliśmy do środka w ostatniej chwili, nim droga zarośla się od pracowników służb ogniowych w lśniących, żółtych kombinezonach.

W zawalonej zepsutym sprzętem i śmieciami szopie nie było zbyt dużo miejsca na cokolwiek więcej. Jag kopniakami rozgarnął rumowisko, oczyszczając mały kawałek przestrzeni na środku.

Następnie ukląkł, otworzył plecak i cicho westchnął z zadowolenia.

– A teraz się przebiorę. – Wydobył białawą koszulę z długimi rękawami i parę ciemnych dżinsów. Uśmiechnął się po swojemu, zwycięsko. – Zaraz wracam. – Wyszedł, a ja zadałam sobie pytanie, gdzie też zamierzał się przebierać.

Poszperałam w plecaku i znalazłam coś dla siebie. Szybko zerknąwszy w stronę drzwi, ściągnęłam górę od więziennego uniformu i wsunęłam na siebie o wiele grubszą koszulę, która zakrywała mi ręce aż po nadgarstki. Nawet w tej upalnej parówce, wydawało mi się, że odzyskałam swobodę. W kącie, na stertę śmieci rzuciłam poplamione krwią spodnie. Więzienna bluza wyglądała czyściej dzięki prysznicowi z ogrodowego węża, więc wepchnęłam ją do plecaka. Kiedy na koniec włożyłam odrobinę za duże dżinsy, poczułam się jak zwyczajna dobra dziewczyna. Tyle że teraz byłam zła. Ale co tam.

Wrócił Jag. Prezentował się fantastycznie. Naprawdę, naprawdę fantastycznie. Dżinsy wyglądały jak specjalnie dla niego uszyte, tak leżały na biodrach. Wyrzucona na wierzch koszula dawała złudzenie,

że jego talia znajduje się znacznie niżej niż w rzeczywistości. Ręce – brązowe, muskularne – były obnażone, bo podwinął rękawy powyżej łokci. Skóra wydawała się ciepła i gładka.

Miał na sobie naszyjnik. Biżuteria jest sprzeczna z prawem Dobrych Ziem. Tak, też je złamałam, kiedy na urodziny Zenn podarował mi zegarek. Żałowałam, że nie założyłam tego zegarka, idąc na nasze ostateczne spotkanie. Byłby to znak dla Zenna, że go kocham.

Natomiast nigdy dotąd nie widziałam, żeby chłopak nosił biżuterię. Naszyjnik nie zwisał Jagowi na piersi, tylko zakreślał krąg tuż pod szyją. Wyglądał, jakby go dusił. Nieomal. Białe, walcowate kamienie przeplatały się z klejnocikami o różnych barwach. Czerwonymi, błękitnymi, pomarańczowymi. I wszystkie lśniły, nawet bez światła. Zupełnie, jakby promieniowały wewnętrznym blaskiem.

Jag zauważył, że się przyglądam.

– Podoba ci się?

– Całkiem niezły – odparłam, starając się zachować resztki nonszalancji. – Skąd go wzięłeś?

Roześmiał się. Zabrzmiało to naprawdę radośnie.

– Ma się swoje intymne sekrety.

Fala gorąca wypłynęła mi na twarz. Poczułam się głupio, więc pokryłam zakłopotanie udawanym atakiem kaszlu. Nikt nie powinien był widzieć tego rumieńca.

Ogarnęło mnie poczucie winy. Zostałam wyswatana Zennowi. Nie wolno mi patrzeć w taki sposób na innego chłopaka. Zwłaszcza na złego.

Ale przyszłość z Zennem była już raczej skreślona. Nie mogłam wrócić do Dobrych Ziem. A wątpiłam, by Zenn porzucił karierę w Siłach i podążył za mną do Przymorza, nawet gdybym zdołała przesłać mu e-comm z informacją, że właśnie tam się udaję.

To bolało. Bardzo.

Jag zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Super.

– A jakie to ma znaczenie? – mruknęłam, zirytowana głupim galopem serca i tym, że nie mogłam oderwać od Jaga oczu.

Wzruszył ramionami.

Do diabła z nim. Do wszystkich diabłów! Odwróciłam się i wyciągnęłam z plecaka apteczkę. Rozsmarowując maść po skaleczonym czole, poczułam kojącą moc świętego leku. Bez słowa podałam tubkę Jagowi. Zapięłam plecak i położyłam się, robiąc z niego poduszkę. Rozmyślałam nad tym, jak bardzo skomplikowało się moje życie.

Utracona przyszłość z Zennem.

Szansa na odnalezienie taty w Złych Ziemiach.

I podniecenie nową przyszłością. Z Jagiem.

Ktoś mocno chwyta mnie za ramiona.

– Synu, nie pozwól im nad sobą zapanować. Nie masz wobec nich żadnych zobowiązań.

Mrugam. Mężczyznę z brązowymi włosami, który przed chwilą stał przede mną, ciągnie gdzieś trzech zbirów w czarnych garniturach.

Ktoś inny dotyka mojej ręki.

– Chodźmy, Jag.

Idę za moim najstarszym bratem.

– Blaze! Co tam się stało? Zaczekaj!

Ale on jest ode mnie o wiele wyższy i porusza się szybciej. To niesprawiedliwe, myślę, biegnąc, żeby go dogonić, zanim skręci za róg.

Ślizgając się, hamuję koło brata. Blaze otacza mnie ramieniem i już wiem, że jest bardzo źle.

– Biegiem do domu, Jag – syczy kątem ust.

Zbliża się do nas kolejny mężczyzna. Ma bladą, bladą skórę. Jak ci, którzy właśnie zabili mojego ojca.

– Blaze, musisz pójść ze mną. – Głowa mężczyzny jest łysa. Jego głos nie brzmi groźnie, lecz jest pełen nalegania.

Chwytam Blaze'a za rękę.

– Nie – szepczę. Co będzie, jeśli on też umrze?

– Jag, idź powiedziec Pace'owi – prosi Blaze. Daje krok naprzód, próbując strząsnąć moją dłoń.

Strach i panika mieszają się we mnie z bólem.

– Nie! – krzyczę. – Nie możesz odejść!

Mój brat odwraca się i przykuca przede mną. Ma szklisty wzrok. Wzdycha i bierze mnie w objęcia.

– Muszę. Dasz sobie radę. Po prostu każdemu, kto by ci dokuczał, mów, żeby spadał. Nic ci nie będzie.

– Blaze – powtarza łysy mężczyzna. – Proszę, musisz się pospieszyć.

Blaze ociera mi łzy. Uśmiecha się.

– Pożegnaj ode mnie Pace'a. Na pewno niedługo znowu was zobaczę.

– Kiedy? – Mój głos brzmi tak cienko. Tak dziecinnie. Podbródek mi drży. Łzy tryskają z oczu.

– Niedługo.

Patrzę za nim, jak odchodzi z tym Dobrym. I coś we mnie rozrywa się na kawałki. Coś, czego już nigdy nie da się z powrotem złączyć.

Ze stłumionym okrzykiem przewróciłam się na drugi bok. Odczuwałam rozpacz Jaga, jakbym ciągle jeszcze była w jego snach. Tymczasem on szarpnął się i mruknął. Zabrzmiało to niemal jak: „Blaze, nie!”

Usiadłam, podciągając kolana pod brodę. Trzęsły mi się ręce, kiedy opierałam na nich głowę. Jakim cudem dostałam się do cudzej świadomości?

Żołądek miałam ściśnięty, skronie pękały z bólu. Na miękkich nogach dobrnęłam do drzwi i oparłam się o nie.

Nie życzyłam sobie, by inni wdzierali się do mojego umysłu, a przecież działało się to, kiedy byłam przytomna i zdolna panować nad tym, czego nie powinni zobaczyć i usłyszeć.

To, co sama zrobiłam (niechcący, ale jednak), wydawało się o wiele gorsze.

On mógł się nigdy nie dowiedzieć.

Wciągnęłam głęboko powietrze i zadrżałam, gdy przeszło mnie dreszczem. Przez chwilę je przytrzymałam, po czym powoli wypuściłam i wróciłam do Jaga.

Na jego piersi leżała książka, oprawiona w jednolitą brązową okładkę. Tylko Jag podczas ucieczki mógł znaleźć czas na lekturę. Zastanawiałam się, jak długo czuwał, kiedy ja zasnąłam. I skąd wziął

książkę. Podniosłam ją i zaczęłam czytać w miejscu, które było założone.

Urządzenia techniczne nie tak trudno wynaleźć. Jedyne, czego potrzeba, to trochę wyobraźni i dużo pieniędzy. Przyznaję, pieniądze mogą stanowić problem, ale nie w Dobrych Ziemiach. Oni tam chcą techniki i gotowi są za nią płacić.

Mieszkańcy Złych Ziem również potrafią dokonywać wynalazków, więc powinni próbować. Może wówczas Dobrzy i Żli mogliby się ponownie połączyć.

Ponownie połączyć? Czyżby przedtem wszyscy żyli wspólnie? To dlaczego teraz byliśmy rozdzieleni? Kto to zrobił? Zamknęłam tomik i na tylnej okładce ujrzałam zdjęcie autora. Gdyby pod spodem nie wydrukowano nazwiska, nigdy bym nie poznała, że to on. Z moich ust wyrwał się zdławiony krzyk. Książka upadła, budząc Jaga. Błyskawicznie zerwał się z ziemi i chwycił mnie za rękę, zaciskając palce akurat na lokalizatorze.

Wyszarpnęłam mu się i chwyciłam za nadgarstek w miejscu, które tak mocno złapał. Promieniujący aż do ramienia ból równał się tylko z tym w sercu.

– Skąd to wzięłeś?

Przez chwilę rozglądał się dookoła nieprzytomnym wzrokiem, zanim zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje. Kiedy podniósł książkę, wyglądał na trochę zawstydzonego.

– Zauważyłem ją, bo wystawała spod łóżka tego farmera. – Studiował spojrzeniem moją twarz. – A o co chodzi?

Odpowiedź nie przechodziła mi przez gardło. Siedziałam wyprostowana, usiłując pochwycić więcej tlenu. W szopie zrobiło się duszno i gorąco. Ściany napierały na mnie, powietrze zatykało oddech.

– Vi? – Jag usiadł i ujął w dłonie mój podbródek. – Co ci jest? – Użył swego kojącego tonu, tego, który sprawiał, że powieki robiły się ciężkie, a prawda cisnęła się na usta.

– To mój tata – wykrztusiłam wreszcie. Uważnie przyjrzał się fotografii.

– Lyle Schoenfeld. – Podniósł wzrok. – Ale w czym problem?

Pokręciłam głową. Jakaś bryła dławiała mnie w przetyku. Powstrzymywałam łzy tak długo, jak mogłam. Jednak było ich już zbyt wiele, napierających, przedzierających się. Odwróciłam się od Jaga, zamknęłam oczy i pozwoliłam łzom popłynąć.

Jag mówił mi trochę o swojej rodzinie i o życiu w Złych Ziemiach. Odpowiedział na wszystkie pytania, które mu zadałam, a nawet na takie, które nie padły.

Ja zaś bez ogródek odmówiłam wyjawienia czegokolwiek na temat mojego zaginionego ojca, zmarłej siostry czy okrutnej matki. A teraz rozsypałam się na widok książki. Po prostu super.

– Hej, wszystko będzie dobrze. – Ujął mnie za ramiona i odwrócił twarzą w swoją stronę. Szlochając, padłam mu w objęcia. Przytulił mnie tak, jak robił to Zenn, kiedy świat się walił i potrzebowałam, by ktoś mi powiedział, że życie toczy się dalej.

Vi – odezwał się, kiedy wreszcie przestałam dygotać. – Gdzie on jest? Oderwałam się od niego, gniewnie wycierając łzy, które ciągle płynęły.

– Nie wiem.

Jag zmarszczył czoło. Otworzył książkę i badawczo przyjrzał się stronie tytułowej.

– Cóż, wydane w zeszłym roku. Więc musi żyć.

– Jest wynalazcą... Mama powiedziała, że pojechał do Złych Ziemi w poszukiwaniu jakiegoś urzędnika. Zawsze myślałam... to znaczy...

– Nie mogłam mu przedstawić swojej teorii, że to Żli uprowadzili ojca. Bo już w nią nie wierzyłam. – Chyba musieli go porwać Zieloni. Czy coś w tym rodzaju. To zdjęcie zupełnie go nie przypomina, a przecież zostało opublikowane niedawno.

Jag odchrząknął.

– No powiedz. – Już nie płakałam.

– Tę książkę wydano w Złych Ziemiach.

Wstałam i podeszłam do drzwi. Potrzebowałam czasu, żeby się zastanowić, wyciągnąć wnioski. Moją pierwszą myślą było powiadomić Zenna. On zawsze wiedział, co powiedzieć, kiedy miałam rodzinne problemy.

– To bez sensu. Jeśli tata jest w Złych Ziemiach, to dlaczego... dlaczego?

– Może nie chciał wracać – odparł Jag. Zamrugałam. Jego słowa ugodziły mnie prosto w serce.

– Skoro te twoje ukochane Złe Ziemi są o tyle lepsze, dlaczego nie zabrał nas ze sobą?

– Może oni mu nie pozwolili.

– Ale dlaczego? Przecież by nie chcieli, żeby dokonywał

wynalazków dla Złych.

– Może twój ojciec się ukrywa.

– Jasne. A może to ty nie masz bladego pojęcia, o czym gadasz. Mój tata mnie kocha. – Obrzuciłam go wściekłym spojrzeniem, zachęcając, żeby powiedział jeszcze coś, co zaczynałoby się od „a może”.

Jag zacisnął zęby, twarz mu stężała. Potem wzruszył ramionami, położył się i zaczął kartkować książkę, szukając strony, do której doczytał. Nie chciałam się z nim kłócić. Potrzebowałam go, żeby przetrwać w Złych Ziemiach i dotrzeć do Przymorza.

Ale również potrzebowałam powietrza, którego nie wypełniał Jag ze swoimi domysłami, zmieniającymi się w fakty. Bez słowa wyszłam na dwór i skręciłam za szopę. Tam, z dala od wścibskich spojrzeń, napisałam e-comm do Zenna.

Tęsknię za Tobą. Tęsknię za Tobą tak bardzo, że moje płuca zapomniały, jak się oddycha. Nie mogę powiedzieć Ci wiele więcej ponad to, że żyję i właśnie odkryłam, że mój tata też. A przynajmniej żył jeszcze w zeszłym roku. Chłopak, z którym podróżuję, sądzi, że tata porzucił Dobre Ziemie dla Złych i cały czas tam mieszka. Ale dlaczego, Zenn? Dlaczego miałby to zrobić? Dlaczego miałby mnie zostawić?

Skasowałam list w chwili, gdy go skończyłam. Wiedziałam, że nie wolno mi kontaktować się z Zennem. Nie tylko postawiłoby go to w złym świetle, ale mogło też naprowadzić pogoń na mój ślad. Tak bardzo tęskniłam, by znowu usłyszeć jego głos, choćbym słyszała go jedynie w myślach.

Więc wyobraziłam sobie, co by mi odpowiedział.

Vi, obłędnie za Tobą tęsknię. Cieszę się, że przestałaś mi wiadomość, ale za bardzo się zamartwiasz, moja śliczna. Jestem pewien, że Twój tata by wrócił, gdyby mógł. Nie mam pojęcia o Złych Ziemiach, ale przyjrę się temu...

Udawana rozmowa tylko przypomniła mi, jak wiele straciłam, więc ucięłam ją i głęboko odetchnęłam, by uwolnić głowę od uporczywych marzeń. Bolało mnie rozcięte czoło. Czułam się tak, jakbym bez trudu mogła zasnąć na wieki. Wróciłam do szopy i nałożyłam na ranę kolejną porcję lekarstwa.

– Jag?

Opuścił książkę. Piękne oczy miał pełne rezerwy. Uniosłam do góry tubkę.

– Chcesz, żebym ci posmarowała skaleczenie? – We Violomowie oznaczało to „przepraszam”. Na szczęście Jag mnie rozumie. Odłożył książkę i usiadł.

Tłustą maścią pokryłam jego ranę. Przyglądał mi się przez cały czas, jakby usiłował przeniknąć do moich myśli. O dziwo, nie było to wcale irytujące.

– Dzięki – powiedział, kiedy skończyłam.

Podniosłam porzucony tomik i wpatrzyłam się w zdjęcie taty. Wokół oczu miał zmarszczki, których nie pamiętałam. Włosy wyrosły mu równie długie jak u matki, skąpy zarost pokrywał twarz. Ten człowiek w ogóle nie przypominał mojego ojca. Jag delikatnie odebrał mi książkę.

– Znajdziemy go, dziecinko. Jeśli przebywa w Złych Ziemiach, znajdziemy go.

Moje myśli utknęły przy słowie „dziecinko”, ale broniłam się przed uderzeniem wewnętrznego żaru. Usiadłam wygodnie, opierając się o Jaga, a on mnie objął. Pachniał siłą i otuchą.

– Opowiadałem ci już o moich rodzicach? – zapytał niewiele głośniej od szeptu.

W pamięci mignęły mi obrazy. Jednak nie mogłam się przyznać, że wdarłam się w jego sny.

– Trochę.

– Zostali zabici przez komandosów z Dobrych Ziem. Miałem wtedy pięć lat. – Po chwili dalej snuł swoją opowieść beznamiętnym tonem. Poszedł z rodzicami po zakupy. Na placu komandosi sprawdzali wszystkich przechodniów. Rodzice im pasowali, takich ludzi akurat wtedy szukali.

– Miałem zostać w domu z Pace'em, ale upierałem się, żeby wzięli mnie ze sobą. – Głos Jaga stał się pusty, wąty. – Mój najstarszy brat, Blaze, był wściekły. Chciał iść z nimi po zakupy sam. Kiedy komandosi ich aresztowali, dostałem szału. Krzyczałem różne rzeczy, złe rzeczy. Tata wyrwał się tamtym i chwycił mnie za ramiona. Nigdy

nie zapomnę jego oczu. Spanikowanych, ale zarazem nieugiętych. Powiedział: „Synu, nie pozwól im nad sobą zapanować. Nie masz wobec nich żadnych zobowiązań”. Potem odwlekli go ode mnie. Jeszcze wyciągnął rękę i krzyknął: „Kocham cię! Bądź wierny prawdzie! Bądź sobą!” A potem zobaczyłem, jak umiera.

Nie wiedziałam, co zrobić, by wymazać z jego spojrzenia ból i przywrócić głosowi zwyczajne brzmienie. Szepnęłam „strasznie mi przykro”, w nadziei że to właściwe słowa, kiedy ktoś mówi ci, że patrzył na śmierć swoich rodziców. Nie wydawały się wystarczające, ale nie potrafiłam wymyślić nic innego.

Zwłaszcza że już to wszystko widziałam – we śnie Jaga.

Tamtej nocy przeszliśmy Ognistym Regionem tak daleko na zachód, jak tylko się dało. Bardzo chciałam zamaskować sygnał lokalizatora.

Kiedy przekroczyliśmy granicę Wodnego Miasta, to wszystko, co we mnie należało do Zenna, bezpowrotnie umarło. Pozostała pustka nawet większa niż ból przy naszym pierwszym rozstaniu. Bo teraz to ja opuszczałam jego. I tym razem na zawsze.

Zarówno nad Regionem Centralnym, jak i nad Wodnym Miastem krążyły poduszkoptery. Na widok ich reflektorów skóra cierpła mi ze strachu.

– Dobry pomysł z tym kursem na zachód – powiedział Jag, klękając nad strumieniem.

– Tak, dookoła żadnej techniki. – Rozejrzałam się uważnie po gęstym lesie, w nadziei że nie ma tam również żadnych dzikich zwierząt. Ani komandosów. Ani pościgu.

Jag napełnił butelki i wsypał do nich proteiny. Podał mi jedną, a kiedy się na nią zachłannie rzuciłam, nabrał w dłonie wody ze strumienia i pił, aż ściekała mu na koszulę. W końcu wstał z klęczek i przeczesał palcami włosy. Usiłowałam skupić się na czymkolwiek poza myślą, jak seksownie wygląda, gdy jest mokry. Skoncentrowałam się więc na trwałej ozdobie mojego lewego nadgarstka. Gdyby poduszkoptery za bardzo zniżyły lot, nic nie ukryłoby lokalizatora przed ich czytnikami. I wtedy Jag by się dowiedział.

Mokra i zmarznięta – znowu – przedzierałam się przez leśny gąszcz. Drzewa przesłaniały wschodzące słońce. Nie były wysokie na dziesiątki metrów jak te pradawne, o których czytałam w szkole, ale i tak wystarczająco duże, by rzucać cień i kryć nas przed przypadkowym technolotem.

Kiedy słońce wzniosło się nad horyzont, Jag znalazł jakąś sterczącą skałę, pod którą wpełzliśmy, by przespać dzień. Pozwoliłam się objąć, udając, że chodzi mi wyłącznie o ciepło. Owszem, siebie też umiem okłamywać.

Wysłuchana w równomierny oddech Jaga, ułożyłam kolejny list.

Odchodzę, Zenn. Idę w bezpieczne miejsce, gdzie mogę być wolna. Jeśli jesteś w stanie, dołącz do mnie. Będziemy pływać i patrzeć, jak słońce zapada w fale. Muszę pokonać jeszcze jeden punkt kontroli, a potem lokalizator straci znaczenie. Kocham Cię.

Skasowałam wiadomość, zanim zdążyłam się rozplakać. Już tylko wędrowniacy przez ten las i północno-zachodni posterunek graniczny dzieliły mnie od Złych Ziemi. Co prawda Jag twierdził, że nasz rząd monitoruje jego ojczyznę, ale na pewno tam będzie łatwiej się ukryć. I na pewno oni z radością się ode mnie uwolnią.

Wieczorem znaleźliśmy się już dość blisko. Udzielił mi się entuzjazm Jaga. Myślałam o tacie i jak to będzie, kiedy znowu go zobaczę. Oczywiście, słoneczny blask ozłocił scenę naszego spotkania. Tata uśmiechnie się, mrużąc po swojemu oczy. A potem mocno mnie przytuli, tak jak zawsze, zanim poszłam spać. Zapyta o szkołę, a ja mu wszystko opowiem. Jak bardzo się starałam. Jak wybrano Ty do wodnych rangerów. Jak zostaliśmy z Zennem wyswatani. A tata będzie słuchał, jakbym była jedyną osobą na świecie, która się liczy. Tak jak dawniej.

Czułam coraz większą ekscytację. Po raz pierwszy cieszyłam się, że opuszczam Dobre Ziemi. Jednak w ślad za szczęśliwymi myślami nadeszła nienawiść. Do tych, którzy ukradli mi ojca. Do tych, którzy zabrali Ty. Do tego faceta, Thane'a, który próbował mnie kontrolować. Usiłowałam odepchnąć te destrukcyjne uczucia i znowu skupić uwagę na tacie, ale nie mogłam.

Przynajmniej od kilku dni nie słyszałam żadnych głosów.

Wyobraziłam sobie, jak wyglądałoby życie bez nakazów i zakazów, bez szyderczego głosu w mojej głowie, bez skanerów i czytników we wszystkich drzwiach. Z każdym krokiem Złe Ziemie wydawały się coraz lepsze.

– Opowiedz mi o swoim mieście – poprosił Jag, kiedy trzeciej nocy wędrowaliśmy pod osłoną drzew. – Szkoda, że przez nie nie przechodzimy. Mogłabyś mi pokazać, gdzie mieszkałaś.

– Wcale nie chciałbyś tego widzieć. Okropne nudy. Zachichotał i otoczył mnie ręką w talii. Ostatnio robił to mnóstwo razy. Przytuliłam się do jego ramienia, zadowolona, że w przefiltrowanym przez gałęzie księżycowym świetle nie może zobaczyć mojej twarzy.

– Przepraszam, że zrzędzę – powiedziałam. – Ale nienawidziłam tam mieszkać. Właśnie dlatego, że próbowałam od tego wszystkiego uciec, wpakowałam się w mnóstwo kłopotów i złamałam tyle regół.

Jag zaciągnął się zapachem moich włosów.

– Mm – mruknął. – Przykro mi, że nie lubisz swojego życia.

– Nie lubiłam – poprawiłam go. – Teraz bardzo mi się podoba. – Mój krok stał się niepewny. Rzeczywiście powiedziałam to na głos? I naprawdę tak było?

Jag się zatrzymał.

– Myślę, że to najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek od ciebie usłyszałem.

– Och, zamknij się. Przecież jestem dla ciebie miła. – W przyływie odwagi położyłam mu dłonie na piersi. Nie odrywając spojrzenia od moich oczu, jedną rękę wsunął mi pod plecak, a drugą objął mnie w pasie.

– Nie wiem, co to takiego. Jesteś po prostu... – Nie mogłam znaleźć odpowiedniego słowa, które nie zdradzałoby moich tęsknot. – Inny.

Gwałtownie odskoczył i wyminawszy mnie, ruszył przed siebie. W jego oczach odbijała się księżycowa poświata.

– Czemu się wściekasz? Nie odpowiedział.

– Jag? – Biegłam truchtem, żeby za nim nadążyć. – Co ja takiego powiedziałam?

– Teraz rozumiem – odezwał się chrapliwie. – Lubisz mnie tylko

dlatego, że jestem zły...

– Nieprawda.

– ...To taka twoja nowa przygoda – ciągnął, ignorując moje protesty. – Ale wiesz co? Nie jestem domowym zwierzątkiem. Nie jestem uboczną atrakcją. Nie jestem twoim kolejnym wybrykiem przeciwko prawu, Violet.

Cisnął moim pełnym imieniem, jakby dał mi po twarzy. Przystanąłam, a on ciężkim krokiem odszedł w las, zostawiając mnie wśród egipskich ciemności.

Samą.

Już wspominałam, że było kompletnie ciemno?

W moje piętnaste urodziny mama z rozmachem ustawiła przede mną talerz gotowanej kapusty. – Jeszcze tylko rok.

Być może w bezlitosnej matkomowie miało to znaczyć „wszystkiego najlepszego”, ale nie tak zrozumiałam jej słowa. Więc przełknęłam kapustę i uciekłam do Zenna.

Zenn podarował mi zegarek. Nie jakieś urządzenie z alarmami, kamerami i rejestratorami głosu, ale po prostu zegarek, który mogłam nakręcać, kiedy było trzeba. Znalazł go w Opuszczonym Rejonie i odnowił. Wskazówki o kształcie strzał mierzyły czubkami w połączone cyfry. Ten zegarek potrafił tylko pokazywać czas, ale znaczył dla mnie więcej niż jakiś kosztowny technoprezent. Chyba się rozplakałam, bo Zenn otarł mi policzki i wsunąwszy dłonie w rękawy koszuli, przesunął palcami po moich gołych przedramionach.

Zakazany dotyk.

Ręce Zenna były szorstkie od szkoleniowych treningów, jego ciało lgnęło do mojego. Przeszył mnie dreszcz.

A potem pocałowaliśmy się, przypieczętowując nasze wzajemne oddanie. Nadal pamiętałam ciepłe usta, przyciśnięte do moich warg.

Nie mam pojęcia, czemu błędząc po tym idiotycznym lesie Wodnego Miasta, wspominałam pocałunki Zenna. Może dlatego, że zawsze mnie chronił. Albo dlatego, że rozumiał moją potrzebę życia bez kontroli.

Albo dlatego, że on cię kocha.

Serce gwałtownie podskoczyło mi w piersi. Ze strachu. Po pierwsze, ten głupi głos powrócił. A po drugie, chciałam mu wierzyć. To za bardzo bolało.

Tamtego dnia, kiedy Zenn miał odejść do Sił Specjalnych, jeszcze przed wschodem słońca przekradliśmy się na skraj lasu. Każdy krok

sprawał mi cierpienie, bo przybliżał chwilę pożegnania.

Ale wtedy Zenn tego nie wyznał. O mało nie zmiażdżył mnie w rozpaczliwym uścisku, a ja płakałam, wtulona w jego szyję, plamiąc łzami kołnierzyk sztywnego, nowego munduru. Wreszcie Zenn obiema dłońmi ujął moją twarz i przytulił czoło do mojego.

– Wróć – szepnął. – Obiecuję, że będziemy razem, dobrze?

Nie odpowiedziałam, bo zabrzmiało to tak, jakby, równie żarliwie co mnie, próbował przekonać samego siebie. Scałował moje łzy i powtórzył poprzednie słowa. Myślałam, że powie, że mnie kocha. Nie powiedział. Jednak miał to wymalowane na twarzy. Czułam to w jego dotyku.

Zawróciłam i ruszyłam w stronę koszar Sił Specjalnych. Do Zenna. Jednak z każdym krokiem czułam, że robię źle. Głos syknął, że dobrze. Natychmiast się zatrzymałam.

– Milcz. I daj mi spokój. – W pustym lesie moje słowa zabrzmiały bardzo głośno. – Teraz sama podejmuję decyzje.

Stałam tam, głęboko oddychając. Wdech, wydech, wdech, wydech. Zamknęłam oczy i wypełniłam myśli Zennem. Kwadratowa szczeka. Ciepłe dłonie. Figlarny uśmiech.

Ten obraz zastąpiło wspomnienie Jaga. A potem taty. I już wiedziałam.

W Złych Ziemiach czekał na mnie tata. Czułam to tak wyraźnie, jak niegdyś dotyk Zenna na mojej skórze.

A Jag, no cóż, od początku wiedziałam, że jest prawie wolny. Chciałam czuć się podobnie przez cały czas, a to oznaczało, że muszę odejść.

Zrobiłam w tył zwrot i pobiegłam drogą, którą dopiero co nadeszłam. Za tydzień wypadały moje szesnaste urodziny. Miałam je obchodzić w Złych Ziemiach. Być może samotnie, ale – jak wierzyłam – na swobodzie.

Idę do Złych Ziem, oznajmiłam światu, Tych-Od-Myślenia, każdemu, kto słuchał. Zaczęłam sobie wyobrażać, jak tam wyglądają urodziny. Jak to jest, kiedy ludzie sami dokonują wyborów. Potem przypominałam sobie o Przymorzu i że wkrótce mogę być naprawdę wolna.

Pogrążona w myślach, potknęłam się i upadłam. Ból sparaliżował mi kolano, dostrajając się do ćmiącego w sercu uczucia straty. Tak czy inaczej, lada moment miało świtać, więc skuliłam się na ziemi i próbowałam odepchnąć bolesne wspomnienia o tym, jak wyglądało życie, zanim mój narzeczony dostał powołanie do Sił Specjalnych.

Jakiś czas potem obudził mnie własny żołądek. Do butelki z wodą wsypałam trochę proteinowych granulek, zostawiając na później ostatnie trzy saszetki. Jednak nic nie mogło wypełnić pustki w moim wnętrzu – tej, którą dotąd wypełniał Zenn. Albo tej, którą pozostawił Jag, kiedy mnie opuścił.

Wieczorną ciszę rozdarł krzyk jakiegoś ptaka. Głęboko odetchnęłam, napawając się rześkim leśnym powietrzem – dreszczyk emocji, że jestem w zakazanym miejscu. Byłam ciekawa, czy Jag zamierza wrócić, czy też zostawił mnie, żebym na granicy radziła sobie sama.

Staralam się o nim nie myśleć. Spakowałam rzeczy i przeciągnęłam się. Całe ciało bolało mnie od spania na twardej ziemi. Zaszkoziły też godziny, które każdej nocy spędzałam, idąc, biegnąc albo się przekradając.

Jeszcze raz otworzyłam plecak i zaczęłam grzebać w apteczce. Wetknęłam do ust pałeczkę przeciwbólową. Miała wstrętny smak – gorzki, kredowy, chociaż Ty twierdziła, że to efekt uboczny, bo jestem wyczulona na wszelką technikę. Jednak ssałam lekarstwo przez pełne dziesięć sekund. Nim zdążyłam posmarować maścią rozcięte czoło i ponownie się spakować, dolegliwości ustąpiły.

Do Opuszczonego Rejonu dotarłam, gdy świt barwił już niebo złocistym różem. Pospiesznie zeszłam z pagórka i schowałam się w jakiejś na pół zrujnowanej willi. Zza gór zaczynały właśnie wyzierać pierwsze promienie słońca.

Powietrze wewnątrz domu pachniało stęchlizną. Wdrapałam się na poddasze i dłuższą chwilę spoglądałam przez okno, trochę z nadzieją, że ujrzę Jaga, który zamaszystym krokiem nadchodzi, by mi pomóc. W końcu jednak musiałam pogodzić się z prawdą – najwyraźniej go straciłam.

W cieniu ziemia wydawała się czerwono-brązowa, ale w świetle

słońca jaśniała złotem. Żadnych zielonych pól, żadnych większych źródeł wody, budynki stare i zniszczone. Daleko za tym wszystkim słoneczne błyski odbijały się od szkła, wskazując rzeczywistą granicę Złych Ziem. Bo na ich terenach przygranicznych od dawna nikt już nie mieszkał. Nikt nie chciał, żeby nasze transmisje infiltrowały mu umysł.

Zadrżałam, ale po raz pierwszy nie ze strachu przed nieznanym. Wytrąciła mnie z równowagi myśl, jakim trzeba być człowiekiem, żeby zostać Tym-Od-Myślenia. W pamięci mignęło mi gniewne, kontrolujące spojrzenie środkowego Zielonego.

Tak, Ci-Od-Myślenia to nie moja bajka. Przynajmniej tyle mam wspólnego ze Złymi.

Przejścia pomiędzy Dobrymi i Złymi Ziemią strzegła wieża strażnicza na obrzeżach Opuszczonego Rejonu. Nie miałam identyfikatora, a mój lokalizator mógł aktywować sygnał „zbieg!”, gdybym za bardzo zbliżyła się do skanera.

Więc jako straszny tchórz, spędziłam w opuszczonej willi jeszcze jeden dzień, dumając o Jagu.

Naprawdę lubiłam go tylko za to, że jest zły? Nic podobnego. Nawet w to nie wierzyłam. Przez większą część popołudnia gapiłam się w stronę Złych Ziem i rozmyślałam o nim, o jego koszmarach, o byciu złym.

– To bez znaczenia – poinformowałam głośno dom.

Okazał się tak niskiej klasy technicznej, że nie odpowiedział. Szczęśliwie, zmilczał również głos, który z pewnością dowodziłby czegoś wręcz przeciwnego.

Następnego wieczoru byłam już psychicznie przygotowana do odejścia. Do tego, że nigdy nie wrócę. Nigdy nie zobaczę wspaniałego, uroczego Zenna. Nigdy nie będę Dobrym. Jeśli kiedykolwiek zostanę matką, moje dzieci będą Złymi. Na tę myśl o mało się nie cofnęłam, choćby w stronę więzienia.

Strażnicy stali zwrócenii twarzami ku północy, ale jedyna droga wiodąca na zachód przebiegała tuż za posterunkiem. Prześlizgnęłam się tamtędy, zaledwie kilka metrów od granicy. Nigdy dotąd nie znalazłam się tak blisko Złych Ziem. Łomot serca tętnił mi w uszach.

Właśnie kiedy pomyślałam, że mi się udało, zapiszczał alarm. Drzwi posterunku otwały się z trzaskiem i sygnał stał się jeszcze głośniejszy. Rzuciłam się biegiem ku zachodnim ruinom Opuszczonego Rejonu. Po tej stronie budynki dawnego osiedla tłoczyły się tuż nad urwiskiem. Ale ja nie chciałam się ukryć. Musiałam stąd uciekać. Natychmiast. Przede mną teren opadał ostro w dół, do wyschniętego rzecznoego koryta z prawie pionowym urwiskiem na drugim brzegu. Gdybym tylko potrafiła przeskoczyć dziesięć metrów, mogłabym dać susa ponad przepaścią. Ale cóż, nie miałam nadprzyrodzonej mocy.

Nie miałam również pojęcia, jak pokonać ten absurdalnie stromy klif i nie skręcić przy tym karku. Spróbowałam schodzić, co okazało się niewłaściwym pomysłem. Po jednym kroku klapnęłam ciężko na siedzenie. Lawina kamieni i błota towarzyszyła mi aż do podnóża zbocza. Hałas wzmógł panikę, która we mnie wzbierała. Serce waliło: wstawaj, wstawaj, wstawaj.

Nie czekałam na czerwone błyski czytników tęczy ani na warkot sfory poduszkopterów. Dźwignęłam się z ziemi i zaatakowałam przeciwległy stok. Posypały się za mną kamienie, błoto i pył. Palce mi krwawiły, po twarzy płynęły strużki potu. Ale udało mi się wspiąć na samą górę.

Udało mi się przekroczyć granicę.

Biegłam, dopóki nie padłam, ogarnięta stanem „nie widzicie mnie, nie znajdziecie mnie”. Powtarzałam te słowa, próbując złapać oddech. Mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Musiałam zasnąć, bo następną rzeczą, którą sobie uświadomiłam, było uczucie, że coś liże mnie po twarzy.

Kiedyś Ty przyprowadziła do domu psa. Tylko tyle potrzeba było naszej matce. Natychmiast zgłosiła im incydent. Przyszli i zabrali psa.

Trzymanie zwierząt jest, oczywiście, niezgodne z prawem. Zwierzęta wymagają opieki, a oni chcą, żebyście zajmowali się tylko tym, czym pozwolą wam się zajmować.

Moja siostra płakała przez kilka dni, a potem powiedziała, że tak naprawdę wcale nie chciała go mieć. Siedziałyśmy nad jeziorem. Ty skubała liść paproci, a ja karmiłam kaczki – obie czynności zakazane. Nie uwierzyłam jej. Marzyła o własnym zwierzątku. W każdym razie ta prawdziwa Ty. Tamtej nocy, kiedy usnęła, odpięłam jej łącze i podczepiłam do mojego komunikatora. Odmóżdżający głos deklamował najrozmaitsze okropności o zwierzętach. Bo czy wiedzieliście, że psy roznoszą choroby?

Moje transmisje dotyczyły pomocy sąsiadom, służeniu społeczności i słabszym. Wtedy zdałam sobie sprawę, że transmisje są dostosowane do każdej osoby, każdego zagadnienia.

Każdego niewolnika.

Ten pies bardzo przypominał zwierzaka, którego znalazła Ty. Krótkie, brązowe futerko było utyłane w złocistym piachu. Z pyska zwisał różowy język, niemal równie nisko jak opadnięte uszy. Pies podrapał się za jednym z nich i ziewnął. Śmierdzący oddech zionął mi w twarz. Odsunęłam się, zniesmaczona. Transmisje mówiły... Pokręciłam głową, walcząc o odzyskanie kontroli nad własnymi myślami.

Przywołałam zwierzątko.

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytałam, czując, że robię z siebie idiotkę. Najpierw rozmawiałam z domami, teraz z psem.

Pies usiadł, ziając.

– Super – powiedziałam, żałując, że nie wybrałam innego słowa. „Super” należało do Jaga.

Słońce przemierzyło już czwartą część swojej drogi po niebie. Nie pozostawało mi nic innego, tylko zaryzykować wędrówkę za dnia. Musiałam jak najszybciej coś zjeść, żeby nie umrzeć tam z głodu. Wówczas nikt by mnie nie znalazł i stałabym się złym-nikim, za którym się nie tęskni.

Zbyt wiele „nikogo”, nawet jak dla mnie.

Podniosłam się i rozpoczęłam mozolny marsz piaszczystą drogą. Pies truchtał obok mnie, nie przejmując się wzbijającym tumanem pyłu ani ewentualnymi poduszkopterami – które jednak nie nadlatywały. Kierowaliśmy się w głąb Złych Ziemi – ja, gadająca do psa, jakby rozumiał po angielsku i on, siadający, kiedy ja siadałam i idący, kiedy szłam. Na pewno nie opuściłby mnie, gdybym nazwała go „innym”. Czyżby Jag nie wiedział, że inność jest dobra? Najwyraźniej nie wiedział.

Ciężkim krokiem, gniewnie tupiąc, mijałam jeden po drugim porzucone budynki. Większość z nich kłuła w oczy zwęglonym drewnem i poskręcany metal. Ten rejon opuszczono podczas pożaru i nigdy nie odbudowano. W paru miejscach na popękanych kamieniach nadal błyszcząły strażackie pierścienie.

Miałki, czerwony kurz pokrywał cienką warstwą buty, oblepiał gardło. Bez kapelusza słońce spaliło moją twarz, nim zapadł zmierzch. Bez jedzenia nogi się pode mną trzęsły, a horyzont migotał to bielą, to blaskiem zachodu.

Słaba nadzieja zajaśniała mi, kiedy wreszcie znalazłam strumień. Zapominając o zanieczyszczeniach, niemal zachłystywałam się wodą. Schłodziłam spieczony kark i uszy. Jednak nakrywanie głowy to całkiem niezła zasada.

Z ziemi sterczały zielone pędy. Wyciągnąwszy ich szkarłatne bulwy, ledwie je obmyłam przed schrupaniem. Smakowały jak mydło z żelazem do włosów i niewielkim dodatkiem cebuli.

Ale nie narzekałam. Leżąc na plecach, gapiłam się w niebo. Gdy byłam mała, tata opowiedział mi, jak zgłaszała życzenia do gwiazd. Zachwyciło mnie to i chciałam o coś poprosić tę najjaśniejszą.

– Mogę tam polecieć i jej dotknąć? Wymyślę życzenie, jak będę wracała na dół.

– Nie, V – odparł. – Nikt nie może. I nie ma sensu życzyć sobie rzeczy, które nie mogą się spełnić.

– A kto mówi, że nie mogą?

– Violet. – Tata przykucnął i zajął mi w oczy. – Musisz nauczyć się zadowalać tym, co masz.

Patrzyłam na niego bez słowa.

– Czasem życie nie daje takiej wolności, żebyśmy mogli lecieć tam, dokąd byśmy chcieli. Rozumiesz, kochanie?

– Tak – powiedziałam cichutko. Tata uśmiechnął się, wziął mnie za rękę i poprowadził do domu, pilnując, by nie zobaczył nas ktoś z sąsiadów i nie doniósł, że łamiemy zakaz dotyku.

Ale teraz nie zadowalało mnie to, co miałam. Chciałam więcej. Chciałam swobodnie wypowiadać życzenia i jeść szynkę (gdyby udało mi się ją zdobyć). Przypomniawszy sobie tatę, zwróciłam się do najjaśniejszej gwiazdy. Samotna łza spłynęła mi po twarzy. Szybko ją wytarłam, zdecydowana odnaleźć mojego ojca.

Jeśli zdołasz, rozległ się szept.

Usiadłam wyprostowana. Strach pulsował mi w uszach. Nagle pod bezkresnym niebem, bez wiszących w powietrzu transmisji, skojarzyłam głos z osobą. Tym kimś, gnieźdzącym się w mojej głowie od dnia, kiedy poszłam na spotkanie z Zennem, był mężczyzna, który przemówił do mnie w laboratorium, gdzie wszczepiano mi lokalizator.

Thane Myers podążał za mną. Jak gruby koc spadły na mnie ciemności, ale minęło sporo czasu, zanim zdołałam zasnąć.

Kiedy obudziłam się następnego ranka, byłam sama. Super. Nawet psy nie mogły znieść mojego towarzystwa. Przeżułam kilka bulw, napełniłam wodą butelkę i po południu stanęłam na obrzeżach Złego Miasta. Zastanawiałam się, czy zaraz leniwym krokiem nie nadejdzie Jag ze swoimi przyjaciółmi. Błysk ubarwionej słońcem skóry w świetle gasnącego dnia, usta wygięte charakterystycznym uśmiechem. Nie nadszedł.

Moja fryzura wyglądała fajniej niż u tutejszych nastolatek.

Oczywiście ich włosy były raczej krótkie i pozbawione wszelkich ograniczeń w dziedzinie kolorów. Czerwone, pomarańczowe, utlenione. U wszystkich dziewczyn. Nic dziwnego, że Jagowi spodobały się kruczoczarne – takich nie miała żadna.

Przyglądałam się moim złym rówieśnikom. Wałęsali się po ulicach, żyjąc po swojemu, wolni od wspaniałego myślicielskiego zarządzania. A w zasadzie wolni od zarządzania w ogóle. Jak to jest żyć w taki sposób? Bez poczucia winy, że się łamie zasady i rozczarowuje własną matkę?

Nie miałam pojęcia.

Złe nosiły mnóstwo kolczyków. Żli osobiście zapewniali rentowność fabrykom żelu do włosów. Pary trzymały się za ręce. Jakiś chłopak przytulił swoją dziewczynę i pocałował ją w policzek, a ona wetknęła dłoń do tylnej kieszeni jego spodni i odeszli ulicą.

Patrząc na nich z boku, coś sobie uświadomiłam. Żli nie są źli z powodu opalonej skóry; tego, co robią z włosami; ani nawet z powodu skąpych strojów. Oni są źli, bo nie pozwalają się kontrolować.

Są źli, bo tak mi zawsze o nich mówiono.

Z rozmyślań wybił mnie huk. Mój instykt przestępcy zarządził ucieczkę. Schowana za skupiskiem skał na peryferiach miasta, spodziewałam się poduszkopterów, czerwonych czytników tęczówek i chmary agentów Sił Specjalnych, która zaraz otoczy bijący w niebo pióropusz dymu.

Oczywiście, nic podobnego się nie wydarzyło. Podjechał jakiś samochód, leniwie mrugając pomarańczowymi reflektorami. Dwaj mężczyźni w niebieskich uniformach z niskiej jakości technoświatłami na rękawach przesłuchali kilka osób, po czym uprzątnęli poczerniałą kupę spalonych opakowań. Jeden z nich powiedział „petardy”, ale nie miałam pojęcia, co to znaczy.

Żadnego zastraszania. Żadnych pogroźek. A mnie aresztowano za spacer po parku. Najwidoczniej w Złych Ziemiach możesz wysadzić coś w powietrze i jeszcze poczęstują cię kawą. Nie byłam pewna, czy to oznaka wolności, czy chaosu.

Tkwiłam przykucnięta za skałą, dopóki funkcjonariusze nie

odjechali. Kiedy się wreszcie wyprostowałam, moje stawy i mięśnie zaprotestowały boleśnie. A wyglądało na to, że czeka mnie kolejna noc pod gwiazdami.

I wtedy usłyszałam za sobą znajomy głos:

– Vi! Udało ci się!

Jag złapał mnie za rękę, przyciągnął do siebie i uściskał. Pachniał mydłem i świeżym letnim powietrzem. Miałam ochotę ukryć twarz na jego piersi, wdychając tę woń głęboko, aż po czubki palców. Zamiast tego odepchnęłam go. Nie ściemniło się jeszcze na tyle, żeby nie mógł dojrzeć mojego gniewnego spojrzenia. Oczywiście zauważyłam jego perfekcyjnie ułożone włosy.

– Tak się cieszę, że zdołałeś przedrzeć się przez granicę. – Skrzyżowałam ramiona i wlepiłam wzrok w horyzont. – Sam.

– Daj spokój, Vi, nie wściekaj się. – Uśmiechnął się figlarnie, jakby wiedział, że pragnęłam się nad nim porozczulać.

– Jesteś niesamowitym draniem – oznajmiłam. – Zostawiłeś mnie! Miał czelność wzruszyć ramionami.

– Nie waż się wzruszać ramionami!

Zrobił niepewny krok w przód, chociaż powinien był się cofnąć.

– Stój! – Zostawił mnie w lesie. Sama. Żebym przekroczyła granicę najbardziej przerażającej krainy, o jakiej w życiu słyszałam. Sama. – Obiecałeś. Powiedziałeś. – Przy każdym słowie szturchałam go w żebra. – Że. Mi. Pomożesz.

– Vi...

– Przestań tak do mnie gadać – warknęłam. – Już nie używasz mojego pełnego imienia?

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, po czym je zamknął.

– No, gadaj, Barque.

Znowu otworzył usta. Zacisnął powieki i pięści.

– Posłuchaj, powiedziałaś, że jestem inny. – Kiedy podniósł powieki, jego wściekłe spojrzenie mogłoby przewiercić mnie na wylot.

– Bo jesteś. – Przysunęłam się bliżej i tym razem to on dał krok

do tyłu. – Nie ma w tym nic złego.

– Dla mnie jest.

– To chyba jesteś psychiczny.

– Chyba ty jesteś – przerwał, a ja zamachnęłam się w stronę jego ładnej twarzy.

Chwycił mnie za rękę, zanim zdołałam go dotknąć.

– Violet, nie – w jego cichym głosie zabrzmiały przeprosiny. – Szukałem cię przez dwa dni.

– To naprawdę bardzo poprawia mi samopoczucie. – Próbowałam wyrwać się z jego uścisku. Zachichotał, ale ja chciałam nadal się wściekać. – Jag, nie rozumiesz? Powiedziałam ci, że moje życie stało się lepsze dzięki... a ty mnie zostawiłeś.

– Wiem, ale wróciłem. A ciebie już...

– Co miałam robić? Czekać na ciebie? Zaslugujesz na... na... sama nie wiem. Na coś naprawdę, naprawdę okropnego. – Głos mi się załamał, kompletnie psując efekt pogroźki.

– Proszę, nie złość się. – Jego słowa otulały mnie jak kołdra. Gasnący gniew zastąpiła ulga. Jag był tutaj. Znajdzie dla mnie miejsce do spania i coś lepszego do jedzenia niż bulwy o smaku żelu. Teraz wszystko będzie dobrze.

Kiedy usiedliśmy na skale, puścił moje ręce. Zapadło niekrepujące milczenie. Zupełnie jakby nie minęło trochę czasu, jakbyśmy się nie rozstawali, jakby Jag nie opuścił mnie, żebym sama przeprowiała się przez granicę.

– Chcesz, żebym ci poprawił włosy? – zapytał. Odczytałam Jagomowę jako: „Proszę, wybac mi, jesteś najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Tak bardzo, bardzo mi przykro i zrobię wszystko, jeśli później pozwolisz mi się pocałować”.

– Pewnie. – Usiadłam na zakurzonej ziemi, u stóp skały. Z tyłu, na moje barki delikatnie napały kolana Jaga. Pod jego dotykiem dreszcz przebiegł mnie od czubka głowy aż po gardło, w którym uwiązał oddech. Zakończywszy czesanie, Jag położył mi ręce na ramionach.

– Przepraszam. – Słowo wyszeptane do ucha sprawiło, że zadrżałam.

– Ja też – odparłam, wstając, zanim się całkiem rozkleiłam. – Nie wiedziałam, że inny znaczy zły.

– Po prostu zapomnijmy o tym, okej?

– O czym?

Roześmiał się – zupełnie jak Ty, kiedy robiłam jej ten numer – i wyciągnął apteczkę.

– Pozwól, że cię podleczę.

Przyglądałam mu się, kiedy smarował kremem moją ogorzałą twarz i sprawdzał ranę u nasady włosów.

Pomiędzy nami toczył się niemy dialog. Słowa, których nie mogliśmy wypowiedzieć, łątały dziury w milczeniu.

Skończywszy, Jag ostrożnie splótł swoje palce z moimi.

– Chodź, pokażę ci miasto.

Miło było tak iść za rękę. Jag dotykał mnie już przedtem wiele razy, ale nigdy nie trzymał mojej dłoni, skóra przy skórze. Transmisje są krystalicznie jasne. Żadnych kontaktów z drugim człowiekiem od ukończenia ośmiu lat aż po zawarcie małżeństwa. Ta zasada jako pierwsza wpajana jest już w trzecim roku życia, bo wtedy transmisje stają się obowiązkowe.

Uściskałam tatę, zanim odszedł. Mój ojciec łamał zasady, a przynajmniej robił to, kiedy nikogo nie było w pobliżu. Zenn też trzymał mnie za rękę, nawet całował. Ale zawsze sekretnie.

Po drodze Jag pokazywał mi różne ciekawostki. Ludzie, gawędząc, oblegali ławki i krawężniki. Niektórzy siedzieli w kawiarnianych ogródkach i jedli, jeszcze inni wędrowali po szmaragdowej trawie z kocami, domowymi zwierzakami i przyjaciółmi.

W oddali widniały schludne rzędy domów, wznoszących się wzdłuż prostych ulic. Pomarańczowe światła zalewały każdy kąt, ciągnąc się tak daleko na północ, jak tylko mogłam sięgnąć wzrokiem. Złych było więcej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałam. Jednak kłębiący się dookoła tłum wcale nie wydawał się taki okropny.

Wodziłam wzrokiem od twarzy do twarzy z nadzieją, że któraś będzie przypominała tatę. Nikt nie zwracał na mnie uwagi i nikt nie wyglądał ani odrobinę znajomo. Odpuściłam sobie poszukiwania

i próbowałam zrozumieć, co Jag do mnie mówi. Niektóre informacje były jasne. Na przykład:

– W dzieciństwie lubiłem tutaj karmić kaczki.

Ale już po chwili wskazał biały murowany budynek i dodał:

– A tu odbieramy korespondencję.

– Coś jak e-commy?

– No, nie, niezupełnie. Mamy trochę techniki: telefony, komputery i tym podobne, ale nic w rodzaju waszych e-commów. Nasza korespondencja to wiadomości na papierze.

Z budynku wyszło kilka osób, trzymając w dłoniach papierowe prostokąty. Dziewczyna z najeżonymi, czerwonymi włosami spojrzała na swój i roześmiała się. Rozerwała go, a ja odwróciłam spojrzenie. Nie wiedziała, ile drzew poświęcono, żeby wyprodukować papier?! Nie wiedziała, że większość drzew spłonęła w pożarach?!

Ale gdy to pomyślałam, poczułam wątpliwości. Opierałam się na szkolnych projekcjach o ścinaniu drzew i wytwarzaniu papieru. Tylko że w szkole pokazywali mi również, jak wygląda więzienie, a to akurat okazało się bujną. Może wszystko, czego mnie uczono, było kłamstwem.

Czy wszystko może być inne, niż sądziłam? Inne, inne, inne. W Dobrych Ziemiach pragnęłam inności. Tutaj chciałam się dopasować.

Bez zastanowienia wyciągnęłam rękę i opuszką palca przesunęłam po przedramieniu Jaga. Zamilkł w pół zdania, wytrzeszczając na mnie oczy. Jego wstrząśniętą minę odebrałam jak policzek. Gwałtownie się odsunęłam. Dobre dziewczyny nie dotykają chłopaków. Nawet tych dobrych. A Jag nie był dobry.

Sięgnął do moich włosów i wetknął mi kosmyk za ucho.

– Hej, po prostu mnie zaskoczyłaś. Tutaj wolno dotykać ludzi. To jest w porządku.

Wtedy coś we mnie pękło. Nie wiem co. Może byłam w szoku po porzuceniu życia, jakie dotychczas znałam.

A może w głębi serca zawsze chciałam być złą dziewczyną, ale kiedy stałam się nią naprawdę, okazało się to zbyt bolesne.

Wyrwałam dłoń z uścisku Jaga. Wyglądał, jakbym go uderzyła.

Chciałam się jakoś usprawiedliwić, ale moje usta nie potrafiły uformować właściwych słów. Jednak Jag zrozumiał, bo błysnąwszy swoim typowym zwycięskim uśmiechem, splótł ręce za plecami.

Szłam obok niego, a on dalej opowiadał mi o mijanych miejscach.

– To jest kino. Czasem wpadamy tutaj na filmy.

Ścianę budynku zdobiły obrazki – drukowane na papierze. Zagapiłam się na kobiety w koszulkach bez rękawów, mężczyzn z bronią i dwoje ludzi, którzy oplatali się nawzajem ramionami. Nie mogłam od nich oderwać wzroku.

– Filmy? – wykrztusiłam.

– Tak. Takie naprawdę długie programy telewizyjne.

– Programy telewizyjne?

Twarz Jaga zajaśniała szczęściem i następną rzeczą, jaka do mnie dotarła, był dotyk jego rąk, przesuwających się wokół mojej talii. Staliśmy zbyt blisko siebie, zetknięci ciałami.

– Coś w rodzaju waszych projekcji – wyjaśnił łagodnie, przechyliwszy na bok głowę. Ujął mnie za nadgarstek i podciągnął rękaw mojej koszuli tak wysoko, jak tylko się dało. – Dziewicza skóra – szepnął.

Nie odrywając ode mnie wzroku, podciągnął drugi rękaw. Resztki słonecznego ciepła grzały mi ciało. I sprawiały przyjemność – aż za bardzo. To prawda, że przestałam słuchać transmisji. Chodziłam do parku. Z chłopakiem. Po zmroku. Miałam na swoim koncie mnóstwo różnych wybryków. Ale nigdy nie pozwoliłam słońcu dotknąć skóry.

Poczułam się skalana.

A teraz dotykał jej Jag, gładząc w górę i w dół moje gołe ręce. Jego dłonie wydawały się równie niebezpieczne, jak słoneczny blask. Zadrżałam.

– Przepraszam – wymamrotał, odsuwając się trochę. Szybko opuściłam rękawy, czując, że ciepło jego dotyku ogarnia mi twarz.

– Jesteś prawie jedną z nas, wiesz o tym. – Wsunął ręce do kieszeni dzinsów. – Potrzeba ci tylko nowej koszuli i odrobiny opalenizny.

Miał rację. W Dobrych Ziemiach ludzie gapili się na mnie

z powodu fryzury. Tutaj rzucały się w oczy moje ciuchy i mleczna biel ciała.

Obok przeszły dwie dziewczyny. Ich palce dosłownie fruwały nad telefonami. Rozległ się przerywany brzęczyk. Jedna z nich radośnie zapiszczała. Pokazała ekranik aparatu koleżance. Obie odrzuciły głowy do tyłu i wybuchnęły śmiechem, jaki słyszałam tylko u Jaga. Niekontrolowanym.

Dziewczyna, która dostała wiadomość, zaczęła szybko pisać odpowiedź. Miała na sobie krótką spódniczkę i buty do kolan. Koszulka bez rękawów odsłaniała złocistą skórę, delikatniejszą niż u Jaga. Każde pasmo włosów do ramion było innego koloru. Utlenione, brązowe, czerwone, czarne, nawet smugi purpury.

Druga Zła miała włosy jaskraworóżowe. Podobały mi się. Byłam ciekawa, czego użyła do farbowania. Jej kuse, beżowe szorty z trudem pozwalały się zaliczyć do wierzchniej odzieży. Dół zielonej koszuli zawiązała w węzeł. Ciało dziewczyny było naturalnie ciemne, a nie ogorzałe od słońca.

– Zamierzacie tak przejść i nawet nie powiecie cześć?! – zawołał Jag.

Ta z różnobarwną fryzurą obejrzała się przez ramię. Na jej twarz wypłynął szeroki uśmiech.

– Jag! – Skoczyła mu w objęcia. Jag chwycił ją w talii i poderwał w górę, a ona oplotła go nogami w pasie. Wyglądało, jakby stopili się w jedno. Przyglądałam się temu, rozdarta pomiędzy zazdrością o ich bliskość i pragnieniem, by ujrzeć Zenna i też uściskać go w taki sposób.

– Gdzieś cię wcięło – powiedziała, kiedy postawił ją na ziemi. Nadal obejmując go jedną ręką, schowała telefon do kieszeni.

Jag wzruszył ramionami.

– To jest Vi. – Skinął ku mnie dłonią i przez chwilę trwał w tym geście, jakby oczekiwał, że ją wezmę. Nie wzięłam. Dziewczyny otaksowały mnie, przyglądając się bacznie granatowoczarnym włosom, spalonej słońcem twarzy i absurdalnie długim rękawom.

Jag wskazał na właścicielkę ohydnych butów i kolorowych pasemek.

– Vi, to jest Sloan. – Po czym uśmiechnął się do różowowłosej: – A to Indy. Moje koleżanki.

Uśmiech, którym odpowiedziała mu Indy, zapowiadał o wiele więcej niż koleżeństwo.

– Cześć – powiedziałam. (Owszem, potrafię być uprzejma, gdy sytuacja tego wymaga.)

– Dobra? Znowu przyprowadziłeś kogoś z Dobrych Ziem? – Szeroko otwarte oczy Sloan spoglądały to na mnie, to na Jaga.

– Zamknij się, Sloan. Ona jest prawie Zła – stanął w mojej obronie Jag. Mówił tonem, którego nigdy u niego nie słyszałam. Swobodnym, lekkim. Bez nuty błagania, bez seksownego zabarwienia. I nie tym leczącym bezsenność. To już nie był chłopak, jakiego znałam.

– Znowu? – Uniosłam brwi.

Po raz kolejny wzruszył ramionami. Zapas mojej uprzejmości był już na wyczerpaniu. Odeszłam. Zanim dotarłam do końca ulicy, Jag, Sloan i Indy tworzyli zwarty trójkąt.

Jag gestykulował. Oczy szeroko otwarte, szybko poruszające się usta. Potok słów. Może wcześniej błędnie interpretowałam Jagomowę?

Spodziewałam się, że ma przyjaciół, ale nie przyszło mi do głowy, że to dziewczyny. Zazdrość piekła mnie w gardle, obojętnie, ile razy przełykałam ślinę. Wraz z nią pojawiła się dręcząca myśl: być może Jag nie powiedział mi prawdy. A przynajmniej niecałą.

Mój gniew sięgał rozmiarów pełnoobjawowej furii, kiedy usłyszałam głos Thane'a: *On jest zły, a ty nie. Dokonałaś niewłaściwego wyboru.*

Niemal mu uwierzyłam. Co rozwścieczyło mnie jeszcze bardziej. Zmrużyłam oczy i spojrzałam w głąb ulicy, wyobrażając sobie, że jakimś cudem go tam zobaczę.

Chodnik był pełen ludzi, którzy właśnie wyszli z kina. Straciłam Jaga z oczu.

– Hm, wyglądasz jakoś inaczej – odezwał się ktoś z tyłu.

„Inaczej”, zabrzmiało echem w moich uszach, kiedy się odwracałam. „Inaczej” zdecydowanie znaczy źle.

Przede mną stał łysy mężczyzna. Człowiek, który dawno temu

zabrał Blaze'a.

Ten sam, do którego strzelałam z paralizatora. Ten sam, którego zostawiłam na pewną śmierć. Sądząc po jego minie, dobrze o tym pamiętał.

Nie – jęknęłam, odskakując do tyłu.

Twarz Łysola wykrzywił okrutny uśmiech.

– Gdzie jest Jag? – Baczne spojrzenie śledziło zatłoczoną ulicę, sztuczny grymas przywierał do warg. Przesunęłam się w kierunku tłumu, absolutnie pewna, że jeśli ruszę biegiem, mam szansę go zgubić. Łysol energicznie wyciągnął czytnik tęczówek i aktywował go. Zacisnęłam powieki, wsunęłam nadgarstek z lokalizatorem do kieszeni, odwróciłam się i popędziłam przed siebie.

Dookoła rozległy się krzyki i tupot nóg. Żli rozbiegali się we wszystkie strony. Tak, rażące światło czytnika daje taki efekt. Ludzie wpadali na mnie, więc otworzyłam oczy. Ulicę przede mną rozjaśniała nieziemska szkarłatna poświata.

Dawno temu tata opowiadał mi o Mojżeszu, przed którym rozstąpiło się Morze Czerwone, żeby mógł suchą stopą przeprowadzić przez nie Izraelitów. Właśnie to mi się przypomniało, kiedy przepychałam się przez tłum. Jakimś cudem ludzie robili mi przejście. Biegłam, mając nadzieję, że droga zamyka się za mną i Łysol straci mój ślad.

Jag ze swoimi przyjaciółkami gdzieś się zapodział.

Budynki wzdłuż nieruchomych chodników były ciemne. Niebo przybrało niepokojący odcień grafitu. Co miałam zrobić, gdybym nie zdołała odnaleźć Jaga? Samotny nocleg w lesie w Dobrych Ziemiach to jedno. Ale samotny nocleg w Złych Ziemiach z depczącym mi po piętach szaleńcem to już całkiem co innego.

Uznawszy, że wszystko lepsze niż aresztowanie, przyłączyłam się do dwóch chłopaków, którzy biegli w stronę strumienia.

– Vi! – Z budynku na peryferiach miasta nagle wynurzył się Jag i wciągnął mnie do bramy. Sloan i Indy zniknęły.

– Ten łysy facet jest tutaj! – Całkiem się rozsypałam.

– Ciii! – Jag wyjrzał na ulicę. Światło stawało się coraz jaskrawsze, zalewało mu twarz krwawą barwą.

Wepchnął mnie głębiej w kąt. Nawet przez grubą koszulę cegły wydawały się chłodne i szorstkie. Jag stanął przede mną. Czerwone światło padało niemal prosto na nas. Czytniki nie wykrywają temperatury, jedynie tęczówki i urządzenia elektroniczne. Mogłam tylko mieć nadzieję, że Łysol nie zbliży się wystarczająco, żeby wychwycić kod kreskowy lokalizatora.

– Niedobrze – szepnął Jag. Bez ostrzeżenia przycisnął się do mnie całym ciałem, od stóp aż do ramion. – Nie ruszaj się. – Zerknął za siebie. Teraz czerwone światło pulsowało. Serce uderzyło mi szybciej. Zamknęłam oczy i gwałtownie wciągnęłam powietrze. Dobrze, że to zrobiłam.

Bo Jag mnie pocałował. Otulił mnie ramionami i gładził po plecach. Lokalizator tkwił wciśnięty pomiędzy nas. Na szczęście. Ciepło naszych ciał mieszało się, wszystko wydawało się zbyt gorące.

Może temperatura wzrosła, kiedy Jag przecesał mi palcami włosy. A może, kiedy poczułam słony smak jego warg na moich ustach. Całował mnie jeszcze długo po tym, gdy minęło niebezpieczeństwo. Bynajmniej się nie uskarżałam. Prawdę mówiąc, odpowiadałam mu tym samym. Moja swobodna ręka odruchowo sięgnęła, by dotknąć jego twarzy.

Kiedy przestał, bardzo głęboko zaczerpnęłam powietrza.

– Super – wymruczał bez tchu.

To nawet w części nie oddawało istoty rzeczy.

– Myślę, że się udało. – Jag wyjrzał zza narożnika bramy. Zapomniałam o czerwonym świetle śmierci. O co chodziło z tym „udaniem”? – Chodź. – Mocno ścisnął moją dłoń. – Potrafisz biec?

– A myślisz, że dotarłam tu na deskolotni?

Uniósł brew i poprowadził mnie przez tonącą w mroku dzielnicę. Po chwili skręcił na opustoszały chodnik z małym ekranem na końcu.

– Hej. – Zwolniłam naprzeciw terminalu. – Ten chodnik był kiedyś ruchomy.

– Tak – odparł. – Właśnie dlatego ostatnim razem mnie u was

złapali. Widziałaś zdjęcie.

Zmarszczyłam czoło.

– To, na którym otacza cię tylu Dobrych?

– Aha.

– Zdobyłeś coś, żeby go naprawić?

– Nie. Pospiesz się. Właśnie tutaj mieszkam. – Poprowadził mnie do parterowego domu. Pas złocistego blasku wydostawał się przez szparę pod drzwiami. Jag nagle zatrzymał się na najwyższym schodku.

– Uff – sapnęłam, kiedy muskularna ręka trafiła mnie w żebra.

Dwoma palcami leciutko pchnął drzwi. Uchyliły się nazbyt łatwo, odsłaniając długi hol. Wszystkie światła były włączone. Jasne technoświatła. Popłynęły ku nam jakieś głosy, ciche i niewyraźne.

Jag wstrzymał oddech.

– Zostań tutaj.

– Dobrze. – Kurczowo chwyciłam go za ramię, bo przed oczami zawirowały mi białe plamki od nasilenia techniki.

Oczy Jaga złagodniały. Wargi wygiął uśmiech.

– Co? Będzie ci mnie brakowało?

Zaczerwieniona, odwróciłam wzrok. Przedtem patrzyłam na światła, więc teraz ciemność wydała się jeszcze gęstsza.

– Vi, to mój dom. Wszystko w porządku. Po prostu moi współlokatorzy mają imprezę.

– Nieprawda. Jak tam wejdiesz, już nie wyjdiesz.

Uśmiechnął się niczym rodzic, kiedy dziecko opowiada mu, że właśnie widziało wielkiego potwora, pokrytego brązowym futrem.

– Wezmę tylko telefon. Bez niego umieram. I musimy mieć jakiś prowiant na drogę do Przymorza. Zaraz wrócę. Obiecuję.

Wyszarpnął rękę z mojej dłoni i przekroczył próg domu.

Źle zrobił. Nigdy nie należy wchodzić w światło. Zwłaszcza w światło technoindukowane.

Kiedy tak stałam w mroku, patrząc za znikającym w holu Jagiem, przypomniało mi się, jak tata opowiadał mi o świetle i ciemności, i o tym, że Bóg je rozdzielił. Wtedy nie rozumiałam, co chciał przez to powiedzieć.

Jednak gdy frontowe drzwi zatrzasnęły się z głośnym szczęknięciem, światło zostało oddzielone od ciemności. Właśnie wtedy dotarło do mnie, że człowiek nie może być jednocześnie dobry i zły, tak jak mrok nie może istnieć w świetle.

Co oznaczało, iż muszę dokonać wyboru.

Zło czy dobro? – bez końca kłębiło mi się w głowie. Do mojego głosu dołączył drugi, drwiący.

Odczep się! – rozkazałam i Thane umilkł. Świadomość, że słucha każdej mojej myśli, wytrąciła mnie z równowagi.

Usiadłam na schodkach, zdecydowana trzymać go od siebie z daleka, odzyskać kontrolę nad własnym umysłem.

Z tylnej części domu dobiegały hałasy, zapewne muzyka. Współlokatorzy Jaga musieli nieźle imprezować. Odczekałam cztery piosenki.

Potem piątą. Szóstą.

Jag nie wracał.

Więc pozwoliłam sobie się wkurzyć. Co konkretnie oznacza, że z sercem podchodzącym do gardła przekradłam się za róg. Muzyka stała się głośniejsza. W ogródku za domem kręcili się i śmiali jacyś ludzie. Przykucnęłam pod jedynym oświetlonym oknem. Wzięłam głęboki oddech i zajrzałam do środka.

Wiedziałam, że Jag nie powinien był tam wchodzić. Bo teraz ten głupi chłopak siedział przywiązany do krzesła.

Gapiałam się na niego o wiele dłużej, niż należało, głównie dlatego,

że rozproszył mnie widok jego nagiej – muskularnej – klatki piersiowej. Po pierwszym szoku zauważyłam dwie okrągłe nalepki po obu stronach mostka. Technomonitor. Na jednym z nich migotało zielone światełko. Jak do tej pory, wszystko, co powiedział, było prawdą.

Ciągle jeszcze czułam na wargach jego pocałunki. Moja dobroziemska koszula przesiąkała jego wonią. Chciałam mu pomóc, ale były trzy istotne przeciwwskazania.

Łysol, Jastrzębica i Mechan.

Robot musiał mnie wyczuć – temperaturę ciała albo kreskowy kod lokalizatora – bo rozległo się zawrozczenie alarmu.

Schyliłam się i zacisnęłam zęby. Cholerne Mechany. Miałam szczerze dosyć tego, że zdradzają, gdziekolwiek się znajdują. Nienawidziłam ich za umiejętność wykrywania ciepła. Gardziłam nimi za zdolność odczytywania kodów kreskowych. Za wszystko.

Kipiące we mnie gniew, strach i rozpacz wydobyły się na powierzchnię. Skoncentrowałam się na mechanizmie robota, do którego wystarczyło sięgnąć przez okno. W moim mózgu wyła syrena.

Przestań! – wrzasnęłam w myśli.

Przestała.

Nagle zachciało mi się zwymiotować własne wnętrzności. Ale nie miałam na to czasu. Krzyki Łysola i Jastrzębicy zmieszały się w jeden wrzask. Oboje wybiegli tylnymi drzwiami do ogródka za domem.

Ignorując głos w mojej głowie (*Zostaw go. Ratuń siebie. Nie wybieraj źle – znowu*), zaczęłam gramolić się przez okno. Namowy Thane'a sprawiły, że czułam się jeszcze bardziej zdeterminowana, by wydostać Jaga. Może mieliśmy zostać rozdzieleni, zanim Thane wykona następny ruch?

A może nie jestem takim potworem, jak ci się wydaje?

Jego słowa pogmatwały moje uczucia. Było jasne, że mógł kontrolować innych, a ja zdecydowanie nie należę do fanek Tych-Od-Myślenia. Ale skoro Thane mnie strzegł... Mieć go po swojej stronie to czysta korzyść.

W pokoju upadłam ciężko na kolana, tuż obok pogiębionego

robota, obezwładniona ładunkiem techniki wewnątrz domu. Zupełnie jakby ktoś chlusnął mi w twarz kubłem lodowatej wody. Powietrze nie chciało napędnąć płuc. Czyjaś ręka spróbowała chwycić mój plecak. Wyszarpnęłam się.

– Przestań! – rozkazałam. Oczy Łysola zrobiły się puste, zamglone, jakby ze szkła. Ujrzałam jeszcze wielki dziób Jastrzębicy, zanim zawróciła w stronę podwórka na tyłach domu.

Rzuciłam się przez pokój i zatrzasnęłam marną zasuwę. Kompletnie bezużyteczną. Mógł ją rozwalić jeden solidny kopniak. A widziałam, jak Jastrzębica potrafi kopać.

– Jag? – Ukłękłam i zaczęłam rozwiązywać mu ręce. – Co za cholerne technonateżenie. – Moje palce gmerały przy mocno zaciśniętych węzłach. Klimatyzacja dmuchała mi w kark, dokładając się do technożaru w piersi. Czułam się, jakbym w zimowych rękawiczkach próbowała rozplątać zasupłaną nić.

– Miałaś rację – odezwał się Jag. Milczałam. Oczywiście, że miałam rację.

– Skąd wiedziałaś?

– Jestem Dobrą, pamiętasz? – Nie potrzeba było Tego-Od-Myślenia, żeby to zrozumieć. Och, i cały ten tech-noszum był oczywistą wskazówką. Szmer maszyn wwiercał mi się w głowę. Korzenny zapach żeluz był tak mocny, że przyprawiał o mdłości.

W końcu rozplątałam pęta i Jag sam zabrał się do uwolnienia swoich nóg. Na palcach podeszłam do drzwi. Po drugiej stronie zbliżały się kroki.

– Pospiesz się! – syknęłam, mijając go, gdy wstawał. Otworzył okno na oścież i wypchnął mnie głową naprzód. Nie było to tak bolesne, jak lądowanie Jaga na moim brzuchu, które wydusiło całe powietrze z moich płuc. Albo jego buciór wbity w moje udo, kiedy próbował się podnieść.

– Uuch! – sapnęłam. Zagrzechotało drewno, rozległy się wściekłe krzyki Jastrzębicy.

– Szybko! – Tego nie musiał mi powtarzać. Dobiegł nas trzask wyłamywanych drzwi. Rzuciliśmy się do ucieczki.

Kurczowo ścisnęłam jego dłoń, kiedy kluczyliśmy ogródkami

i opustoszałymi ulicami. Po kilku minutach Jag ze stęknieniem zerwał elektroniczne plastry z piersi. Spodziewałam się ryku syren albo czerwonych migaczy, ale nic się nie działo.

Wkrótce zostawiliśmy za sobą domy i uliczne światła. Teraz biegliśmy tylko pod drzewami. Jeśli w lesie miało być ciemniej, to niewątpliwie było. Jag niemal włókł mnie u swego boku, posuwając się po nierównym gruncie. Gałęzie drapały mi twarz i chwytaly za prawie pusty plecak. Staralam się je odgarniać.

Przemierzając tereny Wodnego Miasta, spędziłam kilka dni w różnych zagajnikach, ale tutaj las wydawał się straszniejszy. Ciemniejszy. Bardziej niebezpieczny.

Płuca mnie piekły, nogi jakby nie należały do reszty ciała.

– Jag – wydyszałam, opierając się o pień drzewa. – Muszę odpocząć.

– Jeszcze tylko kawałeczek – szepnął. Zadrzałam, kiedy chłodne powietrze owiało mi twarz, zmieniając pot w ciekły lód.

Jag przytulił mnie do nagiej piersi. Jego serce uderzało tuż przy moim ramieniu. Próbowałam się opanować. Las mnie przerażał, ale to, co czułam, to nie był strach. Raczej niecierpliwe oczekiwanie, że znowu mnie pocałuje, porwie w objęcia, tak jak to zrobił ze Sloan, wsunie swoje stopy pomiędzy moje, aż nasze kolana się zetkną i ciała przywrą jedno do drugiego.

Cóż, zakochałam się w Jagu Barque'u.

Wreszcie zatrzymaliśmy się pod największą sosną na świecie. Jag wymownie wskazał ręką w górę. Jakby to wystarczało.

– Mamy wleźć na drzewo?! – przeraziłam się.

– Tylko do połowy.

Wysokość nie jest moją mocną stroną. Jako ludzie dobrze sytuowani mieliśmy w osiedlu teleporter, więc nigdy nie musiałam uczyć się jazdy na deskolotni. Jedyne przypadki, kiedy znalazłam się w powietrzu, to przeloty poduszkopterem. I nie były pomocnym wspomnieniem przy tej wspinaczce.

Jag poruszał się szybciej niż ja, ale czekał, gdy się miotałam w poszukiwaniu oparcia pod stopy.

– Nie, spróbuj na tę – szepnął, pukając mnie w lewy łokieć

i wskazując gałąź, której wcześniej nie dostrzegłam.

Posuwaliśmy się w górę kawałek po kawałku, aż poczułam, jakby powietrze stało się zbyt rozrzedzone, żeby nim oddychać. Gdy znów wyciągnęłam rękę, moja dłoń uderzyła w solidny kawał drewna. Domek na drzewie.

– Sam go zbudowałeś? – ja też szeptałam. Bo zawsze ktoś mógł słuchać.

– Nie. Mój brat. Dawno temu. – Kiedy wdrapał się na platformę, w jego głosie brzmiało zmęczenie.

Byłam ciekawa, który brat – Blaze czy Pace – ale oczywiście nie zapytałam. Domek na drzewie miał cztery ściany i dach, za to żadnych okienek, tylko nieduży otwór w podłodze. Jednak w środku Jag mógł stanąć wyprostowany. Wydobył z kąta koc, strzepnął go, rozścielił i położył się.

Wyciągnął do mnie rękę, żebym się przyłączyła. Mimo to dalej sterczałam koło wejścia.

– Robi się zimno, a nie mamy tu więcej koców – powiedział. Przetłumaczyłam to sobie na: „uprzejmy ze mnie facet, ale bez przesady”.

Chciałam koło niego spać. Aż za bardzo. Jednak dobre dziewczyny nie rzucają się na chłopaków. Zwłaszcza na tych złych. Co Jag o mnie myślał? Całował mnie, to prawda, ale tylko po to, by czytnik nie zeskanował naszych oczu. Czy tak?

A poza tym, o czym w Złych Ziemiach świadczy pocałunek? Bo w Dobrych coś oznacza. Że masz wobec kogoś zobowiązanie. Tak jak ja miałam zobowiązanie wobec Zenna.

Ściągnęłam plecak, znalazłam niebieską więzienną bluzę i rzuciłam Jagowi.

– Hej, przechowałeś ją?

Wzruszyłam ramionami, czego nie zauważył, bo właśnie wciągał bluzę przez głowę. Tak czy inaczej, nie potrafiłam wydobyć głosu, żeby powiedzieć chociaż kilka spójnych słów.

Jag ziewnął i znowu się położył.

– Vi? Chodź, proszę. Wiem, że jestem obrzydliwy, ale...

– Nie jesteś obrzydliwy – przerwałam mu, siadając. Skóra aż

świerzbila mnie z tęsknoty za jego dotykiem, a prośba Jaga dowodziła, że nasz pocałunek miał dla niego znaczenie. Jednak rozum alarmował, by zachować przyzwoity dystans.

– Wiesz, przez ostatnią godzinę zadreślałem się jak diabli.

– Chcę, tylko po prostu jestem...

– Zdenerwowana?

Raczej piekielnie przerażona.

– Chyba tak.

Przyciągnął mnie do siebie.

– To głupota – powiedział z ustami przy moich włosach. – Przez dwie godziny stałaś pod zimnym prysznicem. W zeszłym tygodniu wkopałaś tej babie. Sama przedarłaś się do Złych Ziem. Nie dałaś się złapać. I niczym się nie denerwowałaś. Spokojnie możesz się położyć koło spoconego chłopaka.

Usiłowałam mu powiedzieć, że nie o to chodzi. Że naprawdę chcę przy nim leżeć, spoconym czy nie, ale nie mogłam znaleźć właściwych słów.

– Aha – mruknął i otoczył mnie drugim ramieniem, poprawiając koc, żeby okrywał nas oboje. – Będzie ci ciepło. – Mówił sennie, nieskrępowanym, szczęśliwym głosem.

Jego wargi były tak blisko – tuż przy moim uchu. Zadrżałam. I nie miało to nic wspólnego z chłodem. Jag przyciągnął mnie do siebie, wtulając rękę pod mój łokieć.

– Jag?

– Mhm?

– Co teraz będzie?

– Idziemy spać. – Brzmiało to tak, jakby już drzemał.

– Ale co będzie jutro? – Naprawdę miałam na myśli: Co z poszukiwaniami taty? Czego od nas chce Thane Myers? Kiedy pójdziemy do Przymorza? Nie możemy tu zostać.

– To nieważne.

Obróciłam się, żeby na niego spojrzeć, ale widziałam wyłącznie ciemność.

– Jak możesz mówić...? – Jego usta trafiły na moje, przerywając mi w pół słowa.

– Tylko ty jesteś ważna – wyszeptał. Czułam na policzku głęboki, równy oddech, na ramieniu kreślący koła kciuk.

Ten zły chłopak ma rację, odezwał się kpiący głos. Jesteś bardzo ważna. Co wybierasz?

Uciszyłam go, zdecydowana nie odpowiadać Thane'owi, głupiemu Temu-Od-Myślenia, który nadal wierzył, że może nade mną panować.

A nie mógł.

Czekając, przemierzam pokój. Cały w politurowanym drewnie i czerwonym aksamicie. No i gdzie on się podziewa?

Mój brat – tylko o kilka lat ode mnie starszy, ale z długimi, srebrnymi włosami – śmieje się.

– Wyluzuj, Jag.

– Jestem wyluzowany, Pace – wyrywa mi się ostrym tonem.

Otwierają się drzwi i oto wreszcie jest. Blaze. Starszy. Mądrzejszy. Szok mąci mi w głowie.

– Blaze. – Stopy wymuszają na mnie ruch do przodu i nagle okazuje się, że biegnę.

– Mały braciszek! – Blaze zgniata mnie w uścisku. Oddech opuszcza moje płuca, unosząc ze sobą strach i ból. – A niech to, jesteś olbrzymi.

Chichoczę.

– A ty nie taki wysoki, jak pamiętam.

– Pewnie, rosłeś przez ostatnie osiem lat. Ja nie.

– No, raczej. – Wpatruję się w jego farbowane na czarno włosy, kwadratowy podbródek, niebieskie szaty. – Co to za strój?

– Jestem Pomocniczym Opiekunem. Pace ci nie wspominał?

Zerkam na Pace'a, który bardzo szybko przesuwa dłoń po twarzy.

– Nie, nic mi nie mówił.

Blaze otacza ramieniem moje plecy, jak to często robił, kiedy byłem dzieciakiem.

– Nie martw się. Nadal działamy w Ruchu Oporu. Prawdę mówiąc, właśnie dlatego Pace cię przyprowadził. – RzUCA mi przenikliwe spojrzenie. – Co byś powiedział na to, żeby się tu przenieść?

Myśl o życiu w Przymorzu – z Blaze'em – przyprawia mnie o zawrót głowy. Próbuję zdobyć się na uśmiech i czuję, że nie potrafię. Pace zgodził się na pracę w technorangersach i regularnie dostarcza mi raporty. Blaze żyje sobie bezpiecznie w Przymorzu – niemal stuprocentowy Ten-Od-Myślenia. Informacje od niego będą bezcenne. A moi przyjaciele w Złych Ziemiach...

Wzdycham.

– Nie mogę. Po odejściu Pace'a teraz ja dowodzę.

Blaze gwałtownie opuszcza rękę i odwraca się do Pace'a.

– Co takiego?! Przecież on ma dopiero dwanaście lat.

– Trzynaście – poprawiam.

– Nie może stać na czele Ruchu Oporu. – Krzyżuje ramiona. Jego głos brzmi twardo i ojcowsko.

Już otwieram usta, żeby go posłać do wszystkich diabłów i powiedzieć, że mogę robić, co chcę, kiedy odzywa się Pace:

– Przez ostatnie osiem miesięcy świetnie sobie radziłem.

– Właśnie – mówię.

Blaze patrzy mi w twarz, mrużąc oczy, jakby próbował przejrzeć mnie na wylot.

– Jeśli stamtąd nie uciekniesz, zginiesz.

– On już powołał szpiega w Dobrych Ziemiach – ciągnie Pace. – Pozostali członkowie Ruchu nie są o wiele starsi. Daj temu spokój.

Pięści Blaze'a zaciskają się. Za chwilę potraktuje mnie z góry.

– Jak mówił Pace, mam w Dobrych Ziemiach kontakty, których nikt inny nie dałby rady nawiązać. Dzięki mojemu wiekowi.

Z oczu Blaze'a znika wola walki. Brat kładzie mi rękę na ramieniu.

– Masz trzynaście lat. – Chce przez to powiedzieć coś więcej. Chce powiedzieć, że za mną tęskni i pragnie mnie chronić. Że przeprasza, bo opuścił mnie po śmierci rodziców. I żałuje, że musiało tak się stać.

Ja też kładę rękę na jego ramieniu.

– Wiem.

Blaze wpatruje się w podłogę. Potem znowu skupia wzrok na mnie.

– Kto jest tym szpiegiem? Szczerzę zęby w uśmiechu.

– Taki jeden luzak. Nazywa się Zenn Bower.

– Nie!

Nie obudził mnie krzyk Blaze'a. Tylko mój.

Do domku na drzewie sączyło się skąpe światło. Serce łomotało mi w piersi, w uszach, w ustach.

Nie mogłam wyrzucić z myśli imienia Zenna. Ani głosu Jaga, który je wymówił.

Ani słów „Ruch Oporu”. Zenn nigdy nie wspominał o żadnym Ruchu Oporu. Nie sądziłam, że mieliśmy przed sobą tajemnice.

Bo przecież nie mogłam wysłać do niego e-commu? Albo zapytać Jaga? Nie, w żadnym razie. Te wyprawy do jego prywatnych wspomnień byłam zdecydowana trzymać w najdalszym zakątku swojego umysłu, oznaczonym etykietką „tajne”.

Ciarki przeszły mi po plecach, nie tyle z zimna, co ze zgrozy, że wtargnęłam do cudzej pamięci. Próbując się ogrzać, zaczęłam rozcierać ręce.

Drgnęłam, kiedy Jag przewrócił się na drugi bok i coś zamruczał. Otuliłam mu ramiona kocem, szczęśliwa, że nie uczestniczę już w jego koszmarach.

Znowu zapadł w sen. Nie mogłam zaczerpnąć oddechu, który nie byłby przepełniony wonią Jaga i imieniem Zenna, dobiegającym spomiędzy jego warg. Musiałam się stąd wydostać. Zeszłam z drzewa, przeciągnęłam się, ziewnęłam... i poczułam technoszumy. Ślina napłynęła mi do ust, jakbym zjadła coś kwaśnego. Był to jakiś nowy efekt uboczny. Z pewnością wywołało go coś więcej niż tylko telefon komórkowy.

Rozcierałam ramiona, próbując zdecydować, co robić. Szukanie źródła technoszumów zakrawało na samobójstwo. Ale powrót do domku, gdzie byłabym podatna na najskrytsze myśli Jaga, też nie był dobrym wyjściem.

Wybory, wybory, zirytowałam się. Miałam już dość dokonywania wyborów.

Ukryta za pniami drzew, zaczęłam przekradać się w stronę, gdzie wyczuwałam nasilenie techniki. Przez gałęzie sączyło się światło poranka. Las pachniał smołą. Słyszałam drobne kroczyki owadów na liściach. Widziałam pył unoszący się w słonecznym blasku. Skóra

świerzbila mnie z niecierpliwości.

Kiedy wreszcie wyrzalam z za ostatniego drzewa, oddech uwiązł mi w gardle. Nad górami właśnie wschodziło słońce. Na końcu miało dosięgnąć doliny. Gdzie wznosiła się duża budowla.

Technośrodek.

Mój umysł pracował na najwyższych obrotach. A jeśli jest tam tata? Z pewnością wiedział o tym miejscu, skoro wyprawił się do Złych Ziemi po jakieś urządzenie. Budynek wyglądał na co najmniej siedmioletni.

Prowadziła do niego tylko jedna droga. Wejście równa się wyjście, równa się łatwiejsze pilnowanie. Teren otaczało wysokie ogrodzenie, z wieżami w każdym narożniku. Złe Ziemi czy nie, obiekt taki jak ten musiał mieć straż wyekwipowaną w broń najnowszej generacji i umundurowaną w różne odcienie beżu. Optyczne detektory zmian ciepła były tu nieuniknione, podobnie jak gotowość, by najpierw użyć paralizatora, a dopiero potem zadawać pytania.

Nieświadoma tego, co robię, wyszłam na otwartą przestrzeń i gapiłam się, wstrząśnięta. Dopóki nie usłyszałam głosu, dobiegającego z dołu, z za odległej linii drzew.

– ...wciąż tutaj, Elli. Dokąd jeszcze mogliby pójść?

– Cam, posłuchaj. Szukaliśmy ich przez całą noc. Możemy przeskanować wnętrze.

Rozpoznawszy Łysola i Jastrzębicę, błyskawicznie wsunęłam się za pień drzewa.

– Nie możemy – warknął Łysol. – Jaga w końcu nie oznakowaliśmy, a lokalizatora Vi jeszcze nie aktywowano.

Potałam mój nieaktywny lokalizator, zastanawiając się, co to właściwie oznacza. Sądziłam, że przez niego zawyła syrena na granicy. Ale skoro nie był czynny, co uruchomiło alarm?

– Kto za to odpowiadał? – zapytała Jastrzębica, przyłączając się do moich wątpliwości.

– Thane chciał sam aktywować. Nie wiedzieliśmy, że uda jej się zwać.

Jastrzębica odrzuciła srebrzyste włosy na ramiona i zatrzymała się.

– Chyba można się było domyślić. Przecież w łazience rozerwała technokajdanki. Zaawansowaną technologię. Zniszczyła je za pomocą wody. Jej teczka w dyrektoriacie jest bardzo szczególna. Jak akurat Thane, spośród wszystkich ludzi, mógł nie docenić Violet?

Jeszcze mocniej przywarłam do drzewa, nie zważając na to, że kora wbija mi się w dłonie. Zawsze wiedziałam, kto tu rządzi. Ale dlaczego Thane chciał wszystko robić osobiście? Przecież miał do tego bandę sługusów. Taaak, musiał mieć wobec mnie jakieś specjalne zamiary. Byłam ciekawa, jakież to soczyste ploteczki można znaleźć w mojej teczce. Nawet nie wiedziałam, że taką mam. I z pewnością nie była to dobra wiadomość.

„Nie podłącza się do transmisji. Obcina i farbuje włosy. Potrafi wyczuć technikę. Ale jej narzeczony...”

Na myśl o Zennie ogarnął mnie żal, że go tu nie ma. Chciałam zadać mu pytania o Ruch Oporu, o Thane'a, o wszystko. On zawsze znajdował właściwe odpowiedzi.

Może Thane potrzebował mnie, by dotrzeć do Zenna? Albo do Jaga, do Ruchu Oporu?

A może jego zamiary wobec mnie nie były złe? Trudno uwierzyć, że pomyślałam to sama z siebie, ale w mojej głowie nie było cudzego głosu, nie było Tego-Od-Myśle-nia. Czyżby lokalizator nie został aktywowany celowo, żebym mogła łatwiej uciec?

Pogrążona w rozmyślaniach, nie zauważyłam, jak blisko podeszli Łysol i Jastrzębica, dopóki nie usłyszałam:

– Nie wolno nam się spieszyć. Musimy wzbudzić ich zaufanie... – Łysol przerwał i obejrzał się przez ramię.

Przekradłam się wokół pnia, żeby nie mogli mnie zobaczyć. Właśnie kiedy Łysol skłonił Jastrzębicę do wejścia pomiędzy drzewa, moje uszy zarejestrowały jeszcze jeden głos.

Jag. Wołał mnie po imieniu. Idiota.

Nie sposób przedzierać się po cichu przez las. Dlatego nie mogłam pobiec, dopaść Jaga i kazać mu się natychmiast zamknąć. Jastrzębicę i Łysola dopiero co przesłoniły najbliższe drzewa. Wypowiedziałam życzenie do gwiazd, chociaż ani jednej nie było widać. Chcę, żeby odeszli. Proszę, niech stąd odejdą.

– Pospiesz się – powiedział Łysol. – Teraz nie czas. – Wraz z Jastrzębicą pobiegli w stronę stoku i zniknęli za jego krawędzią.

Skierowałam się pędem przez zarośla tam, skąd niosły się nawoływania.

– Hej! – wysyczałam, zachodząc Jaga od tyłu.

– Ach, jesteś. – W jego oczach kryła się panika. – Nie znikaj w taki sposób. – Przyciągnął mnie blisko do siebie i pogładził po plecach. – To znaczy, po prostu dawaj znać, dokąd idziesz.

Odsunęłam się trochę, żeby przyjrzeć się jego twarzy. Strach już zniknął. Jag wsunął mi dłonie w długie rękawy i oparł się czołem o moje czoło.

– Chodź, musimy iść. Mam ci parę rzeczy do powiedzenia. – Zaciśnęłam palce na jego ręce i wróciliśmy pod nasze drzewo.

W domku zauważyłam mały woreczek orzechów, leżący na podłodze. Zaburczało mi w brzuchu.

– Człowieku, ale jestem głodna.

Podał mi orzechy. Staralam się od razu ich nie pożreć. Cóż, nie udało się. Ale Jag już widywał mnie w takim stanie i nigdy nie skrytykował moich nieapetycznych manier przy jedzeniu.

Opowiedziałam mu o Łysolu, Jastrzębicy i ośrodku. Chociaż raz w życiu nie wzruszył ramionami. Co więcej, wyglądał, jakbym go poraziła jakąś najnowszą ogłuszającą techniką.

– Tam może być Pace – powiedział. Podniósł się z podłogi i wytarł dłonie w za luźne dzinsy. – Jest techno-rangerem. Prowadź.

– Poczekaj, to nie wszystko. – Wyciągnęłam rękę, głęboko zaczerpnęłam powietrza. – Zostałam oznakowana.

Jag wlepił wzrok w mój nadgarstek i nie oddychał przez pełną minutę. W jego oczach błysnął strach, potem gniew, a potem jeszcze coś innego. Może żal? Miałam nadzieję, że ubolewał nade mną, a nie z powodu mnie.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Przesuwał palcami po mojej skórze, dopóki nie wyczuł maleńkiego zgrubienia. Pomasażował je, jakby mogło od tego zniknąć.

Musiałam wyznać prawdę.

– Byłam wystraszona. Uśmiechnął się smutno.

– Mylisz się – szepnął, nadal wpatrując się w moją rękę. – Nie porzuciłbym cię. Nie z powodu czegoś takiego.

– A ja owszem. W każdym razie, podsłuchałam, jak Łysol mówił, że lokalizator nie został jeszcze aktywowany. Żeby zaczął działać, musieliby go przeskanować specjalnym przyrządem do kodowania. Więc jest tak, jakby go w ogóle nie było.

– Super. – Jego palce powolnym ruchem zakreślały kręgi wokół mojego nadgarstka. – Co jeszcze mówili?

– Ze każdy powinien wiedzieć, że potrafię zniszczyć kajdanki. Wspomnieli Thane'a. – Przy tych słowach zawiesiłam głos – otwarte zaproszenie dla Jaga, by wreszcie wyznał mi prawdę.

Ale nie wyznał. Zamiast tego zapytał:

– Skąd tyle wiesz o technice?

– Co masz na myśli?

– Na przykład wiesz, że do aktywacji lokalizatora potrzeba specjalnego urządzenia. Skąd?

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Mój ojciec wynalazł większość tego, czego oni używają w Dobrych Ziemiach. – W gruncie rzeczy moje słowa oznaczały, że tata był odpowiedzialny za śmierć rodziców Jaga, za naloty na Złe Ziemie i za całą, zniechęconą przez mnie, wysokiej klasy technikę.

– Mój brat Pace zajmuje się tym samym – odparł Jag. Zabrzmiało to niemal jak wyznanie. Splótł swoje palce z moimi. – Zabawne, że potrafisz niszczyć urządzenia techniczne, prawda? Chodzi mi o to, że twój tata je tworzy, a ty psujesz.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. W jego głosie znowu pojawił się wyraz udreki, ten sam, który usłyszałam po raz pierwszy, kiedy w Ognistym Regionie opowiadał mi, jak umarli jego rodzice. Czułam, że balansuje na krawędzi wyznania o Ruchu Oporu. Pochyliłam się do przodu.

– Chodzi mi o to, że mało kto potrafi je rozwalać – ciągnął. – To niesamowite. Idę o zakład, że użyłaś swoich talentów, przedzierając się przez granicę. Ja wtedy wróciłem... czułem się podle... w każdym razie. Wiesz o swoich zdolnościach, więc...

– Prawdę mówiąc, nic nie wiem – przerwałam, rozczarowana, że

nie wyjawiał mi sekretu. – Nie mam żadnych zdolności. – Żeby przekroczyć granicę, spadłam ze skalistego urwiska i po przeciwnej stronie wąwozu wdrapałam się pod górę. Co w tym wyjątkowego?

– Jasne, że wiesz. Po pierwsze, potrafisz wykrywać technourządzenia. Na pewno masz też inne talenty. Wyczuwam je w tobie.

– Nie mam pojęcia jakie – odparłam, zastanawiając się, czy te cechy, które on wyczuwał, były również zapisane w moich aktach. Czy umiejętność wykrywania i psucia technourządzeń to dla Thane'a wystarczająco dobry powód, żeby ścigać mnie na końcu świata?

– Pace odszedł cztery lata temu – powiedział zduszonym głosem Jag. Dźwięki ledwie się niosły, choć byliśmy tak blisko siebie. Oddech drżał mu w piersi. – Brakuje mi go.

Rozumiałam, co przeżywa z powodu brata. Bo dokładnie to samo czułam w związku z Ty. Tę przytłaczającą, beznadziejną, niechcianą samotność, której źródłem jest utrata rodzeństwa. A chociaż Jag tego nie mówił, wiedziałam, że utracił obu braci.

– Odszedł i zostałem sam – wyszeptał Jag. Cienka warstwa łez powlokła mu policzki.

Wszystko się schrzaniło. Mój tata potrafiłby to naprawić. Zawsze umiał przemieniać smutek w coś pozytywnego. Był mądry, pomysłowy, zdolny do rozwiązywania problemów jak mało kto. Całym sercem tęskniłam za jego radą, tak samo, jak Jag tęsknił za swoimi rodzicami i Pace'em.

Szloch ucichł. Jag odwrócił się do mnie tyłem i zaczął składać koc.

Ta cisza była beznadziejna.

– Więc co teraz?

– Jestem zmęczony – odparł.

– A ja nadal umieram z głodu.

Poszperał w plecaku i wyjął batonik w czarnej folii. Podróżny przysmak. Naprawdę stary. Zanim zdarłam opakowanie, zastanowiłam się, kiedy mój towarzysz ostatnio uzupełniał swój awaryjny zapas żywności. Wgryzłam się w owocowo-orzechowy wafelek (ohyda) i już wiedziałam, że było to bardzo dawno temu. Cóż, wszystko smakowało lepiej niż pustka w żołądku. Podczas gdy ja chrupałam batonik, Jag się położył. Nie wyglądało na to, żeby się dokądkolwiek wybierał.

Ale ja tak.

– Cholera, wynosimy się stąd. Nie zamierzam mieszkać w lesie, w mikroskopijnym domku na drzewie.

Uśmiechnął się, jednak nie była to jego typowa zwycięska mina.

– Jest lepszy niż więzienie. Prychnęłam:

– Minimalnie. Zamknął oczy.

Skurcz paniki ścisnął mi żołądek. Czyżby Jag naprawdę ucinął sobie drzemkę?

– Nie jesteśmy tutaj bezpieczni.

– Prawdopodobnie nie.

– I twoim zdaniem to w porządku? – Gdzie się podział przywódca Ruchu Oporu? Nie potrafiłam pogodzić obrazu Jaga ze snów, takiego odpowiedzialnego, z tym melancholijnym Jagiem, którego miałam teraz przed sobą.

Otworzył oczy. Znowu rozbłysła w nich iskra. Nareszcie.

– Pewnie, że nie. Co proponujesz?

– Cokolwiek! Wszystko będzie lepsze, niż siedzenie w lesie i czekanie, aż nas złapią.

– Powiedziałaś, że lokalizator nie został aktywowany.

– Tak mówił Łysol. Ale ja mu nie ufam. Nikomu nie ufam.

Wargi Jaga zadrgały w nieznacznym uśmiechu.

– Nawet mnie?

Zawahałam się. Czy mu ufałam? Mogłam? Jag już otwierał usta, ale go uprzedziłam.

– Tobie ufam.

– Zajęło ci to chwilę.

– Czasami jesteś, hm...

– Potrafimy sterować ludźmi – przerwał mi Jag, zanim wyskoczyłam z czymś obraźliwym. – Całymi miastami. Więc tak, jesteśmy zagrożeni. A obecnie poszukiwani... przez Thane'a i jego dyrektoriat.

Ja potrafię sterować ludźmi? Usiłowałam wyprodukować dostateczną ilość śliny, żeby móc przełknąć. Przyłożyłam dłoń do twarzy. Wydała mi się zbyt gorąca. Zadławiłam się, kiedy zdałam sobie sprawę, że wstrzymuję oddech.

Jag poklepał mnie po plecach.

– Już dobrze?

Nie byłam w stanie wydusić słowa, więc tylko pokiwałam głową. Batonik podróżny przysmak toczył bój z moimi wnętrznościami. Nie chciałam rządzić żadnym miastem. Nie chciałam sprawować kontroli nad nikim.

– Obowiązek albo śmierć – powiedział Jag, znowu się kładąc i zamykając oczy. – Mam na myśli kontrolowanie ludzi. W takim świecie żyjemy. Obowiązek albo śmierć.

– Więc... twierdzisz, że oni chcą nas widzieć martwych albo po swojej stronie?

Wzruszył ramionami, co odczytałam jako potwierdzenie. Miał rację – żadna z tych dwóch możliwości nie była pociągająca. Nic dziwnego, że Thane w kółko szeptał mi w głowie. Ale przynajmniej wiedziałam, że nie chce mnie zabić.

– Hm, czy zdarza ci się słyszeć głosy? – zapytałam. Powieki Jaga gwałtownie się podniosły.

– Nie. A tobie?

Powiedziałabym mu prawdę, gdyby nie wyglądał tak, jakby słyszenie głosów było absolutnie najgorszą rzeczą, jaka może ci się przytrafić.

– Nie, nie – zaprzeczyłam, może nawet odrobinę za szybko. – To znaczy, słyszałam w Dobrych Ziemiach... czasami... przez te wszystkie transmisje dryfujące w powietrzu. – Nie chciałam go okłamywać, ale dopiero co przyznałam się do lokalizatora. O głosie mogłam wspomnieć później. Dużo później. – No więc, zabieramy się stąd – powiedziałam. – Jak daleko mamy do Przymorza?

– Najbezpieczniej jest podróżować nocą. A teraz, póki możemy, powinniśmy odpocząć. Wędrówka nad ocean będzie długa. Prawdopodobnie kilkutygodniowa.

Kiedy tego popołudnia zapadałam w sen, myślałam o Zennie, uwięzionym w koszarach Sił Specjalnych. Powinien był iść z nami. Moją głowę zamroczył dym, ale nie taki, jak w Ognistym Regionie. Ten dym, wirując i błękitniejąc, zaczął przybierać ludzkie kształty.

Spacerowałam z Zennem. Nie wszystko się zgadzało. Przed nami majaczył Opuszczony Rejon, co oznaczało, że jesteśmy w miejscu zakazanym. Zenn nie miał na głowie kapelusza. Pod jego oczami kładły się ciemne cienie.

– Wyglądasz na zmęczonego – powiedziałam, gdy tak szliśmy razem w świetle brzasku.

Wtedy on pochwycił moją dłoń.

– Ja już w ogóle nie śpiam.

Zerknęłam za siebie, przerażona, że ktoś mógłby zobaczyć, jak

trzymamy się za ręce.

– W ogóle?

Przytaknął ze smutkiem.

– Gdybym sypiał, musiałbym się podłączać. A skoro nie śpię...

Pokiwałam głową, milcząco przyznając, że też już się nie podłączam. Zenn przestał słuchać transmisji o wiele wcześniej niż ja. A mimo to został wybrany do Sił Specjalnych. Sposób, w jaki na mnie spoglądał, delikatność, z jaką mnie dotykał, mówiły, że nadal chce być ze mną.

Napłynęły kolejne wspomnienia, ale zanim mogłam im się przyjrzeć, ktoś szturchnął mnie łokciem.

– Vi! Obudź się. – To był Jag. Otworzywszy oczy, ujrzałam wyłącznie biel.

– Cholerne technoprzeciążenie.

– Zenn jest tutaj – wyszeptał Jag.

Cisza wciskała mi się w uszy. Technika powoli się nasilała, wzniecając w moim mózgu błyskawice. Nic nie widziałam.

– Buty – szepnął Jag, podając mi moje tenisówki. Oślepią, wsunęłam je na stopy.

– Skąd wiesz o Zennie? – Byłam ciekawa, czy powie mi prawdę, że zna Zenna od lat.

– Dopiero co o nim mówiłaś – odparł. – Coś o transmisjach i Siłach.

– Ale skąd wiesz, że on tu jest? – Na szczęście, wzrok zaczął mi się wyostrzać.

– Ktoś krzyknął jego imię. Serce skoczyło mi do gardła.

– Pomówię z nim. On mnie nie skrzywdzi. – Podczołgałam się do wyjścia.

Jag chwycił mnie za ramię.

– Owszem, skrzywdzi. Teraz jest jednym z nich. – W jego słowach zabrzmiała nuta goryczy. Najwyraźniej Zenn nie był już szpiegiem. W głębi duszy poczułam ulgę. Przynajmniej nie wpadnie w tarapaty z powodu gry na dwa fronty.

Lecz jeśli się poprawił, mógł zrobić to, do czego był szkolony – usunąć Złych. I nie miałoby znaczenia, że to ja – pierwsza

dziewczyna, którą pocałował i przez pięć lat jego najlepsza przyjaciółka. Ostatecznie nigdy mi nie wspomniał o Ruchu Oporu.

Siły Specjalne doskonalily się w usuwaniu człowieczeństwa. Chociaż przebywał tam dopiero od kilku miesięcy, Zenn, z którym niegdyś spacerowałam po parku, był kimś innym. Innym o wypranym mózgu.

Chciałam się z nim zobaczyć, porozmawiać. Mógłby z nami pójść na zachód, uwolnić się od Sił Specjalnych, być znowu moim Zennem.

– Jest sam? – zapytałam.

– Nie. – Jag pomógł mi założyć plecak. Potem ujął obie moje ręce.

– Nie wolno nam się rozstać. Razem mamy większą szansę przetrwać.

– Co to...? – zaczęłam.

– Później. Teraz trzeba przedostać się wyżej.

– Wyżej?

– Tak. – Znowu musiał mi pomóc, bo zaczepiłam o coś plecakiem.

– Na samą górę.

Tak bardzo chciałam zejść na dół, do Zenna, zwłaszcza że duże wysokości nie są dla mnie. Ale wdrapywałam się dalej.

– Dobra – powiedział Jag, jak mi się wydawało, po godzinie wspinaczki.

– Gdzie mam usiąść? – Ścisnęłam gałęzie tak kurczowo, że kora wbijała mi się w opuszki palców. Obiecywałam sobie, że jeśli spadnę, to zabiję tego głupka za to, że mnie zmusił, żebym tu weszła.

Jag zręcznie przesunął się po pniu, wybrał miejsce i rozparł się wygodnie, jakby robił to setki razy. Ja znalazłam sobie konar trochę wyżej, po czym o mało nie zleciałam, usiłując zsunąć z ramion plecak. Wziął go ode mnie i zawiesił za pasek na obłamanej gałęzi.

– Co teraz? – zapytałam.

– Teraz czekamy.

Tak, czekanie też nie jest moją mocną stroną.

– Myślę, że lepiej, żebyś mi wszystko opowiedziała – odezwał się po chwili. Chociaż siedziałam nad nim, jego spojrzenie przenikało granatowy mrok. Tyle czasu spędziliśmy po ciemku, że i moje oczy przywykły do braku światła.

– Niby o czym?

– Och, przestań – westchnął. – O tym, kim jest Ty. I Zenn. I coś więcej o tobie. Ja powiedziałem ci wszystko...

– Nieprawda – przerwałam mu.

– Wszystko o sobie – stłumił mój protest. – I jeszcze wyplakiwałam oczy. A ty wydusiłaś tylko parę zdań o ojcu.

Akurat, wcale nie mówił mi wszystkiego – przynajmniej na jawie.

– Nie lubię się zwierzać.

– To kiepsko.

Trudno mi było zdecydować, od czego powinnam zacząć tę swoją rodzinną historię. Każdy ma wspomnienia, których wolałby się pozbyć. Ja byłam do kitu, odkąd sięgałam pamięcią. Więc zaczęłam od samego początku.

– Za trzy dni są moje urodziny...

– Och, przestań – wpadł mi w słowo Jag.

– Do... dobra.

– Szesnastego czerwca?

– Tak. Bo co?

– Bo moje też. – W jego głosie dał się słyszeć uśmiech. – To bardzo ciekawe – mruknął. – Mamy urodziny tego samego dnia.

– No, owszem – przytaknęłam, próbując dociec, co Jag rozumie przez określenie „ciekawe”.

– Może dlatego oni nie chcą, żebyśmy byli razem. Zmarszczyłam brwi.

– Ale przecież zostaliśmy skazani na wspólną zsyłkę do Wolności. I przez cały czas trzymali nas w jednej celi.

– Nie razem, tylko razem. Miałem na myśli „razem” w sensie... hm... żebyśmy ze sobą chodzili.

– Och. – Razem. Przez następnych kilka minut zmagalam się z „byciem razem”, którego bym chciała. I z kim bym chciała.

– No więc urodziłaś się – odpowiedział Jag, odrywając mnie od wspomnień o tym, jak mnie całował, a czerwone światło błyskało w tle.

– Tak. Ty to moja starsza siostra. Była podobna do taty. Oboje znali się na technice, potrafili ją tworzyć, ulepszać. – Opowiedziałam mu o wodnych talentach Tyson i jej pracy z rangersami. O czarnowłosym mężczyźnie. I jak matka znienawidziła mnie za to, że

nie jestem moją siostrą, i jak obie nienawidziłyśmy tego faceta za to, że zabrał nam Ty.

Jag nie odezwał się ani słowem, nawet kiedy mój głos zaczął się załamywać. Nawet kiedy musiałam przerwać, żeby wytrzeć ciche łzy.

– A wylądowałaś na oddziale D, bo...? Odchrząknęłam.

– Spacerowałam po parku z Zennem. O zmroku.

– Ach, więc wreszcie mamy osławionego Zenna. – Jag chciał wiedzieć, co myślę na temat Zenna i drwienia z przepisów Dobrych Ziemi. Czekał cierpliwie, aż odpowiem. Wahałam się, ile powinnam mu wyznać. Prawdopodobnie wszystko.

Więc znowu zaczęłam mówić. O naszej przyjaźni. O moich urodzinowych prezentach i pocałunku w zeszłym roku. O Siłach Specjalnych i odłączaniu się od transmisji. I wreszcie o spacerze po parku. Staralam się, żeby mój głos nie zdradzał, jak bardzo Zenna uwielbiałam.

Chyba mi się nie udało, bo Jag powiedział:

– Więc jest twoim chłopakiem.

Zdecydowanie był. Zostaliśmy wyswatani. Część mnie nadal za tym tęskniła, więc tylko wzruszyłam ramionami, czego Jag nie mógł zobaczyć. Z gardła wydarł mu się cichy pomruk. Uznałam, że w Jagomowie oznacza to: „Do diabła, jestem w tobie zakochany”.

Mobilizując całą odwagę, zsunęłam się na niższy konar.

– Jag – powiedziałam, zwracając się do niego twarzą. – Zenn nie jest moim chłopakiem. – Te słowa bolały, ale były prawdziwe. Życie, które mogłabym wieść z Zennem, było już nieosiągalne. W ciemnościach odnalazłam dłońe Jaga i uściskałam je. – Jestem z kimś innym.

– To ktoś, kogo znam?

– Taki jeden z odjazdową fryzurą. – Czułam, jak jego uśmiech wypełnia przestrzeń pomiędzy nami.

– Ale to wszystko nadal nie tłumaczy, czemu cię przymknęli. Spacer w parku o zmroku nie wygląda na ciężkie przestępstwo. Nawet w Dobrych Ziemiach.

– Z tego wniosek, że niewiele wiesz. – Podobało mi się to, co czułam, trzymając jego rękę. Ten dotyk ogrzewał i podnosił

na duchu. Więc wylałam przed Jagiem wszystkie moje sekrety.

Oprócz tego, że od czasu do czasu cicho zachichotał, nie przerywał, kiedy wyjawiałam mu szczegóły moich ośmiu kryminalnych epizodów.

– Jesteś zła już niezły kawał czasu – stwierdził, kiedy skończyłam.

Jeśli chciał w to wierzyć, dlaczego miałam wyprowadzać go z błędu?

Zenn był coraz bliżej. W tym śnie dym miał niemal czarną barwę. Zmienił się w ruchomy chodnik, który nie działał. Zenn kroczył koło mnie z rękami założonymi do tyłu. W półmroku milczenie przychodziło mi z łatwością.

– Skoro przyszłaś, chcę ci dać prezent – powiedział, uśmiechając się.

Przechyliłam się w jego stronę. Z e-commu wiedziałam, że ma dla mnie niespodziankę – na pewno coś, przy czym dłubał, dopóki nie stało się absolutnie doskonałe. Jak on sam.

– W Siłach ciągle jestem zajęty. – Wydawało się, że Zenn nie zważa na krążące w górze poduszkoptery. – Może nie zobaczymy się przez jakiś czas.

Wyciągnął rękę i ujął moją dłoń. Od jego dotyku strach pulsował mi w żyłach. A gdyby ktoś nas zobaczył?

Ale on uśmiechnął się i wtedy nasze ramiona się zetknęły. Lęk w sercu zastąpiło oczekiwanie. Zenn był moim najlepszym przyjacielem, moim narzeczonym. Tęskniłam za nim jak szalona i wyobrażałam sobie dotyk jego warg, zanim się przybliżyły.

– Super – powiedział, kiedy się wreszcie rozdzieliliśmy. To słowo poruszyło we mnie jakąś czułą strunę. Przyplęnęło wspomnienie. Odpychałam jego mglisty rąbek, starając się zwalczyć narastającą świadomość.

– Na te urodziny zrobiłem dla ciebie coś szczególnego. – Zenn sięgnął do kieszeni. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i wyciągnął rękę. Pacuszka, którą w niej trzymał, była mniejsza niż połówka mojej dłoni.

Wzięłam prezent. Zapakował go w zielony papier i eleganckim charakterem pisma wykaligrafował: „Dla mojej idealnej narzeczonej”.

Te cztery słowa wyrażały wszystko. Kiedy wpatrywałam się w paczuszkę, ujął moją twarz w dłoń.

– Vi, kocham...

– Hej, wy tam, na dole! – Elektroniczny wrzask zagłuszył chrapliwy ton jego głosu. Wzdrygnęłam się i schowałam za Zenna. Jednoosobowe technoloty, poduszkopty, zostały wynalezione specjalnie po to, żeby rujnować ludziom życie. Nikt nie potrafi przed nimi uciec.

Nawet ja.

– Schowaj to – mruknął Zenn.

Kiedy uklękłam, coś ulotnego musnęło mój umysł. Wyszepiane słowo, którego nie mogłam w pełni dosłyszeć, zakradło się do moich uszu. Zignorowałam je, bo właśnie wpychałam paczuszkę do małej kieszonki z boku tenisówki. W swoich starych butach Zenn też miał takie skrytki. Wszyliśmy je tam, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że skanowane są tylko nasze oczy, odciski palców i identyfikatory, a nikt nie zwraca uwagi na stopy.

Wstałam z ziemi i badawczo przyjrzałam się poduszkoptrowi. Na dolnym sterze mrugała w półmroku czerwona róża. Oddech z drżeniem przecisnął mi się przez gardło – ten sam poduszkopter zatrzymał mnie poprzednio. Może skoro mój narzeczony jest rekrutem Sił Specjalnych i zaprosił mnie tutaj, nie czekały mnie kłopoty?

Akurat. Nic z tego.

Bo Zenn powoli cofnął się o dwa kroki.

Spokojnie, Vi. Teraz jesteś bezpieczna – szepnął mi do ucha znajomy głos. – Obudź się, moja śliczna.

– Jag?

– Nie. Dopadliśmy go. Więcej już nie będzie cię niepokoił.

– Zenn! – Zarzuciłam mu ręce na szyję i rozplakałam się, zupełnie jak tamtego dnia, kiedy odchodził do koszar. Jego dłonie przywierały mocno do moich pleców, ale nie gładził mnie tak jak Jag. – Gdzie on jest? – zapytałam.

– Nie bój się. Jesteś bezpieczna.

Nie bałam się o siebie. W mojej głowie kłębiły się słowa Jaga: „Nie wolno nam się rozstać. Razem mamy większą szansę przetrwać”.

– Gdzie on jest? – powtórzyłam.

Nie odpowiedział, tylko obwiązał mnie w pasie liną. Telepaliśmy się na dół o połowę krócej, niż zajęła mi wspinaczka w górę.

Pod drzewem czekał na nas cały oddział Sił Specjalnych z paralizatorami w dłoniach. Wymierzonymi we mnie. Zerknęłam na Zenna.

Miał na sobie czarny strój, pasujący do wojskowej fryzury i srogo zmarszczonych brwi.

– Vi! – Jag szarpał się z technokajdankami. Dwóch agentów Sił Specjalnych grzebało w naszym plecaku, wyrzucając na leśną ściółkę zapasy z apteczki.

– Nic z tego – oznajmił jeden.

– Więc ona nadal go ma – stwierdził Zenn.

– Co mam? – Odsunęłam się, ale jego ręka błyskawicznym ruchem zacisnęła się na moim lewym nadgarstku. Strach ugodził mnie w serce. Zenn mógł wymacać lokalizator. Agenci Sił szkoleni są tak, żeby wyczuwali, widzieli i słyszeli wszystko.

I rzeczywiście, palce Zenna zatrzymały się na maleńkiej gulce. Twarz wykrzywił mu uśmiech.

– Oznakowana!

– Nie działa – odparłam, wyszarpując rękę z jego uścisku. Popatrzyłam na Jaga. Po raz pierwszy wyglądał na szczerze przerażonego. Pokręcił głową, próbując mi coś powiedzieć. Oczywiście, rozumiałam Jagomowę, ale nie ukończyłam jeszcze kursu języka ciała.

– Gdzie on jest, Vi? – zapytał Zenn.

– Gdzie co jest, zdrajco? – mój głos się załamywał.

– Nie zmuszaj mnie, żebym użył przeciwko tobie technosily.

– Tak jak używałeś swoich ust?

Przestąpił z nogi na nogę, wyraźnie zakłopotany. Zenn był jednym z nich. Tych, którzy uprowadzili Ty. Był rządowym szpiegiem. Nie mogłam w to uwierzyć. Pocałował mnie wtedy w parku! Pisał w e-commach, jak bardzo za mną tęskni, jak próbował wydostać mnie z więzienia. Przesyłał wyrazy miłości.

Niedowierzenie zakwitło gniewem. Gniew rozwinął się w dojrzałą wściekłość.

– Vi, proszę.

– O co prosisz?

– Oddaj mi tropiciel. Opadła mi szczeka.

– Tropiciel? – powtórzyłam. W żaden sposób nie mogłam nosić przy sobie czegoś, co emitowało w świat moje namiary; czegoś, co doprowadziłoby Thane'a prosto do mnie. W Żaden. Sposób.

Jag zaklął i zaczął się miotać. Pozostali agenci naporli bliżej, popychając go przed sobą. Patrzył wszędzie, tylko nie na mnie.

– Nie zrobiłam tego! – krzyknęłam. – Jag, przysięgam, że tego nie zrobiłam.

– Oddaj go. – Zenn znowu złapał mnie za ramię.

– Łapy przy sobie! – wrzasnął Jag, kopiąc do tyłu. Dwóch mężczyzn upadło. Wyrznęłam w brzuch najbliższego agenta. Kiedy zgął się z bólu, wyrwałam mu paralizator i wycelowałam w technokajdanki.

Eksplozja z trzech paralizatorów odrzuciła mnie na ziemię.

– Vi! – udreżony głos Jaga dźwięczał mi w uszach. Patrzyłam w górę, niezdolna się poruszyć. Korony drzew tworzyły parasol, który przesłaniał gwiazdy. Wiązka promieni z jednego paralizatora mogła mnie powalić. Z trzech – powinna była zabić.

Żar w mojej piersi potrzebował studzenia. Gorący ból rozprzestrzeniał się aż do płuc. Nie mogłam łyknąć dość tlenu, żeby ugasić płomień. Biały szum, jak woda spadająca z wysokości setek metrów, zatykał mi uszy. Przymknęłam powieki i zapragnęłam śmierci.

Powietrze poruszyło się nad moją twarzą i wokół niej. Szelest suchych liści rozbrzmiewał mi echem w głowie. Powoli ten trzeszczący dźwięk został zagłuszony przez coś o wiele gorszego. Słowa.

Głos Thane'a infiltrował nawet moje umieranie. *Tyle wyborów, powiedział. Dobro czy zło? Zenn czy Jag? Co to będzie, V?*

Tylko jedna osoba na świecie nazywała mnie V. Tata.

Ten głos należał do taty.

Więc wytłumaczenie znalazłam też tylko jedno: Thane Myers to mój ojciec.

Wkroczyłam do ciemnicy. Słońce tu nie świeciło. Żadnych uśmiechów. Żadnych uścisków. Żadnych szczęśliwych połączeń rodziny. Tylko zdrada.

Ten człowiek odebrał mi wspomnienia. O nim.

Ten człowiek wszystko kontrolował.

Ten człowiek – mój tata – kontrolował mnie i przekonywał, przemawiając w mojej głowie.

Wewnątrz czułam rozszalałą burzę, dość silną, by zniszczyć wszystko, cokolwiek napotka na swojej drodze. Szkoda tylko, że nie mogłam się poruszyć. Ale miałam jeszcze głos.

Więc krzyczałam, rozpaczliwie próbując wydrenować niszczące uczucia. Wszystko, byle oczyścić umysł z szoku i bólu.

– Pomóż jej. – Kojący dźwięk. Głos Jaga zawsze tak działał. – Zenn, proszę.

– Aha, czyli pogłoski były prawdziwe – odparł Zenn. Z każdego słowa sączyła się pogarda. – Wy dwoje jesteście razem.

Bezgraniczny ból przeszywał na wskroś moje zmysły. Nie mogłam się od niego uwolnić.

– Zenn, nie. Nasz spór nie dotyczy Vi.

– Wszystko dotyczy Vi. Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla niej.

– Ty ją zdradziłeś.

W moich uszach do szeleszczącego szumu dołączyły piski.

– To że porzuciłem Ruch Oporu, nie znaczy, że przestałem pracować dla naszej sprawy. Przez długi czas chroniłem Vi. I nie dlatego, że chcę jej do czegoś użyć. Ale dlatego, że ją kocham.

– Wyjaśnijmy coś sobie – głos Jaga przybrał ten dziwny ton, który sprawiał, że moje powieki stawały się ciężkie, a prawda wypływała na powierzchnię. – Zdezercerowałeś właśnie wtedy, kiedy

potrzebowała cię najbardziej. To chciałeś powiedzieć? Że zostałeś informatorem, żeby nadal pracować dla sprawy?

Zenn wypuścił powietrze z ciężkim sapnięciem wściekłości i frustracji.

– Nie zdezerterowałem. Chcesz jej śmierci?

– Jasne, że nie – szorstko odparł Jag.

– Właśnie. Thane nie uznaje „nie”. Miałem do wyboru: pomóc mu albo patrzeć na jej zgubę. Co byś zrobił na moim miejscu?

Zapadła długa chwila milczenia, wypełniona tylko udręczonym lamentem mojej duszy.

– Pomóż jej – powtórzył Jag, tym razem łagodniej. – Proszę.

Czas włókł się niemiłosiernie. Wreszcie szmer chłodnego powietrza owiał mi twarz.

– Vi – powiedział Zenn. – Usiądź, moja śliczna. Żałosne zawrodozenie ustało. Każda komórka mojego ciała wrzała ogniem.

– Proszę. Możesz pić? – Woda powoli spływała mi do ust, studząc podstępne kłamstwa.

– Jag, posłuchaj – głos oddalił się, kiedy Zenn się odsunął. – Ja nie...

– Dostyc – przerwał mu Jag. – Wiem już wszystko.

– Nigdy nie chciałeś wysłuchać moich racji.

– Akurat. Słuchałem każdego słowa – w tonie Jaga brzmiał żal zmieszany z wściekłością.

Zapadło milczenie, więzące ich rozmowę w moich uszach. Z jednej strony, chciałam wiedzieć więcej, o co się kłóca. Z drugiej, całe szczęście, że nie wiedziałam.

Przynajmniej nie musiałam wybierać, po czyjej jestem stronie.

– Ona nosi przy sobie tropiciel – odezwał się Zenn obcym, nieobecny głosem.

– Nie – wychrypiałam. – To nieprawda. – Chwiejnie podniosłam się na nogi. – Ja... ja wcale... On kłamie. Nie mam żadnego tropiciela. Jag, przysięgam. – Zaczęłam kasłać. Krew ściekała mi w głąb gardła.

W płonących oczach pojawiła się nadzieja, ale Zenn podszedł do mnie zamaszystym krokiem i chwycił za ramię. Dał znak pozostałym agentom, żeby się zbliżyli i powlókł mnie w stronę Jaga,

który wyglądał, jakby niebo miało mu runąć na głowę.

– Opróżnij kieszenie.

Po kolei zanurzałam ręce w kieszeniach džinsów i pokazywałam puste dłonie.

– Niczego nie mam.

– Wszystkie – warknął Zenn, ruchem głowy wskazując moje tenisówki.

Tenisówki, które miały sekretną kieszonkę. Coś, o czym wiedział tylko on. Zdrada smakowała metalem, zostawiała w gardle gęsty, blaszany osad.

Uklękałam. Wsunęłam do skrytki dwa palce. Wyczułam papier. Powoli wyciągnęłam znalezisko i zacisnęłam w dłoni, nie mogąc uwierzyć, że mój sen okazał się prawdą. Że przez ostatnie dwa tygodnie nosiłam to w bucie. Że Zenn zrobił mi pranie mózgu.

Zenn jednym szarpnięciem rozsunął moje palce. Ukazał się pakiecik, owinięty w zielony papier. Wypisana odręcznie dedykacja: „Dla mojej idealnej narzeczonej”, poraziła mi wzrok.

– Aha, więc nadal to masz – powiedział. Jego oczy miały wyraz mętny i daleki. – Urodzinowy prezent.

Wszystkiego najlepszego, Vi. – Roześmiał się tym drogim mi głosem, tym samym, który zawsze leczył moje smutki i koił lęki. Tym samym, który zaledwie kilka minut temu wypowiedział słowo najważniejsze na świecie.

Ale to on namówił mnie wtedy na spacer, więc to musiał być podstęp.

– Nie. – Pokręciłam głową, patrząc tylko na Jaga. – Przestań.

– Jest pokryty ochraniaczem. – Zenn odpakowywał prezent, zdzierając wewnętrzną warstwę włókien, która otulała technourządzenie. Zanim zdążyłam zastanowić się nad słowem „ochraniacz”, wzrok mi się zamglił, pierś zapłonęła, gardłem szarpnął kolejny atak kaszlu. Jednocześnie zobaczyłam pierścionek, złoty, lśniący i piękny. Co znaczyłby dla mnie, gdybym otworzyła urodzinową paczuszkę tamtej nocy w parku?

Szczerze mówiąc, wszystko. Znaczyłby, że jestem dla swojego chłopaka wystarczająco dobra. Że Zenn mnie kocha i myśli o mnie

podczas szkolenia w Siłach Specjalnych. Że będziemy razem, kiedy już skończy służbę. W Dobrych Ziemiach biżuteria ma znaczenie, pamiętacie?

– Och, Vi – powiedział Zenn. – Nie mogę uwierzyć, że go nie odpakowałaś. Łamiesz mi serce. – Spojrzenie miał jasne, w głosie ani cienia sarkazmu. – Jesteśmy zaręczeni. – Podniósł prawą dłoń z identycznym złotym okręgiem wokół małego palca.

Potem oczy znów mu zmętniały. Chwycił mnie za prawą rękę i wsunął pierścionek na mój mały palec. Ciało przeszły mi technotraski. Zdecydowanie był to tropiciel.

Przez łzy ujrzałam, jak rozczarowanie zdradą pojawia się na twarzy Jaga.

– Przestań. Proszę.

– Chyba jesteś totalnie niedostrojona do techniki. – Zenn pchnął mnie w stronę drugiego agenta, który skuł mi rękę. Podwójnie.

– Vi? – odezwał się Jag i to pytanie zawisło pomiędzy nami.

W moich ustach słowa potykały się jedne o drugie. Umysł pracował na najwyższych obrotach, usiłując sformułować precyzyjną odpowiedź, która wywabi z jego oczu błagalny wyraz, usunie z głosu oskarżycielski ton. Wyjaśnienie opóźniało się i więzło mi w gardle.

Usta Jaga zacisnęły się, wzrok stwardniał.

– Super.

Modyfikacja pamięci to szczególnie zaawansowana forma kontroli. O wiele bardziej niż sugestia – czym w istocie rzeczy są transmisje. ModPam bywa stosowana tylko wobec posiadaczy wspomnień, które oni chcą wymazać. Dobrze o tym wiem, bo tego jedyne go razu, kiedy Ty przyszła nas odwiedzić, mówiła mi, że nie mogła znaleźć drogi do domu. Podejrzewała, że zastosowali na niej ModPam, ale nie potrafiła sobie przypomnieć dlaczego.

Oczy Tyson zmętniały – jak u Zenna. Powiedziała, że nic nie widzi. Musiałam odprowadzić ją do jej pokoju. Zaniiosłam tam obiad, a później kolację. I przez cały czas mogłam myśleć tylko o tym, w jaki sposób zabiję Tego-Od-Myślenia, który zlikwidował pamięć mojej siostry.

Błagałam, żeby do nich nie wracała, ale odpowiedziała, że musi. Nigdy więcej już jej nie zobaczyłam. Po tym zdarzeniu przestałam podłączać się do transmisji. Ufarbowałam włosy. Wymknęłam się z Zennem na całą noc, żeby następnego ranka zobaczyć wschód słońca.

Puszczaliśmy kaczki na jeziorze. Chodziłam na imprezy, ukrađłam pantofle i robiłam wszystko, co tylko potrafiłam wymyślić, by pokazać, że nikt – w pełnym znaczeniu nikt – nie może mnie kontrolować. W tym wszystkim towarzyszył mi Zenn, mój cichy wspólnik. Mój idealny narzeczony.

Ale teraz nie byłam już pewna niczego. Moja pamięć o tamtym dniu w parku została zmodyfikowana, ukradziona. Odebrali mi wspomnienia o Zennie i jego urodzinowym prezencie – ogłędnie rzecz ujmując. Nawet gotowana kapusta jest lepsza niż pocałunek zdrady, urządzenie śledzące w pozłocie i słowa szeptane przez ModPam.

I kto mi to zrobił? Mój narzeczony, osoba, którą kochałam i której – po zniknięciu taty – ufałam najbardziej na świecie.

Jag stał wyprostowany, wwiercając się zimnym spojrzeniem w moje oczy. W końcu agenci go odciągnęli.

Zenn pchał mnie i popędzał kuksańcami w przeciwnym kierunku. Towarzyszyło mu dwóch agentów, którzy przez cały czas drwili, jak łatwo było nas znaleźć. Wyłączyłam się i zaczęłam rozważać, co mogło stać się z Jagiem.

– Martwisz się o swojego chłopaka? – zapytał Zenn, przyłapawszy mnie na tym, że oglądam się do tyłu.

– Tak. Kiedy zrobił się z ciebie taki Zieloniak? Spojrzał na mnie z zaskoczeniem, ale szybko starł z twarzy wszelkie uczucia.

– Litości. Widziałem cię z nim.

– O?

– Tak. Spałaś z nim na drzewie. Vi, naprawdę jesteś aż tak zdesperowana?

– Przynajmniej nie całowałam go, żeby chronić własny tyłek.

Wzdrygnął się, jakbym dała mu w twarz. Zamrugał parę razy i cofnął się razem ze swoimi ludźmi. Lecz te słowa zraniły mnie tak samo mocno jak jego.

Ośrodek znajdował się o wiele dalej, niż sądziłam. Droga zajęła nam większą część nocy, głównie dlatego że celowo potykałam się i przewracałam.

– Dostyc tego – wściekał się Zenn, po raz kolejny stawiając mnie na nogi. – Moja misja musi przebiegać bez zakłóceń.

A więc to tak. Byłam misją Zenna. Zapewne pierwszą i dlatego tak bardzo chciał dobrze wypaść przed dużymi chłopcami z dyrektoriatu – przed Thane'em.

Budynek wznosił się na wysokość pięciu pięter, lśniący i srebrzysty. Jednolita technobryła. Zenn wprowadził mnie do środka, trzymając zdradziecką dłoń na moim ramieniu. Rozglądał się na wszystkie strony, jakby oczekiwał zasadzki, ale nic się nie działo.

Lodowate powietrze dmuchnęło mi w twarz, nie studząc żaru, który z piersi rozlewał się do rąk i nóg. Wyczuwałam tu inną technikę. Nową. Złą.

Surowe ściany stały całkiem nagie: żadnych obrazów, kolorów, żadnej wskazówki, że ktoś tu już był przed nami. Rozległ się alarm. Cztery Mechany wpadły drzwiami w oddalonym lewym narożniku.

– Twierdziłeś, jak mi się zdaje, że jest czysta – syknął Zenn do jednego z agentów.

– Bo to prawda.

– Gdzie jest Jag? – zażądałam odpowiedzi.

– Kto? – Oczy Zenna wyglądały, jakby przeszedł korektę wzroku, która nieszczególnie się udała. Rozmyte. Zamglone.

Podczas skanowania mojego nadgarstka u każdego Mechana eksplodowała rykiem syrena.

– Przecież mówiłaś, że nie został aktywowany. – Zenn usiłował przekrzyczeć uau-uau-uau robotów.

– Tak powiedział tamten facet! – odwrzasnęłam.

– Jaki facet?

– On! – wskazałam palcem na Łysola, który właśnie pojawił się koło mnie, przyodziany w szatę Zielonych.

Łysol po kolei zresetował Mechany. Alarmy ucichły.

– Dziękuję, specjalisto Bower. Możesz odejść. Zenn stał, gwałtownie mrugając. Było oczywiste, że nie tego się spodziewał.

– Kim jesteś?

– Tajniakiem. Powinieneś już iść. – Łysol przyglądał mu się z uśmiechem, który tylko odrobinę poruszył jego wargi. Technoświatła odbijały się od skóry jego czaszki. Promieniował prężnością i siłą.

Zenn otworzył usta, żeby zaprotestować, ale po chwili odwrócił się do pozostałych agentów. Wyraz buntu zniknął z jego twarzy.

– Powinniśmy już iść. – Sposób, w jaki powtórzył słowa Łysola, stanowił jaskrawy przykład kontroli.

Zastanawiałam się, co dokładnie Zenn zrobił sam z siebie, a co kazano mu zrobić. Które z wypowiedzianych do mnie słów pochodziły z jego umysłu, a które od kogoś innego. Czy wiedział, że mój tata to Thane Myers, czy nie. I czy to miało jakieś znaczenie. Nadal go kochałam. Nadal nie potrafiłam stać beczynną i patrzeć, jak nim sterują.

– Witaj, Violet – odezwał się Łysol, kiedy Zenn już odszedł. – Mamy wiele do omówienia. – Wskazał ręką drzwi w odległym narożniku. Głos Łysola zdecydowanie mógł wywierać na mnie wpływ – gdybym na to pozwoliła.

– Jeszcze czego, nigdzie z panem nie idę. Gdzie jest Jag?

Odwrócił się i zrobił krok w moją stronę.

– Zaufaj mi. W twoim najlepszym interesie jest, żebyśmy przenieśli się w bezpieczniejsze miejsce. – Jego oczy rzucały szybkie spojrzenia po całym sterylnym pomieszczeniu, jakby spodziewał się niebezpieczeństwa.

– Najpierw chcę zobaczyć Jaga. – Ruszyłam do wyjścia. Łysol pojawił się tuż przede mną w błysku światła.

Była to teleportacja bez terminalu. Zaawansowana technometoda.

– Jak pan to zrobił?

Podniósł lewą rękę. Na środkowym palcu nosił szeroką srebrną obrączkę. Zdobiły ją jakieś symbole – dwa splecione węże, bez początku i bez końca.

– Jagowi nic się nie stanie. Siły Specjalne nie stanowią dla niego zagrożenia. Ani dla ciebie. Ich zadaniem było bezpiecznie was tu dostarczyć.

– Więc gdzie on jest?

Łysol postąpił krok w moją stronę i wyciągnął rękę z identyczną obrączką.

– Dam ci to, jeśli będziesz uprzejma przez nie przejść. – Skinął głową w kierunku drzwi w kącie.

– Jasne. Pewnie nie została aktywowana – powiedziałam. – Jak mój lokalizator. Och, chwileczkę. On działa. A pan mówił, że nie.

– Bo nie działa.

– Więc co się stało z Mechanami?

– Po prostu reagują na kody kreskowe. Na każdym lokalizatorze jest kod kreskowy, jak mniemam.

Owszem, miał rację, ale nadal nie wierzyłam w ani jedno jego słowo.

– Na granicy też włączył się alarm. Jak pan to wytłumaczy?

– Mechany pełnią służbę przy wszystkich przejściach do Dobrych

Ziem. – Znów spojrzał na mnie gniewnie i wskazał drzwi. – Idziemy?
Skrzyżowałam nogi.

– Nigdzie nie pójde, dopóki nie zobaczę Jaga.

– Dobrze. – Łysol kiwnął głową. Na ścianie zajaśniał ekran projekcyjny, po czym ukazał się Jag. Miał na sobie niebieską koszulę i spał na łóżku, pod białymi prześcieradłami. Żelazne kraty były ledwie widoczne u samej góry ekranu.

– Nic z tego – powiedziałam. – To mi wygląda na oddział D. Nie. Chcę się z nim zobaczyć. Osobiście.

– On jest za tymi drzwiami.

– Więc niech go pan, do cholery, tu przyprowadzi!

Sporunowałam mnie wściekłym wzrokiem. Przez chwilę myślałam, że zarzuci mnie na ramię i wyniesie. Odpowiedziałam podobnym spojrzeniem, zmuszając go, żeby zrobił to, czego chciałam. Oczy mu się zaszkliły, znowu kiwnął głową. Kilka minut później narożnymi drzwiami wszedł Jag, ubrany w czarną koszulę. Tamten kit naprawdę był projekcją z oddziału D.

Jag się nie odezwał. Nawet na mnie nie spojrzał, kiedy do niego podbiegłam. Technokajdanki nadal krępowały mu nadgarstki. Prawe oko miał spuchnięte i przekrwione.

– Jag! – Rzuciłam mu się na szyję. Nie mógł mnie złapać, więc zatoczyliśmy się do tyłu, lądując razem na podłodze. – Nie wiedziałam. Przysięgam, nie wiedziałam – wydyszałam mu do ucha. – Zenn mnie oszukał. Ja nie... ooch!

– Żadnych rozmów! – Łysol odciągnął mnie, używając własnego ciała jako bariery pomiędzy nami.

Kiedy pomagał Jagowi wstać, ten nadal lodowatym spojrzeniem mierzył pustą ścianę za moimi plecami i milczał.

– Zobaczyłaś go, a teraz idziemy. – Łysol popchnął mnie za Jagiem, którego już zaganiały za drzwi dwa Mediany.

– Jag! – krzyknęłam. – Musimy być... – Łysol wcisnął mi tłumik i reszta moich słów zanikła.

Lewe ramię Jaga drgnęło, ale nie zatrzymał się, ani nie odwrócił.

Łysol poprowadził nas długim korytarzem, pozbawionym dekoracji dokładnie tak samo jak główny hol. Drzwi ciągnęły się

wzdłuż obu ścian. Wszystkie białe, wszystkie zamknięte, wszystkie bez tabliczek.

W samym końcu korytarza monotonię przełamował umieszczony na wysokości mojej talii srebrzysty pulpit. Łysol wystukał coś na elektrotablicy. Rozbłysły i ożyły obrazy, wypełniając jednocześnie co najmniej tuzin ekranów projekcyjnych.

Jęknęłam, dźgnięta technotrycznością. Chwilę później w mojej piersi zapłonęła ognista kula.

Ale nie mogłam oderwać wzroku od ekranów.

Pięcioletnia Tyson bawiła się ze mną, trzylatką, w wodzie. Zanurzałyśmy stopy i ochlapywałyśmy się nawzajem. Niemal słyszałam nasze chichoty. Z gardła wyrwał mi się szloch, zmieszany ze śmiechem.

Mały chłopczyk – niewątpliwie Jag, rozpromieniony od ucha do ucha – grał w piłkę ze swoimi braćmi, Pace'em i Blaze'em. Jego oczy o barwie czarnych jagód błyszcząły w słońcu wolnością.

Stojący przede mną Jag zacisnął pięści.

Ekran wypełnił mój tata, dokładnie taki, jakim go pamiętam. Schludnie ostrzyżone brązowe włosy. Delikatne zmarszczki wokół zielonych oczu. Alabastrowa skóra. Łzy popłynęły bez przeszkód. Uniosłam rękę do obrazu, ale w pół drogi pozwoliłam jej opaść. To już nie ten sam człowiek. Nie byłam pewna, kim jest teraz. Facetem z tylnej okładki książki Jaga? Thane'em Myersem? Czy ojcem z moich wspomnień? Nie mógł być tymi trzema osobami naraz.

Następnie ukazała się jakaś para. Tego mężczyznę widziałam we śnie Jaga. Jego rodzice. Jagowi zadrżały ramiona, jakby znowu miał się załamać. Przez głupi tłumik nie mogłam pocieszyć go słowami. Więc tylko położyłam mu rękę na plecach, a on jej nie strząsnął.

Kolejny obraz zajął cały ekran. Jakiś mężczyzna siedział w czerwonym fotelu. Środkowy Zielony, odziany w czarne szaty dyrektora. A zarazem – teraz w mojej pamięci nie było już luk – człowiek, który zabrał Ty.

Jag nadal był skuty, więc otoczyłam go ręką w pasie, próbując opanować wściekłość.

W projekcji włączył się ruch i dźwięk.

– Halo, panie Barque. Halo, panno Schoenfeld. Witajcie w Ośrodku TechnoProdukcji w Złych Ziemiach. Jesteście tu, żeby się dowiedzieć, jak możecie służyć dyrektoriatowi.

Podniosłam rękę i zerwałam tłumik – rzecz niełatwa do wykonania. Ból sparaliżował mi szyję i ramiona. Krzyknęłam.

– No, no, Violet – powiedział dyrektor. – Czasami lepsze jest milczenie.

– To ty zabiłeś Ty – zdołałam wydyszeć. – Nienawidzę cię. Niech cię piekło pochłonie!

Jag zaśmiał się cicho.

– Podpisuję się.

Nie pozwalamy odejść tym, których straciliśmy. Jagowi śni się jego brat, Blaze. A ja nie mogę przestać myśleć o Ty, chociaż umarła. Co mogłaby robić, gdyby żyła? Czy nasza matka byłaby wtedy inna? Wiem, że ja byłabym. Może nie stałabym się zła. Może nie byłoby mnie teraz w Złych Ziemiach i nie wpatrywałabym się w dyrektora na ekranie. Może nie spotkałabym Jaga. Może za kilka lat wyszłabym za Zenna. Tyle tego gdybania.

Patrząc na dyrektora, myślałam o Ty. Była martwa. Nigdy już nie miała powrócić. Nie dano mi nawet szansy, żeby powiedzieć jej „do widzenia”. Żadnego pożegnania, żadnego pogrzebu, nic, czym zapieczętowałabym tamten rozdział mojego życia. Trudno się dziwić, że nasza matka jest taka, jaka jest – gniewna, zgorzkniała, złośliwa.

Jednak zamordowanie dyrektora nie przywróciłoby życia Ty. Nie wymazałoby lat przeżytych z pustką w sercu, którą tylko ona mogłaby wypełnić.

Potarłam szyję w miejscu, gdzie przedtem był tłumik. Lepka, ciepła krew skapnęła mi na ramię.

– Och, proszę cię – głos Jaga ociekał niesmakiem. Na ekranie pojawił się drugi mężczyzna. Natychmiast zapomniałam o krwi i bólu.

– Tata – szepnęłam, ruszając do przodu.

W ogóle nie przypominał Lyle'a Schoenfelda z fotografii na okładce książki.

Kiedy widziałam go w laboratorium, w Dobrych Ziemiach, przez cały czas miał oczy zakryte, a jego skóra lśniła perliście. Uświadomiłam sobie, że pewnie użył techniki, żebym nie mogła go poznać.

Bo na ekranie jego krzywy uśmiech wyglądał bardzo znajomo. Tata przyglądał mi się uważnie. Jak dawniej. Brązowe włosy miał

starannie przycięte w stylu, który zapamiętałam.

Ale skóra była skażona.

– Cześć, V. – Słowa powitania nie zabrzmiały tak ojcowsko, jak powinny. – Widzę, że dałaś radę dotrzeć do Złych Ziemi. Najwyższy czas. – Jego głos nic się nie zmienił, niski, zgrzytliwy. Tata wyglądał na bardzo szczęśliwego. –

Potrzebujemy cię tu na trochę – powiedział. – Już dawno powinnaś była wykreć jakiś lepszy numer.

– Thane – odezwał się dyrektor. – Nie mogliśmy jej aresztować z drobne kradzieże obuwia albo nieautoryzowane użycie teleportera.

– Ale spacer po parku...

– Dopuszczała się ośmiu wykroczeń.

– Siedmiu – zaczęłam się kłócić. Tłąca się w żyłach wściekłość buchnęła płomieniem.

– Takich, za które zostałam aresztowana – odparł dyrektor. Jego spojrzenie mówiło, że wie wszystko.

– Nadal park? – zapytał tata. Zastanawiałam się, na co, u licha, jestem mu potrzebna. I czy chroniłby mnie jak dawniej? A może wtedy był Thane'em udającym Lyle'a Schoenfelda i nigdy naprawdę go nie znałam?

Tata i dyrektor spierali się na temat braku poważnych przestępstw z mojej strony i czy spacer po parku są wystarczającym powodem do wygnania.

Popatrzyliśmy na siebie z Jagiem, jakbyśmy oglądali jakąś komedię i nie byli całkiem pewni: jest śmieszna czy nie. Ja optowałam za „nie”.

– Hm, przykro mi przerywać waszą dyskusję – odezwałam się. – Ale... o co, do diabła, chodzi?

– Tak, tak – zgodził się dyrektor. – Nie będziemy omawiać tego podczas projekcji. Mamy pewne sprawy do podsumowania. Wrócimy tu jutro.

– Gdzie jesteście? – zapytał Jag w tej samej chwili, kiedy ja krzyknęłam: – Czego omawiać?

– W Dobrych Ziemiach. – Tata przyglądał się Jagowi, jakby wiedział, że jego wargi próbowały smaku moich. – Jutro. Cam,

dostałeś moje rozkazy.

– Tak, dyrektorze.

Ekran stopniowo wygasał, aż stał się biały. Zelżał piekący ból w piersi. Za wyjątkiem uczucia, że coś rozsadza mi serce. Tata... z opaloną skórą. Tata... nazywany Thane'em. Tytułowany dyrektorem.

Spotkanie z nim nie przyniosło odpowiedzi na żadne z pytań, co tylko podsycalo mój gniew. Warknęłam do Jaga:

– Co tu się, do cholery, dzieje?

– Hej, nie wściekaj się na mnie. Zapytaj swojego kumpla. – Szarpnięciem podbródka wskazał na Łysola, który drzemał pod ścianą.

– Jag, nie bądź takim cholernym idiotą.

– Nie jestem. Wyraźnie masz z nim lepsze układy niż ja. W końcu to mnie skuli kajdankami.

– Jakby to była moja wina.

– Zmuś go, żeby je zdjął.

Już miałam się odwrócić, kiedy coś zaskoczyło w moich myślach. „Zmuś go, żeby je zdjął”.

Siłą woli wymogłam na Łysolu widzenie z Jagiem.

W domu Jaga uciszyłam Mechana.

Tłum się przede mną rozstał, kiedy uciekałam przed czytnikiem tęczówek.

W więziennej łazience rozerwałam technokajdanki.

Za pomocą myśli potrafię wymusić to, czego chcę.

Korytarz zawirował niebezpiecznym kalejdoskopem kolorów, uczuć i wzorów.

Jestem jedną z nich. Odzyskałam równowagę, przytrzymując się pulpitu.

– Jak ja to robię?

– Kontrola umysłów. – Głupi, zły chłopak wymownie przewrócił oczami.

– Ja... ja nie mogę. Będziesz musiał sam się od nich uwolnić.

– Nie ma mowy. Nie używam kontroli w taki sposób.

– Och, ale jak ja użyję, to będzie w porządku? – Po raz kolejny starłam z szyi krew. – Zaraz, moment.

Potrafisz kontrolować? – Usiłowałam przebiec myślą ostatnie tygodnie.

Jag na chwilę odwrócił wzrok. Kiedy nasze spojrzenia znowu się spotkały, zaczerwienił się.

– To nie do końca kontrola umysłów. Mój głos... Jego głos? Jego cholerny głos?

Jag uspokajał mnie i usypiał. Powiedział, że jest wielkim kłamcą. Powiedział, że mogę go dotykać. Powiedział mi całe mnóstwo różnych rzeczy.

– A niech to. Już nie żyjesz. – Odsunęłam się o krok, żeby wziąć zamach z większą siłą.

Zatoczył się do tyłu. Nie mógł się bronić z powodu kajdanek.

– Vi, przestań! Nie miałem zamiaru. A ty... i tak prawie na wszystko jesteś odporna.

– Nigdy więcej się do mnie nie odzywaj – powiedziałam. – Nie pomogę ci się pozbyć twoich głupich kajdanek. Radź sobie sam. Masz taki supergłos.

– To ty naprowadziłaś ich prosto na nas.

– Przypadkiem! Nie wiedziałam, że mam ten przeklęty pierścionek! Zrobili mi ModPam. Nie możesz mnie za to obwiniać.

Wzruszył ramionami. Najwyraźniej mógł. Ciężko osunęłam się pod najbliższą ścianą, zamknęłam oczy i zaczęłam marzyć o gorącej kąpieli i ciepłym łóżku.

– Pospiesz się, Violet – powiedział Łysol. – Zaraz będziesz mogła wziąć prysznic i odpocząć.

Jag ironicznie się uśmiechał.

– Super.

– Zamknij się! Nic do mnie nie mów! – Przerażona, patrzyłam, jak Jag walczy sam ze sobą. Naprawdę nie mógł mówić – przez mój rozkaz. To było okropne. Wyciągnęłam do niego rękę, ale odwrócił się ode mnie.

– Jesteś gotowa, Violet?

– Nie. Tak. Chodźmy – odparłam, omijając pulpit i podążając za Łysolem kolejnym surowym korytarzem. Przy piątych drzwiach po prawej stronie zatrzymał się i otworzył je jednym pchnięciem.

Na środku pokoju królowało ogromne łoże z ciepłymi, czerwonymi kocami i puchatymi, białymi poduszkami. Koło komody znajdowały się drzwi, prowadzące do łazienki. Podłogę pokrywały grube, niebieskie dywaniki. Ciężkie zasłony łagodnie poruszały się w otwartym oknie. Brakowało tylko śniadania.

– Przyniosę ci coś do jedzenia – oświadczył Łysol. Kiedy wyszedł, ślina nabiegła mi do ust na myśl o plackach ziemniaczanych, arbuzie i dziesięciu opakowaniach protein.

Przygotowałam sobie gorącą kąpiel i nic w życiu nie wydało mi się równie dobre. Chciałam, żeby wszystkie moje problemy spłynęły rurami razem z brudną wodą. Ale cóż, nic z tego.

Po śniadaniu – placki ziemniaczane, arbuzy i dziesięć opakowań protein – przebrałam się w piżamę, którą znalazłam w górnej szufladzie komody. Właśnie gdy rozkładałam miękkie koce, w drzwiach pojawił się Łysol.

– Przykro mi, że warunki nie są zbyt imponujące. Wygodnie ci?

– Pewnie – odparłam. – Wszystko w porządku. – Odwrócił się, żeby wyjść. – Chwileczkę, gdzie jest Jag? Mogę się z nim zobaczyć?

Łysol pokręcił głową.

– Ma pokój w innym korytarzu. A poza tym dostałem rozkaz, żeby trzymać was z dala od siebie. Przynajmniej dopóki nie przybędą dyrektorzy.

– Co się z nami stanie?

– Dziwię się, że pytasz. Jag już się domyślił.

– Jasne, Jag jest po prostu wspaniały. Prawda? Łysol nie odpowiedział. Patrzył na mnie beznamiętnie, dopóki go nie wyrzuciłam z pokoju.

Tych dziesięć opakowań protein okazało się wielkim błędem. Sen nie nadchodził, bo co piętnaście minut biegałam do łazienki. W głowie kłębiły mi się wydarzenia ostatniej doby.

Po pierwsze, historia z Zennem. Fałszywe zaproszenie. Prawdziwy pocałunek. Zdradziecki prezent urodzinowy. Zmodyfikowana pamięć.

Następnie Jag. Jego głos. Jego nocne koszmary. Jego Ruch Oporu.

I to oskarżenie w jego oczach za każdym razem, kiedy na mnie spoglądał.

Wszystko stało na głowie. Tata przebywał w Dobrych Ziemiach – i miał brązową skórę. Kontrolował mnie. Sączył kłamstwa do moich uszu, do mojego umysłu. Używał imienia Thane. Jednak Jag nazwał Thane'a złym facetem.

Ale to mój ojciec.

Teraz myśl o nim nie była już kołem ratunkowym. Miała raczej gorzki smak gniewu. Ceny siedmioletniego opuszczenia. Życia bez ojca. Świadomości, że ukradł moje wspomnienia, robił mi pranie mózgu, sterował mną.

Ale przecież tata mnie kochał. Zawsze mnie chronił. Może tym razem było tak samo. Chociaż okazał się Thane'em, nadal mógł używać kontroli, żeby mi pomagać.

Zasnęłam z policzkami mokrymi od łez, myśląc o tym, że obojętnie jak obrócę kota ogonem, mój tata nie stanie się bohaterem, którego chciałam w nim widzieć.

Kiedy się obudziłam, pokój tonął w ciemnościach.

– Która godzina?

– Jedenasta trzynaście – odpowiedziały ściany.

– Rano czy wieczorem?

– Wieczorem.

– A jaki dzień?

– Czternasty czerwca.

– Gdzie jest Jag Barque?

– Korytarz ósmy, pokój czwarty.

Nie miałam pojęcia, gdzie znajduje się korytarz ósmy ani jak wielki jest ten budynek. Nie wiedziałam nawet, czy zdołam otworzyć drzwi bez ryku alarmu i czterdziestu Mechanów pędzących z łoskotem po korytarzu.

Po prostu wyłączę ich z gry, pomyślałam, przypominając sobie robota, którego unieszkodliwiłam w domu Jaga. Wyślizgnęłam się z łóżka i założyłam tenisówki. Kiedy uchyliłam drzwi, nie rozległa się żadna syrena. Nikt nie przybiegł, kiedy dałam krok na korytarz. Ani jeden Mechan nie zaszedł mi drogi, gdy przemykałam się do holu ze srebrnym pulpitem.

Ale nie było widać innych przejść.

– Gdzie jest ósemka? – zapytałam, obracając się w koło.

Ściany drgnęły i przesunęły się, odsłaniając kolejny korytarz. Zerknąwszy za siebie, pospiesznie weszłam do środka.

– Pokój numer cztery? – Pulsujące żółte światło otoczyło drugie drzwi po mojej prawej.

W tym pokoju też znajdowały się niebieskie dywaniki i zasłony. Ale łóżko, co najmniej dwa razy większe niż moje, pokryte było puszystymi, błękitnymi kocami.

Jag siedział podparty mnóstwem wygodnych poduszek i czytał (oczywiście).

– Jag – szepnęłam, kiedy drzwi się za mną zamknęły. – Jeszcze mnie potrzebujesz, żebym ci zdjęła kajdanki? – Miałam nadzieję, że nadal potrafi rozszyfrować Violomowę.

Podniósł wzrok i odłożył książkę.

– Vi, ja też przepraszam.

Potem podbiegł do mnie z takim entuzjazmem, jak kilka dni temu do niego rzuciła się Sloan. Zaczął obracać się ze mną w objęciach, aż moje stopy oderwały się od ziemi i wybuchnęłam głośnym śmiechem.

Wyglądał fantastycznie. Miał na sobie ciemne dzinsy i białą koszulkę bez rękawów, która ładnie kontrastowała z jego skórą. W końcu postawił mnie na podłodze, z powrotem wdrapał się do łóżka i wziął książkę. Usiadłam na kocu, po drugiej stronie. Czułam, że jest coś niewłaściwego we wchodzeniu na łóżko Jaga. Ale teraz byłam zła, więc może było to w porządku.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz – poprosiłam.

Przez chwilę milczał. Jego spojrzenie zawisło najpierw na mnie, potem na otwartym tomiku, wreszcie na kocach. Właśnie kiedy pomyślałam, że nie mogę czekać już ani sekundy dłużej, odezwał się.

– Dyrektoriat chce, żebym nagrywał dla nich transmisje. Obecne skutkują tylko przez chwilę. A ja potrafię... tak jakby zmuszać ludzi, żeby mnie słuchali.

Oto co znaczy powiedzieć wiele w trzech zdaniach. Myślę, że naprawdę nieźle dałam sobie radę, bo mój głos brzmiał całkiem normalnie, kiedy spytałam:

– A co ze mną?

– Ciebie potrzebują do kontrolowania umysłów. Dostajesz to, czego zażadasz. Potrafisz naginać wolę innych do swoich życzeń. Potrafisz zarządzać.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Bo wcale nie chciałam zarządzać.

– Naprawdę nie masz wyboru, Vi – dodał Jag, wdzierając się do moich myśli. Popatrzyłam na niego, zastanawiając się, w jaki sposób mógł zajrzeć mi do głowy. – Odbieram cudze uczucia. Zwłaszcza twoje. Pewnie dlatego, że oboje jesteśmy wolni. Albo to te nasze urodziny... sam nie wiem – przerwał na moment. – Możemy nie mieć wyboru. Pomożemy im albo umrzemy.

– Mylisz się – powiedziałam. – Właśnie tym się różnimy. Mamy wybór. To pozostali nie mają. – Przez głowę przemknęło mi wspomnienie ojca Jaga. – Twoi rodzice też mogli wybierać, prawda? Wiedzieli to, co my wiemy.

Zesztywniał.

– Tak, wiedzieli. Próbowali powiedzieć o tym innym, ale Thane był zbyt silny. Zareagował jeszcze głośniejszymi transmisjami i surowszymi przepisami. Ludzie pozwolili na siebie oddziaływać. Dali się zmienić.

Każdy wie o przemianach. W szkole wbijają nam do głów ten ciąg wydarzeń, aż chce się rzygać. Widzicie, przemiany zaczęły się dyskretnie. Myśliciele werbowali i kontrolowali tych, których chcieli mieć po swojej stronie. Na początku większość sprzeciwiała się zawłaszczaniu ich umysłów, ale oni stawali się coraz potężniejsi. Wybuchwały wojny na tle rasowym i religijnym. Ludzie opowiadali się za Tym-Od-Myślenia, któremu wierzyli.

Wojny rozprzestrzeniły się na cały świat: Ten-Od-Myślenia przeciwko Temu-Od-Myślenia, odmóżdżona armia przeciwko odmóżdżonej armii. Początek Wielkich Wydarzeń zapisał się pożarami, które zabiły prawie wszystkich. To właśnie wtedy dyrektor generalny zebrał ocalałych do miast, żeby zaprowadzić pokój i odbudować ludzką populację. To on utworzył dyktoriat, radę administracyjną nadzorującą wszystkie regiony. Dyrektorzy regionalni zarządzali dziesięcioma miastami. Każde miasto miało dyrektora,

który składał sprawozdania radzie. Mówiono nam, że dyrektor generalny był naszym wybawcą – jedyną przyczyną, dla której ludzie przetrwali gęsty dym i lata ciemności podczas Wielkich Wydarzeń.

W nasze uszy wszczepiono odbiorniki. Emitowano transmisje na temat lojalności i zaufania. I o tym, jaki niesamowicie wspaniały był dyrektor generalny. Kolejny powód, dla którego przestałam ich słuchać: nie uważam, że dyrektor Greenwood to taka znowu znakomitość. Bo z całego serca nienawidzę wszystkich Tych-Od-Myślenia.

A teraz jestem jedną z nich.

– Poczekaj chwilę – powiedziałam. – Thane tworzył prawa? Czy twoi rodzice nie mieszkali w Złych Ziemiach?

Jag podniósł do góry książkę.

– Według Lyle'a Schoenfelda Dobrzy i Żli byli wspólnotą. Thane rozdzielił nas dwadzieścia pięć lat temu. Moi rodzice stanęli na czele ruchu przeciwko twemu ojcu i separacji, którą spowodował.

– Więc... kim jest Lyle Schoenfeld? – zapytałam.

– Nie wiem, ale myślę, że Thane ukradł jego tożsamość, żeby się ukryć.

Potałam czoło, usiłując uporządkować myśli.

– Ukryć? Ale Thane wcale się nie ukrywa, Jag. Najwyraźniej wszystkim zarządza.

– Teraz, dziecinko. Zarządza wszystkim teraz. Jest w dyrektoriacie, a oni mają tyle tożsamości, że nikt nigdy ich nie przyłapie.

– Skąd wiesz?

Jego twarz stała się nieprzenikniona.

– Powiedzmy, że po prostu wiem – odparł. Jak mogłam się domyślić, miało to coś wspólnego z Blaze'em albo Ruchem Oporu (albo i z jednym, i z drugim), ale nie mogłam tego powiedzieć, bo oficjalnie w ogóle o nich nie słyszałam.

– Musimy być razem – ciągnął Jag. – Wyczuwam twój lęk przed kontrolowaniem innych. W pojedynkę narazimy się na wpływ Tych-Od-Myślenia z lepszym wyszkoleniem i większym doświadczeniem. Ale kiedy jesteśmy razem, możemy sobie nawzajem przypominać

o dziejącej się niesprawiedliwości. Może w końcu staniemy się dość silni, żeby coś w tej sprawie zrobić.

Dotknęłam jego policzka. Opuszką palca przesunęłam po brwi i w dół, do podbródka.

– Nie chcę być taka jak oni. – Moje przerażenie było widoczne, ale nie peszyło mnie to. – Obiecuj, że się nie rozstaniemy.

– Nigdy cię nie opuszczę, Vi. – W tych słowach dźwięczał przymus. Nie byłam w stanie dokładnie przyjrzeć się twarzy Jaga, bo odchylił się do tyłu i oparł o poduszki.

– Nie mogę nikogo kontrolować – powiedziałam, przytulając policzek do jego piersi tak, że słyszałam bicie serca. – Po prostu nie mogę.

Wreszcie przechylił głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Nie chcę głosem wymuszać na ludziach, żeby żyli w taki, a nie inny sposób, z tysiącem głupich zakazów i nakazów. – Zadrżał mu mięsień szczęki.

– Ja też.

– Więc tego nie zrobimy. Nigdy nie będę nikim sterować, nawet tobą.

– Umowa stoi.

Linia jego ust złagodniała.

– Wiedziałem, że jest jakaś przyczyna, że się w tobie zakochałem.

Zanim mój mózg zdołał przetworzyć ostatnie zdanie, poczułam na wargach usta Jaga. Poruszał się precyzyjnie, przesuwając dłońmi po moich plecach, aż do krzyża. Dotyk jego rąk nie był bezpieczny.

Całując mnie w policzek w okolicy ucha, wymamrotał cicho:

– Violet.

Nie przeszkadzało mi to; właściwie uwielbiałam moje pełne imię, kiedy wymawiał je tym swoim aksamitnym głosem. Zapomniałam o wszystkim, oprócz tego, że on jest tu ze mną i już zawsze będziemy razem. Na tę myśl przebiegł mnie dreszcz.

– Zimno ci? – szepnął Jag, muskając moje wargi.

– Trochę – odparłam, chociaż trzęsłam się raczej z nerwów. Nigdy dotąd nie sięgnęłam myślą poza pocałunki. Dobre dziewczyny nie posuwają się nawet tak daleko. Kradzież i wtargnięcie na cudzy teren zajmowały najwyższą pozycję na liście moich złych uczynków.

Rozdzielały nas koce, gruba bariera, której nie mogłam przekroczyć. Jego włosy prześlizgiwały mi się między palcami jak jedwab.

– Denerwujesz się – zamruczał Jag. Poczułam się jeszcze bardziej zakłopotana.

– Skąd wiesz? – Moje palce błędziły po jego szczęce.

– Słyszę, jak łomocze ci serce – odparł.

Słyszał moje serce? Czyżby do kompletu z supergłosem miał supersłuch? Odepchnęłam go.

– Co to znaczy?

Jego ręce nadal obejmowały mnie w talii.

– Tylko tyle, że słyszę bicie twojego serca.

– Nie da się słyszeć bicia serca na odległość – powiedziałam. – Ja twojego nie słyszę.

– Odbieram też twoje uczucia.

– A masz do tego najwyższej klasy węch? Wybuchnął śmiechem, a ja wtuliłam się w jego pierś, żeby poczuć echo tego cudownego dźwięku.

– Nie jestem superbohaterem.

Dla mnie był. Czułam się bezpieczna, leżąc w jego ramionach, kiedy jego dłoń masowała moje barki. Zamknęłam oczy i wdychałam zapach skóry Jaga. Pachniał piżmem i czystością. Bardzo męsko. Nucił pod nosem jakąś cichą melodię. Drganie fal dźwięku przenosiło się z jego piersi na mój policzek.

– Kocham cię, Vi – wyznał, całując mnie w czoło. – Naprawdę.

Byłam pewna, że też go kocham i chciałam mu o tym powiedzieć, ale mój głos odmówił posłuszeństwa. Te dwa krótkie słowa więzły mi w gardle, nie potrafiłam ich z siebie wydobyć. Odsunęłam się od Jaga, żeby lepiej go widzieć.

– Jag, ja...

– Wiem. Przytul się z powrotem. To takie przyjemne.

Zasnęłam. Leżałam obok niego, rozmyślając, co powinniśmy teraz zrobić. Zastanawiałam się, jaka to sprawa, którą musieli dokończyć dyrektor i tata. Obawiałam się, że mogła mieć związek ze mną. Przez te siedem lat tata mógł wymyślić nie wiadomo co, a wiedziałam z własnego doświadczenia, że jego technowynalazki nie zawsze są miłe. Ale za to wymagają intensywnych testów. Czy to mogła być przyczyna, dla której natychmiast się tu nie teleportował?

Po pół godzinie wsłuchiwania się w miarowy oddech Jaga zabrałam książkę i poszłam do łazienki. Żeby poczytać, co Lyle Schoenfeld – kimkolwiek jest – miał do powiedzenia, zasiadłam w wannie pełnej parującej wody.

Przebrnęłam przez drętwy rozdział z analizą efektywności techniki w życiu codziennym przeciętnego człowieka. Nudziarstwo.

Przerzucając dalej kartki, dotarłam do zbioru szczegółowych porad, jak pokonywać technourządzenia. Teleporterzy można uszkodzić tak, że nie przyjmą ani nie wyślą już żadnych wiadomości. Tłumiki przestawić na wzmocnienie dźwięku. Ściany przeprogramować na zachowywanie sekretów i udzielanie

nieprawidłowych informacji.

Lokalizatory dają się usunąć.

Czytając ten rozdział raz, a potem jeszcze raz, doszłam do wniosku, że Lyle Schoenfeld to nie mój ojciec. Książki tego typu, równie niebezpiecznej, w żadnym razie nie pozwolono by wydać w Dobrych Ziemiach. Nie, Lyle musiał być członkiem Ruchu Oporu, Złym, kimś, kto chciał, żeby Dobrzy zwątpili w Tych-Od-Myślenia. Thane mógł posługiwać się jego tożsamością, ale on i Lyle to dwaj zupełnie inni ludzie.

Pomyślałam o wiejskim domu, gdzie Jag ukradł książkę. Skąd tamten farmer ją wziął? Czy też był Wolnomyślicielem? A może kimś takim jak Zenn – Wtajemniczonym?

Chciałam zadać Zennowi różne pytania. Albo tacie. Było tyle spraw, o które musiałam ich zapytać. Tyle wątpliwości kłębiło się w mojej głowie. Zenn mnie kochał. Wiedziałam o tym. Słyszałam miłość w jego słowach, wyczuwałam ją w troskliwości, z jaką się do mnie odnosił.

Tata też mnie kochał, nawet jeśli teraz obserwował mnie bacznie. Nawet jeśli był dyrektorem.

Pokręciłam głową, żeby uwolnić się od pytań, które nie przestawały się mnożyć. Wkrótce miałam ich obu zobaczyć i otrzymać odpowiedzi. Skoncentrowałam się na tekście – na tym, jak się pozbyć lokalizatora.

Niezbędne do tego było specjalne narzędzie – również najwyższe osiągnięcie techniki – nożyce z elektrowstrząsami. Zastanawiałam się, gdzie mogłabym je zdobyć. Oczywiście, potrzebowałam również nieco chirurgicznej powłoki, która weźre mi się w ciało, i regeneratora, który potem je odtworzy, ale...

– Vi? – z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł cichy głos Jaga. Moczyłam się już tak długo, że woda w wannie całkiem ostygła. Wstałam, uważając na książkę, i owinęłam się ręcznikiem.

– Jestem tutaj – szepnęłam. Jag włączył lampę. Kiedy weszłam do pokoju, właśnie przecierał oczy.

– Hej.

Odłożyłam książkę na stolik koło łóżka.

– Nie zamoczyłam jej.

– To bez znaczenia. – Lustrował spragnionym spojrzeniem moje skąpo okryte ciało.

– Przestań. – Zacisnąwszy mocniej ręcznik, wróciłam do łazienki. Poszedł za mną i oparł dłoń na drzwiach, zanim zdążyłam je zamknąć. Patrzyłam wszędzie, byle nie na niego. To, że leżeliśmy w jednym łóżku, chociaż kompletnie ubrani, było już wystarczająco złe.

Nic nie mogłam na to poradzić, że chłonełam jego widok, poczynając od stóp i powoli przesuwając się w górę – do szyi, podbródka, warg, nosa i oczu. Kiedy w końcu do nich dotarłam, poczułam niemal bolesny ucisk serca. Przełknęłam z trudem i odchrząknęłam, bawiąc się końcem ręcznika.

– Vi, kotku...

– Nie mów tak do mnie.

Jag uśmiechnął się po swojemu – zwycięsko. Z drżeniem zaczerpnęłam powietrza i spróbowałam się skupić.

– I nie uśmiechaj się tak. To nieuczciwe.

– Dobrze. Więc pogadajmy o tym, jak być uczciwym. – Delikatnie splótł swoje palce z moimi. Uroczo zakłopotany, wpatrywał się w podłogę. Powoli zrobił kilka kroków do tyłu i pociągnął mnie za sobą.

– Jag.

Nagle się zatrzymał. Jego palce po omacku błędziły po mojej dłoni. Podniósł wzrok.

– Jeszcze to nosisz? – Cierpienie zagłuszyło szok w jego głosie.

Pierścionek Zenna błysnął w świetle lampy.

Sprawy same się rozwiązują. Tak zawsze mówiła Ty. U mnie nic nigdy samo się nie rozwiązało – w każdym razie nie w taki sposób, jak bym chciała. Jeszcze miesiąc temu mogłabym umrzeć za pocałunek i pierścionek od Zenna. Teraz zapewne umrę – w sensie dosłownym. Jag puścił moją rękę, jakby go parzyła.

– Więc?

– To nic nie znaczy. Po prostu zapomniałam i tyle. – Chciałam zdjąć pierścionek i wrzucić do odpływu, ale nie miałam pewności, czy nie spadnie ze mnie ręcznik.

Jag skrzyżował ramiona i przyglądał mi się z wściekłością.

– Zdejmij go.

Zatknąwszy mocniej pod pachą skraj ręcznika, spróbowałam obrócić pierścionek na palcu. Bez skutku. Wydawał się przyspawany do skóry.

– Nie potrafię. Pomóż mi.

Jag odsunął się na tyle, żebym nie mogła go dosięgnąć.

– Nie ma mowy. Jeśli to przyczepiak, nie chcę mieć z nim kontaktu.

– Już miałeś – powiedziałam, przewracając oczami.

– A niech cię – syknął głosem podszytym groźbą.

– Świetnie, Jag. Przecież nie wiedziałam, że to przyczepiak.

– Zdajesz sobie sprawę, że będzie nas śledzić, dokądkolwiek pójdziemy? On wszystko rejestruje, Vi. Rejestruje. Nie można tak po prostu go wyrzucić.

Jakbym potrzebowała, żeby mnie pouczał na temat przyczepiaków. To mój tata je wynalazł. Są nakładane zarówno tajnym agentom, jak i kryminalistom. Rejestrują rozmowy, uczucia, temperaturę, co tylko się da. Dane przesyłane są prosto do centrali

albo gdzie indziej, do analizy. Naprawdę nie musiałam wysłuchiwać wykładu o przyczepiakach.

– Możemy go zepsuć – zaproponowałam, rozpaczliwie próbując ratować sytuację. – Ja mogę.

– Tak czy siak, wszystkiego się dowiedzą. Wyznałem, że cię kocham. Ty właściwie powiedziałaś to samo... Oni będą wiedzieć wszystko! – Zaczął przemierzać pokój, przy każdym zakręcie rzucając mi mordercze spojrzenia.

– To nie moja wina! – krzyknęłam. – Zachowujesz się jak ostatni drań... znowu. – Odwróciłam się, żeby wejść do łazienki po swoje rzeczy. Nie chciałam przy nim płakać.

– Taak, powinnaś iść, Vi. Pozbądź się tego cholernego świństwa. I wcześniej nie wracaj. – W pierwszej chwili nawet nie przyszło mi do głowy, żeby go nie posłuchać. Ale przypomniałam sobie, co mi obiecywał.

– Mówiłeś, że nie będziesz mnie kontrolować. – Odwróciłam się, żeby stawić mu czoło. Dłonie zacisnęły mi się w pięści. Ze złamanym nosem nie wyglądałby już tak doskonale.

– Skłamałem. Jeśli ty możesz, to dlaczego ja nie?

Na twarzy wystąpiły mi wypieki. A on stał, wpatrując się we mnie z wściekłością, prowokując, żebym go uderzyła. Co oznaczało, że na pewno tego nie zrobię. Spokojnie, energicznym krokiem weszłam do łazienki i zamknęłam za sobą drzwi. Mimo powodzi łez zalewających mi twarz, jakoś zdołałam się ubrać. Pierścionek nadal nie dawał się zsunąć z palca. Nawet pod gorącą wodą. Chociaż bardzo sobie tego życzyłam.

Kiedy wróciłam do pokoju, Jaga nie było. Wychodząc, zabrałam książkę z nocnego stolika. Zamknęłam się w mojej sypialni na klucz i włączyłam światła tak jasne jak słońce albo księżyc.

Książka nie zawierała porad na temat usuwania przyczepiaków. Wiedziałam, że należą do urządzeń zaawansowanych technologicznie, produkowanych głównie na użytek Sił Specjalnych. Agenci nosili przyczepiała podczas swoich tajnych misji. Musiał być jakiś sposób, żeby je zdejmować.

Zamknęłam oczy. Moje myśli powędrowały do Zenna. Gwałtownie

uniosłam powieki.

Przecież Zenn jest agentem Sił Specjalnych.

To on ofiarował mi przyczepiak. I również on podpowiedział, jak się go pozbyć.

Umiał posunąć się wystarczająco daleko, a jednocześnie nie przekroczyć granicy. Ratował mnie niezliczoną liczbę razy. Teraz też coś zrobił, byłam tego pewna.

Pocałował mnie. Wyteżałam umysł, by odnaleźć słowo, które dosłyszałam w tamtej zapomnianej chwili.

Przypomnij sobie.

Och, pamiętałam, pewnie. Pamiętałam napór jego ust, ciepło, które od jego dotyku rozlało mi się po całym ciele.

Był to więcej niż zwykły urodzinowy pocałunek Zenna. Był to jego akt zdrady. Takiej, jakiej dyrektorzy nie mogli podejrzewać.

Rzuciłam okiem na ściany. Jak właśnie przeczytałam, dawały się zaprogramować na kłamstwa, co oznaczało, że prawie dorównywały ludziom podsłuchującym i obserwującym każdy mój ruch. Skoncentrowałam się na gładkim tynku. Prawie widziałam pod nim systemy elektroniczne. Temperatura w pokoju wzrosła, szумы stawały się głośniejsze, tak głośne, aż nie mogłam uwierzyć, że przedtem ich nie słyszałam. W odpowiedzi na tę świeżo ujawnioną technikę lokalizator na moim nadgarstku zaczął rwać i pulsować.

Pokręciłam lekko głową i ściana umilkła. Z ulgi ugięły się pod mną kolana. Nadal nie mogłam wyjść ze zdumienia, że technourządzenia były tak blisko, a ja ich nie wyczułam.

„Pokryty ochroniaczem”. Słowa Zenna zadźwięczały mi w uszach. Dyrektorzy znaleźli sposób, by ominąć moją wrażliwość na technikę.

Zanim zdołałam zablokować wszystkie ściany pokoju, rozboleło mnie gardło i czułam ucisk w żołądku. Psucie techniki to ciężka praca.

W łazience ustawiałam lustro, aż wykierowałam je wprost na swoje usta.

Wystawiłam język. Nic.

Na półce nad umywalką stały w szeregu rozliczne, opatrzone etykietkami, buteleczki. Wybrałam rozpuszczalnik do płukania ust.

Kiedy rozpląwał mi się na języku, aż skrzywiłam się od gorzkiego smaku.

Znowu otworzyłam usta i zajrzałam do środka. Nadal nic.

Złapałam niebieską tabletkę do czyszczenia zębów i rozgryzłam.

Uśmiechając się od ucha do ucha, uważnie obejrzałam język. Spod błękitnej piany wyłaniała się wiadomość. Zażyczyłam sobie, żeby zastygła, więc mogłam ją odczytać:

„Gdy jest zagrożenie, przyczepiak przywiera.

By go usunąć, użyj ramera”.

Zanotowałam rymowanekę na pierwszej stronie książki Jaga i wypłukałam usta.

– Użyć ramera... co to znaczy?

Oczywiście, nikt mi nie odpowiedział, skoro przed momentem wyłączyłam w pokoju cały system elektronicznej inwigilacji.

Ramer... ramer... Nie miałam pojęcia, kogo to oznacza. Ty była ramerem, ale ona umarła dawno temu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zanim odpowiedziałam, wsunęłam książkę pod poduszkę.

Za progiem czekał Łysol z armią Mechanów.

– No proszę. Znalazłaś Jaga. – Przepchnął się obok mnie do pokoju. Roboty wcisnęły się również, chrzęszcząc srebrzystymi puszkami swoich ciał.

– Taak – odparłam. – Bo co?

Z założonymi rękami odwrócił się w moją stronę.

– I wyłączyłaś ściany.

– Taak. – Nie chciałam, żeby zabrzmiało to prowokująco.

Łysol machnięciem ręki skwitował moją dobrą wolę.

– Mówiłem ci, że dyrektor Myers nie życzy sobie, żebyście byli razem. A teraz ma zarejestrowane, że spędzałaś czas w łóżku Jaga.

– Ale my nie...

– Obojętne mi, co robiliście albo czego nie robiliście, panno Schoenfeld. Natomiast obchodzi mnie i to bardzo, że zostanę uznany za nieudolnego. – Jego głos był cichy i zgrzytliwy. – Jestem tutaj, żeby ci pomóc. Latami pracowałem na swoją pozycję, Violet. Tylko tego brakuje, żebyś razem z tym chłopakiem nabuzowanym

hormonami wszystko popsuła. Trzymaj się od niego z daleka.

Spojrzałam mu uważnie w gniewne oczy. Nie kłamał. Myśląc szybko, poprosiłam jednego z Mechanów o czekoladę na gorąco. Kiedy na srebrnej tacy zmaterializował się kubek, gwałtownie zanurzyłam w nim palce, z nadzieją, że zakłócę sygnał tropiciela. Stłumiwszy okrzyk bólu, zdołałam wykrztusić:

– Muszę znaleźć rangersa. Wściekłość wyparowała z twarzy Łysola.

– Co powiedziałaś?

– Ten pierścionek to przyczepiali. Żeby go zdjąć, potrzebuję rangersa. Proszę, musi mi pan pomóc.

Podszedł i przytrzymał mój palec w niemal wrzącym płynie.

– Najbliżsi rangerzy mieszkają w Dobrych Ziemiach.

– Niech mi pan powie, jak mam ich odnaleźć – zażądałam.

Oczy Łysola zaszklily się, ale po chwili nabrały wyrazu. Wyciągnął jakieś technourządzenie i wyłączył swoją armię robotów.

– Nie potrzebujesz mnie zmuszać, żebym ci pomógł. – Zamknął drzwi na klucz. Z jakiegoś powodu nie ułatwiło mi to oddychania. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób „zmuszałam” go do czegokolwiek.

Po chwili odezwał się brzęczyk mojego komunikatora. Nadeszła wiadomość. Od Camerona Blausa.

– Wysłał pan do mnie e-comm? – zapytałam.

Przez dzielącą nas przestrzeń przetoczyło się zniecierpliwienie Łysola.

– Uważaj. Tutaj ściany mają oczy i uszy, ale dopilnuję, żeby tym razem były nastawione na rzetelne informacje. Idź sama. Rangerzy schodzą się o siódmej. – Sprawdził godzinę na swoim telefonie. – Jest piąta trzydzieści. – Potem manipulując prztyczkami, włączył Mechany i umknął, a one w ślad za nim.

Zastanawiając się, czy mogę mu ufać, wyciągnęłam z czekolady pulsującą bólem dłoń.

E-comm od Camerona Blausa zawierał wskazówki, jak dostać się do... no cóż, do miejsca pobytu rangersów, gdziekolwiek się ono znajdowało. Z jakiegoś powodu postanowiłam zaufać Łysolowi. Może dlatego, że dobrowolnie dał mi to, czego potrzebowałam.

Nie mogłam rozbijać się po Dobrych Ziemiach w samej piżamie, więc przeszukałam komodę w kącie. Znalazłam dzinsy i koszulkę. Przebrałam się i przemknęłam korytarzem do sterylonego pomieszczenia, gdzie znajdował się srebrzysty pulpit. Przyczajona, raz jeszcze powtórzyłam instrukcję: „Korytarz numer jeden. Korytarz czwarty. Schodnia numer trzy. Teleporter numer siedem – wymaga kodu”. Nic nie szkodzi, że gardziłam schodniami i nie miałam pojęcia, jakie może być hasło do teleportera.

Łysol nie był aż tak drobiazgowy. A może sam go nie znał.

Zaczęłam się skradać w kierunku głównego wejścia. Moje miękkie buty stąpały bezszelestnie. Czułam się, jakbym znowu była w Dobrych Ziemiach i robiła to, co zawsze udawało mi się najlepiej – łamała przepisy.

Kiedy znalazłam się w holu, przejście za moimi plecami znikło. Za to w ścianie naprzeciwko otworzyło się kolejne.

– Czy to korytarz numer jeden? – szepnęłam.

– Tak – mechaniczny głos zahuczał w ciszy. Jasne technoświatła odbijały się od srebrnych drzwi. Nakazałam ścianom zmniejszyć energię i technoszumy osłabły. Zażyczyłam sobie, by światła nie były tak jasne. Natychmiast przygasły.

Nie zważałam na to, że siłą umysłu steruję wszystkim wokół. Wystarczała przelotna myśl i dostawałam to, czego chciałam. Ścisnęło mnie w pustym żołądku. Odepchnęłam wątpliwości na temat kontroli.

No dalej, Vi, poinstruowałam samą siebie. Znajdź tych rangersów.

Kiedy pędziłam do otwartego korytarza, coś z tyłu trzasnęło. Nie zatrzymałam się, ani nie obejrzałam, tylko skłoniłam ściany, żeby się za mną zamknęły. Posłuchały, zmuszając mnie do szybszego biegu, jeśli nie chciałam zostać zgnieciona.

Wpadłam do kolejnego pomieszczenia ze srebrnym pulpitem. W moich żyłach płonęła technika, gorąca i mocna. Kilka par drzwi prowadziło do nieznanych korytarzy, w których kryły się kłopoty.

– Korytarz czwarty? – szepnęłam. Środkowe drzwi rozbłysły na żółto. Łysol mówił, że nastawił ściany na wiarygodność, więc wślizgnęłam się przez te drzwi, zanim wyłączyłam zasilanie. Jak do tej pory, moje zaufanie tylko rosnęło.

Ten korytarz ciągnął się tak daleko, że nie było widać końca. Ruszyłam biegiem, ale już po kilku minutach zwolniłam.

– Kurczę blade – sapnęłam. Oddech mi się rwał, pulsowało w oczodołach. – Dokąd ja idę? – Ściany nie odpowiedziały, bo sama wprowadziłam je w stan uśpienia. Właśnie wtedy, kiedy potrzebowałam, technika nie działała. Zawahałam się, czy ich z powrotem nie uruchomić, ale nie chciałam zwracać na siebie uwagi zbyt częstymi zmianami.

Pomieszczenie, z którego wyruszyłam, znikło mi już z oczu. Poczulałam lekki przypływ paniki na myśl, że mogłabym utknąć w tym bezkresnym, białym tunelu. Oparta o ścianę, chwytając haustami powietrze.

Osunęłam się na podłogę i siedziałam z głową w dłoniach. Musiało być stąd jakieś wyjście. Schodnie... schodnie...

Schodnie wiodą w dół, podobnie jak wchodnie w górę. Oczywiście, Ci-Od-Myślenia potrafią kontrolować ludzi, ale są beznadziejni, gdy idzie o twórcze nazwy dla technourządzeń.

Baczenie przyjrzałam się gładkiemu betonowi. Pomalowano go na szaro, żeby zapobiec spękaniom. Daleko w głębi korytarza rozbłysła szkarłatna ósemka. Zaprażyłam się przygasić światła. Technika zareagowała.

Teraz ósemka stała się wyraźniejsza. Za nią migotała na niebiesko dziewiątka. Obejrzałam się. Siódemka była jakieś dwadzieścia metrów za mną. Szybkim krokiem zawróciłam do zielonej trójki.

Stanełam pośrodku schodni numer trzy i czekałam. Nic się nie działo.

– Hm, na dół? – zaryzykowałam. Podłoga znikła, jak to zawsze bywa w przypadku tego urządzenia. Wrzasnęłam, zapominając, że jestem na tajnej misji i liczy się dyskrecja.

Kiedy wylądowałam, ostry ból przeszył mi stopę. Kulejąc, ukryłam się za kolejnym pulpitem. Rozcierałam kostkę i liczyłam pary otwartych drzwi naprzeciwko. Sześć. Musiałam znaleźć teleporter numer siedem. Nadal przyczajona, zajrzałam do pomieszczenia, które miałam za sobą.

Wzdłuż odległej ściany stały terminale teleporterów. Nie mogłam uwierzyć, że tu są. Zastanawiałam się, dokąd prowadzą, bo w Złych Ziemiach nie zauważyłam ani jednego terminalu.

Przemierzyłam salę i zatrzymałam się przed siódmką. A teraz najbardziej ryzykowny moment. Hasło. Laboratorium. Ranger. Zenn. Ty. Schoenfeld. Thane. Czego potrzeba, żeby się tam dostać?

Miałam tylko jedną szansę. Technika nie akceptuje błędów.

– Jak brzmi hasło do laboratorium numer cztery? Żadnej odpowiedzi. Hasła były zindywidualizowane.

Po prostu super.

Minęło kilka minut. Z każdą kolejną serce waliło mi coraz mocniej. Wreszcie podjęłam decyzję. Wzięłam głęboki oddech i weszłam do terminalu.

– Violet – oznajmiłam, zamykając oczy. Spodziewałam się, że przy wtórze wyjącego alarmu zostanie wywalona na zbitą twarz.

Zamiast tego moje cząsteczki zadrżały i rozdzieliły się, bombardowane światłem i wysoką temperaturą.

Teleportacja jest najlepszym – i najgorszym – sposobem podróżowania. Najlepszym, ze względu na prędkość. Po prostu mówicie, dokąd chcecie się udać, po czym wasze molekuły wyparowują, przemierzają przestrzeń i we wskazanym miejscu ponownie zespalają się w całość. W kilka sekund można pokonać każdą odległość.

Nieprzyjemne jest za to przegrupowywanie cząsteczek. Właściwie nie boli, ale musi upłynąć kilka chwil, zanim ciało znowu zacznie funkcjonować.

Czasami moje płuca wołają o powietrze albo nic nie widzę. A czasami i jedno, i drugie. Każdy doświadcza innych symptomów, więc dopóki nie stwierdzicie, jakie są wasze, powinniście testować teleportację z osobą towarzyszącą.

– Która godzina? – zapytałam, kiedy tylko zdołałam złapać oddech.

– Szósta czterdzieści dwie – odparły ściany. Wciągnęłam powietrze i trzymałam oczy zamknięte, dopóki jasne światła nie przeniknęły moich powiek.

Skóra świerzbiła mnie od nateżenia techniki. Wprawiłam ściany w stan uśpienia. Szumy osłabły do znośnego poziomu. Nie miałam pojęcia, gdzie się znajduję, bo otaczały mnie jednakowe białe płaszczyzny i pomalowany na szaro beton. Kilka wyjść prowadziło do ciemnych korytarzy. Dwie pary zamkniętych drzwi miały imienne tabliczki, przyczipione obok framugi.

Na pierwszej widniał napis: „Dr Ellianna Krempt, Zielona 9. stopnia”. Jastrzębica. Byłam ciekawa, w czym ona się specjalizuje. Spróbowałam otworzyć drzwi, ale nie ustąpiły. Cóż, nie cofnę się przed kradzieżą z włamaniem, ale teraz nie miałam na to czasu.

Druga tabliczka informowała: „Cameron Blaus, Zielony 10. stopnia”. Zaufanie, które we mnie bujnie rozkwitało, gwałtownie przywiędło, chociaż Łysol sam przyznał, że latami pracował na swojej pozycję.

Jastrzębica, doktor oraz Zielona. Łysol, Zielony dziesiątego stopnia. Z pewnością nie wyglądało to dla mnie korzystnie.

Przeprowadziłam inspekcję pozostałej części laboratorium. Na blatach, koło ściany z ekranami, połyskiwały srebrzyście różne technoprzyrządy. Miałam nieodparte wrażenie, że jestem w Dobrych Ziemiach i przypomniały mi się słowa środkowego sędziego: „Nie wolno ci wrócić. Nigdy”.

Gdyby mnie tutaj złapano, miałabym prawdziwe kłopoty. Kłopoty z rodzaju: kontroluj-innych-albo-pożalujesz.

A może nadal byłam w Złych Ziemiach? Ciągłe jeszcze w ośrodku? W końcu tam też jest najwyższej klasy technika.

Podeszłam do okna, umieszczonego w ścianie naprzeciwko gabinetów. Aż mnie zatkało. Szybko przykucnęłam. Sąsiedni pokój był tą salą, gdzie wszczepiono mi lokalizator. Super – więc jednak to Dobre Ziemię. Przycisnęłam plecy do ściany, podciągnęłam kolana pod brodę. Wzięłam kilka głębokich oddechów, a laboratorium wypełnił brzęczący dźwięk. Na okno zjechała zasłona. Wystarczyła jedna prosta myśl.

Kiedy pokój był już bezpieczny, podniosłam się z podłogi. Dostrzegłam stertę telefonów, więc jeden zabrałam. Z ust wyrwał mi się cichy jęk. W całym ciele zawibrowała technika. Telefon mógł rejestrować głos, miał aparat fotograficzny i kamerę, oprogramowanie wykrywacza kłamstw, różne opcje detektora tęczówek, funkcje ochrony i dozoru, skanery kodów kreskowych i GPS.

Oraz dalekosiężny paralizator.

To była broń.

Obróciłam swoją zdobycz. Z tyłu spletały się zawijasami dwie ósemki – jedna na górze i jedna na dole – ten sam emblemat co na pierścieniu teleportacyjnym Łysola.

Będąc złodziejką od dwunastego roku życia, wsunęłam telefon do kieszeni. Na kolejnym blacie jakież małe cylindry wypełniały dwie

białe tace. Podniosłam jeden. Jego spód usiany był rnaciupkami wypukłościami, przeznaczonymi do wbijania w skórę.

Hura, następna broń. Wokół cylindrów wiła się ta sama podwójna ósemka. Rozpoznałam w tym symbolu dwa węzły proste, związane jeden nad drugim. Wodne dziewczyny wiedzą wszystko o węzłach.

Garść biocylindrów powędrowała do mojej kieszeni. Po tym znalezisku nie zaprzestałam poszukiwań. Po prostu zagarniałam tyle technodrobiazgów, ile mogły pomieścić kieszenie moich dzinsów.

Kiedy myszkowałam w koszu na śmieci w najdalszym kącie pokoju, pierścień do teleportacji prześlizgnął mi się pomiędzy palcami.

– No nie. – Zaczęłam kopać głębiej, ale pierścień spadł w mieszaninę różnych technoelementów.

Od natężenia nowej fali techniki oczy zaszyły mi łzami. Odwróciłam się i spojrzałam na terminale. Wzdłuż górnej części jednego z nich błyskały niebieskie światła. Przykucnęłam za laboratoryjnym kontuarem i czekałam.

Ale nie sama.

Och, nie. Głos taty zagrział w mojej głowie, wypełniając ją tak, że nie mogłam myśleć własnymi myślami.

Wybierz mądrze. Tu idzie o coś więcej niż tylko o ciebie. Jesteś potrzebna dyrektoriatowi. Mogę cię chronić, V.

Mocno zagryzałam wargi, czując smak krwi. Za nic nie chciałam tego przyznać, ale tata powiedział dokładnie to, co miałam nadzieję usłyszeć. Bo za chwilę z pewnością mogłam potrzebować jego pomocy.

Z terminalu numer pięć wyszedł jakiś mężczyzna, a z dwójki kolejny. Pierwszy miał zamknięte oczy, drugiego męczyły gwałtowne nerwowe tiki.

– Dziwne – powiedział pan Nerwowo. Nosił koszulę z krótkimi rękawami, czarne spodnie i wyczyszczone na błysk buty. Jego towarzysz miał na sobie brązowy sweter, trochę jaśniejsze luźne spodnie i skórzane sandały. Bardzo nietypowe ciuchy.

Srebrzyste włosy u obydwu ściągnięte były do tyłu i związane w kucyk. Szare oczy szybkimi spojrzeniami lustrowały laboratorium.

– Ściany nie działają – stwierdził Brązowy Sweter.

– Może wyłączają się na weekend?

– Nigdy przedtem się nie wyłączały.

Ich głosy rozbrzmiewały i szybowały w powietrzu. Skóra jaśniała złościście we wzmocnionym technoświecie. Byłam pewna, że są rangerami.

Przy kolejnym terminalu rozbłysły szkarłatne lampki. Czułam, jakby moja pierś lada moment miała buchnąć płomieniem. Wymachując teczkami, przeszli kolejni dwaj rangerzy. Przełknęłam z trudem. Zastanawiałam się, który z nich mógłby mi pomóc.

Jastrzębica wysiadła na dziesiątce. Zwymiotowała do torby – najgorszy skutek teleportacji – i dopiero wtedy się wyprostowała.

Widok tych ludzi kompletnie zacierał granicę pomiędzy Dobrym i Złym. Teraz zrozumiałam. Najwyraźniej pozwalali swojej skórze na kontakt ze słońcem, nosili takie ubrania, jakie chcieli, podróżowali między Dobrymi i Złymi Ziemią. Bo byli wolni. Oni nie łamali zakazów i nakazów. Oni je tworzyli.

Tak jak mój ojciec. Znowu zaczęłam się zastanawiać, czy tata mógłby opowiedzieć się po mojej stronie. Rzecz w tym, że ja nie

chciałam być dobra albo zła – chciałam być po prostu wolna. Z pewnością etykieta się nie liczy.

Oczywiście, że się liczy.

Ten doprowadzający mnie do szału głos miał rację. Zacisnęłam pięści i rozkazałam tacie: *Wynoś się z mojej głowy!*

– Dzień dobry, Brine.

Jastrzębica skinęła głową Nerwowemu.

– Hans.

– Ściany są wyłączone – powiadomił ją Hans.

Nikt nic nie mówił, ale technika w pokoju się nasilała. Stłumiłam jęk, kiedy oślepiający ból trawił mój żołądek. Żeby uchronić wnętrzności od samozapłonu, wymusiłam spadek napięcia. Najwyraźniej wyparłam kontrolę rangerów, bo udało się i po chwili zaczerpnęłam chłodnego powietrza.

– Halo? – Jastrzębica rozejrzała się dookoła. Kiwała głową w stronę ścian, ale nie pozwoliłam im się włączyć.

Kontrolowanie myślami techniki to dla mnie łatwizna, rzecz niemal naturalna. I napawająca obrzydzeniem.

– Kto tu jest? – zapytała ściany. Odpowiedzi nie było.

Jastrzębica odwróciła się do mężczyzn.

– Pokażcie mi wszystko.

Hans z szarymi oczami, zimnymi jak stal, nacisnął guzik i na ścianach zaczęły wyświetlać się projekcje. Jeden ekran pokazał wnętrze domu. Na podłodze bawił się mały chłopiec, może pięcioletni. Skórę miał ubarwioną słońcem. Promiennymi oczami spoglądał prosto w techno-inwigilator. Pomachał, a jego matka się uśmiechnęła.

– Na co tak patrzysz, Surge? – Skierowała się w stronę kamery. Było oczywiste, że jej nie widzi.

Gdzie indziej kobieta krzątała się w kącie kuchni. Mężczyzna w świeżo odprasowanym garniturze biznesmena usiadł przy stole. Ona – w nieodłącznym kapeluszu i koszuli z długimi rękawami – odwróciła się i postawiła przed nim talerz pełen jedzenia. On nie nosił kapelusza ani słuchawki za uchem, ale też nie miał opalonej skóry. Więc był Dobry czy Zły? Jedząc, patrzył prosto w kamerę. Wiedział,

że jest obserwowany? Jaki był w tym sens? Przecież nie łamałby przepisów, gdyby podejrzewał, że go monitorują.

I wtedy mnie olśniło. Ci dwaj, chłopiec i mężczyzna, byli nie do opanowania. Tak jak ja.

Ile razy zdarzało mi się „zapomnieć” w domu o kapeluszu? Dziesiątki. Ile razy patrzyłam w okno, zastanawiając się, jakie to uczucie, kiedy słońce powleka skórę? Zbyt wiele. Ile razy zauważałam wzrost napięcia techniki w kącie naszej kuchni, iskierkę białego światła w mojej sypialni albo czerwony przebłysk na ganku?

Każdego cholernego dnia.

Prawie przestałam oddychać, kiedy na kolejnej projekcji ujrzałam Jaga. Leżał w łóżku. Miał otwarty jakiś inny notes i coś w nim pisał.

– Dziwne – powiedział Hans. – Straciliśmy połączenie z pokojem Violet. – Wskazał kilka białych ekranów na odległej ścianie.

Jastrzębica zaklęła.

– Możecie cofnąć?

Brine ani drgnął, odwrócony bokiem do ekranów, z widocznym grymasem na ustach. Miałam uczucie, że powinnam wiedzieć, kim jest, chociaż nie znajdowałam go w moich wspomnieniach. Spośród tych trzech osób najbardziej mnie przyciągał, ale nie byłam pewna, czy mogę mu zaufać i poprosić o pomoc.

Hans stuknął w kilka klawiszy. Ekran wypełnił widok mojego pokoju. Zatrzymał obraz i zobaczyłam siebie, skoncentrowaną, z zamkniętymi oczami. Leciutkie kiwnięcie głową i dwa ekrany zgasły, a ja upadłam na kolana. Chwilę później wszystkie ekrany były puste.

– Wyłączyła u siebie ściany! – orzekła Jastrzębica, bardziej z podziwem niż ze złością. – Przewińcie zapis z chłopakiem. – Obraz pokoju Jaga chwiał się, kiedy czas płynął wstecz. – Cofnijcie o dwanaście godzin. Chcę zobaczyć wszystko.

Och, miała zobaczyć wszystko po kolei, łącznie z naszą rozmową i pierścionkiem Zenna na moim palcu. Zamknąwszy oczy, skupiłam się na technice w elektrotablcy Hansa. Czułam, że się przedzieram przez port czytnika. Zobaczyłam elektroniczne obwody i maleńkie bolce. Zmuszając je, by zamarły, obserwowałam, jak trybiki i inne

elementy zwalniają i się zatrzymują. Prąd wygasł.

Podniosłam powieki i wyczerpana, bezwładnie oparłam się o ścianę. W oczodołach płonął mi ogień. Ale ekrany, na których widziałam piszącego Jaga, pobielwały. W głowie kłębiły mi się myśli o tym, czego właśnie dokonałam.

Hans zaczął stukać w klawisze jak szalony, a Jastrzębica warknęła:

– Raport o stanie.

– Kompletna awaria – odparł. – Cały ośrodek. Siły Specjalne. Poszukiwani. Wszystko.

Oczy kobiety roziskrzyły się energią niecałkiem ludzką. Sięgnęłam do kieszeni i chwyciłam za telefon. Zdecydowałam, że Hans i Jastrzębica muszą odejść. Pokonawszy tych dwoje, mogłabym zaryzykować z Brine'em.

Nie mam wyboru, usprawiedliwiałam się sama przed sobą, aktywując broń.

Owszem, masz. Zawsze jest wybór.

Zamknij się, tato. Akurat teraz nie potrzebuję rodzicielskich rad.

Wyjrzałam za róg kontuaru i zobaczyłam drepczącą w pobliżu parę wypastowanych butów. Drugi ranger chyba wiedział, gdzie jestem, ale nie ruszył się z miejsca. Mój mózg pracował na najwyższych obrotach. Co teraz? Czy Brine pomoże mi załatwić swoich współpracowników?

Jastrzębica i Hans kręcili się w pobliżu elektrotablic. Oboje rozmawiali przez telefony. Hans warknął:

– Złap Thane'a Myersa.

Na podłogę sfrunął skrawek papieru. Z moim imieniem. Chwyciłam go i znów skuliłam się w swojej kryjówce. „Zepsuj im telefony. Załatw ich”. Pismo było mi nieznane, słowa kreślone w pośpiechu. Podjęłam natychmiastową decyzję, by zaufać Brine'owi, chociaż, sądząc po liście, zdemaskował mnie.

Myślami zagłuszyłam sygnały telefonów.

– Psiakrew! – wrzasnęła Jastrzębica.

Usłyszałam ryk bezsilnej wściekłości. Ktoś cisnął czymś o ścianę. Wykorzystując donośny gruchot, poderwałam się na równe nogi i wymierzyłam w Hansa moją broń. Nacisnęłam „Wysłać”. Facet z głuchym odgłosem zwałił się na podłogę.

Jastrzębica spojrzała w moją stronę i podniosła ręce do góry, ale widziałam, że zerka na swój telefon.

– Twój tata jest...

Znowu strzeliłam. Nie chciałam słuchać, co ma do powiedzenia, zwłaszcza o moim ojcu. Osunęła się do przodu. Jej oczy były nadal otwarte, a telefon dymił. Ta rozmowa dobiegła już końca. Czułam, jak upływają sekundy, każda długa i bolesna, pełna strachu i prawdopodobieństwa, że zaraz pojawi się tata. Jakaś część mnie, rozpaczliwie spragniona odpowiedzi, chciała tego. Ale zasadniczo nie

życzyłam sobie ani jego obecności, ani kontrolujących zagrywek.

Odwróciłam się, mierząc telefonem w pierś Brine'a.

– Kim jesteś?

Powoli uniósł obie ręce. Zmrużył oczy, jego wargi się wygięły.

– Imponujące. Naprawdę super. – Wymowa tego „super” wydawała się dziwnie znajoma. Musiałam już gdzieś go spotkać, tylko nie mogłam odnaleźć tych wspomnień.

– Kim jesteś? – zapytałam znowu. Telefon ślizgał mi się w spoconych dłoniach. Moje spojrzenie przesunęło się z włosów na twarz Brine'a. Usiłowałam dopasować imię do rysów.

– Zaczekaj chwilę. – Schylił się i wygrzebał coś z oszklonej szafki. Potem unieruchomił moją dłoń z pierścionkiem i naciągnął mi na palec srebrną rękawicę. Wpięła się w nadgarstek drobniutkimi ząbkami. Krzyknęłam, kiedy metal stopił się, tworząc drugą skórę. Przyczepiali na małym palcu tworzył tylko nieznaczną wypukłość.

– Gotowe – oznajmił Brine. – Teraz niczego już nie może transmitować. – Odsunął się o krok i przyjrzał mi się oczami jak wypolerowane srebro.

Popatrzyłam na swoją rękę, potem znowu na niego.

– A ty jesteś...?

– Pace Barque – przedstawił się. – Jag wiele mi o tobie opowiadał.

Pokój zawirował. Ściany groziły, że mnie zmiażdżą. Teraz już wiedziałam, dlaczego nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie widziałam Brine'a – to były wspomnienia Jaga. Zachwiałam się. Upuściłam telefon.

Pace pomógł mi dojść do krzesła. Mówił podobnie do brata. W rzeczywistości nie chodziło o akcent czy sterowanie za pomocą głosu, ale bardziej o szczególny sposób formowania samogłosek i nacisk na niektóre słowa, na przykład „usiądź”, „pij”.

Usiadłam.

Wypiłam.

Po chwili spojrzałam na Pace'a. Uśmiechnął się szeroko. Podobieństwo między braćmi stało się oczywiste. Kąciki moich głupich warg uniosły się w górę, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy spotkałam młodszego z Barque'ów.

– Patrz. – Pace obrócił przodem do mnie elektrotabllicę. Ekran wypełniła twarz Jaga. Potem jego ręka uniosła w górę notes. „Cześć, Pace i Vi”, przeczytałam.

– Skąd on, do cholery, wszystko wie? Mężczyzna się roześmiał.

– Widzi nas i słyszy, ale my nie możemy usłyszeć jego – wyjaśnił, podczas gdy Jag bazgrał coś w swoim durnym notesie.

– Możesz mi powiedzieć, co tu się wyprawia? – zapytałam, z trudem odrywając wzrok od elektrotabllicy. –

Muszę się pozbyć tego przyczepiaka. I... hm, ktoś mnie poinformował, że może w tym pomóc ranger. Ty jesteś rangerem, prawda?

Pace skrzyżował ramiona. Już się nie uśmiechał. Odwróciłam wzrok, ale moje spojrzenie natrafiło na nieruchome postacie Jastrzębicy i Hansa. Głośno przełknęłam ślinę. Ich klatki piersiowe wyraźnie unosiły się i opadały. A jednak to nie wystarczało, żeby wymazać z pamięci obraz, jak runęli na podłogę.

Czasem coś jest konieczne, prawda?

Miał rację, nienawidziłam tego coraz bardziej i bardziej. Ale jak mógł mieć rację, skoro to, co popierał, było złe?

Może to, co popieram, nie jest złe.

Wynoś się! – pomyślałam, zmuszona użyć władczego tonu, żeby utrzymać tatę na dystans, dopóki nie dokończę tej rozmowy. A poza tym musiałam rozstrzygnąć – dla samej siebie – czy sprawa, którą wspomaga mój ojciec, jest dobra czy zła. Ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić.

Więc popatrzyłam na Pace'a. Gniew przeplatał się we mnie z niepewnością. Ranger bez słowa wskazał mi elektrotabllicę i odsunął się na bok. Jag znowu trzymał ten swój idiotyczny notes, zaciskając palce na brzegach kartek. Tym razem napis brzmiał: „Przepraszam, Vi. Straszny ze mnie kretyn i dupek. Proszę, nie bądź zła. Kocham cię”.

Jak zwykle, moje głupie wargi natychmiast mnie zdradziły. Uśmiechnęłam się i pochyliłam w stronę ekranu, żeby Jag wiedział, że oczywiście wszystko zostało wybaczone i tak, jasne, ja też go kocham.

– Skoro te kłopotliwe kwestie mamy już za sobą, musimy

porozmawiać. – Pace szybkim ruchem odwrócił elektrotablę. – Później, bracie – dodał i zatrzasnął ją. – A więc to ty jesteś Vi. Rozumiem, dlaczego tak się Jagowi podobasz. – Jego słowa były podszyte wieloznacznością i żadne z tych znaczeń mi się nie podobało.

– Jag mówił, że odszedłeś, a on został całkiem sam.

– Cóż, ty też mu nakłamałaś – odparł Pace z opatentowanym przez Barque'ow wzruszeniem ramion, które mówiło: zrobił, co widocznie musiał zrobić.

Jakbym nie wiedziała, że jestem kłamczuchą. Czyżby genetyczną cechą ich rodziny było wypominanie każdej najmniejszej bujdy, jaką człowiekowi zdarzyło się powiedzieć?

– Poza wszystkim, to nie do końca kłamstwo. Jag jest sam. Ja cztery lata temu odszedłem do rangerów.

– Super, gratulacje – rzuciłam. – Pomóż mi zdjąć to cholerstwo.

Opuszką palca dotknął lekko wypukłości na srebrnej rękawicy. Zamknął oczy i pogładził pierścionek. Potem zaczął pocierać całą moją rękę aż po ramię. Widok jego dłoni przypomniawszy mi o Jagu. Dotyk nie.

Nagle puścił mnie i gwałtownie podniósł powieki.

– Rangera, którego szukasz, tutaj nie ma – powiedział dziwnie mechanicznym głosem. Po czym osunął się na stół.

– Pace? Pace! Oprzytomniej! – Położyłam mu rękę na ramieniu i wetknęłam na miejsce pukiel włosów, który wysunął się z kucyka. Barque powoli otworzył oczy i pokręcił głową.

– Vi – powiedział, kiedy jego twarz odzyskała właściwą barwę. – Tutaj grozi ci niebezpieczeństwo. Przyczepiaka nie da się zdjąć w sytuacji zagrożenia. Nie było o tym mowy w twojej wskazówce?

– Taak... ale ja nie... Poczekać chwilę – wyjąkałam. – A skąd ty wiesz o wskazówce?

– Też mamy szpiegów – odparł. – Dobrze Ziemię od lat chylą się ku upadkowi. Zastanawiałaś się kiedyś dlaczego?

Nie, nie zastanawiałam się. Wszystko wskazywało na to, że oni nadal sprawują najwyższą władzę. Przypomniała mi się moja matka, zawsze ślepo im posłuszna. A jednak tamten farmer miał przemyconą

książkę, która nawoływała do wolności...

Pokręciłam głową, już mało czego pewna.

– Niektóre tereny, na przykład Dobre Ziemie, dyktoriaat utrzymuje w stanie „niskiej gotowości”. Dzięki temu znacznie łatwiej jest wykrywać osoby z darem kontroli. – Pace nie powiedział tego wprost, ale chodziło mu o takich jak ja.

– A co ze Złymi Ziemiami? – Pomyślałam o słowach Lyle'a Schoenfelda, o rodzicach Jaga, o tym, jak dwadzieścia pięć lat temu doszło do podziału.

– Miejsca takie jak Złe Ziemie wyrastają niczym grzyby po deszczu, kiedy kontrola słabnie. W człowieczej naturze leży walka o osobistą wolność. Ludziom bez szczególnych talentów pozwala się żyć w miastach niekontrolowanych, ale do pewnego stopnia monitorowanych przez sąsiedni kraj, który pozostaje pod permanentną kontrolą. Jednak tylko na krótką metę.

– A co z Przymorzem? Jest wolne?

– Przymorze leży w regionie oceanicznym, który obecnie związany jest umowami z dyktoriaatem. Mają tam Tego-Od-Myślenia, ale nikogo nie kontrolują. To raczej mianowany przywódca. Zezwala ludziom...

– Żyć swobodnie – odpowiedziałam.

– Na tyle swobodnie, na ile to możliwe w naszym świecie – przyznał Pace. – Jest tam dziewczyna ranger, która oferuje azyl polityczny ludziom ze szczególnymi zdolnościami. Ona ci pomoże.

Potałam oczy, żałując, że nie mogę się położyć i spać przez następne dziesięć lat.

– Jak ma na imię? – zapytałam.

– Gavin. – Przyjrzał się moim wypchanym kieszeniom. – Widzę, że zrobiłaś nalot na nasze zapasy broni.

Przyda się wam. Powiedz Gavin, że pojawię się najszybciej, jak tylko zdołam. – Z jego tonu było nagłace pragnienie.

– Powiem jej... ale ty mi powiedz, co wiesz o Myersie i mieście Wolności.

Wzrok Pace'a stwardniał.

– Thane Myers pracuje dla dyktoriaatu. Jest tu i tam, wszędzie.

– A Wolność?

– Ojczyzna dyrektoriatu. Bynajmniej nie wolna. Wyobraź sobie Dobre Ziemię, tylko dziesięć razy gorsze. – W powietrzu zaczęła wibrować technika, jednak on zdawał się tego nie dostrzegać. – Tutaj grozi ci wielkie niebezpieczeństwo – ciągnął. – Przyłapanie w Dobrych Ziemiach w twoim przypadku oznacza deportację do Wolności i szkolenie na Tego-Od-Myślenia. Nie możesz też zostać w ośrodku. Thane skończył testować jakieś nowe techniczne diabelstwo i planuje wizytę w Złych Ziemiach jeszcze dzisiaj. Musisz uciekać, zanim się pojawi. Jeśli zdoła cię zabrać do Wolności, zostaniesz uwięziona.

Technika w powietrzu wyciskała mi łzy z oczu. Moja odporność spadała. Ściany zaczęły ożywać. Chciałam zadać Pace'owi jeszcze dziesiątki pytań o Łysola, Jastrzębicę i o to, komu mogę ufać, ale zamiast tego zarzuciłam mu ręce na szyję.

– Thane nadchodzi. Muszę zmykać. Dzięki, Pace. Uważaj na siebie.

– Ty też, Vi. Mój brat ma ciężkie życie. Jeśli cię straci, umrze.

Odsunęłam się i uważnie spojrzałam mu w twarz. Uśmiechnął się niewesoło.

– Nigdy wiele nie mówił, ale wiem, co do ciebie czuje. Jesteś jego dławicielem.

Zupełnie nie wiedziałam, co to oznacza. Jednak było już za późno na pytania, więc odłożyłam je na potem.

– Ostatnio nie miałem czasu przemyścić tego do Jaga. Możesz dla niego zabrać? – Wręczył mi torbę wyładowaną technodrobizgami. A ja, zarzucając ją na ramię, prawie nie miałam czasu się zastanowić, kiedy Pace podrzucił Jagowi jakieś rzeczy.

– Vi! – zawołał, gdy już kierowałam się do terminalu. – Musisz załatwić mnie paralizatorem.

Strzelanie z paralizatora do kogoś, kogo nie lubicie, jest naprawdę trudne. Ale strzelanie do kogoś, kogo lubicie, wydaje się wprost nie do pomyślenia. To boli. Naprawdę mocno. Oczywiście, Jastrzębicy i Hansowi pewnie i tak się należało. Ale Pace'owi? Starszemu bratu Jaga? Co za udręka.

Jednak strzeliłam. Wycelowałam wyjątkowo kiepsko i ledwie drasnęłam go w ramię. Mimo to upadł jak worek kamieni. Tętno na ręce było dobrze wyczuwalne. Znowu wetknęłam mu włosy za ucho. Przemknęło mi przez głowę, że przynajmniej Jag ma przyjaciela.

I była to ostatnia miła rzecz, jaką pomyślałam o Jagu. Wielki tłusty łgarz. „Ooch, jestem sam na świecie. Pocałuj mnie, Vi, to poczuję się trochę lepiej”. Akurat.

Weszłam do terminalu numer siedem dokładnie w chwili, gdy jeden z ostatnich teleporterów zaczął wibrować. Wypowiedziałam swoje imię i rozpadłam się na cząsteczki, zanim ktokolwiek pojawił się w laboratorium.

Znalazłszy się z powrotem w ośrodku, pobiegłam cichymi korytarzami. Moja irytacja nabierała kształtów żywej, oddychającej istoty. Zenn oszukiwał, całując. Podobnie Jag. Tata miał zwyczaj mnie przytulać. Może to też była zdrada, którą brałam za gest miłości? Jak mogłam tak dać się nabrać? Jak mogłam nie wiedzieć? O żadnym z nich – o Zennie, Jagu, tacie?

Kiedy dotarłam do drzwi Jaga, moja furia była już gotowa wybuchnąć.

Zapukałam i w tym samym momencie weszłam. Jag siedział przy biurku pod oknem, pisząc coś w swoim durnym notesie. Podniósł wzrok, pełen radości i światła – dopóki mnie nie zobaczył.

– Hm, jesteś wkurzona.

– Tak myślisz? – Rzuciłam torbę od Pace'a na podłogę i zacisnęłam pięści. – Lepiej opowiedz mi wszystko, zanim eksploduję.

– Hm, tego byśmy sobie nie życzyli. – Jego usta skrzywiły się irytująco seksownie. Gdyby nie wyglądał tak ładnie, pewnie bym go walnęła. Ale nie chciałam przefasonować mu twarzy. No, może tylko odrobinę.

– Co to, do diabła, znaczy dławiciel? – zapytałam.

W jego spojrzeniu błysnął strach, ale po chwili Jag się uśmiechnął.

– Pace tak cię nazwał?

– Tak. A swoją drogą, co z tym Pace'em? Dlaczego mi o nim nie powiedziałaś? Obydwaj musieliście mieć niezły ubaw, kiedy wypłakiwałam oczy, przekradałam się jak złodziej, walczyłam z Łysolem. Och, a potem...

– Płakałaś? Zignorowałam go.

– ...a potem musiałam załatwić Jastrzębicę i jeszcze jednego technorangera. I twojego brata, który jest całkiem niezły, nawiasem mówiąc. Wszystko to, chociaż mam na palcu ten głupi przyczepiali, którego podobno nie dam rady zdjąć, dopóki nie znajdzie...

– Chwileczkę. Uważasz, że Pace jest niezły? Owszem, powiedziałam to, żeby zobaczyć, jak Jag zareaguje.

– ...jakiejś Gavin, a nie dostałam żadnej wskazówki, kim ona w ogóle jest. Poza tym, kieszenie mam wyładowane bronią. Bronią, Jag! Jakbyśmy mieli walczyć, czy coś w tym rodzaju. Zakładając, że w ogóle zdołamy...

– Gavin? I co masz na myśli, że Pace jest niezły?

– ...uciec stąd w diabły, zanim pojawi się mój ojciec i odholuje nas do Wolności, do myślielskiego życia. – Nawet wtedy, kiedy to mówiłam, zastanawiałam się, czy sprawy nie przybrałyby innego obrotu, gdybym mogła uściskać tatę. Naprawdę popatrzeć mu w oczy. Porozmawiać z nim. Przebywał w mojej głowie wystarczająco długo, żeby mi w niej zamącić. Nie miałam pewności, po której naprawdę jest stronie.

Jednak nie chciałam odkryć, że nie po mojej. Bo jeśli tylko udawał, to byłoby jak stracić go po raz drugi.

– Co tak stoisz? Nie słyszałeś, co powiedziałam? Szybko się pakuj. Ale Jag nadal stał i się gapił.

– Będziesz musiał sam nieść te swoje technościece. Są ciężkie. – Nie czułam w pobliżu obecności taty, więc padłam na łóżko i zamknęłam oczy. Ostatnio nie spałam, a teraz mieliśmy wyruszyć nie wiadomo dokąd. Głowa mi pękała. Potrzebowałam pałeczki przeciwbólowej. Materac się poruszył. To Jag usiadł. Spodziewałam się, że mnie dotknie, ale i tak drgnęłam, kiedy chłodnymi palcami musnął moje ramię.

Podał mi pałeczkę przeciwbólową (niech go diabli).

– Vi, dławiciel to taki ktoś, kto wypełnia cię aż po samo gardło – powiedział łagodnie głosem, który sięgnął do najdalszych zakątków mojej duszy. – Wypełnia cię tak bardzo, że masz wrażenie, że mogłabyś się udusić.

Super, to było najlepsze, co mógł powiedzieć (niech go wszyscy diabli).

Otoczył mnie ramieniem i przytulił do piersi.

– Płakałaś?

– Ostatnim razem, kiedy tu byłam, wyglądało, jakbyś chciał mnie zabić.

Cicho się zaśmiał.

– Uważasz, że Pace jest niezły. – W jego tonie wyraźnie pobrzmiwała nuta zazdrości.

Wzruszyłam ramionami.

– Bardzo przypomina swojego brata.

Pocałował moją dłoń w rękawiczce, dokładnie tam, gdzie był przyczepiak.

– No to ruszamy na spotkanie z Gavin.

– Tak. Jest rangerem w Przymorzu. – Jęknęłam. – Rangerzy! Troje z nich postrzeliłam z paralizatora. Za to musi być, nie wiem... kara śmierci czy coś w tym rodzaju.

– Tak, lepiej stąd spadajmy. – Zaczął wygarniać z komody ubrania i wrzucać je do plecaka, który widziałam pierwszy raz w życiu.

– Skąd to wzięłeś? – zapytałam.

– Pace. Odkąd tu jestem, kilka razy się, hm... wyemitował.

Słowa, które przemknęły mi przez myśl, były tak niestosowne, że ugryzłam się w język, żeby nimi nie bluzgnać. Jag cisnął w moim kierunku identyczną torbę.

– To dla ciebie. Leć się spakować. Tylko nie zapomnij o książce.

– Dobra – odparłam. – Ale opowiesz mi wszystko po drodze. I ty mnie masz za kłamczuchę?! Jesteś dziesięć razy gorszy. I sam będziesz taszczyć broń, twardzielu.

Uśmiechnął się do mnie ze skruchą.

– Co mogę powiedzieć? Żli są urodzonymi kłamcami. Tylko popatrz na siebie.

Może ze dwie minuty zajęło mi przełożenie mojego arsenału technodrobiazgów do plecaka i wepchnięcie dodatkowej zmiany ciuchów, które zabrałam z komody. Właśnie miałam włączyć ścianę, żeby poprosić o butelkę wody i kilka torebek protein, kiedy skrzypnęły otwierane drzwi.

– Vi? Pospiesz się. Musimy iść.

Wzdychając, zarzuciłam plecak na ramiona i wsunęłam do kieszeni technotelefon. Jag sięgnął po moją dłoń. Kiedy nasze ręce się zetknęły, przebiegł pomiędzy nimi ładunek elektryczny. Nie zapowiadało to niczego dobrego. A ściślej mówiąc, znaczyło, że coś – albo ktoś – z dobrego świata było bardzo blisko. Musieliśmy uciekać i to szybko.

– Nie możemy się teleportować – zauważył Jag. Miał rację. Terminale muszą być programowane na konkretną lokalizację, a my nie potrafiliśmy jej podać. I nie mieliśmy czasu na przeprogramowanie.

– A co powiesz o oknie? – Podeszłam do wydymających się zasłon i odsunęłam je na bok. Przede mną była pusta ściana. – Projekcja – szepnęłam. Liczba opcji malała. Żałowałam, że nie zabrałam Łysolowi tego głupiego pierścienia, kiedy miałam szansę.

– Szybko, dziecinko. Główne drzwi. – Wypadłam za Jagiem na korytarz. Oboje biegliśmy. Staralam się nie patrzeć na ściany, ale nie mogłam oderwać od nich wzroku, bo zapełniły się twarzami.

Zieloni.

Tata.

Dyrektor.

Jacyś Ci-Od-Myślenia, których nie znałam.

Poruszali się i coś mówili. Stukali w klawiatury elektrotablic. Rzucali mi gniewne spojrzenia, kiedy pędziłam w stronę holu.

Zenn i jego towarzysze z Sił Specjalnych zatarasowali nam jedyne wyjście. Zenn się uśmiechnął. Wyobraziłam sobie jego kontrolowane spojrzenie za ciemnymi szklami.

– Jesteście zatrzymani – oznajmii, kiedy się zbliżyliśmy.

– Każ im, żeby nas przepuścili – szepnął Jag. Dajcie nam przejść. Mamy zezwolenie. To rozkaz dyrektora, powtarzałam w myślach każdemu agentowi z osobna.

Jeden po drugim odsuwali się, aż został tylko Zenn.

– Vi – powiedział i coś rozpaczliwego zabrzmiało w tym jednym słowie.

Jag pociągnął mnie za sobą, ale wyszarpnęłam się z jego uścisku. Wyciągnęłam rękę i zdjęłam Zennowi okulary. W jego oczach było tylko cierpienie.

– Pomóż mi – jęknął błagalnie. – Nie mogę... Nie mam siły... Twój ojciec... – Głos uwiązł mu w gardle, spłynęły łzy. Przytuliłam dłoń do jego policzka, wspominając, ile dla mnie znaczył – ile nadal znaczy. Niczego bardziej nie pragnęłam, niż zabrać go z nami do Przymorza.

– Kocham cię, Vi. Nie zapomnij o mnie. – Kiedy otworzył oczy, znowu zaszyły mu mgłą. Zesztywniał i ruszył w stronę wyjścia.

– Chodź, Vi. On jest pod kontrolą. Musimy iść. – Jag odciągnął mnie od Zenna, ale część mnie została przy nim. Tak czułam. Zasługiwał przynajmniej na tyle.

Jag gwałtownie wciągnął powietrze. Zderzyłam się z nim, zanim zdałam sobie sprawę, że zahamował.

– Thane – szepnął ostrzegawczym tonem. – A może Lyle?

Na te słowa oprzytomniałam. Wyjrzałam mu zza ramienia i zobaczyłam stojącego w drzwiach ojca.

– Violet, mogę ci pomóc pozbyć się tego przyczepiaka. – Jego głos spłynął po mnie kaskadą jak fontanna lodowatej wody. Błyskawicznie przedarł się do każdej komórki, co potwierdzało, że tata jest Tym-Od-

Myślenia.

Nie wiem, jak mogło mi tego brakować, kiedy dorastałam. Bo teraz nienawidziłam go za sposób, w jaki kontrolował Zenna.

– Ona nie potrzebuje pana pomocy – warknął Jag.

– Z pewnością nie potrzebuje twojej – odciął się tata. – Umyślnie utrudniasz sytuację.

– I zawsze będę. – Jag dał mały krok do tyłu, wpychając się na mnie jeszcze bardziej. – Nie zamierzam dla was pracować. Nie zamierzam służyć dyrektoriatowi. Ani teraz, ani nigdy.

– To twój obowiązek.

– Już kiedyś panu powiedziałem, Lyle: prędzej umrę, niż go wypełnię.

Zsunęłam palce na dłoń Jaga i uściśnęłam ją. Spojrzenie mojego ojca śledziło ten ruch. Tata kompletnie zignorował fakt, że Jag użył jego pseudonimu.

– Violet? Co wybierasz?

To, że widziałam go na własne oczy, wcale nie ułatwiało sprawy. Prawda stała się jeszcze trudniejsza do udźwignięcia.

– Nie wiem, o co pytasz – zazgrzytało mi w gardle, siłą zmuszonym do mówienia.

– Jag nie chce nam użyzyć swojego głosu, chociaż wie, że dyrektoriat rozpaczliwie go potrzebuje. A ty, moja utalentowana córko, posiadasz dar kontroli. Więc co planujesz z nim zrobić?

Świetne pytanie.

– Nie pomogę wam. – Tylko taką odpowiedź zdołałam wymyślić.

– Doprawdy, to nie najlepszy wybór. – W jego oczach zapłonęły gniew, uraza, obrzydzenie. – Masz obowiązek używać swoich zdolności. Jak możesz odwracać się od ludzi, którzy potrzebują twojej pomocy?

– Przez „pomoc” rozumie pan sterowanie? – Jag rzucał słowo po słowie. – Pranie ludziom mózgow, żeby żyli nieświadomi otaczającego świata?

– Nie, tworzenie im struktur, których potrzebują, żeby nie zanieczyszczali wody. Żeby nie wycięli wszystkich drzew. Żeby nie zaniedbywali chorych i biednych. Żeby nie wyniszczyli samych siebie

przez swoje egoistyczne wybory.

Tata mówił spokojnym, racjonalnym tonem, ale twarz czerwieniała mu coraz bardziej. Zaciśnął pięści i wydawał się olbrzymieć, aż wreszcie stanął nade mną w taki sam sposób, jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem. I wiedziałam: był dobry. Dobry w każdym calu.

– Niech pan da nam odejść – zakomenderował Jag. – Natychmiast.
– Ścisnął moją dłoń, co w Jagomowie bez wątpienia oznaczało wołanie o ratunek.

Powtórzyłam w myślach jego słowa i wyobraziłam sobie scenę, jak tata się odsuwa. Teleportuje się do Dobrych Ziem. Ucina sobie długą popołudniową drzemkę.

– Mówię poważnie, Thane. Niech pan da nam odejść albo naprawdę użyję moich zdolności.

Poczułam rozpaczliwą chęć, by zmusić tatę do wypuszczenia nas. Głos Jaga miał taką moc. Znowu odegrałam w głowie scenę, jak Thane Myers ustępuje. Tymczasem Jag rozkazał:

– Z drogi!

Oczy taty zaszły mgłą. Cofnął się. Wyrwał mu się jęk, kiedy próbował walczyć jednocześnie z głosem Jaga i moją kontrolą umysłu. Upadł na kolana, ukrył twarz w dłoniach. Coś szarpnęło mi się w sercu. To był mój ojciec. Wiecie, więzy rodzinne i tak dalej.

Zrobiłam dwa kroki, kiedy czyjaś ciężka ręka wylądowała na moim ramieniu.

– Pamiętaj o mnie, Vi – wydyszał Zenn. – Jestem po twojej stronie.

Potem Jag wyciągnął mnie za drzwi, a tata przeklinał dzień, w którym się urodziłam. W jaskrawym słonecznym świetle mój wzrok nie mógł nabrać ostrości. Zataczałam się i potykałam, zaplątana w bolesne myśli o ojcu i sprzeczne wspomnienia o Zennie.

I kiedy tak biegłam, z mojego gardła wydarło się łkanie.

Istniały tylko piasek i zdrada. Pustynny krajobraz powtarzał się bez końca, podobnie jak torturujące mnie myśli o nie tak całkiem wspaniałym (i nie tak całkiem zaginionym) ojcu.

Horyzont usiany był osobliwymi roślinami. Wysokie, o dziwnych – pokrytych ostrymi kolcami – gałęziach, wyrastających pod najróżniejszymi kątami, wyglądały jakby trzymały straż, chroniąc tajemnicę tych jałowych pustkowi. Słońce prażyło tak mocno, że zlewałam się potem.

– Jag – wysapałam. – Muszę odpocząć. – Osunęłam się na kolana, gwałtownie chwytając powietrze. Szczęśliwie Jag wyglądał na równie wykończonego.

– Dobra – powiedział. – Ale tylko na moment. I po jednej porcji wody. – Zdjął z ramion plecak, odsłaniając plamy potu pod paskami. Wydobył butelki. Jedną mi wręczył, drugą opróżnił duszkiem. Poszłam w jego ślady, rozlewając sporą część na koszulę.

Jag wyjął kolejną butelkę i lunął sobie z niej na głowę. Potem to samo zrobił mnie. Ciepła woda chłodziła mi skórę, która płonęła żywym ogniem.

– Chodźmy – powiedział. Zamknął z powrotem plecak i wstał. – Och, twoje ręce.

Koszulka, którą miałam na sobie, pozostawiała odkryte ręce. Dotknęłam jaskraworóżowej skóry na przedramieniu.

Zabolało. Może kryjąca odzież nie była takim głupim pomysłem.

Jag przetrząsał plecak aż do samego dna.

– Proszę, dziecinko. Włóż to. Lepiej, żebyś była zgrzana niż poparzona. – Rzucił mi więzienną bluzę z długimi rękawami.

– Myślałam, że zabrali nam wszystkie rzeczy. – Wciągając bluzę, czekałam, co powie. Przez jego twarz przemknęło najwyższe

zniecierpliwienie, jakbyśmy nie mieli czasu na takie rozmowy. – No więc?

– Wszystko przyniósł Pace – odparł wreszcie. – Jedzenie i całą resztę. Chodźmy. Tam na urwisku jest strumień i trochę drzew, pod którymi możemy się ukryć. Kiedy przekroczymy wąwóz i znajdziemy się w strefie zdemilitaryzowanej, Thane już nie będzie mógł nas aresztować. – Pod wpływem czujnego napięcia pojawiły mu się koło oczu bruzdy. – Ruszamy. Przed nami jeszcze długa droga.

Powstrzymałam się od pytań o umowy z regionem oceanicznym i dlatego Pace miał prawo odzyskać nasze rzeczy. Lepiej być niedoinformowaną niż złapaną.

Więc pobiegłam.

Jakimś cudem moje płuca nadal pracowały, za to każdy miesiąc wołał o litość. Z pewnością spowolniałam ucieczkę, ale Jag ani razu mi tego nie wypomniął i dostosowywał się do mojego nędznego tempa.

Drzewa z powykrzywianymi konarami i rudawy piasek coraz bardziej rozmazywały mi się przed oczami, aż w końcu mogłam minąć urwiska, nawet ich nie zauważając. Wreszcie upadłam i już nie byłam w stanie się podnieść. Jag coś mówił, że idzie za kolejny pagórek na zwiady. Zdaje się, że zanim odszedł, tylko stęknęłam.

Modliłam się, żeby w pobliżu były skały i żebym miała siły do nich dotrzeć.

– Kilometr czy dwa stąd są klify – powiedział, zwałając się koło mnie na ziemię. – Dojdziemy tam, zanim całkiem się ściemni.

Głos zacharczał mi w gardle jakimś zwierzęcym pomrukiem. We Violomowie oznaczało to: „Okej, ale potem idę spać i nie zmusisz mnie do zrobienia nawet jednego kroku”.

Jag uśmiechnął się i pomógł mi wstać.

– Wiem, dziecinko. Wyśpimy się, jak tam dotrzemy. – Wyciągnął uzbrojone telefony i podał mi jeden. – Ale teraz oczekuje nas komitet powitalny.

Westchnęłam.

– Cudownie.

W połowie wspinaczki na piaszczyste wzniesienie przykucnęłam,

po czym zaczął pełznąć na brzuchu, odpychając się stopami i wczepiając rękami w podłoże. Naśladowałam go, chociaż czułam się jak kompletna idiotka. Jednak po chwili intensywna technika zagłuszyła moje zakłopotanie.

– Technika – szepnęłam. – Całe tony.

– Kto nią kieruje?

Dotarliśmy na górę. Mrugając, usiłowałam pozbyć się wiru białych plamek, wywołanych przez technoszumy. W oddali pomarańczowe klify wznosiły się aż pod niebo. Żłocisty płomień migotał u ich podnóża, tuż koło gęstej kępy drzew – i wody. W ustach zaschło mi jeszcze bardziej.

Skoncentrowałam się na blasku ogniska i odnalazłam umysły osób, które tłoczyły się dookoła.

– Zieloni – szepnęłam, czując ulgę, że nie ma z nimi mego ojca. – Mechany też.

– Co robimy? – zapytał Jag.

– Hm, chyba dam radę wyłączyć roboty. – Zamknęłam oczy i sięgnęłam myślą poprzez piaski. – Jest ich tam może... ze dwadzieścia. Wysokiej klasy, wymagające dekodery. Ale chyba sobie poradzę nawet bez kodu.

– Och, na pewno sobie poradzisz.

W mojej głowie błysnęła iskierka irytacji. Wielka szkoda, że dawno temu nie wspomniał mi o moich możliwościach. Z pewnością użyłabym tej wiedzy, przedzierając się przez granicę.

– Ziemia do Vi. Do roboty, dziecko. I przestań o wszystko mnie obwiniać.

Wzięłam głęboki oddech, przetykając stosowną ripostę.

– Dwadzieścia Mechanów to spory problem – ciągnął Jag. – Nie możemy dopuścić, żeby tropili nas na pustyni. Oni nigdy się nie zatrzymują. Nie przeszkadza im słońce. W dodatku oficjalnie są chronieni umowami. Rany, jak ja nienawidzę Mechanów. A ilu mamy Zielonych?

Nadal potrzebowałam informacji o ustaleniach umów. Na moje oko, skoro Mechany mogły bezkarnie grasować po pustyni, nie był to bezpieczny teren.

– Później ci wytłumaczę. Ilu Zielonych?

Gniew zatlił mi się w żyłach. Nie znośłam, kiedy ktoś siedział w mojej głowie i podsłuchiwał.

– Vi, ilu Zielonych? – Jag nie sprawiał wrażenia zawstydzonego.

– Dziesięciu – odparłam, przełykając kolejną zniewagę. – Pięciu mężczyzn i pięć kobiet.

– To tyle co nic. Dlaczego jest ich tak mało? Hm, może myślą, że nie będziemy się opierać. Dziwne.

– Dla mnie wszystko jest dziwne, łącznie z każdą cholerną rzeczą, którą mi właśnie powiedziałaś. – Taak, raz w życiu można ugryźć się w język, ale dopiero co zużyłam mój przydział.

Zamiast odpowiedzieć, wzruszył ramionami, co wkurzyło mnie jeszcze bardziej.

– Więc oto co możemy zrobić – odezwał się po chwili, obracając się na plecy i wlepiając wzrok w niebo. – Opcja pierwsza: zostajemy tutaj i czekamy do rana, żeby lepiej widzieć. Nie, to do kitu. Zapomnij. Nowa opcja pierwsza: podchodzimy tak blisko, jak zdołamy, wyłączamy wszystkie Mechany i walczymy z dziesięciorgiem ludzi. – Bynajmniej nie czekał na mój komentarz. – Opcja druga: podchodzimy tak blisko, jak zdołamy, podsłuchujemy, żeby się zorientować, co planują, a potem w najlepszym momencie przystępujemy do działania. Cholera, to też bez sensu. Okej, opcja numer trzy... Kurczę, tak naprawdę nie mam opcji numer trzy. – Popatrzył na mnie, jakbym też miała zacząć się rozwodzić nad jakimiś obłąkanymi opcjami.

– Dobra, a dlaczego nie możemy teraz ruszyć na zachód? Usiadł i strzepnął piasek z włosów.

– Droga na zachód biegnie wprost z urwiska. Innej nie ma.

A może po prostu podejść tam, zupełnie jakbyśmy o nich nie wiedzieli, wyłączyć Mechany i załatwić paralizatorami resztę? Albo użyć tych biocylinarów, które zabrałam. Jag mógłby kazać Zielonym siedzieć spokojnie, czy coś w tym rodzaju. W końcu miał głos, którym kontrolował innych.

– W porządku, tak zrobimy. – Jag poderwał się z ziemi. Złapałam go za nogawkę spodni. Przewrócił się, sypiąc mi piaskiem w oczy

i usta. Zakasłałam i splunęłam.

– Poczekaj chwilę. Mamy zrobić co? Przecież nic nie powiedziałam.

Zdradziły go oczy – ten chłopak potrafi! o wiele więcej, niż po prostu wyczuwać cudze emocje.

Walnęłam go. Z całej siły. W ramię – bo mam słabość do jego twarzy.

– Dostyc czytania w moich myślach, jakby to był twój osobisty pamiętnik.

– Ja nie...

– Zamknij się. Po prostu się zamknij! Nie zdajesz sobie sprawy, że robisz dokładnie to co Ci-Od-Myślenia? Grzebiesz mi w mózgu? Włazisz do głowy? – Wściekłość i frustracja w połączeniu z wycieńczeniem przesywały mi oczodoły wiązką szkarłatnego światła. – Skoro tak lubisz plany, oto mój: zostawiasz mnie i idziesz w diabły. A ja już o własnych siłach dotrę do Przymorza. – Wstałam i ruszyłam w dół pagórka, rozglądając się uważnie w poszukiwaniu osłony. Cholerny idiota. To, że potrafi czytać mi w myślach, jeszcze nie znaczy, że ma do tego prawo.

Teraz, kiedy już pozwoliłam sobie na wybuch, gniew trawił mnie, odsuwając każdą racjonalną myśl. Istniała tylko furia. Wszystkie niesprawiedliwości, których doznałam w życiu, piętrzyły się, aż w końcu byłam wkurzona na cały świat – i zdecydowana zrobić z nim porządek.

Wślizgnęłam się za dziwną roślinę, ale stanowczo za bardzo się do niej przybliżyłam, bo jeden z kolców dźgnął mnie w plecy. Stłumiłam jęk bólu, a jednocześnie do głowy przyszedł mi pewien pomysł. Użycie techniki przy tak niewielkiej odległości powinno zaalarmować Zielonych...

Wydobyłam biocylinder i wbiłam w roślinę. Eksplozja wyrzuciła chmurę gęstego dymu. Roślina zadrżała i z góry osypały się białe kwiaty. Ciernie tliły się i odrywały.

Zieloni zbili się w gromadę i patrzyli w moim kierunku. Kiedy dopadłam do następnej rośliny, napięcie techniki Mechanów niemal mnie oślepiło. Zamknęłam oczy i się skoncentrowałam. Wyciągnęłam

swój telefon, żeby być w gotowości. Unieruchomiłam wszystkie dwadzieścia Mechanów, po prostu każąc im się wyłączyć. Wyobraziłam sobie, jak stoją nieruchomo, jaka cicha jest noc bez ich turkotów i brzęczenia.

I wszystko, co pomyślałam, spełniło się.

Widok zastygłych Mechanów naprawdę wyprowadził Tych-Od-Myślenia z równowagi. Ich zaniepokojone krzyki było doskonale słychać w mojej kryjówce, oddalonej o co najmniej pół kilometra.

Nic się nie stało. Dzisiejszej nocy Violet jeszcze nie nadejdzie. Thane pojawi się na czas i ją aresztuje. Powtarzałam te słowa w myślach, powtarzałam z całą mocą, wysyłając każdemu Zielonemu z osobna. Jak jeden mąż, wszyscy odwrócili się od odkrytego terenu pustyni i usiedli dookoła ogniska.

Zduśliłam narastające mdłości i zaczęłam się przekradać od rośliny do rośliny, ostrożnie unikając kolców. Sylwetki Mechanów lśniły srebrzyście w blasku ognia. Zadrżałam. Widok dwudziestu wysokiej klasy robotów – które unieruchomiłam, uciszyłam, załatwiłam – sprawił, że ciarki przebiegły mi po plecach.

Chłodne powietrze przenikało przez cienki materiał bluzy, pieszcząc spaloną słońcem skórę. Jednocześnie czułam gorąco i zimno. Głowa pękała mi z bólu od wysiłku przy wyłączaniu Mechanów i praniu mózgów Zielonym. W dodatku torturowały mnie własne myśli, na jakie jeszcze potrafiłam się zdobyć. Nagle krajobraz się zakołysał. Zwymiotowałam.

Czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia. Odwracając się, wypaliłam z paralizatora. Jag poleciał do tyłu i padł na piasek – z rozrzuconymi rękami i nogami, z zamkniętymi oczami.

Przysięgam, nie wiedziałam, że to był on.

Z ubrania Jaga jeszcze unosił się dym, kiedy mój mózg już pracował na najwyższych obrotach.

Jag czy Zieloni? On nie był martwy, ale za chwilę mogliśmy być oboje, gdybym zajęła się najpierw nim.

Mój udany występ z bronią nie przeszedł bez echa – Ci-Od-Myślenia opuścili ognisko i rozbiegli się w różne strony. Szybko wyszarpnęłam telefon z bezwładnej dłoni Jaga. Wzdragałam się przed spojrzeniem w jego spokojną twarz.

Zieloni równomiernie przeczesywali otwarty teren. Popędziwszy na zachód, skierowałam się w stronę drzew rosnących na brzegu strumyka, znowu wysyłając transmisję: *nic się nie stało*. Te drzewa miały zielone liście i swojską korę. Przyczaiłam się za pierwszym pnem, którego dopadłam.

Ich było dziesięciu. Ja jedna. Nie mogłam po prostu zacząć strzelać na chybił trafił. Pełzłam od drzewa do drzewa, aż wreszcie przywarłam do ziemi, ukryta zaledwie kilka metrów od obozu. Zapadła głęboka noc, cicha i spokojna, ale ja byłam sztywna ze strachu. Kontrolowałam Zielonych, wmawiając im, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, nikt nie zamierza ich nachodzić i, hej, po prostu wykazujcie się i cieszcie swoim towarzystwem.

Tak zrobili. Znowu zajęli swoje miejsca wokół ogniska.

– Musimy ją namierzyć – powiedział jakiś mężczyzna. – Wrodzonym talentem bije na głowę nawet najzdolniejszego z dyrektorów. Nic dziwnego, że Thane upierał się czekać, aż Violet w pełni ujawni swoje możliwości.

– Rozwalenie technokajdanek to naprawdę było coś.

– Już na początku o mało nie uciekła, po prostu napierając myślami na pilota poduszkoptera, żeby ją wypuścił.

Nie mogłam uspokoić serca, tak mocno tłukło się w piersi. Słuchając, jak mówią, czego dokonałam dzięki darowi kontroli, czułam, że mój żołądek zwija się w ciasny węzeł. Mój ojciec obserwował mnie przez całe lata. Czekał.

Rosła we mnie szewska pasja, rozprzestrzeniała się jak burza we krwi, aż wreszcie powlekła mi usta.

– Białe Skąły albo Bloomington², ewentualnie Przymorze, udziela jej azylu. Nawet Thane musi honorować umowy z regionem oceanicznym.

– Jag Barque też ma imponujące zdolności. Pamiętacie, jak w styczniu zeszłego roku uśpił swoim gadaniem cały zarząd? Nie wolno nam go nie doceniać, tylko dlatego, że jego talent kryje się w ustach. – Poznałam ten głos. Łysol.

– Nigdy nie należało pozwolić tym miastom na takie odstępstwa.

– Zgodnie z wymogami, co miesiąc przesyłają dyrektoriatowi raporty – słowa Łysola zabrzmiały trochę zbyt defensywnie.

– Wiem. Ale wydział rekrutacji przez cały rok nie znalazł ani jednego nowego kandydata.

– Oprócz młodego Bowera.

Słyszając to nazwisko, gwałtownie wciągnęłam powietrze. Co to jest wydział rekrutacji i w jaki sposób znaleźli właśnie Zenna? Co on takiego zrobił?

– Nie zapominaj też o Surge'u Penningtonie. Gapi się w kamerę, jakby to była projekcja. Ma zdumiewającą zdolność wyczuwania techniki.

– Ale daleko mu do Violet.

– Absolutnie nie. Dziś rano został przetransportowany do Wolności na szkolenie – wtrąciła jakaś kobieta. Zesztywniałam, słysząc, jak beztrąsko wspomina o tym dzieciaku. Jakby nie był osobą, która ma prawo wyboru, tylko pionkiem w ich chorej grze kontrolowania umysłów.

A teraz został schwytany i – według tego, co mówił Pace – będzie więziony w Wolności (co za ironia), dopóki nie wyplenią w nim człowieczeństwa i nie wyszkolą do prania mózgów. Zdusiłam w sobie gniew, żeby dalej podsłuchiwać.

Zieloni mówili jeszcze więcej bredni, których nie zrozumiałam, o tym, że najwyższa pora poskromić Zachód. I jak to Dobre Ziemi od dwudziestu pięciu lat cieszą się zbytnią swobodą i już najwyższy czas przywrócić tam należytą kontrolę. Jeżeli życie w Dobrych Ziemiach nazywali swobodnym, to nie chciałabym doświadczyć kontrolowanego.

– Wolność można łatwo odebrać.

Łysol miał rację. Wolność można łatwo odebrać. Mężczyźni są łatwiejsi do kontrolowania niż kobiety, więc wybrałam ich za cel. Każdy z nich wsadził rękę do kieszeni, wyciągnął technotelefon i na mój rozkaz nacisnął klawisz „Wysłać”. Chwilę później wynurzyłam się zza drzewa i wypaliłam z obu swoich telefonów do stojących najbliżej facetów.

Kobiety padły z rąk własnych towarzyszy, a ja załatwiłam paralizatorem trzech mężczyzn. Zanim dwaj pozostali zdążyli się zorientować, co się stało, nacisnęłam „Wyślij” i na ziemię runął kolejny Zielony. Ostatni – Łysol – stał, wytrzeszczając na mnie oczy.

– Zrobię to – powiedziałam, ruszając ku niemu. Mój głos brzmiał bardziej stanowczo, niż naprawdę się czułam. – Niech pan rzuci telefon i opróżni kieszenie.

Łysol położył na ziemi dwa telefony, kilka biocyklindrów, złoty klucz i pierścień do teleportacji.

– Teraz cofnąć się! – Na każdy jego krok w tył, dawałam krok do przodu. Zgarnęłam wszystkie techno-drobiazgi i wsadziłam sobie do kieszeni, starając się przy tym nie patrzeć na powalonych Zielonych.

– Mogę ci pomóc. Nie pracuję dla Thane'a. Proszę, wysłuchaj mnie, Violet.

– Akurat – odparłam.

– Chroniłem cię przez całe lata. Musisz mi uwierzyć.

– Nie.

– A jak myślisz, kto tuszował wszystkie twoje wybryki w Dobrych Ziemiach? Viol...

Zmusiłam go, żeby zamilkł. Twarz mu stężała. Usta zastygły, otwarte w chwili porażki. Bawiłam się jego teleportacyjnym

pierścieniem, obracając go w palcach, żeby zyskać na czasie. Potrafię uciszać bez tłumika. Ta myśl sprawiła, że w oczach stanęły mi gorące łzy gniewu. A jeśli on mówił prawdę?

– Proszę usiąść – powiedziałam. Usiadł.

– I tak pozostać. – Nie wątpiłam, że pozostanie. Całkowicie nad nim panowałam. Z łatwością. Nogi trzęsły się pode mną, kiedy spieszyłam przez monotonne pustkowia, żeby odnaleźć Jaga.

Uklękałam i potrząsałam nim, próbując go ocucić. Powtarzałam jego imię. Nic nie skutkowało. Wzięłam głęboki oddech i wołałam do niego w głębi jego umysłu. Po kilku chwilach otworzył oczy i jęknął.

– Jag! Jag! Tak mi przykro.

Powoli usiadł. Strzepnęłam mu piasek z twarzy i pleców.

– Nie wiem, dlaczego ciągle wracam po więcej – powiedział powoli łamiącym się głosem. – Któregoś dnia mnie zabijesz.

Parsknęłam śmiechem, który zabrzmiał niepewnie i o wiele za głośno.

– To nie był żart.

– Nie powinieneś podkradać się do ludzi po ciemku – odparłam. Powróciła moja dawna postawa.

– Myślałem, że mnie wyczułaś.

– Tak, ale nie wiedziałam, że to ty, przysięgam.

– Myślałem, że mamy, no... – przerwał i podniósł się z ziemi.

– Mamy co?

Nie patrzył na mnie, chociaż i tak w ciemnościach trudno by mi było dojrzeć jego minę.

– Nic – rzucił przez ramię i oddalił się sztywnym krokiem.

Spodziewałam się, że się wścieknie. Ale nie przypuszczałam, że wcale nie o paralizator.

Podążając za nim w stronę obozu, doszłam do wniosku, że chłopaków nie sposób zrozumieć. Wyglądało na to, że cokolwiek powiem albo zrobię, zawsze jest źle.

Przypomniała mi się matka. Dla niej też nic nie było wystarczająco dobre.

Jag stał przed Łysolem i przyglądał się scenie wokół ogniska.

– Ty to zrobiłaś? Sama? – Spojrzał na mnie, unosząc brew.

Wzruszyłam ramionami i zaczęłam grzebać w plecaku. Znalazłam kawał pomarańczowego sznura. Kiedy się odwróciłam, Jag plądrował zapasy wroga. Wzięłam się do wiązania nieprzytomnych Zielonych.

– Daj spokój – powiedział. – I tak tu nie zostaniemy.

– Co? – zapytałam, spoglądając na leżącego Łysola, którego Jag właśnie uśpił.

– Noc jest najlepszą porą do podróży – odparł i wywalił na ziemię całą zawartość cudzego plecaka. Dwa teleportacyjne pierścienie cisnął do ogniska, a resztę technodrobizgów i torebki z proteinami starannie pozbierał.

– Hej, one służą do teleportacji – zaprotestowałam. Pierścień Łysola nadal spoczywał na dnie mojej kieszeni.

Jag podniósł wzrok.

– Idziemy pieszo. Przymorze nie zezwala na nielegalne teleportacje. Nie mamy czasu skontaktować się z właściwymi osobami. Do diabła, nawet nie wiem, kto jest tą właściwą osobą. – Wyprostował się i zarzucił plecak na ramiona.

– Mówiłeś, że będziemy mogli się przespać – marudziłam, zirytowana, że jęczę jak trzylatka, która chce cukierka.

– Tak – odparł, nawet na mnie nie patrząc. – Ale później. Do Przymorza piechotą jest ładnych kilka dni marszu. Będzie mnóstwo czasu na spanie.

Miałam ochotę wykrzyknąć, jaki jest nieuczciwy. Miałam ochotę wykrzyknąć, że go nienawidzę. Jednak mój głos odmówił wypowiedzenia tych słów.

– Przecież na serio tak nie myślisz, Vi – odezwał się Jag tym swoim tonem w rodzaju „wyznaj mi wszystko”, zbliżając się powoli ze spojrzeniem utkwionym w moje oczy.

Nie chciałam, żeby widział, jak płaczę, więc podniosłam swój plecak i odeszłam.

Używając GPS-u w telefonie, znalazłam zachód i ruszyłam brzegiem strumyka. Za plecami słyszałam kroki Jaga, ale nie czekałam na niego, bo było mi już wszystko jedno.

Po chwili dogonił mnie i szliśmy obok siebie. Wystarczająco

blisko, by trzymać się za ręce, a jednocześnie na tyle daleko, że słowa nie mogły naprawić szkód, które nawzajem sobie poczyniliśmy.

Kiedy stanęliśmy na skraju wąwozu, Jag powiedział:

– Panie przodem.

Jasne, wielkie dzięki, pomyślałam, mierząc wzrokiem ledwie widoczną kładkę, pod którą była już tylko ciemność. Musieliśmy przechodzić pojedynczo. Po tamtej stronie jaru rozciągał się poszarpaną linią krajobraz strefy zdemilitaryzowanej.

Posuwając się wzdłuż wąskiego mostku, miałam wrażenie, że moje nogi ważą tonę. Gdy wreszcie dotarłam na drugi brzeg, pospiesznie oddaliłam się za sterczącą skałę. Zobaczmy, jak się Jagowi spodoba zostawanie w tyle.

Złość gotowała się we mnie, kiedy na chybił trafił wybierałam ścieżki, które wydawały się prowadzić na zachód. Nie mogłam ufać żadnemu słowu wychodzącemu z ust tego chłopaka. Mówił, że mi pomoże, a nie zrobił tego. Obwiniął mnie za przyczepiak, za lokalizator i kto wie, za co jeszcze. Kiedy twierdził, że mnie kocha, też pewnie łął.

To bolało. Bardzo. Bo, no cóż... fakt, że jestem kłamczuchą, ale w tym wypadku nie kłamałam. Naprawdę pokochałam tego głupiego Jaga Barque'a.

A co z tatą w jego wszystkich wcieleniach – czy nadal go Kocham? Nie miałam pojęcia. Podobno krew nie woda. Ale czy krew jest ważniejsza niż miłość? Niż prawo wyborów? Niż wolność?

Przywołałam w myślach to, co mówił, kiedy uciekaliśmy z ośrodka. Może miał rację? Może ludzie rzeczywiście potrzebują, żeby ktoś ich trzymał w ryzach.

Przez głowę przemknęły mi szkolne projekcje. Starzy ludzie żyjący na ulicach.

Kości niemal przebijające skórę niedożywionych dzieci.

Zapadnięte, zniszczone twarze tych, którymi nikt się nie opiekuje.

Dyrektoriat rozwiązał te problemy. Czy naprawdę byłoby takie straszne, gdybym używała swojego daru kontroli, by uchronić nasze społeczeństwo przed ponowną nędzą, ruiną i głodem?

Wybór wydawał się łatwy. A nie był.

Wlokąc się noga za nogą, siłą odsuwałam niepokojące myśli, szukając po omacku jednego dobrego wspomnienia.

Przypomniały mi się moje dziesiąte urodziny, kiedy Ty upiekła dla mnie różowy tort z purpurowym lukrem. Zużyła ostatni przydział wiśni, żeby go zabarwić i w pierwszej chwili mama bardzo się rozgniewała.

Ale nie ukarała jej. Bo uwielbiała Ty. Moja siostra pokazała, jak ciasto doskonale urosło. Mama uśmiechnęła się i wyjęła replikator, żeby zrobić jedyne zdjęcie, jakie miałam ze wszystkich swoich urodzin. Nawet mnie na nim nie było.

O wschodzie słońca zaczęłam rozglądać się za Jagiem. Pragnęłam go zobaczyć, dowiedzieć się, że podążał za mną, by nade mną czuwać – albo przynajmniej nad tym, czy idę we właściwym kierunku. Ale mała część mnie nie chciała go odnaleźć. Ta część potrzebowała więcej niż jedną noc, by rozeznac się wśród gmatwaniny problemów dotyczących dobra i zła, wolności i bezpieczeństwa, zdrady i miłości.

Mroczny cień wyłonił się na tle porannego nieba.

– Jesteś głodna? – warknął Jag, jakby to była moja wina, że głód istnieje.

Zaburczało mi w brzuchu.

– Nie – skłamałam, z trudem formując to słowo w wysuszonym gardle.

– Daj spokój, Vi...

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Mam paczuszki z proteinami.

Ignorując go – jak również protesty mojego żołądka – znalazłam wśród skał pieczarę na tyle dużą, że mogłam się w niej położyć.

Jag Barque nie był mi niezbędny do przetrwania.

² Bloomington - autentyczna nazwa miasta w USA (przyp. tłum.).

Pomruki moich wnętrzności nie dawały mi zmrużyć oka. A kiedy wreszcie zaczęłam zapadać w sen, brzuch rozbolał mnie tak bardzo, jakbym miała dostać skrętu kiszek.

W końcu nie mogłam już dłużej wytrzymać. Usiadłam. Było mi słabo. Musiałam coś zjeść. Naprzeciwko mnie spał Jag. Sunęłam po skalistym podłożu, wzdrygając się, gdy echo odbijało od ścian pieczary wywołane moimi manewrami zgrzytliwe dźwięki.

Plecak Jaga dał się rozpiąć bez trudu. I po cichu. Spod pomarańczowego sznura błyszcząły srebrzyste paczuszki protein. Sięgnęłam po nie, klnąc w myślach, kiedy wyslizgiwały mi się z palców i wpadały głębiej.

Właśnie zdołałam przytrzymać jedną, gdy Jag coś zamruczał. Aż podskoczyłam i szybko się wycofałam. Po chwili jego twarz się wygładziła. Znowu zapadł w sen. Zastanawiałam się, co to było tym razem. Z jednej strony, pragnęłam wspólnie z Jagiem przeżywać jego wspomnienia. Z drugiej, nie cierpiałam świadomości, że w ogóle mogłam wtargnąć do cudzego umysłu. I nadal przede wszystkim chciałam coś zjeść. Natychmiast.

Wetknąwszy samotną paczuszkę protein do tylnej kieszeni, założyłam swój plecak i powlokłam się w poszukiwaniu wody. Krętym kanionem doszłam na brzeg rzeki. Czułam się, jakbym miała głowę osobno i wszystko robiło się białe.

Piłam chciwie, nie dbając o to, że wodę należy oczyszczać. W pobliżu rosło kilka niskich drzewek i skąpe krzaki, ale nic w rodzaju bulw, którymi żywiłam się w Złych Ziemiach. Wysypałam zawartość apteczki, żeby mieć w czym rozpuścić proteiny. Nigdy w życiu nic nie smakowało mi bardziej niż ten cuchnący napój.

Ale nadal umierałam z głodu. Jedna porcja protein nie mogła

podtrzymać mnie na długo.

Grzebałam wśród ubrań i zapasów techniki, układając je na ziemi, żeby lepiej im się przyjrzeć. Trzy techno-telefony nie wytwarzały żywności. A mogłoby się zdawać, że to pożyteczna funkcja. Głupie urządzenia potrafiły wszystko poza tym jednym.

Miałam jeszcze tuzin biocylinarów. Obok nich leżały dwa okrągłe talerze. Kiedy podniosłam jeden z nich, poczułam technoszarpnięcie wewnątrz srebrzystego metalu. W tej samej chwili moje palce zadrżały.

Spód talerza zdobiły dobrze mi znane dwa splecione węzły. Może to kolejna broń? Może kiedy się nią rzucało, wyrastały z niej niebezpieczne ostrza i zabijały wrogów. Kto to wiedział?

Zapewne Jag.

Odsunęłam talerze wraz z irytującą myślą o Jagu i skupiłam uwagę na dwóch kostkach czystego srebra. Nie było na nich symbolu podwójnego węzła. Podniosłam jedną z nich i do mojego umysłu przesączała się technika, niemal szepcząc mi wskazówki. Kciukiem i palcem wskazującym nacisnęłam przeciwległe boki.

Sześcian zadrżał i zaczął się rozkładać. Upuściłam go i obserwowałam, jak zmieniał się w kwadrat, wystarczająco duży, by na nim stanąć. Uznałam, że to nie teleport, chociaż go przypominał.

Taca. Wyglądała znajomo... jak ta, na której w techno-ośrodku dostałam kubek gorącej czekolady.

– Różowy tort urodzinowy ze szkarłatnym lukrem – zamówiłam. Na srebrnym kwadracie pojawił się kawałek tortu. Uśmiechnęłam się i wepchnęłam go do ust. – Sto lat – zaśpiewałam cicho sama sobie. – Zapiekanica ziemniaczana. – Stanął przede mną wielki talerz pieczonych ziemniaków z cebulą i sosem serowym. Zjadłam je w dwie minuty, chociaż parzyły mi usta. – Mleko – zażądałam następnie, ale kwadrat pozostał pusty. – Dobra. Mleko pełnotłuste. – Po tym uściśleniu pojawiła się wielka szklanica kremowobiałego mleka. W życiu nie piłam czegoś tak pysznego.

Westchnęłam radośnie i otarłam usta. W moim umyśle zamigotało światełko, sygnał, że nadciąga ktoś obdarzony mocą. Zaczęłam

galopem się pakować.

Zerknęłam za siebie, na ścieżkę wiodącą do kanionu – jedyną drogę ewakuacji – po czym zarzuciwszy plecak na ramię, pobiegłam wzdłuż rzeki do małego skupiska skał, wśród których mogłam znaleźć bezpieczną kryjówkę. Zaledwie zdążyłam za nimi przykucnąć, z kanionu wynurzył się Jag. Podszedł do wody, pochylił się i napił.

Potem powoli, z oczami wbitymi w ziemię, ruszył w moją stronę. Zatrzymał się dokładnie w miejscu, gdzie w pojedynkę jadłam swoje urodzinowe przysmaki. Dzisiaj były też jego urodziny. Zastanawiałam się, czy czuje się równie samotny, jak ja, czy też chciałby świętować razem ze swoją siostrą – tak jak powinno być.

– Ja nie mam siostry – szepnął. Nie zauważyłam, kiedy się zbliżył. Nie usłyszałam go, a nagle pojawił się tuż obok. – Chcę tylko ciebie.

Głupie łyzy zaszczypały mnie w gardle. Kiedy zrobiła się ze mnie taka beksa? W każdym razie teraz wiedziałam, dlaczego go nie dostrzegłam: przed oczami wszystko mi wirowało, łącznie z jego doskonałym uśmiechem i troskliwym spojrzeniem. Ale tym razem nie dałam się zwieść.

– Kłamca. – Przecisnęłam się koło niego i tą samą drogą wróciłam do pieczary. Jag szedł za mną. Znałam go, czułam to co on, niemal staliśmy się jednością. Nie w sensie fizycznym, tylko emocjonalnym.

Nasza więź. To właśnie, jak sądził, powinnam była rozpoznać poprzedniej nocy, zanim do niego strzeliłam.

– Vi, poczekaj! – zawołał.

Zatrzymałam się przed wejściem do pieczary. Kłębowisko emocji groziło, że mnie pochłonie.

– Przepraszam – powiedział.

– Akurat.

– Dlaczego jesteś taka wściekła?

– Dlaczego jestem taka wściekła? Dlaczego jestem...? Posłuchaj, jeśli nie wiesz, nie zamierzam cię informować.

– Bo co? Bo powiedziałem, że nie możemy spać?

– Bo pstro! Jakby nigdy nic, wdzierasz się do moich myśli. Sądzisz, że mam szczególne właściwości, ale mi o tym nie mówisz. Twierdzisz, że mnie kochasz, a jednocześnie mi nie ufasz. –

Przerwałam w obawie, że dam się za bardzo ponieść i wyrzucę z siebie wszystko, co przed nim ukrywałam.

Przygarbił się.

– Przepraszam. Tyle rzeczy chciałbym ci powiedzieć, ale trzeba, żebyś podejmowała własne decyzje.

Oparłam rękę na biodrze.

– Dobra wymówka, żeby spokojnie spać, Barque. – Odwróciłam się w stronę pieczary.

Dotknął mojego ramienia.

– Nie chcę oddziaływać na ciebie głosem.

Do diabła. Zawsze, zawsze wiedział, co powiedzieć. Zdjęłam plecak i się położyłam. Jag wgramolił się do groty razem ze mną. Płakałam (tak, znowu), zanim otoczyły mnie jego silne ramiona i aksamitny głos zaczął szeptać do mojego ucha.

– Ciii, kocham cię, dziecinko. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. – Mógł mieć na mnie wpływ, kiedy tylko chciał. – Wcale nie słyszę twoich myśli. Tylko to, co czujesz. Nie znałem twojego planu, ale czułem, że jest dobry, że, cokolwiek nas czeka, uda się.

– Jakiego planu?

Jag zachichotał. Napięcie pomiędzy nami znikło. Leżałam w jego ramionach i nareszcie czułam się bezpieczna. Zadrżałam. Przyciągnął mnie bliżej, tylko po to, żebym po paru minutach go odepchnęła, bo zrobiło mi się zbyt gorąco.

W końcu, kiedy przez godzinę nie dałam nam obojgu zasnąć, wstał i wydobył ze swojej apteczki maść.

– Zdejmij koszulę – powiedział. – Oczywiście, jeśli chcesz mojej pomocy.

– Och, przestań. Nie umrę od opalenizny. – Przynajmniej miałam nadzieję, że nie umrę. Zawsze mi mówiono, że nie ma nic gorszego niż słońce, ale odkąd zobaczyłam tyłu Złych, nie byłam już taka pewna.

– W porządku. – Z powrotem się położył. Wyciągnął ręce za głowę i bacznie studiował sklepienie pieczary, jakby właśnie w nim krył się sekret życia bez kontroli.

– Ale... chcę, żebyś mi pomógł. Siadając, wyszczerzył zęby

w uśmiechu.

– Więc zdejmij koszulę.

Ściągnęłam więzienną bluzę. Dzięki koszulce, którą nadal miałam na sobie, tylko ręce pały mi bladą czerwienią. Ale, niech to diabli, jak bolały.

– Nic dziwnego, że nie możesz spać. – Delikatnie wtarł maść w moje ręce, szyję i twarz.

Wzdrygnęłam się, mrużąc:

– Zimna.

Skończywszy, pomógł mi się znowu ubrać.

– Przed zdjęciem będziesz musiała je zamoczyć, okej? Nie szarp, bo zaboli.

Pokiwałam głową, tak zmęczona, że nie mogłam mówić. Po prostu skuliłam się znów w jego objęciach, pragnąc zapaść w sen i o niczym już nie myśleć.

– Vi?

– Hm?

– Czy twój ojciec się podda?

Milczałam przez chwilę, chociaż znałam odpowiedź. Jag z pewnością też znał. Wyraźnie miał większe doświadczenie w kontaktach z moim tatą – z Thane'em – niż ja. Kiedy już chciałam się odezwać, dodał:

– Będę cię bronić. Obiecuję. Cóż, wiedział. I ja wiedziałam.

Tata nie należał do osób, które się poddają.

Rozsiadam się na moim krześle przy biurku i zakładam nogę na nogę. Nie potrafię rozstrzygnąć, czy chcę wysłuchać, co on ma do powiedzenia. Wzdycham.

– Wprowadzić go.

W drzwiach staje Zenn, strząsając z siebie ręce eskortujących go ludzi.

– Odwalcie się! – Wchodzi zamaszystym krokiem, ze wzrokiem wbitym we mnie. – Jag, człowieku, daj spokój. Czemu zawdzięczam to królewskie przyjęcie?

Przyglądam mu się przez chwilę, po czym machnięciem ręki odprawiam pozostałych.

Twarz Zenna jest nadal gładka, chociaż zmęczenie wyryło już bruzdy koło oczu.

– Wy tłumacz mi to, Zenn – mówię, opierając podbródek na złożonych palcach.

Zenn stoi wyprostowany i wpatruje się we mnie gniewnie ponad biurkiem. Jedno muszę przyznać: ma odwagę.

– Teraz mam w życiu ważniejsze sprawy.

– To wszystko? Tak brzmi twoja odpowiedź?

– Tak.

– Więc mówisz, że w twoim życiu są ważniejsze sprawy. Ważniejsze niż nasze zadanie. Ważniejsze niż życie pod kontrolą. – Nie próbuję powściągać złości w głosie.

Zenn spuszcza wzrok.

– Tak.

Zaciskam zęby. Wewnątrz furia miesza się z niepokojem. Okej, nawet z odrobiną strachu.

– Posłuchaj, Zenn. Jesteś jedynym Dobrzy, którego do nas

dopuszciliem. W ciągu dwóch lat zrobiłeś dla Ruchu Oporu więcej niż ktokolwiek. Muszę wiedzieć, że się ze mną zgadzasz. Na sto procent. Całkowicie.

Zenn podnosi głowę, w oczach płonie mu ogień. Widywałem to przedtem. Już podjął decyzję.

– Na razie – mówi.

Przechyliam głowę, starając się dosłyszeć prawdziwe znaczenie jego słów. Długo po tym, jak zostaje wyprowadzony, jeszcze o tym dumam.

Mam złe przeczucie, że Zenn już myśli inaczej. Został donosicielem.

Nie mogę mu ufać.

Problem: wie już za dużo.

Usiadłam. W głowie kłębiło mi się pytanie, co Zenn wiedział o mnie. Mniej więcej wszystko. Wilgotne powietrze w pieczarze wydawało się zbyt zawiesiste, żeby nim oddychać. W piersi czułam ucisk z wysiłku, żeby zaczerpnąć tchu.

Jag poderwał się i wyprostował. Wpatrywał się we mnie rozszerzonymi oczami.

– Co się dzieje?

Zmusiłam się, żeby wypuścić powietrze.

– Nic.

Przyglądał mi się bacznie, w taki sam sposób, jak we śnie mierzył wzrokiem Zenna.

– Aż gęsto tu od twoich emocji. To one mnie obudziły.

– Koszmary – mruknęłam. I nie było to całkowite kłamstwo. Pozwoliłam, żeby wziął mnie w ramiona. Pozwoliłam, żeby głaskał mnie po włosach. Pozwoliłam, żeby szeptał mi słowa otuchy.

Zamknęłam oczy i czekałam, aż zapadnie w sen. Potem wstałam i przesiadłam się pod ścianę. Kamieniste podłoże wgniało mi się w kość ogonową.

Skoro nie spałam, nie mogłam znowu wdrzeć się do jego umysłu.

– Powinnaś to zdjąć – powiedział Jag. – Pozwól skórze trochę pooddychać.

Uklękałam nad rzeką, tam, gdzie właśnie skończył napełniać nasze

butelki. Woda wyglądała jak płynny lód, ale zanurzyłam w niej ręce aż do ramion. Spłynęła lepka maść. Jednak za każdym razem, kiedy je wyciągałam, materiał znowu się przyklejał.

– Możesz mi pomóc? – zawołałam przez ramię.

Jag chwycił brzeg więziennej bluzy, uniósł go i przeciągnął mi przez głowę, a dopiero potem spróbował zsunąć rękawy. Zimna woda i łagodny wietrzyk kołył moją poparzoną skórę. Poprawiłam koszulkę, żeby zakrywała brzuch.

– Super – powiedział Jag, nie odrywając ode mnie spojrzenia. Cisnął na bok mokrą bluzę i pocałował mnie namiętnie, co natychmiast rozpoznałam jako Jagohormonalny styl całowania.

– Przestań. Jesteś zły.

– Na wszystko co złe, za to ty jesteś piękna. – Kolejny pocałunek umieścił pod moim uchem. Przesunął się kawałek dalej, w dół szyi. W głowie zawyły mi sygnały alarmowe. Gorączkowy pośpiech warg Jaga prawie je zagłuszył. Prawie.

– Jag, ja...

– Wszystko w porządku, dziecinko. Tylko się całujemy. Wszystko w porządku.

I wszystko było w porządku. Całowanie się z nim było więcej niż w porządku. Życie było absolutnie w porządku. Wszystko już zawsze miało być niebiańsko w porządku...

Świadomość, że użył swojego głosu, przytłoczyła mnie nagłym ciężarem. Jednocześnie spróbowałam usiąść i obciągnąć koszulkę.

– Sterujesz mną. A to nie jest w porządku.

– Violet – powiedział, nie odrywając spojrzenia od moich oczu. – Vi, dziecinko. – Jego głos brzmiał łagodnie, ale nie kontrolujące – Faktycznie, obiecywałem. Przepraszam.

– Nie chcę, no... – Zacisnęłam usta, zanim wyrwało mi się coś zbyt żenującego.

Jag wstał i wyszukał nowy T-shirt.

– Proszę. Ta powinna zostać spalona – powiedział, zerkając wymownie na koszulkę, którą miałam na sobie. – Zaczekam na ciebie w kanionie.

Kiwnęłam głową, nie mogąc wydusić słowa. Upewniłam się, że

naprawdę odszedł i dopiero wtedy się przebrałam. Przyjemnie było czuć chłodne powietrze na rękach, ale nic nie równało się z uczuciem, kiedy usta Jaga dotykały mojej szyi, ucha, warg...

Z miejsca, gdzie Jag czekał – gdziekolwiek było – dobiegł mnie śmiech. Cholerny, czytający w myślach, napędzany hormonami idiota. Miałam nadzieję, że to też usłyszał. Wszystko jedno, co twierdził – potrafił odczytywać o wiele więcej niż uczucia.

Kiedy do niego dołączyłam, miał już na sobie czystą koszulę. Znowu cicho się zaśmiał i opasał ręką moją talię.

– Gotowa? Przed nami jakieś dwa tygodnie marszu.

– Wkurza mnie, że czujesz, co ja czuję – poskarżyłam się. – Naprawdę, naprawdę tego nie cierpię.

– Mogę przestać. Jeśli chcesz.

– Tak, proszę.

Widziałam, że wcale nie miał ochoty. Twarz mu posmutniała, cofnął rękę.

– Nie, nie. To jest okej. – Z powrotem umieściłam jego dłoń na moim biodrze. – Wszystko w porządku, dziecinko. Wszystko w porządku.

– Zabrzmiało zupełnie, jakbym to ja powiedział! – W zapadającym zmierzchu rozległ się czysty dźwięk. Jag się śmiał.

Walnęłam go pięścią i śmiech zakończył się gwałtownym: „Uff”.

– Nigdy więcej mną nie steruj.

Chwilę później Jag przystanął i wlepił wzrok w gwiazdziste niebo.

– Teraz jesteśmy dorośli. Oficjalnie.

– Wspaniale – odparłam. Jakby to miało naprawdę jakieś znaczenie. Mogłam już dostać pracę. Wielkie rzeczy.

– Dorosłym grożą surowsze kary.

Poczułam ucisk w żołądku. Jag wziął mnie za rękę i znowu pociągnął za sobą. W ciszy, która zapadła, wyobrażałam sobie, co dyrektoriat może mi zrobić, skoro jestem pełnoletnia.

Nagle się zatrzymałam.

– Jag, jak to będzie, kiedy już znajdziemy się w Przymorzu?

Światło księżyca uwydatniło napiętą linię jego ust.

– Możemy liczyć na ochronę ze strony Gavin. Ale nie wiem,

co robi Thane... hm, twój ojciec. Wpływy dyrektoriatu sięgają wszędzie, nawet jeśli w regionie oceanicznym są mniejsze. A oni chcą nas dopaść. – Chciał iść dalej, ale ja nie ruszyłam się z miejsca.

– Znasz Gavin?

– Jasne. To dziewczyna Pace'a.

– Co ona mi proponuje?

– Nie wiem.

– Kłamca. Nigdy niczego mi nie mówisz.

– Nie, poważnie. Każdy przypadek jest inny. – Jag splótł palce z moimi. – Swoją drogą, ty nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego poszłaś zobaczyć się z Pace'em albo jakim cudem sama załatwiłaś dziesięciu Zielonych. Też masz swoje sekrety.

– To żadne sekrety – zaprotestowałam, ruszając zamaszystym krokiem. – Nigdy nie pytałeś. Byłeś zbyt zajęty wściekaniem się... albo całowaniem mnie.

– A teraz co byś wolała? Bo jestem gotów na obie możliwości – w jego głosie czaiła się niebezpieczna nuta.

Zatrzymałam się gwałtownie, chwyciłam go za rękę i pocałowałam we Violohormonalnym stylu. Kiedy się ode mnie oderwał, zaproponowałam:

– Powiem ci, jeśli obiecasz, że nie będziesz się tak o wszystko wściekał.

– To ulica dwukierunkowa, Vi.

Znowu go pocałowałam, błędząc palcami po jego szyi i włosach.

– Naprawdę?

– Nie – westchnął. – Naprawdę to nie. – Całowaliśmy się dalej. Jego ręce coraz mocniej zaciskały się na mojej talii.

– Więc będziesz miłszy? – szepnęłam.

– Tak, bezwarunkowo.

– Dobrze. – Wysunęłam się z jego objęć i znowu spleliśmy dłonie. Szliśmy przez kilka minut, zanim Jag się odezwał.

– To naprawdę niesprawiedliwe – w jego głosie zabrzmiała uraza. – Skoro ja nie mogę kontrolować ciebie, ty nie powinnaś kontrolować mnie.

Zachichotałam. Tak, zachichotałam.

– Nigdy nie sterowałam tobą za pomocą umysłu. Tylko ciała.

– To jeszcze gorzej.

Kiedy wędrowaliśmy dalej, opowiedziałam mu o pocałunku Zenna i Jag wkurzył się, dokładnie tak jak przypuszczałam.

– Przecież obiecałeś.

– Pocałuj mnie znowu, to może sobie przypomnę.

– Jasne.

– Dobrze, więc nadal będę się wściekał.

– Posłuchaj. To nie tak, że cię zdradzam czy coś w tym rodzaju. Nie rozumiem, dlaczego jesteś o niego zazdrosny.

Popatrzył na mnie wzrokiem mroczniejszym niż otaczająca nas ciemność.

– Vi, nadal odbieram, co czujesz. Kochałaś Zenna przez długi czas. Uczucie nie znika w ciągu jednej nocy. Chociaż dał ci ten przyczepiak, nawet teraz popędziłabyś mu na ratunek, gdybyś tylko mogła.

Już otworzyłam usta, żeby się spierać, ale uciął wszelkie moje protesty.

– Nic nie mów. Ja to czuję. Kontrolują go w najpodlejszy sposób, więc chcesz mu pomóc. Bo on jest dokładnie taki jak ty. Też wieki temu przestał słuchać transmisji. Osłaniał cię przed największymi kłopotami i pocieszał w najtrudniejszych momentach. Te wspomnienia nigdy cię nie opuszczą. Kochałaś go przez pięć lat, a mnie znasz zaledwie od tygodnia.

Z tym nie mogłam dyskutować. Przedtem Zenn był całym moim życiem. Pod wieloma względami nic się nie zmieniło.

– Dłużej niż od tygodnia – sprostowałam, po prostu żeby stawić opór.

Palce Jaga mocniej zacisnęły się na mojej dłoni.

– Dobrze, od dwóch.

Opowiedziałam mu, jak po e-commie od Łysola przekradłam się do laboratorium. A potem jeszcze, jak w Złych Ziemiach czaiłam się za drzewami i tyle z rozmowy Zielonych, ile zdołałam zapamiętać. Na deser dodałam, jak to kontrolując pięciu mężczyzn, zmusiłam ich, żeby załatwili paralizatorami swoje towarzyszek.

- O rany – powiedział tylko.
- Tak, facetami bardzo łatwo sterować.

Walnął mnie w ramię. Uderzył pięścią i w ogóle. Oddałam. A skończyliśmy, znowu trzymając się za ręce. I bądź tu człowieku mądry.

– Więc Pace wyemitował się, żeby się z tobą zobaczyć, tak? – w moim głosie dźwięczała potężna dawka sugestii „lepiej też mi zdradź swoje sekrety”.

- Nawet parę razy. Miał zezwolenie.
- Od kogo?

Jag wzruszył jednym ramieniem.

- Chyba od tego łysego faceta.

– Mnie też ten facet pomógł przedostać się do laboratorium. Mówił, że jest po mojej stronie. Myślisz, że... jak on mógł nam pomagać? – Obserwowałam twarz Jaga, ale jego spojrzenie wlepione było w horyzont.

- Każdy ma szpiegów, dziecinko.
- Co to znaczy?
- Czasami ci, którzy wydają się dobrzy, tylko udają. Na przykład, spójrz na siebie.

Myślałam o tym, co powiedział.

- Mój tata nie udawał.

– Nie, on nie – odparł Jag tak cicho, że ledwie go usłyszałam. Potem szliśmy w milczeniu. Ciemnogranatowe niebo otaczało nas chłodnym powiewem. Spieczona skóra przekonała mnie, że lepiej jest podróżować nocą.

Wędrowaliśmy tak długo, że kiedy za dnia zasypiałam, śniło mi się, że nadal idę. Przynajmniej tyle dobrego, że technokostka wytwarzała wszystko, co mieliśmy ochotę zjeść, a powietrze w strefie zdemilitaryzowanej nie zawierało nawet grama techniki, oprócz tego, co pochodziło z naszych zapasów.

Noc po nocy mozolnie posuwaliśmy się dalej. Podczas gdy Jag obserwował gwiazdy, zmagalam się ze sobą, rozmyślając o tym, kim jest mój tata, kim ja jestem.

Co jest moim obowiązkiem.

W czyje ślady powinnam pójść.

Jeśli w ogóle w czyjekolwiek. Może mój typ kontroli mógłby przynieść innym więcej pożytku niż to, co robił tata? Takie zdolności mogłyby zostać wykorzystane w dobrym celu. Do leczenia chorób. Oczyszczania wody.

Ale nie chciałam odbierać ludziom drobiazgów, cech, które czynią ich wyjątkowymi, po to, żeby zapewnić im lepsze życie.

Widziałam w ośrodku Zenna. Nie był sobą. To nie w porządku. Zastanawiałam się, czy gdybym dołączyła do taty, trochę by wyluzował. Razem moglibyśmy nadal pracować dla powszechnego dobra, ale nie musielibyśmy w tym celu niszczyć w ludziach tego, co indywidualne.

Już niemal przekonałam samą siebie do tej złotej przyszłości z tatą, kiedy przypomniał mi się wstręt w jego oczach.

Więc musiałam zacząć wszystko od nowa. I nie mogłam znaleźć żadnych odpowiedzi, nieważne, ile różnych możliwości rozpatrzyłam. Nieważne, do ilu gwiazd skierowałam życzenie.

– Jak daleko jeszcze? – narzekałam znowu dziesiątej nocy.

– Już niedługo, Vi. – Jag roześmiał się i przyciągnął mnie do siebie. – Cierpliwości.

Tak, tego nie mam za dużo.

Kiedy słońce wzeszło, poczułam, jak wraz z nim rośnie moje serce. Przede mną rozpościera się ocean. Nigdy nie widziałam tyle wody naraz. Przyzywała mnie, zachęcała, żeby podejść bliżej. Dotknąć jej, kiedy pluskała o brzeg. Poczuć w ustach jej słony smak.

Nad błękitnym bezmiarem rozsiadło się duże miasto, co najmniej wielkości Południowego Krańca.

Nagle coś chwyciło mnie za gardło, skurcz ścisnął mi serce. Czyjaś obecność – niewiarygodnie silna i aż za bardzo znajoma – wtargnęła do mojego umysłu.

Z trudem precyzyjnie mi się przez gardło słowo „tata”.

– Cholera. – Jag pociągnął mnie w dół skarpy, do rowu. – I co teraz?

Rzuciłam się na ziemię obok niego, jakbym w ten sposób mogła ukryć swój umysł.

– On tu jest... gdzieś tutaj. – Zamknęłam oczy, starając się odnaleźć tatę bez zapuszczania się do jego głowy. – Przekradnijmy się kawałek na północ.

Wybór strefy zdemilitaryzowanej był sprytny, V. Dokąd idziesz? Sposób, w jaki nazwał mnie V, ścisnął mi serce. Jak bardzo dawniej pragnęłam to usłyszeć. Teraz tylko ogarnęło mnie obrzydzenie. Szybko wyparłam go z myśli.

Jag złapał mnie za rękę i razem poderwaliśmy się z ziemi.

– Chodźmy.

Kiedy biegliśmy, z całych sił spychałam strach do podświadomości w taki sam sposób, jak ścierałam pot z czoła. Mieszał się z brudem, tworząc błoto, które szczypało mnie w kącikach oczu.

A potem w ogóle przestałam widzieć.

– Jag! Technika! – Padłam na kolana z nadzieją, że w niskich krzakach znajdę kryjówkę przed nieznanym niebezpieczeństwem.

– Wyciągnij telefon – szepnął obok mnie Jag. Rozległ się sygnał bip-bip, kiedy aktywował swój, a ja nadal po omacku szukałam kieszeni. Wzrok miałam całkiem zaćmiony.

– Cholerne przeładowanie. – Z oczu lały mi się łzy. W żołądku wrzało.

– Viii – szepnął, niebezpiecznie przeciągając moje imię. – Kim oni są?

Dałam spokój poszukiwaniom telefonu i spróbowałam się

skoncentrować.

– To dwie osoby. Mężczyźni. Rangerzy. Mogą wyczuć naszą technikę.

– Rangerzy?

Ich umysły... ich umysły były jasne. Przenikliwe. Niekontrolowane. I skupione na ujarzmianiu sił ziemi.

– Zdecydowanie rangerzy.

Jag nie ruszał się, nie oddychał. Potem jego palce znalazły moją dłoń i poderwał mnie na nogi.

– Jag? – Mężczyzna, który się odezwał, miał niski głos. Nie mogłam go zobaczyć, ale jego imię i nazwisko dryfowały w moim mózgu: Mark Kellogg.

W podświadomości Marka pojawiło się zdziwienie. Nerwowo przestępował z nogi na nogę, gdy podszedł drugi facet, jego młodszy brat Jake. Obydwaj promieniowali zaawansowaną technoenergiją i chcieli wyczuć naszą.

– Musimy zobaczyć się z Gavin – głos Jaga brzmiał dziwnie, jakby zbyt chropawo. Bał się i to mnie przeraziło.

– Wszystko diabli wzięli – powiedział Mark. – Pojawili się jacyś ważniacy z dyrektoriatu. Gavin jest na specjalnym posiedzeniu, a obcy mają zakaz wchodzenia do miasta.

Jego słowa przekłuły balon nadziei, którą troskliwie pielęgnowałam.

– Zakaz? – szepnęłam.

Jag ścisnął mi rękę. Stłumiłam jęk bólu. Szczęśliwie, w miarę jak przyzwyczajałam się do techniki, mój wzrok nabierał ostrości, ale do ciała, bolał mnie nadgarstek z lokalizatorem, który Jag zgniatał niczym w imadle.

– Musimy się z nią zobaczyć – powtórzył. Strach zniknął. – Zaprowadźcie nas do niej. – Jego głos mógł wydawać rozkazy armiom. Umysł Marka zmienił się w papkę.

– Oczywiście. Powinna wrócić przed lunchem. Chodźmy. – Zrobiłby wszystko, cokolwiek Jag mu mówił. Do diabła, sama zaprowadziłabym Jaga do Gavin.

Bracia ruszyli w stronę zagajnika. Jag schylił się po swój plecak

i wymieniliśmy spojrzenia. Nie podobało mi się to, co zobaczyłam na jego twarzy: niepokój.

Dogoniliśmy rangerów. Jag zaczął z nimi gawędzić na różne błahe tematy. Ja szłam w milczeniu. W żołądku rozrastał mi się kłęb trwogi.

Słońce wyjrzało zza horyzontu i pierwsze promienie zaczęły szczypać moją gojącą się, ale nadal poparzoną twarz. Zagajnik ustąpił miejsca potężnym drzewom. Były ogromne i mam na myśli ten rodzaj ogromnych drzew, które sięgają tak wysoko, że nie widać wierzchołków.

W Dobrych Ziemiach, zwłaszcza w Wodnym Mieście, gdzie rosną jedyne lasy, krążyły legendy o wielkich drzewach. Dawna ziemia i niegdyśjsze puszcze były ponoć siedliskiem mocy przewyższającej naszą technikę. Idąc wśród starych drzew, miałam uczucie spokoju i podziwu, zupełnie, jakby mnie rozumiały.

– ...tak, a to dobre! – Śmiech Jaga przeniknął do moich myśli, sprawiając, że moje obawy zaczęły pierzchać.

Kiedy wyszliśmy z lasu, rangerzy skierowali się w stronę małego nabrzeża, gdzie czekała barka.

Wyższy z mężczyzn, Mark, wyciągnął coś z torby i sprawdził. Po raz pierwszy uważnie przyjrzałam się braciom. Obaj mieli błękitne oczy i bujne, sięgające do ramion miedziane kędziory. Jag ze swoimi farbowanymi na czarno, nastroszonymi włosami wyglądał przy nich jak kompletne dziwadło.

– Ostatnio nie widywaliśmy Gavin zbyt często – powiedział Jake.
– Nawet zanim zjawili się Ci-Od-Myślenia.

– Och? – zainteresował się Jag. – A dlaczego? – W jego głosie dźwięczał przymus.

– Woli spędzać czas ze swoją paczką, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Jag rzucił mi szybkie spojrzenie.

– Chyba nie bardzo.

A jeśli on nie rozumiał, to ja byłam kompletnie ciemna. Jake próbował nam coś powiedzieć, coś ważnego.

– Znasz rangerów – odezwał się Mark. – Lubią trzymać się we własnym gronie.

– A wy rangerzy umysłu jesteście wyjątkowo hermetyczni – dodał Jake, obdarzając znaczącym uśmiechem Jaga, a potem mnie.

Utknęłam przy słowach „rangerzy umysłu”. Czyżby Jag był rangerem? A jeśli tak, to znaczy, że ja też?

– Wcale nie jesteśmy hermetyczni – odparł Jag, potwierdzając swój status rangera umysłu. Minęło kilka sekund, zanim rzeczywistość dotarła do mojej świadomości. Zakorzeniła się.

Jestem rangerem umysłu.

Nic dziwnego, że tata tak bardzo chciał mnie dopaść.

Dobrze się czujesz? – zapytał Mark, spoglądając na mnie. Uświadomiłam sobie, że z gardła wydobywa mi się jakiś zdławiony dźwięk.

Skinęłam głową, chociaż nadal nie mogłam głęboko zaczerpnąć tchu. Gdybym nie zdołała przedostać się do Przymorza i otrzymać tam azylu, cóż, lepiej nawet nie myśleć, jaki los mógłby mnie spotkać.

Jag powiedział coś, co nie przedarło się do moich uszu. Chciałam wszystko z siebie wyrzucić, żeby nie dać się osaczyć panice, ale nie potrafiłam należycie zarządzić słowami.

Kiedy podniosłam wzrok, staliśmy na nabrzeżu tylko we dwoje. Jake i Mark trudzili się na pokładzie. Nie wiedząc, czy jego umysł odbiera moje słowa albo przynajmniej uczucia – chociaż wyczuwał tak wiele, może sercem? – spróbowałam wyjaśnić Jagowi przyczyny mojego strachu.

– Nic się nie martw, dziecinko – szepnął. – Znam Gavin. Dostaniemy się tam.

– A jeśli nie dasz rady? – Czułam się jak sześciolatka, która potrzebuje zapewnień, że tak czy inaczej wszystko dobrze się skończy. Że będę bezpieczna.

Jag delikatnie pociągnął mnie w stronę barki. Jego wątpliwości wyrażało milczenie.

– Pozwól, że pogadam z nimi sam na sam. – Zanim się oddalił, wskazał mi schodki prowadzące pod pokład. – Powinnaś ukryć się na dole. Zwykły środek ostrożności.

Środek ostrożności. Akurat. Jednak kiedy Jake odcumował łódź i przyłączył się do Jaga i Marka, którzy stali na dziobie, wślizgnęłam się do ładowni. Było tu wilgotno i smrodliwie. Technika wypełniała każdy kącik, każdą szczelinę. Rangersi nie żartowali. Dobrze, że

choć wszystkie technourządzenia nie były jeszcze aktywowane. Wiłabym się na podłodze, oślepiona.

Kołysanie barki uspokoiło mnie. Kilka minut później po schodkach zwłókł się Jag. Miał twarz w odcieniu zielonkawym.

– Co się stało?

– Niedobrze mi – wykrztusił. – Ta woda... się rusza. Staralam się nie śmiać (owszem, bez skutku), kiedy Jag zgiął się wpół i wymiotował do wiadra.

– Nigdy nie byłeś na łodzi?

– Nie.

– Przypomina lot poduszkopterem, prawda? Podobnie płynie się w powietrzu.

– Kompletnie inaczej – wystękał. – Poza tym nie pomagasz mi.

– Przepraszam. – Poklepałam go po plecach, kiedy pozbył się kolejnej porcji wczorajszego lunchu.

– Jak się czujesz?! – krzyknął z pokładu Mark. – Mamy tu plastry przeciw chorobie morskiej.

– Już idę. – Jag jęknął i zachwiał się, odwracając. Nadal kurczowo trzymał wiadro. – Mark sądzi, że możemy cię wkreślić na spotkanie z Gavin. – Otarł usta. – Już moja w tym głowa. – Po czym wymknął się schodkami na górę.

Jasne, jego w tym głowa. Jak miałam przestać się denerwować, skoro groziło mi, że nadal będę zbiegiem? Zwłaszcza gdy w mieście czaił się mój ojciec, czyhając na pierwszą nadarzającą się okazję, żeby mnie dopaść i aresztować. Przynajmniej tyle dobrego, że teraz nie czułam go nigdzie w pobliżu.

Przybiliśmy do portu. Staralam się być niewidoczna, podążając za braćmi ruchliwą główną ulicą, wzdłuż której ciągnęły się domy z cegły, stali i kamienia. Były naprawdę stare, wzniesione bez użycia naszej techniki.

Gapiałam się na te pradawne budowle, urzeczona niepowtarzalną urodą każdego z nich.

Minąwszy szklane obrotowe drzwi, znaleźliśmy się w najwyższym budynku na wyspie. Jag mocno ścisnął mnie za rękę, kiedy szliśmy przez hol do rzędu wchodni. Jake i Mark wkroczyli do kręgu

i zniknęli we wznoszącym się błysku światła.

Wspaniale. Nienawidziłam wchodni niemal tak samo jak dużych wysokości. Dają niezbyt delikatnego kopa w górę. Zwykle jest dość czasu, żeby wasze molekuły wyparowały, zanim rozkwasa się o sufit. Zwykle.

W holu unosił się szmer fontanny i pustej paplaniny. Wsunęłam rękę w krąg, gdzie zniknęli bracia. Wchodnia wibrowała mocą, dostarczając moim kościom energię i rozgrzewając do białości lokalizator pod skórą.

Jag wciągnął mnie do kręgu, po czym zakomenderował:

– Hol, szesnaste piętro.

Znaleźliśmy się w poczekalni z wyściełanymi krzesłami. Długa kanapa oddzielała biurko od szeregu drzwi. Na ścianach wisiały starodawne obrazy, namalowane farbami, a nie wytworzone komputerowo. Jag położył plecak na kanapie.

– Pozwól, że pogadam z Gavin pierwszy. – Odwrócił się do Marka i Jake'a. – Prowadźcie, chłopaki.

Posadził mnie na kanapie, koło swojego plecaka, i zostawił. Żebym czekała. Czekanie też nie jest moją mocną stroną. Nigdy w życiu nie czułam się taka bezradna i samotna.

Po godzinie, która wydawała mi się wiecznością, za pomocą srebrnej kostki przygotowałam sobie coś do jedzenia. Wyczerpana wysiłkiem, jakim był każdy kolejny oddech, przetrwanie każdej kolejnej minuty, położyłam się na kanapie.

Obudziły mnie dwa niskie męskie głosy. Ktoś dotknął mojej opiętej rękawicą dłoni z przyczepiakiem. To wrócili bracia.

– Słodka fryzura. – Mark omiół mnie spojrzeniem od stóp do głów. Nie podobał mi się jego szacujący wzrok.

– Gdzie jest Jag? – w moim głosie zadźwięczała odwaga, której wcale nie czułam.

– Nadal czeka na Gavin – odparł Jake.

– Mogę poczekać razem z nim?

Bracia wzruszyli ramionami, po czym poprowadzili mnie korytarzem do kolejnego pomieszczenia z niebieską kanapą i wyściełanymi krzesłami. Jag przemierzał pokój tam i z powrotem,

nie odrywając wzroku od podłogi. Mruczał coś pod nosem i nawet nie zauważył, że weszliśmy.

– Hej, chłopie – odezwał się Mark. – Ona chce czekać z tobą.

Spojrzenie Jaga pomknęło ku mnie, ale wyraz jego twarzy nie uległ żadnej zmianie.

– W porządku. Może tu zostać – zabrzmiało to tak, jakbym nie mogła obchodzić go mniej.

Zaczekałam, aż bracia wyjdą, po czym dotknęłam jego ramienia.

– Jag? Co się dzieje?

Kąciki ust odrobinę mu się uniosły, ale zaraz powróciły do pierwotnej pozycji.

– Nic. Nic – powiedział bardziej do siebie niż do mnie.

– Akurat. Zawsze tak krążysz, jak jesteś zdenerwowany.

– Nie jestem zdenerwowany. Tylko zaniepokojony.

Z wielkim trudem powstrzymałam się, żeby nie przewrócić oczami.

– Okej, niech będzie. Nigdy nie widziałam cię tak zaniepokojonego. – Kiedy to powiedziałam, też poczułam się zaniepokojona.

– Nic mi nie jest – warknął.

– Jag? Gavin cię oczekuje.

Na dźwięk tych upojnych słów znikła we mnie chęć, by nim potrząsnąć.

Mężczyzna, który je wymówił, szerokim gestem wskazał drzwi. Jednak ręka mu zamarła, gdy jego spojrzenie padło na mnie.

– Och, dzień dobry. Przykro mi, ale dzisiaj nie mamy przyjęć.

Byłam ciekawa, jak moje imię zabrzmiałoby w jego ustach. Mówił głosem wyrobionym, bardzo opanowanym, spokojnym i potoczystym niczym piaszczyste diuny, które znienawidziłam przez ostatnie dwa tygodnie. Z jego włosów wyprano wszelki kolor, ale stroszył je w ten sam sposób co ja.

– Ona jest ze mną – powiedział Jag. – Pospiesz się, Vi. Ale ja stałam, jakbym wrosła w ziemię, gapiąc się na Tego-Od-Myślenia. Kiedy Jag wypowiedział moje imię, facet otworzył szerzej oczy. Zdziwienie – może niedowierzanie? – zabarwiło mu rumieńcem

policzki.

– Chodź. – Jag chwycił moją dłoń i przeciągnął mnie obok człowieka, który mógł nas wydać.

Kim jest ten facet? – Potykałam się, spiesząc za Jagiem i jednocześnie próbując wyrwać rękę z jego uścisku.

– Dlaczego pytasz? Coś ci się w nim podoba? Zamrugałam.

– To Ten-Od-Myślenia.

– Jasne, że tak. To wiceradca Haws.

– Myślałam, że nie współpracujemy z Tymi-Od-Myślenia.

Jag maszerował korytarzem z maksymalną prędkością.

– Z niektórymi współpracujemy, to oczywiste. Podbiegłam, żeby za nim nadążyć.

– Możesz trochę zwolnić? I przestań się na mnie wyżywać.

Zatrzymał się nagle, a ja nadziałam się na jego wyciągniętą rękę.

– Pozwól, że ja będę mówił. – Odwrócił się i pchnął drzwi, których przedtem nie zauważyłam.

Gdy rozcierałam zebra, Jag zajął jeden z olbrzymich foteli. Założył nogę na nogę i rozparł się wygodnie, jakby spodziewał się towarzystwa, które nie było go godne. Tylko raz widziałam, żeby tak wyglądał – tuż przed swoją małą pogawędką z Zennem. Uniósł brwi i ruchem ręki wskazał mi fotel obok siebie. Jego spojrzenie mówiło: Do diabła, siadaj, zanim ona tu wejdzie. Nie rób mi wstydu, nie odzywaj się, po prostu nie bądź sobą, Violet.

Usiadłam z mocnym postanowieniem, że będę trzymać buzię na kłódkę. Że mu pokażę.

– Jag! – Ukrytymi drzwiami w pobliżu biurka weszła młoda kobieta, ale jedyne, co zobaczyłam, to dwa długie pasma włosów, ufarbowane na purpurowo. Natychmiast poczułam przypływ fryzurozazdrości.

Nowo przybyła podbiegła do Jaga z nerwową energią i szczęściem na twarzy.

– Gdzie jest Pace? Kiedy się pojawi?

– Cześć, Gavin. Niedługo. Miejmy nadzieję, że dziś. – Jag uśmiechnął się i wstał, żeby ją uściskać. Miał nad nią kilka centymetrów przewagi, a ona zapewne była o parę lat od niego starsza.

Palce Gavin przesuwaly się po jego koszuli, jakby materiał wymagał wygładzenia i należało wszędzie dotknąć, żeby go poprawić. Pochyliła się i pociągnęła nosem. Jej twarz znalazła się tuż przy jego szyi.

– Ach, mój żel – powiedziała. – Ładnie na tobie pachnie.

Jag uśmiechnął się szeroko. Zbliżył się jeszcze o krok, ich kolana niemal się zetknęły. Teraz zapłonęła we mnie zazdrość innego rodzaju, gorąca i gwałtowna.

– Przyprowadziłem moją przyjaciółkę, żeby cię poznała. – Cofnął się i skinął na mnie ręką.

Wstałam z wahaniem.

Gavin emanowała tą samą żartobliwą powagą co Jag, czymś intrygującym, ukrytym pod powierzchnią.

– Posłuchaj. Sprawy są nadal nieuregulowane. Nie mogę... – Przerwała, spojrzawszy na mnie i mój widok jakby odebrał jej mowę.

– Gavin, musisz znaleźć jakiś sposób. To jest Vi. Pamiętając o dobrych manierach, wyciągnęłam rękę.

– Cześć.

Twarc Gavin pobladła, wzrok skamieniał, uśmiech zniknął z ust.

– Vi? – powtórzyła, a jej oczy rzucały szybkie spojrzenia to na mnie, to na Jaga. – Ta Vi?

Zaimki „ten” albo „ta” automatycznie podnoszą waszą pozycję. Właśnie ten, a nie jakikolwiek. Konkretnie ten prezydent, konkretnie ten dyrektor. Pomyślcie o tym. Nie byłoby tak samo, gdyby chodziło o jakąkolwiek Vi. Poczułam, że nadszedł dla mnie bardzo konkretny koniec, bo jednak „ta Vi” najwyraźniej nie wróżyła niczego dobrego.

– Gavin – ostrzegł Jag. – Nie musimy jej denerwować. Zirytowana, że ukrył coś, co mogłoby mnie zdenerwować, warknęłam:

– Za późno. Oto wkurzona Vi. – Ręka zawisła mi w górze.

Zrobiłam wymach.

I Gavin ją pochwycił.

Mój umysł zastygł w bezruchu.

Powieki Gavin opadły, ramiona się skuliły. Minęło kilka sekund. Płuca błagały o powietrze.

– Och! – Uścisk na mojej ręce zelżał, podobnie jak kontrola nad moim umysłem.

Gavin wyglądała, jakby miała zemdleć. Jag posadził ją w swoim fotelu.

Nie pojmowałam, co się stało. Z trudem łapałam oddech. Żołądek podchodził mi do gardła.

– Chodźmy. Ona musi dość do siebie. – Jag położył mi rękę na ramieniu, kierując mnie w stronę drzwi.

Zatrzymałam się, bo coś wyczułam.

– Nie. Nigdzie nie idę. – Podeszłam bliżej, wspomnienia się nasiliły. Gavin myślała o różowym urodzinowym torcie z purpurowym lukrem.

– To moje wspomnienia – powiedziałam. – Ukradłaś mi je? – To były moje ukochane urodzinowe wspomnienia, tak intensywne, że zaledwie kilka dni temu odtworzyłam swój różowy tort. Nie miała prawa mi ich odbierać. – Ukradłaś?

– Nie, Vi – odparła. – Nadal je masz. Zawsze będziesz je miała.

– Więc dlaczego ty też je masz?

– Te same wspomnienia – szepnęła. – Inna osoba.

– Co? – zapytałam. Miałam mętlik w głowie, więc zwróciłam się do Jaga po wyjaśnienie.

– Nie ma takiej możliwości. – Pokręcił głową. – Po prostu nie ma!

– Ukląkł przed Gavin i przez chwilę badawczo wpatrywał się w jej twarz. – A niech to! – wyszeptał. Ale było to pozytywne „a niech to”.

Wstał i się odsunął.

– Lepiej jej powiedz. Bo za chwilę weźmie się do bicia, a ja nie cierpię być workiem treningowym.

Gavin wzięła głęboki oddech, a potem powoli wypuściła powietrze.

– Violet Schoenfeld. Zawsze wiedziałam, że znów cię zobaczę.

Wyglądasz super, siostrzyczko. Bardzo mi się podoba twoja fryzura. Jest dziwna, ale tobie pasuje.

Gapiałam się na dziewczynę z fantastycznymi włosami i błyszczącymi oczami.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy odeszłam? Obie ryczałyśmy jak dzidzie. – Mój ulubiony uśmiech wygiął w łuk jej wargi.

Słowa walczyły, żeby się wyrwać, ale głos zamarł mi w piersi. Płuca przestały funkcjonować. Pokój wirował przed oczami. W końcu Jag użył mocy swojego głosu, żeby skłonić mnie do oddychania.

Tyson?

Niemożliwe. Ale jej oczy... Tyson nie żyje.

Zawsze w to wierzyłam. Zawsze.

Obraz przed oczami zaczął mi się rozmazywać. Głos Jaga słabł i oddalał się, aż wreszcie nie było już niczego.

Ani starszej siostry, którą straciłam na trzy lata, osiem miesięcy i trzysta dni.

Ani chłopaka, który mnie kochał i połączył z kimś, za kim najbardziej tęskniłam.

Tylko ciemność i ja, sama ze sobą.

Kiedy jestem sama, lubię fantazjować, jak mogłoby wyglądać życie, gdyby nasza rodzina była nadal w komplecie. Czy mama gotowałaby wymyślne posiłki, czy i tak sama musiałabym sobie szykować beznadziejne pieczone ziemniaki?

Czy Ty pomagałaby mi w szkole, a potem dostałabym porządną pracę, czy i tak skończyłabym w beznadziejnym wydziale alg?

Czy zależałabym od Zenna tak bardzo, żeby go pokochać, czy i tak zakochałabym się w nim, zanim obiecał mi wspólne życie?

Nie wiedziałam.

Tata mówił, że powinnam nauczyć się zadowalać tym, co mi dano, ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić. Bo chciałam więcej.

Serce chyba przestało mi bić. Nie mogę złapać dość powietrza.

– Jag, chłopie, odetchnij. – Ktoś dotyka moich pleców.

Podnoszę wzrok na twarz Pace'a. Jego przenikliwe srebrzyste oczy odrobinę łagodzą napięcie w płucach.

– Współczuję ci, bracie – mówi.

– Nie współczuj – wykrztuszam.

Zerka przez ramię. Gavin stoi przy drzwiach. Musiała wszystko widzieć. I zdecydowała, że mi nie powie.

Blaze... umarł... Zenn... wypadek... Słowa brata torturują mnie. Fakt, że już nigdy nie zobaczę Blaze'a, rani do żywego. Na równi ze świadomością, że Zenn – przez dwa lata mój najlepszy przyjaciel, najbardziej niezawodny wtajemniczony – jest w to zamieszany, a ja nie mogę stanąć z podniesioną głową.

Prostuję ramiona, pełen determinacji, żeby się nie załamać.

– Okej, więc co teraz?

Pace chrząka. Przymykam powieki, żeby nie patrzeć na troskę w jego oczach.

– Gavin coś widziała. Potrzebujemy, żebyś wrócił do Dobrych Ziemi.

– Co?

Gavin zbliża się powoli. Chciałbym przytulić się i płakać. Zawsze w chwilach rozsypani potrafiła pomóc mi się pozbierać. Ale teraz boję się jej dotknąć. Jednocześnie pragnę chwycić w obie dłonie jej twarz, wtargnąć do jej umysłu i zobaczyć, w jaki sposób umarł mój brat.

– Nie umiem dokładnie powiedzieć, o co chodzi. Sądzę, że o jakąś osobę – mówi słabym głosem. – Kimkolwiek jest, przechyli szalę. Albo na naszą korzyść, albo przeciwko nam. Musisz ją znaleźć. I to szybko.

Biorę głęboki oddech. Czuję, jak powietrze z drzeniem przepływa przez moją pierś. Właśnie mam powiedzieć, że mogę przekazać dowództwo swojemu zastępcy, kiedy Gavin mnie obejmuje. To zaproszenie, żebym zobaczył wszystko na własne oczy.

Czerwone światło pulsuje w ciemnej przestrzeni. Migocząca iluminacja ożywia wysokie budynki. Co sekundę ostre błyski wydobywają z mroku twarz Zenna. Jego oczy są zacięte, zdeterminowane, przerażone.

– Blaze – mówi. – Nie możesz. Idąc tam, narażasz cały Ruch Oporu.

– Thane mnie nie zauważy. – Blaze poklepuje Zenna po ramieniu w swój typowy sposób, jakby mówił wiem co robię. Wiele bym dał, żeby jeszcze raz samemu to poczuć.

– A jeśli zauważy? Jak zamierzasz wyjaśnić mu fakt, że wiceradca Przymorza ewakuuje Wtajemniczonych?

– Już o to się nie martw, Z. – Blaze sprawia wrażenie, jakby zaraz miał się roześmiać.

Zenn tego nie kupuje. Usta zaciskają mu się w twardą linię.

– Zostań – rzuca rozkazującym tonem.

Ciemność pulsuje. W chwilach, gdy świat się rozjaśnia, widzę, że oczy mojego brata są szkliste. Stoi jak skamieniały.

– Zdobędę kod zabezpieczający i spotkamy się tutaj. – Głos Zenna jest potężny, obdarzony mocą kontroli. Blaze nieznacznie kiwa głową.

Patrzę, jak Zenn go opuszcza. Zostawia go tam, w jakimś zaułku. Wyją syreny.

Czerwone światło podwaja się. Potem potraja. Szczekają psy.

– Uciekaj! – wołam, wbijając paznokcie w plecy Gavin. Niejasno dociera do mnie jej okrzyk bólu. Ale teraz nie potrafię przestać. Blaze jest nadal w tamtym zaułku. Nadal w niebezpieczeństwie.

I nie może się ruszyć. Bo Zenn kazał mu tam zostać. Wizja zanika. Ręce bolą mnie od zaciskania. W moim sercu tłucze się gniew.

– Jag? – Gavin wyciera mi twarz. Jej palce wilgotnieją. Patrzę na nie, zdziwiony własnymi łzami. Nie potrafię zdecydować, czy tak bardzo cierpię, dlatego że Blaze zginął w jakimś nieznanym zaułku Wolności, czy dlatego, że Zenn dopuścił do jego śmierci.

A może przede wszystkim dlatego, że to ja ich obu tam posłałem?

– Jest nadal twoim bratem – szepcze Gavin. Jej słowa i oddech sprawiają, że dostaję na rękach gęziej skórki. Zastanawiam się, kogo Gavin ma na myśli – Blaze'a czy Zenna?

Masz ochotę na śniadanie? – Z technocommu rozległ się głos mojej siostry. Usiadłam na łóżku. Serce waliło mi jak młotem. Ciągle jeszcze słyszałam Zenna. Cudze emocje powlekały mi nerwy.

Obok mnie przecierał oczy Jag.

– Tak, jasne. Muszę tylko wziąć prysznic.

– Okej. Vi już się obudziła?

– A nie ma jej u siebie w pokoju? – zapytał Jag, przykładając palec do ust. Uśmiechnęłam się na widok poczucia winy, które malowało mu się na twarzy.

– To właśnie jest jej pokój.

Jag roześmiał się, jakby został przyłapany, hm... w sypialni swojej dziewczyny.

– Och, nie, Vi jeszcze się nie obudziła.

– Jag, spałeś u niej na kanapie przez całą noc? – W głosie Ty brzmiała nuta rozbawienia.

Coś w tym stylu, pomyślałam, kiedy zerknął na kanapę stojącą naprzeciwko rozsuwanych szklanych drzwi. Skotłowane koce wskazywały, że faktycznie wcześniej tam spał.

– Tak, raczej tak.

– Wiedziałaś, że tak zrobisz. Czy ona się budziła?

– Nie, ani razu – odparł.

– Dobrze, więc obudź ją teraz, jeśli zdołasz. Nie może dziś znów przespać całego dnia.

– Spróbuję – odparł z łobuzerskim uśmiechem. Kiedy z technocommu dobiegło pikanie sygnału, otoczył mnie ramionami, pocałował i zwichrzył włosy.

– Jag. – Jego imię wzięło mi w gardle. – Nie powinniśmy już iść na śniadanie?

– Nie – wymamrotał, wodząc wargami po mojej szyi. – Nic się nie martw, ja biorę naprawdę długie prysznic. A poza tym muszę spróbować cię dobudzić, co też zajmie mnóstwo czasu.

Usiłowałam się rozeźmiać, ale nie mogłam złapać tchu, a Jag swoim seksownym, władczym głosem mruzczał różne piękne słowa.

– Nic nie mów – szepnęłam. Na chwilę zamilkł, po czym oznajmił, że nie potrafi się powstrzymać od powtarzania mi, jaka jestem śliczna i jak lubi wymawiać moje imię. Muszę przyznać, że słuchałam go z przyjemnością. – Więc... spałeś na kanapie – powiedziałam, w końcu odpychając go od siebie.

– Taak. Miałem ten zaszczyt – odparł. – Ale dręczyły cię jakieś koszmary. Nie mogłaś się uspokoić. Więc trzymałem cię w objęciach, dopóki nie przestałaś się trząść.

Znienacka ogarnął mnie strach. Te koszmary były moim snem czy jego?

– Dzięki, no wiesz... za wszystko. Jag odgarnął mi włosy od twarzy.

– Nie bój się. Nie mówiłaś nic, czego musiałabyś się wstydzić.

Rozeźmiałam się, zadowolona (choć raz), że on zawsze wie, co powiedzieć, by poprawić mi samopoczucie.

– Lubię, kiedy jesteś szczęśliwa – oznajmił. Zwinęłam się w kłębek, wtulona w jego pierś.

– Kiedy jestem z tobą, jestem szczęśliwa.

– Wiem.

– A czego nie wiesz? Zachichotał.

– Niewielu rzeczy, moja śliczna. Niewielu.

Ale o mnie wiedział wszystko. Znał mnie lepiej niż ktokolwiek na świecie. Lepiej niż Ty i Zenn, i czasami nawet lepiej niż ja znałam sama siebie.

Uniosłam ku niemu głowę, a on oparł swoje czoło o moje.

– Mówię poważnie, Vi. Bez ciebie umrę. Naprawdę jesteś moim dławicielem. Nigdy nie czułem się tak bardzo wypełniony.

Moje życie zawsze było puste. Uważałam, że to z powodu zniknięcia taty albo śmierci Ty albo dlatego, że mam okropną matkę. A chodziło o coś innego. Po prostu nie było przy mnie Jaga. Czy

powiedziałam mu o tym? Nie.

Ale sądzę, że i tak wiedział.

Jag zszedł na dół, kiedy rozmyślałam pod prysznicem. Tyle się wydarzyło. Spotkałam siostrę, straciłam przytomność, a potem spałam przez dwadzieścia godzin. Nie tak wyobrażałam sobie rozwój wypadków w Przymorzu. Co miałam powiedzieć Ty? Zastanawiałam się, czy naprawdę było jej tak trudno się ze mną skontaktować. Wystarczyłby jeden e-comm albo prosta projekcja. Jako ranger mogła znaleźć sposób.

Spięta, otworzyłam drzwi sypialni. Z dołu sączył się głos Jaga.

– ...widziane dawno temu. On już nie będzie w stanie mnie kontrolować.

– Ale, Jag, o ile mi wiadomo, Thane nie da za wygraną. A teraz ty i Vi... – Resztę słów zagłuszył warkot maszyny. Jag znowu coś powiedział, cicho i gniewnie. Zastygłam, czekając na odpowiedź Tyson. Jej wyższy głos lepiej niósł się w górę schodów. – Martwię się o ciebie. Może mogłabym...

– Powiedziałem, przestań. – Tym razem mówił głośniej. – Posłuchaj, wiem, co trzeba zrobić. Jedyne, czego Vi potrzebuje, to pozbyć się lokalizatora. Pójdę po nią.

Tupiąc, pokonałam ostatnie cztery stopnie i skręciłam za róg.

– Na mnie czekacie?

Jag gwałtownie odsunął się od Ty, która była bliska łez. Otarła oczy wierzchem dłoni i nalała sobie do szklanki różowego płynu.

Zanim zdążyłam otworzyć usta, Jag stanął przede mną i ujął moją twarz w obie ręce.

– Nie przejmuj się, dziecinko. Wszystko będzie dobrze.

Przymknawszy oczy, lekko skinęłam głową, a potem cofnęłam się, na pół świadoma, że jego głos znowu mną steruje. Ale czułam się zbyt zmęczona, żeby zaprotestować. Mój mózg wypełniały myśli, emocje, przypadkowe wspomnienia i życzenia. Bez ładu i składu.

Jag zaprowadził mnie do stołu, gdzie podano truskawkowe i cynamonowe tosty. Nalał mi soku z pomarańczy, załadował do pełna talerz, a potem usiadł obok i patrzył, jak jem. Tyson pozostała na swoim miejscu, popijając mleczny koktajl.

Z każdym kęsem moje napięcie rosło. Jag kilka razy na nią zerkał. Zanim powracał spojrzeniem do mnie, jego oczy zwięzały się na chwilę. Cisza była tak przytłaczająca, że w końcu nie potrafiłam jej dłużej znieść.

– Powiedz, Ty, mogę tu zostać?

– Teraz nazywam się Gavin. Chciałam mieć takie imię, żeby zawierało twoje zdrobnienie. Niezłe, co? – Posłała mi szeroki uśmiech, jakby nie minęło tyle czasu. Jakby jej rozmowa z Jagiem w ogóle się nie odbyła. Ale działo się coś ważnego. Coś, co oboje chcieli przede mną ukryć. I żaden uśmiech – nawet Tyson – niczego nie mógł tu zmienić.

– Jak miło – odparłam. – Zrobiłaś to, żeby o mnie pamiętać? Bo ja nie miałam od ciebie wiadomości przez ponad trzy lata.

Jej uśmiech zbladł. W oczach mignął wyraz skruchy. Ty zrobiła krok w moją stronę.

– Wiem, kochanie, ale nie mogłam. Mama musiała wierzyć, że naprawdę umarłam.

– Co? Dlaczego?

Jag wstał, żeby wyjść. Rzuciłam mu wściekłe spojrzenie, które mówiło: ani mi się waż.

– Muszę wziąć książkę. Za moment jestem z powrotem.

Kiedy tylko zniknął za drzwiami, Ty podbiegła do mnie.

– Zdejmujemy lokalizator. – Złapała mnie za nadgarstek i dała znak komuś z tyłu. Wszedł Mark Kellogg, niosąc czarny marker.

– Nie – jęknęłam, rozpoznając chirurgiczną powłokę. Usiłowałam wyszarpnąć rękę, ale uścisk Ty był zbyt mocny.

– Nie ma rady i tak zaboli, ale mniej, jeśli wytrzymasz bez ruchu – powiedziała. – Nie bój się. Mark jest najlepszy.

Najlepszy w czym?

Przycisnęła mi lewą rękę do blatu. Wprawnie niczym lekarz, starszy z braci Kelloggów przeciągnął markerem wokół mojego nadgarstka. Kiedy skóra się rozpuszczała, z całej siły zaciskałam powieki i tłukłam stopą w podłogę.

– Zaawansowany model – stwierdził Mark. Miał głęboki, wspaniały głos. – Ale to żaden problem – dodał, napotkawszy moje

zaskoczone spojrzenie. – Są tylko trochę ulepszone, to wszystko. – Wydobył jakiś technoprzyrząd, wyglądający jak podrasowany obcinacz do paznokci. Pomiedzy ostrzami przeskakiwała błękitna iskra. Nożyce z elektrowstrząsami. Zamierzał mnie tym kroić?

– Jasna cholera – szepnęłam. To dopiero miało zabość. Okropnie. Zacisnęłam zęby.

– Wszystko w porządku, Vi – odezwał się Mark. – Jake, powiedz jej.

Podniosłam spojrzenie i zobaczyłam, że Jake uważnie mi się przygląda.

– Gavin pewnie zobaczyła, jak to się skończy. A ona nigdy się nie myli.

Na twarzy mojej siostry pojawił się lekki rumieniec.

– Dzięki, Jake.

– Gotowa? – zapytał Mark. – Obiecuję, że wszystko będzie dobrze.

– Wierzyłam mu. Był taki spokojny, opanowany.

Skinęłam głową. Kellogg wraził nożyce w mój nadgarstek i ciął obok malutkiego supełka. Zaiskrzył ładunek techniki, przypiekając punkt zapalny w mojej piersi. W całej kuchni rozległ się metaliczny szcęk i zanim oślepiła mnie technika, ujrzałam, jak lokalizator spada prosto w rękę Jake'a.

– Prześliczny. Solidna dobroziemska robota. Lokalizator, palce lizać. Natychmiast się do niego zabieram. – Z głosu młodszego z braci emanowało podniecenie, na pewno widoczne również na twarzy.

Po chwili ucichły pospieszne kroki dwóch par stóp. Ty westchnęła. Kiedy wzrok zaczął mi się wyostreć, podała mi szklanę mętnej wody.

– Wypij.

Roztwór smakował jak zjełczale witaminy, ale jakoś go przełknęłam.

– Co to takiego? – Zauważyłam, że ból w rękę już zanika.

– Regenerator skóry. Przepraszam, ale chłopcy mieli go tylko w postaci proszku. Pewnie w Dobrych Ziemiach dostałaś zastrzyk, prawda?

– Uwierz mi, wolę pić to paskudztwo nawet codziennie, byle nie

dostawać zastrzyków.

Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. Ten dźwięk obudził szczęśliwe wspomnienia. Ty zabandażowała mi nadgarstek, a potem przyciągnęła mnie do siebie i przytuliła. Odprężyłam się w jej objęciach. Wczepiona w nią kurczowo, starałam się nie rozpłakać.

– Vi, tak się cieszę, że tu jesteś. Naprawdę. Zostaniesz?

Głęboko wciągnęłam powietrze, czując znajomy zapach kawy z brązowym cukrem.

– Mogę? Zostać tutaj z tobą? Uśmiechnęła się. Jakby była moją matką.

– Wczoraj wypełniłam za ciebie podanie. I antydatowałam na zeszły tydzień. Podanie Jaga też. – Wpatrywała się we mnie uważnie, jakby oczekiwała, że zacznę wywnętrzać się na temat Jaga. O, co to, to nie.

– Świetnie. Tylko czy z tygodniowym poślizgiem zostaną przyjęte?

– Tego rodzaju sprawy toczą się bardzo powoli, więc nie sędzę, żeby ktoś zauważył opóźnienie. Zwłaszcza po wydarzeniach minionego tygodnia. – Ty nie wydawała się zmartwiona. Nie wyglądało, żeby się czymś niepokoiła. Podtrzymywała mnie na duchu w taki sam sposób jak dawniej: swoją pewnością siebie. – Jag się zgadza.

– Jaki masz talent? – zapytałam, starając się odwieść ją od tematu Jaga.

– Przeczucia. – Podciągnęła się i usiadła na blacie. Miała na sobie czarne buty na miękkich podeszwach i jaskraworóżowe skarpetki. Cała Tyson. – Widzę różne rzeczy. Zwykle przyszłość. Ale zdarza się, że również przeszłość, tak jak to było z tobą. A czasem po prostu to, co ludzi uszczęśliwia albo unieszczęśliwia. Decyzje, które powinni podjąć, żeby ich życie stało się lepsze. Albo nic istotnego. Pracuję, pomagając ludziom w Przymorzu wyraźniej widzieć.

– Brzmi super. – I rzeczywiście tak było. Zerknęłam w stronę schodów z nadzieją, że zobaczę Jaga. Na podeście stali obaj bracia i patrzyli na mnie. Jake się uśmiechnął. Odruchowo odpowiedziałam mu tym samym. Zaniepokojona, odwróciłam się z powrotem do Ty.

– Nie przejmuj się nimi – powiedziała. – Są różne poziomy kontroli za pomocą umysłu. Pomogę ci się rozwinąć. Jeśli zostaniesz, będziesz mogła używać swojego daru dla innych. W ten sposób zdołamy cię ochronić.

– Co masz na myśli?

– Nie wolno ci ignorować talentu. Musisz go używać. Ale radca może złożyć do dyrektoriatu wnioski, żebyś używała daru kontroli, tak jak ja to robię, wyłącznie do pomocy. Nie sterując ludźmi za bardzo. Wtedy nie trafisz do Wolności i nie będziesz musiała przejść szkolenia na dyrektora. Dobre rozwiązanie? Czy nie tego właśnie ci potrzeba?

To prawda. Jednak Zenn też mnie potrzebował. Nie mogłam go opuścić. Potarłam dłoń, okrytą rękawicą.

– Tak, ale Mark mówił, że ostatnio źle się u was dzieje.

Tyson machnęła ręką.

– Nic się nie martw. Tata nie może się tu zjawić. – Nie potrafiłam stwierdzić, czy kłamie. – Co z tą rękawicą? – zapytała, zmieniając temat rozmowy równie łatwo, jak wcześniej ja.

– Nie mogę ściągnąć przyczepiaka. Pace powiedział, że ty potrafisz to zrobić.

Oczy jej rozbłysły, kiedy oglądała srebrny futerał, przez który wyrzyszał się zarys pierścienia.

– Pace tak powiedział?

– Tak. Więc? Potrafisz?

Przez chwilę mierzyła mnie gniewnym spojrzeniem, po czym wyszła z kuchni. Pobiełam za nią.

– Hej! Potrafisz to zrobić czy nie?

Ty była już na najniższym stopniu schodów. Odwróciła się gwałtownie.

– Nie, nie potrafię. Tylko ktoś z nadzwyczaj silnym darem kontroli jest w stanie usunąć przyczepiali. Nie mogę uwierzyć, że Pace powiedział ci coś takiego. Ja. Mam. Wizje.

– Do...obra.

Jakby to wszystko wyjaśniało. Wielkie dzięki, siostrze.

Ty, czy tam Gavin, szturmowała schody, wołając Jaga. Z trudem nadążałam za moją wkurzoną jak diabli siostrą. Nie zatrzymała się, żeby zapukać do ostatnich drzwi na prawo, tylko po prostu pchnęła je, wrzeszcząc:

– Wyłaż, Jag, i się wytłumacz!

Pokój był czysty, nieużywany, z wychodzącym na balkon wykuszowym oknem. Oceaniczna bryza targała zasłonami do wtóru przekleństw Ty.

– Co się dzieje? – zapytałam.

– Uciekł – odparła.

Jej odpowiedź była jak cios w żołądek, który odebrał mi dech. Ty trzaskała drzwiami szafy i metalowymi szufladami, jakby Jag mógł się w którejś z nich schować.

– Uciekł? – mój głos brzmiał o wiele za wysoko. To nie była prawda. Jag by mnie nie opuścił. Nie po raz kolejny.

– Tak, Vi. Zwiął. – Oczy Tyson niebezpiecznie zabłyśły. Wyszła na balkon i zaczęła wykrzykiwać w stronę oceanu różne nieprzyzwoitości. – Widzisz? – Odwróciła się, trzymając w dłoniach metalową linę. – Zwiął. – Ze złością rzuciła dowód ucieczki.

Jag opuścił mnie, niech policzę... po raz czwarty. Bez niego czułam się bezradna. Otępiała. Pusta.

Zostawiwszy Ty przeklinającą na balkonie, powlokłam się korytarzem, a potem schodami w dół do holu. Na dworze słońce lalo zakazane promienie prosto na moją obnażoną skórę. Stopy poniosły mnie w stronę plaży. Osunęłam się na kolana i zamknęłam oczy, podczas gdy w duszy otwierała się czarna dziura.

Po chwili do mojej głowy wdarł się głos. Znajomy. Ojcowski.
Violet. Posiadasz moc, żeby zmieniać świat.

Słowa taty wybijały się ponad szum uderzających o brzeg spienionych fal.

Mogę ci pomóc zdjąć przyczepiak. Zenn strasznie chce cię zobaczyć.

Natychmiast miałam gotową odpowiedź, ale nie pozwoliłam jej opuścić umysłu. Tata znał moje słabości. To, że nie było go przy mnie przez ostatnich siedem lat, nie znaczyło, że nic nie wiedział.

Dyrektoriat cię potrzebuje, Vi. Tyson wybrała inną drogę, ale ty przecież nie musisz iść w jej ślady. Jaga też potrzebujemy. Jesteś w stanie sprawić, żeby dostrzegł w tym wszystkim sens. Możecie być razem.

Otworzyłam oczy i zamrugałam w jasnym świetle dnia. Miał rację. Byłam w stanie kontrolować Jaga.

Zdawałam sobie sprawę, że tata właśnie tego chce. Pamiętałam, w jaki sposób przyglądał mi się w techno-ośrodku. Z zainteresowaniem. Jakbym mogła coś dla niego zrobić. I mogłam: przekonać Jaga, żeby razem ze mną dołączył do dyrektoriatu.

Do diabła, nie ma mowy, pomyślałam. Jag nie będzie tworzył waszych transmisji. W każdym razie, dopóki ja żyję.

Przez mój umysł przemknęło rozczarowanie taty. *Twoja śmierć byłaby tragedią... Pomyśl, co by to dla mnie znaczyło, V. Już raz cię straciłem. Chcesz, żebym przechodził przez to znowu?*

Ukryta w tych słowach groźba szybowiała w gniewnej przestrzeni moich myśli. Nie wiem, czy zdołałam się odciąć, czy tata sam odszedł, ale więcej go nie słyszałam. Mój płytki oddech przypląwał i odpływał razem z falami. Ciężar niepodjętych decyzji przygniatał mnie tak bardzo, że poczułam, jakbym już nie mogła się wyprostować.

Jakim cudem inni znajdują rozwiązanie, co robić ze swoim życiem?

– Vi.

Słyszając znajomy głos, podniosłam spojrzenie. Ujrzałam piękną twarz Zenna. Łzy pociekły mi po policzkach.

– Zenn – wykrztusiłam.

Zamknął mnie w mocnym uścisku, a potem ujął w dłonie moją twarz.

– Ciii, śliczna. Teraz zaśnij.

Jego głos powlekał zmysły gęstym miodem. Powieki mi opadły, chociaż starałam się je utrzymać.

– Zenn – wymruczałam.

– Zaufaj mi, Vi. Śpij.

Był tylko jeden problem: nie ufałam mu. Ale nie mogłam dłużej walczyć z jego głosem. Pochłonęła mnie kojąca ciemność.

Wszystko się poruszało. Znajdowałam się w czyichś silnych objęciach. To nie był Jag. Jego zapach rozpoznałabym wszędzie.

Ten ktoś pachniał wiatrem, świeżym, swobodnym, słonym. Moja głowa obijała się o muskularne ramię. Żadnych kolorów. Żadnego światła.

– Połóż ją i się wynoś – w słowach Ty dźwięczała furia.

– Jestem tu, żeby pomóc – powiedział Zenn. Szczerość jego intencji wpisana była w każdą sylabę.

– Nie wierzę.

– Obojętne mi, w co wierzysz. Gdybym nie zabrał jej z plaży, Thane już by ją miał.

Z gardła Tyson wydobył się dźwięk dezaprobaty.

– Poza tym – ciągnął Zenn – jestem jedynym człowiekiem na świecie, który może zdjąć jej ten przyczepiak.

– Nieprawda – zaproponowała. – Ściągnie go każdy z wystarczającą mocą kontroli.

– Ma nowe zabezpieczenia. Tylko osoba, która nakłada przyczepiak, może go usunąć. Thane rekonfigurował pierścionek Vi podczas jej pobytu w technoośrodku. Nie chciał, żeby zdjęła go sama. – Zenn wsunął swoją dłoń w moją. Jego dotyk był znajomy, bezpieczny. – Dałem jej wskazówki, żeby ją tu ściągnąć, bo miałem nadzieję, że Jake mógłby pomóc, ale...

– Przecież zdołała tu dotrzeć, prawda? – Ty przeciągnęła palcem po moich brwiach.

– Zwodziłem Thane'a tak długo, jak mogłem. Mimo to, o mały włos, a nie zdążyłaby uciec.

– Zenn, ona da sobie radę. – Ty sprawiała wrażenie kompletnie wyczerpanej. – Skończmy już z tym. Vi?

Chciałam się poruszyć, odezwać, zrobić cokolwiek. Nie mogłam.

– Uśpię ją. – W głosie mojej siostry brzmiała histeria. – Obudź ją. Natychmiast.

– Najpierw przyczepiak – odparł Zenn.

Znowu spróbowałam unieść powieki. Bez skutku. Coś grubego opadło mi na twarz, otaczając mnie nieprzeniknioną ciemnością. Walczyłam, żeby się uwolnić.

– Leż spokojnie, Vi.

Posłuchałam. Jego głosowi każdy by się podporządkował.

– Musimy zdjąć ci przyczepiak, a potem porozmawiamy. – Zenn położył mnie na kanapie i wsunął mi poduszkę pod głowę.

– Dobrze, jasne – wybełkotałam.

– A teraz znowu zaśnij – słowa snuły się miękkimi smugami, ponaglając, bym odpłynęła w błogi sen.

Chciałam. Ale chłodne palce przesunęły się w dół po moich rękach.

A potem ból.

Większy niż ktokolwiek kiedykolwiek powinien znosić. Czułam, jakby prawą dłoń odcinało mi jakieś obrotowe ostrze.

Wokół mnie rozlegał się szmer głosów. W ciemności pulsowało intensywne pomarańczowe światło. Czyjeś ręce przygniatały mi ramiona. Dwa punkty ucisku rwały boleśnie.

Ktoś w pobliżu krzyczał. Chciałam, żeby przestał. Chciałam mu pomóc. Zrobić cokolwiek, byle tylko się zamknął.

Wreszcie porażający ból w mojej ręce zaczął słabnąć. Krzyk umilkł.

– Ona ma problem z akceptacją kontroli – szepnęła Ty.

– A kto nie ma, kiedy po raz pierwszy dowiaduje się, co potrafi? Vi jest bardziej utalentowana niż ktokolwiek, kogo znam. Poradzi sobie. – Obecność Zenna wypełniała pustkę w moim sercu, miejsce zarezerwowane tylko dla niego. – To, co czuje do Jaga, jest naprawdę silne.

– Jag pozwala, żeby uczucia przyćmiewały mu rozsądek. Przecież wie, co widziałam. On...

– Nim się nie przejmuj – przerwał jej Zenn. – Zrobi, co uzna za słuszne. Zawsze tak robi.

– Właśnie o to się boję.

Potem nastąpiła długa chwila ciszy. Niemal pragnęłam, by powrócił ból. Cokolwiek, co zagłuszyłoby natłok kłębiących się wokół mnie emocji.

– Nie wiem, czy powinniśmy zdejmować przyczepiali – szepnęła Ty. – Póki jest oznaczona, nie zdoła znaleźć Jaga. On pomyśli, że tym razem posunął się za daleko. Potem zrobi to, co musi zrobić. A ona będzie bezpieczna.

– To zależy od Vi – odparł Zenn. – Nie możemy jej pomóc bez jej kontroli. Spróbujmy jeszcze raz.

Teraz też nie byłam przygotowana na porażający ból. Znowu rozlegał się krzyk. Płomień posuwał się od nadgarstka w dół dłoni, która jakimś cudem nadal była częścią mojego ciała. Gorące groty kłuły w czubkach palców. Otaczający mnie blask poczerwieniał. Stał się przeraźliwie ostry.

A potem w oddali rozbłysło białe światło. Instynktownie wyciągnęłam ku niemu rękę, przyzywając je do siebie, żeby cieszyć się jego wspaniałością. Kiedy się przybliżyło, ujrzałam w nim Zenna. Nie byłam pewna, czy powinnam płakać z radości, czy wymierzyć cios w te zdradzieckie usta.

– Uspokój się, Vi – poprosił. – Musisz mi pomóc. – Ujął moją dłoń i ból ustąpił. Oczy Zenna miały kolor tak intensywnie niebieski, jakiego nigdy dotąd nie widziałam. Nic ich nie przyćmiewało. To był mój uroczy, wspaniały Zenn. W pełni panujący nad sobą.

– Zenn – szepnęłam. – Dlaczego mi nie powiedziałeś? Przecież bym ci towarzyszyła w Ruchu Oporu. – Po policzkach spłynęły mi łzy. Łzy samotności i złamanego serca.

Palec Zenna przesunął się w dół mojej twarzy.

– Myślisz tak tutaj. – Lekko dotknął moich warg. – Ale nie tutaj. – Położył rękę na swoim sercu.

– Pomagałabym – zaprotestowałam.

– Wiem. Właśnie dlatego nic nie mówiłem. – Uśmiechnął się. Z miłością, tęsknotą, smutkiem.

– Zenn, co do Jaga... Pokręcił głową.

– Nie. – Przytulił dłoń do mojego policzka. Ten dotyk wydawał się

taki delikatny. – Nie musisz nic wyjaśniać.

Jakiś donośny dźwięk sprawił, że gwałtownie obrócił głowę.

– Czas się skończył. – Obraz Zenna zatarł mi się przed oczami, ale jego głos jeszcze przez krótką chwilę rozbrzmiewał w mojej duszy. –

Do widzenia, śliczna Violet. Ty?

– Idź – odezwała się gdzieś koło mnie Tyson. – I Zenn... dzięki.

– Powiedz jej, że za nią tęsknię. I że ją kocham.

– Powiem.

– Nie! – Wyciągnęłam do niego rękę, ale Zenn już zniknął.

Rozkazałam dziewczynie, którą miałam w sobie, żeby przestała szlochać, przestała płakać, przestała się nad sobą uzalać. Szmer wody dotknął mojej ręki i złagodził cierpienie. Otuliła mnie kojąca ciemność.

Po prostu oddychaj, powiedziałam. Chłodny powiew obmywał moją skórę. Dookoła unosiły się jakieś głosy. Znajome, a jednocześnie obce.

– Ona wymaga szkolenia – powiedziała Ty. – Nic nie wie.

– Jag spędził z nią prawie miesiąc – odparł Jake przez technocomm. – Poddał ją kilku testom. I zostawił jej list ze wskazówkami do symulatora.

– Ale ona miała dotąd zerowy trening. Mówił, że nawet nie wiedziała, kim jest...

– Teraz już wie. Jag opowiadał, czego dokonała. Nie ma czasu na oficjalne lekcje. Ufam mu. Ty też powinnaś.

Ciemności zelzały. W moim umyśle szybował Jag. Spróbowałam go dosięgnąć, mojego dławiciela, części mnie samej, której potrzebowałam, żeby czuć się kompletna.

Gwałtownie usiadłam, zrywając z twarzy czarną tkaninę. Przedemną klęczała Ty ze zmarszczonym, zatroskanym czołem. W pokoju nie było nikogo więcej. Zastanawiałam się, czy Zenn tylko mi się przyśnił, czy naprawdę tu był.

Zarzuciłam mojej siostrze ręce na szyję. Znowu popłynęły mi te głupie łzy.

Ramiona Ty dygotały od płaczu.

– Już nie masz przyczepiaka.

Uważnie obejrzałam lewą dłoń. Wyglądała, jakbym przez długi czas zanurzała ją w gorącej wodzie. Wąskie pasemko białej blizny

otaczało mój mały palec w miejscu, gdzie wcześniej był pierścionek. Wieczna pamiątka po Zennie.

– Vi... skąd wiesz o Ruchu Oporu? Podniosłam wzrok i spojrzałam Tyson w oczy.

– Słyszałam, jak mówił o tym Jag... w swoich snach.

– W swoich snach? – Uniosła brwi. – To jakaś potwornie silna kontrola umysłu.

Wierciłam się, zakłopotana.

– To nie tak, że lubię robić wycieczki do jego nocnych koszmarów. – Dyszałam, jakbym biegła. Zasłoniłam rękami twarz. – Co ty możesz o tym wiedzieć?

Ty uśmiechnęła się tym swoim uśmiechem starszej siostry.

– Mam taki niewiarygodny talent: potrafię widzieć to, czego inni nie widzą. Właśnie dlatego mnie wzięli. Kiedy nie chciałam używać swoich zdolności tak, jak żądali, tata na kilka miesięcy wpakował mnie do więzienia. Raz pozwolono mi odwiedzić dom. Żebym cię sprawdziła. Żebym zobaczyła, czy masz jakieś dary. Pamiętasz to?

Pokiwałam głową. Patrzyłam na łzy z wolna ściekające po jej policzkach.

– Zostałam skazana na pobyt w Wolności. Ale pojawił się Zenn i pomógł mi uciec z więzienia. Dał mi identyfikator z nowym imieniem, żebym przekroczyła granicę. Zaopatrzył mnie w żywność i wodę na moją samotną wędrówkę do Złych Ziem. Podał potrzebne hasła, dzięki którym mogłam odnaleźć i rozpoznać Jaga.

Przerwała, koncentrując się na czymś, co tylko ona mogła zobaczyć.

– Zenn mnie uratował.

Wiedziałam, jak się czuła. Bo mnie uratował niezliczoną liczbę razy.

– Ale myślałam, że on pracuje dla taty. Tak nie jest? Tyson oderwała się od swoich wspomnień i spojrzała na mnie.

– Na to wygląda, Vi. Na początku zeszłego roku zerwał wszelką łączność z Ruchem Oporu. Już mieszkałam w Przymorzu, ale Jag prosił, żebym skontaktowałam się z Zennem. Właśnie wtedy dowiedzieliśmy się, że przeszedł do drugiego obozu. – Głośno

wypuściła powietrze. – Powiedział, że zrobił to dla ciebie, ale okazało się, że nie masz żadnych talentów, więc to wszystko nie miało sensu. Nigdy nie widziałam, żeby Jag był tak wściekły. Nieomal zionął ogniem.

Uśmiechnęła się, ale jej uśmiech nie wyszedł poza usta.

– Nie wiem, po której stronie Zenn jest teraz. Jag uważa, że stoi twardo u boku Thane'a.

Nastąpiła długa chwila milczenia, podczas której rozważałam wszystko, co zobaczyłam i usłyszałam w snach Jaga. Wszystko, co zaszło pomiędzy nim a Zennem. To, jak Zenn kontrolował Blaze'a. I jak Jag obwinił Zenna o śmierć brata.

– Powiedz mi o sprawie Blaze'a. – Mój głos zabrzmiał okropnie głucho.

W oczach Ty mignął stalowy błysk.

– Więc o nim też wiesz?

– Ja...

– Czy Jag wie, że wtargnęłaś do jego wspomnień?

– Nie. I nie możesz mu o tym mówić.

Po twarzy Tyson przemknęły frustracja i współczucie.

– W porządku. Nie powiem. Zresztą prosiłam go, żeby sam ci wszystko wyjaśnił.

– Wszystko? To jest coś jeszcze?

– Blaze zginął mniej więcej półtora roku temu. Podczas zadania, które wykonywał dla Ruchu Oporu. Razem z Zennem. Ja... ja widziałam, co się stało. – Opuściła głowę. Słowa ścichły do szeptu.

– Jag sądził, że odpowiada za śmierć brata. Bo wyznaczył Blaze'a na tę misję do Wolności. Widzisz, Blaze był już wtedy wiceradcą w Przymorzu. Ale kiedy okazało się, że to wina Zenna... Jag kompletnie się załamał. Byli z Zennem najlepszymi przyjaciółmi.

Przebrnęłam przez wspomnienie słów, które Zenn wypowiedział w lesie. I przez sceny, które widziałam w koszmarze Jaga.

– Ty... czy Zenn naprawdę był winien? Odchrząknęła.

– Na to nie znam odpowiedzi, Vi. Nikt nie zna. Nawet Jag. Ani nawet, jak przypuszczam, Zenn.

– Też to widziałam – szepnęłam. – Widziałam to, co ty widziałaś.

W umyśle Jaga. – Z rozpaczą na twarzy objęłam siostrę.

– Więc masz, czego potrzebujesz, żeby samej rozstrzygnąć. – Ty wstała i zostawiła mnie na kanapie w swoim gabinecie.

Myśli o Zennie mąciły mi w głowie. Pomógł Blaze'owi, czy nie? A czy mnie rzeczywiście pomagał? Nie tylko ostatnio na plaży, ale przedtem w Dobrych Ziemiach? I czy naprawdę porzucił Ruch Oporu, żeby mnie ratować? A może działał jako prawa ręka taty?

Zenn jest bardzo lojalny. W moje myśli wdarł się szorstki głos. Nadal masz szansę na przyszłość, którą zawsze chciałaś z nim spędzić.

Ale...

Jak sobie wyobrażasz, kto was wyswatał? – ciągnął tata. Zenn naprawdę cię kocha. Zrobi dla ciebie wszystko.

Wiedziałam, że tak. Co oznaczało, że naprawdę zbiegł i przyłączył się do mojego ojca. W imię czego?

Dla mnie.

Ale przecież wiedział, że duszę się pod kocem kontrolowanego życia. Też nie mógł tego wytrzymać? A może mógł?

Powiodłam palcem po bliźnie. *Tato... jak mogę pozbyć się przyczepiaka?*

Przyczepiak może usunąć tylko ta osoba, która go nałożyła. Osobiście wymyśliłem to chytre techno-zabezpieczenie.

To znaczy, że Zenn mógłby mi go zdjąć. Tak, a ja jemu.

W mojej głowie myśli toczyły bój. Pierścionek zniknął. Więc Zenn mi pomógł. A teraz był...

Każdy ma jakieś metody przekonywania do swoich racji, zadrwił tata. Zenn... Jag...

Zacisnęłam powieki. Już przestań. Proszę.

Wszystko sprowadza się do wyboru, komu uwierzyć, V. Więc kogo wybierasz?

Dobre pytanie, tato.

Wróciłam do swojej sypialni po plecak. Gdy tylko otworzyłam drzwi, ktoś powiedział: – Cześć, Vi.

Rozhuśtane emocje wzleciały w górę, po czym poszybowały w dół, bo pierwszą moją myślą było, że w pokoju na pewno ukrywa się Jag. Ale w tej samej chwili ujrzałam rangersa o kasztanowych włosach. Serce we mnie zgasło.

Skrzyżowałam ramiona i przechyliłam głowę.

– Co tu robisz, Jake?

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– O rany. Jag miał rację.

Znowu ogarnęła mnie bezsilna złość. Nie potrafiłam jej pohamować.

– Zamknij się. Ani słowa o tym Złym. Czego chcesz?

– Wyluzuj – odparł. – Jestem po twojej stronie. – Dobrze i to. – Wyglądasz, jakbyś bez trudu mogła mnie ukatrupić. – Nie był daleki od prawdy, tyle że moje mordercze myśli skupiały się na chłopaku z nastroszonymi włosami. Który odszedł.

– W porządku, Jake. Mów szybko, co masz do powiedzenia. – Czekałam. Całkiem cierpliwie, jak mi się wydawało.

– Okej. Jestem wyspiarskim rangerem...

– Powiedz coś, czego nie wiem – warknęłam. Znowu rozśmieszyło go moje zachowanie, zupełnie tak jak bawiło Jaga. Zamrugłam, powstrzymując łzy irytacji i odwróciłam wzrok, żeby Jake ich nie zauważył.

– Moja robota polega na zaopatrywaniu Radcy w najlepszą technikę. Wiem, że masz w torbie trochę zabójczych drobiazgów. Jestem tu, żeby się potargować.

– A masz coś, co chciałabym mieć?

Uśmiechnął się znacząco i wyciągnął z tylnej kieszeni kopertę. Nawet z drugiego końca pokoju poznałam pismo Jaga. Serce zabiło mi mocniej. Przeszłam kilka kroków, nie odrywając wzroku od dwóch liter mojego imienia. Jake Kellogg mógł sobie wziąć, co tylko chciał. Nerkę, wątrobę, cokolwiek.

– Jag naprawdę nie chciał cię opuścić w taki sposób – powiedział łagodnie. – Masz nad nim wielką władzę. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś mówił o kimś tak, jak on o tobie. Nawet Gavin z Pace'em. Dławomową. – Jego wzrok napotkał moje spojrzenie i przytrzymał je, jakby Jake czekał, czy nie odmówię przyjęcia listu.

Rany, naprawdę chciałam. Niech sobie wraca do Jaga. Ale nie potrafiłam.

– Ach, rozumiem. Ty czujesz do niego to samo. – Uśmiechnął się i wyciągnął kopertę w moją stronę. – Jag chciał się pożegnać osobiście, tylko że sprawy... trochę się skomplikowały. Kazał ci powtórzyć, że naprawdę, naprawdę przykro mu odchodzić, ale ma nadzieję, że wkrótce znowu cię zobaczy.

Dobiliśmy targu. Zatrzymałam sobie technotelefon i jedną generującą żywność kostkę. Całą resztę otrzymał Jake.

– Okej – stwierdziłam, kiedy koperta znalazła się już w moich rękach. – Rozumiem, że masz jakie takie pojęcie o wszystkim. Więc powiedz mi, co wiesz o rangerach umysłu.

Jake zerknął na swój świeży łup, jakby wolał raczej spędzać czas z technogadżetami niż ze mną.

– Służą dyrektoriatowi jako dyrektorzy. Gavin to pierwszy ranger umysłu, jakiego spotkałem, który odmówił współpracy. A potem zaczął tu bywać Jag.

– Od jak dawna Jag się tutaj pojawia? Kellogg westchnął i usiadł na moim łóżku.

– Od jakichś trzech lat? Chyba coś koło tego. Przyszedł kiedyś razem z Pace'em, krótko po tym, jak Pace został technorangerem w Złych Ziemiach. A później już wpadał co parę miesięcy na lekcje. – Jake przeczesał palcami włosy. – Większość czasu spędza z Gavin.

– Co robią? – zapytałam.

– Gavin po całych nocach szkolila go w używaniu umysłu,

a przynajmniej do momentu, kiedy zorientowali się, że bronią Jaga jest głos. Wtedy zaczęli badać, jak te zdolności rozwinąć. Lubię faceta, ale nie cierpię z nim rozmawiać.

Jag i Ty spędzali mnóstwo czasu razem, pomyślałam, niezbyt pewna, co w związku z tym czuję.

– Ale on już się nie szkoli. – Jake wpatrywał się w okno. – Skończył w ostatnie Boże Narodzenie. Pojawił się na dwa tygodnie i Gavin dosłownie nie wychodziła z jego pokoju. Potem odesłała go do Dobrych Ziem po coś, co zobaczyła podczas wizji. Żadne z nich nie wiedziało, co dokładnie Jag miał znaleźć, ale on już przedtem bez szczegółowych wskazówek bywał na terytorium wroga. A poza tym Gavin nigdy się nie myli. – Jego wzrok wreszcie spoczął na mnie. – Jag wyruszył na początku kwietnia i od tego czasu o nim nie słyszeliśmy.

Odwróciłam wzrok. Na dworze wiatr uderzył w okno i przetoczył się grzmot, jakby naśladując mój wewnętrzny zamęt.

Kwiecień. Sześć tygodni w więzieniu.

Z trudem przełknęłam ślinę. Gardło miałam kompletnie wyschnięte.

– I co tam znalazł? – zapytałam, ale już miałam odpowiedź.

Na twarzy Jake'a pojawiło się wzburzenie.

– Znalazł ciebie.

Opadłam na kanapę, ściskając w dłoni list Jaga i próbując pozbierać myśli. Wiedziałam jedno: nie chciałam otwierać tej koperty, nie chciałam od początku przeżywać momentu porzucenia. Wzięłam długi, głęboki oddech i wypuściłam powietrze.

– Dobra, będę na dole. – Jake z torbą wyładowaną techniką stał w drzwiach. – Jak już przeczytasz, przyjdź do mnie.

Skinęłam głową, ale kiedy tylko wyszedł, wsunęłam list do kieszeni. Chwiejnym krokiem dotarłam do łazienki i utkwiłam wzrok w swojej wymizerowanej twarzy w lustrze.

Ty powiedziała: Masz, czego potrzebujesz, żeby samej rozstrzygnąć.

Nadal w uszach brzmiały mi słowa Jake'a: Znalazł ciebie.

A Jag mówił, że nigdy cię nie opuści, zadrwił tata. Jego głos znowu wdarł się do moich myśli.

– Przestań! – krzyknęłam. Patrzyłam na siebie, na swoją świeżą opaleniznę i żółtą koszulkę z krótkimi rękawami. Nawet niebieskie dzinsy nie były moje. Z trudem rozpoznawałam tę dziewczynę, która odpowiadała mi spojrzeniem.

Nie byłam dobra.

Ale też nie byłam zła.

Te etykietyki nie miały żadnego znaczenia.

Jestem Violet Schoenfeld. Uzbrojona w tę wiedzę, złapałam mój plecak i wyszłam z pokoju. Jake'a zastałam siedzącego przy kuchennym stole.

– Hej, dokąd poszedł Jag? Podniósł na mnie spojrzenie.

– Nie wiem.

– Wielki wstrętny kłamczuch – powiedziałam oskarżycielsko, mierząc go wściekłym spojrzeniem. – Wiem, że z nim rozmawiałeś,

zanim odszedł. Więc dokąd?

Zacisnął powieki.

– Wściekniesz się. Wiesz o tym, prawda?

– Powiedz mi – zażądałam.

– Poszedł tunelami – odpowiedź padła natychmiast. Bo go kontrolowałam.

Złagodziłam trochę emocje.

– Tunelami?

– I zmusił mnie do zaprogramowania symulatora o najbardziej zaawansowanym profilu, jaki mamy. – Zacisnął dłonie w pięści.

– Zaraz... nie rozumiem. Jake wstał, ocierając ręką oczy.

– Chodź ze mną. Sama zobaczysz. – Ruszył w kierunku schodów. Jednak nie wszedł na górę. Zamiast tego zatrzymał się przed pustą ścianą. – No dobra, ale będziesz chciała mnie zamordować. Zanim zejdziemy, obiecaj, że nie spróbujesz mnie zabić.

Prychnęłam, zniecierpliwiona.

– Daj spokój. Nie zamierzam cię krzywdzić.

– Jesteś do tego zdolna. Słyszałem opowieści o tobie. Obiecaj mi.

– Opowieści o mnie? Jakiego rodzaju? Jake...

– Po prostu obiecaj.

– Zgoda. Obiecuję, że nie zrobię ci nic złego.

– Nie, obiecaj, że nawet nie spróbujesz zrobić mi nic złego.

Już miałam ochotę coś mu zrobić.

– Obiecuję, że nawet nie spróbuję zrobić ci nic złego.

To go wreszcie usatysfakcjonowało. Znowu odwrócił się do ściany. Pomyślałam, że nadarza się wyśmienita okazja, żeby dać mu kopa, ale przecież złożyłam tę głupią obietnicę.

Tymczasem Jake stukał palcami po gołym tynku niczym po klawiaturze. Marszczyłam z niedowierzaniem brwi... dopóki ściana nie znikła.

Kręte schody prowadziły w ciemności na dole.

Jake bez słowa zaczął pogrążyć się w mroku, jakby to było nic takiego zstępować w głęboką czarną otchłań. A dla mnie to wielka rzecz.

– Hm, Jake? – Ciemności już go pochłoneły.

– Chodź. – Jego głos odbijał się echem od kamiennych stopni.
– Nic nie widzę.
– Na wyczucie! – zawołał. Dzięki tej radzie trafił na sam szczyt mojej listy „Już nie żyjesz”, tuż przed Jagiem zajmującym miejsce drugie.

Jednak niepewnym ruchem sięgnęłam do poręczy. Metal wydawał się lodowaty, śliski. Ostrożnie przesunęłam stopy po dwóch schodkach, które mogłam dostrzec, a później zdałam się na łut szczęścia.

Coraz głębiej i głębiej zanurzałam się w mrok. Nie słyszałam już przed sobą Jake'a. Stopnie po prostu ciągnęły się i ciągnęły, zakręcały i zakręcały. W miarę jak oziębiało się powietrze, coraz bardziej rwał się mój oddech.

W głowie zaczęło mi buzować od techniki. Zmusiłam stopy, żeby zeszły jeszcze o schodek niżej. Potem następny. I jeszcze jeden.

Teraz technika już paliła. Oparłam się o ścianę, rozkoszując się chłodem metalowej poręczy.

W męczarniach, krok po kroku szłam dalej. Aż wreszcie nie mogłam.

Ciemność wirowała. Łzy szczypały mnie w oczy. Powietrze przypominało cement.

– Jake? – zawołałam. – Nie dam rady... Usłyszałam tupot nóg. Światło odbiło się od ścian, po czym mnie oślepiło.

– Idziesz? Tylko mi nie mów, że się boisz. Jag powiedział, że ciębie nic nie przestraszy. Nazwał cię twardzielem.

Nie mogłam sobie przypomnieć ani jednego przypadku, kiedy wykazałam się twardością wobec Jaga. Ale to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko oddychanie.

– O co chodzi? – zapytał po chwili Jake.

– Nie... mogę... oddychać... technika – wykrztusiłam.

– Och! Prawda. – Pogrzebał w kieszeni. – Przepraszam. Weź to. – Na jego dłoni leżały trzy purpurowe pigułki. Zamrugłam i trzy pigułki zlały się w jedną.

– Co to takiego?

– Na technoszumy. Domyślałam się, że masz jakiś rodzaj

podwyższonej wrażliwości.

Można to i tak nazwać. Sięgnęłam po lekarstwo i kompletnie nie trafiłam.

– Proszę, usiądź. – Jake posadził mnie i podał pigułkę. – Połknij.

Nie połknęłam. Nie potrafiłam pozbierać myśli. Jednak przyjmowanie specyfików, żeby zapanować nad technoszumami, wydało mi się dziwne.

– Daj spokój, Vi. Po tym szum ustąpi. Wymyśliłem je dla Ty.

– Ale ja bardzo potrzebuję technoszumów – wybełkotałam. – W ten sposób poznaję, czy jest bezpiecznie, czy nie.

Prychnął zniecierpliwiony. Jego twarz znalazła się tuż przy mojej. W oczach płonęło mu światło, intensywne, złociste jak świeży miód.

– Nie musisz czuć jakichś idiotycznych technoszumów. Masz mózg. Użyj go.

Wbrew sobie, wsunęłam purpurową pigułkę do ust i z trudem połknęłam, chociaż miała smak popiołu i plastiku. Niemal natychmiast technoszumy wygasły.

Niestety, światło też. Jake odwrócił się i już zniknął za zakrętem.

Więc podjęłam na nowo krętą wędrówkę w dół. Aż wreszcie ciemność zaczęła szarzeć.

Na koniec moja stopa dotknęła czegoś, co nie było kamieniem. Jake siedział przy blacie w głębi jakiegoś magazynu. Światło nad jego głową tworzyło bladożółtą aureolę. Wśród zagraconych techniką regałów przeszłam do miejsca, gdzie pracował.

Nie podniósł wzroku.

– Weź, co chcesz – powiedział, machając ręką w kierunku półek.

– Po co? – Żadnej z tych rzeczy nie chciałam.

– Nigdy nie wiadomo, na co trafisz w symulatorze – odparł. Nadal na mnie nie patrzył. – No dalej, bierz, co chcesz.

W mojej głowie odezwał się cichy sygnał alarmowy. Dlaczego do symulacji miałam potrzebować któregoś z tych przedmiotów?

Westchnęłam i zapragnęłam, żeby w magazynie zrobiło się jaśniej. Natychmiast światło stało się mocniejsze. Jake parsknął za moimi plecami, ale zignorowałam go, bo moją uwagę przyciągnęły technourządzenia. Nie wydawało mi się, że bym kiedykolwiek któreś

z nich widziała. Na szczęście, każde miało nalepkę z nazwą i opisem.

„Umiejscawiacz: pomaga odnaleźć osobę, która się zgubiła”.

Szkoda, że go nie miałam trzy lata temu, kiedy zaginął wszelki ślad po Ty. Albo kiedy zniknął tata. Może gdybym nie potrafiła znaleźć Jaga, ten umiej scawiacz by się przydał?

Niewiele większy od mojej dłoni, metalowy kwadrat miał wzdłuż górnej krawędzi wąski ekran. Migające czerwone światełko wskazywało, że urządzenie wyposażone jest w czytnik tęczy.

Dalej, w głębi alejki regałów, obok kolczastego technourządzenia, które potrafiło wywiercić dziurę głęboką na pięć metrów, leżała bransoleta.

„Pomniejszacz: redukuje widzialność, więc wróg nie może was zobaczyć. Ostrzeżenie: potrzeba kilku godzin, żeby powrócić do pełnej widoczności”.

Super. Bransoleta dołączyła w moim plecaku do umiej scawiacza.

Ominęłam technourządzenie zmieniające kolor skóry na zielony. Pozostawiłam również wytwarzacz wichru i szpikulec z elektrowstrząsami.

– Subtelna broń – skomentował za moimi plecami Jake. O mało nie palnęłam, że nie potrzebuję żadnej broni, ale udało mi się nie odezwać.

Szłam jednym przejściem, a wracałam następnym. Nic więcej na półkach nie wydało mi się niezbędne, bo nie wiedziałam, na co się mam szykować.

– Jestem gotowa – oznajmiłam w końcu.

Jake wstał i ruszył w stronę korytarza w kącie magazynu.

– Dobrze – mruknął takim tonem, jakby wszystko można było o mnie powiedzieć, tylko nie to. – Musisz dostać się do centrum miasta, gdzie zainstalowałam kilka doskonałych technourządzeń, które kodują przyrządy kierunkowe.

Przerwał, jakby czekał, że pogratuluję mu tych osiągnięć. Nie pogratulowałam.

– Okej. A teraz będzie część, która cię wkurzy. Gotowa?

– Żeby się wkurzyć? – Podciągnęłam szelki plecaka. – W stu procentach.

Jake się uśmiechnął. A potem zrobił najbardziej zdumiewającą rzecz. Przyciągnął mnie do siebie i z całej siły uściskał.

– Bądź ostrożna, Vi – szepnął. – Jesteś naszą jedyną nadzieją.

Chciałam go zapytać, co miał na myśli, ale nie mogłam.

Bo w następnej chwili zniknął.

Moje ręce obejmowały powietrze tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał. Zajrzałam we wszystkie kąty techno-magazynu. Pusto.

Kiedy zawróciłam do korytarza, ujrzałam Jake'a przed sobą. To znaczy, nie jego samego, a projekcję.

– Vi, musisz zdecydować, jak będziesz używać swojej mocy – powiedział wirtualny Jake. – To rozstrzygająca decyzja, przed którą stają wszyscy rangerzy umysłu. Jeśli jej nie podejmiesz, inni będą mogli bez trudu wywierać na ciebie wpływ, zwłaszcza ci do ciebie podobni.

Technika symulacyjna czekała, jakby rozumiała, że muszę zastanowić się nad tym, co usłyszałam.

Nadal nie wiedziałam, jak postąpić. Byłam potrzebna Zennowi. Gdyby nie zrobiono mu prania mózgu, wybrałby wolność, wybrałby mnie. Mogłam mu pomóc żyć niekontrolowanym życiem.

Natomiast ja potrzebowałam Jaga. Jak tlenu. Ale Jag tyle razy odchodził.

Ból z powodu taty też był silny. Stał mi przed oczami obraz naszej rodziny – z Ty i obojgiem rodziców. Może ten sen mógłby się jeszcze ziścić?

Bez względu na wszystko, nie wolno mi było dłużej ignorować własnego talentu. Miałam obowiązek go wykorzystać, pomagać innym – nie tylko wtedy, kiedy było to dla mnie korzystne. Ale Ty mówiła, że są różne stopnie kontroli. Mogłam używać swoich zdolności w służbie dyrektoriatu albo złożyć podanie o azyl i pozostać w Przymorzu.

Mijały minuty. Projekcja Jake'a czekała. Jego oczy wpatrywały się we mnie.

W końcu dawna rozmowa z Jagiem przypomniła mi o moim wyborze. „Nigdy nie będę nikim sterować, nawet tobą”.

Nie chciałam używać swojego daru kontroli do zarządzania.

Mogłam go użyć, żeby pomóc innym, lecz nie by zmuszać ich do życia według mojej woli.

– Jestem gotowa – oznajmiłam. Jake się uśmiechnął.

– A zatem szkolenia ciąg dalszy. Pamiętaj o wszystkim, co Jag ci mówił, nawet jeśli to drobnostki, a znajdziesz to, czego potrzebujesz. Powodzenia.

Wskazał ręką w głąb korytarza, jakby to była dostateczna instrukcja do mojego następnego zadania.

Światło na końcu korytarza stało się jaśniejsze.

Nigdy nie jest dobrze iść w stronę światła, ale to właśnie zrobiłam.

Korytarz kończył się ślepo w malutkim pomieszczeniu, z którego wiodły trzy pary drzwi. Lampa w kącie rzucała cień na podłogę.

Zamknęłam oczy, wyobrażając sobie, że to tylko zły sen i za chwilę się obudzę.

Ale to nie był sen.

Westchnęłam i podniosłam powieki. Bardzo nie chciałam tego robić, ale musiałam przeczytać wiadomość od Jaga. Z tylnej kieszeni dzinsów wyciągnęłam kopertę. Widok jego pisma nadal odbierał mi dech, ale kiedy ją otworzyłam, zachciało mi się płakać.

List zawierał dwa słowa: „Leć, dziecinko”.

Podarłam go na drobne kawałki. Leć? Ten idiota chciał, żebym latała? Z pewnością wszystko wokół będzie latać, jak go dopadnę.

Mój wzrok przyciągnął słaby blask pod środkowymi drzwiami. Rozpłaszczyłam się na podłodze i zajrzałam do szczeliny.

Błękitne światło pulsowało łagodnie.

Spod drzwi po lewej stronie wypływał silny strumień zielonego światła.

Pod drzwiami po prawej była tylko ciemność.

Wstałam, próbując zrozumieć, co mogą oznaczać te kolory.

Prawe drzwi wykluczyłam od razu. Obrzydło mi już przebywanie w ciemnościach. Więc niebieskie czy zielone?

Usiłowałam to rozważyć, ale w głowie miałam pustkę. Ta głupia purpurowa pigułka. Wiedziałam, że nie powinnam była jej brać. Nic nie czułam.

Na chybił trafił podeszłam do lewych drzwi i przekręciłam gałkę.

Wewnątrz wpatrywał się we mnie z podłogi pierścień wchodni.

Jasne. Jakbym chciała przenieść się na górę, kiedy dopiero co, Bóg wie ile czasu zajęła mi wędrówka krętymi schodami w dół. Odwróciłam się, żeby wyjść.

Jeden problem: nie było drzwi.

– Nienawidzę cię, Jake – wymamrotałam.

Siła wyrzutu wchodni zawsze powoduje, że pochylam głowę ze strachu, by nie roztrzaskać się o sufit. Jednak i tym razem rozpadłam się na cząsteczki, nie doznając żadnych obrażeń.

Wylądowałam w kompletnie nijakim pomieszczeniu bez okien. Szary cement wypełniał je od ściany do ściany. Obracając się pomału wokół własnej osi, nie zdołałam wypatrzeć żadnego śladu wyjścia.

Bo go nie było. Fantastycznie.

Oparłam się o ścianę. Zdecydowanie prawdziwa. Przyciskając dłonie do tynku, powoli dotarłam w kąt pokoju. Posuwałam się dalej, dopóki na trzeciej ścianie nie wymacałam niewielkiego wybrzuszenia. Moje palce natrafiły na miejsce, gdzie znajdowała się gałka drzwi. Przekreśliłam ją i drzwi się otworzyły.

Stałam bardzo wysoko, na progu, za którym nic nie było. Daleko w dole skrzył się jasny piasek. Poczułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Kurczowo zacisnęłam dłoń na framudze, bo krajobraz zaczął się kołysać. Przed moimi oczami wirowały białe kreski. Nie mogłam złapać tchu.

Ale po drugiej stronie bardzo wietrznego kanału leżało miasto Przymorze. „Leć, dziecinko”.

Niech cię diabli wezmą, Jagu Barque! Prosto do piekła.

Nie radzę sobie z dużymi wysokościami. A szybowanie na wietrze? To też nie moja specjalność. Dawno temu pragnęłam wzlecieć do nieba, żeby dotknąć gwiazd. Teraz chciałam tylko skulić się w łóżku na parterze i móc zapomnieć o wszystkich i o wszystkim.

– W jaki sposób mam latać? – Wiatr nie udzielił odpowiedzi. Zresztą nikt tego nie zrobił, co tylko przypomniało mi, że jestem bardzo samotna. Szum wichury brzmiał jak śmiech, kiedy szarpała mnie za włosy.

Nagle mój lekki plecak wydał się bardzo ciężki. Całym ciałem

przywarłam do najdalszej ściany. Głęboko oddychając, zamknęłam oczy i spróbowałam odnaleźć prąd powietrza. Niczego nie wyczułam.

Z gardła wyrwał mi się krzyk. Pobiegłam tak szybko, jak potrafiłam i prawą stopą odepchnęłam się mocno od progu.

Runęłam na głowę ku pieniającym się falom oceanu. Już nie wydawały się takie spokojne. Teraz zagrażały mojemu życiu.

Plecak pchał mnie w dół, przyspieszając tempo spadania. Rozpostarłam ręce i nogi, usiłując złapać wiatr.

Uderzył we mnie porywisty podmuch. Błagałam, żeby utrzymał mnie w górze.

Moje prośby zostały zignorowane. Czas zwolnił.

Fala cisnęła mną z taką siłą, że przed oczami zawirowały mi czarne iskry. Plecak pociągnął mnie za sobą. Obróciłam się i pokoziołkowałam w płynną ciemność, usiłując znaleźć drogę na powierzchnię.

Nie mogłam.

Wszystko dookoła wyglądało tak samo. Granatowo. Duszno.

Postanowiwszy, że się nie poddam, zaczęłam mocniej kopać. Plecak stał się jeszcze cięższy. Zdołałam się od niego uwolnić.

Znosiło go w głębinę – tak samo jak mnie.

Słona woda wypełniała mi płuca.

Odwróciłam się od tonącego plecaka i wierzgałam nogami, żeby wypłynąć.

Coraz wolniej. I wolniej.

Aż nie mogłam już więcej wierzgać.

Symulacja końca? – zapytał jakiś głos.

– Nie. Kontynuuj opcję dziesiątą – odparł Jake.

„Leć, dziecinko”. Te słowa odbijały się echem wokół mnie. Szydzą.

– Zakoduj drzwi. Zwiększ stopień zabezpieczenia techniki kierunkowej. – Wypowiedane na głos rozkazy zagłuszyły polecenie z listu Jaga, w kółko powracające w moim koszmarze.

– Badana jest pod wielką presją, sir – zameldował komputer.

– Vi? – Jake położył dłoń na moich plecach. Od jego dotyku coś we mnie zaiskrzyło. Rozkasłałam się. Miałam wrażenie, jakby ktoś obmywał mi płuca ciekłym tlenem.

Spróbowałam otworzyć oczy, ale zbyt mocno piekły. Ręce i nogi ciążyły mi, przytłoczone frustracją. I wodą.

– Powraca do życia, sir.

– Wznów tryb niewidzialności – nakazał Jake.

Czas popędził wstecz. Usiadłam i otworzyłam oczy. Twarda podłoga wbijała mi się w kość ogonową. Spod dwóch par drzwi sączyło się światło – jednostajne zielone i pulsujące niebieskie.

Nienawidziłam Jaga najbardziej na świecie.

Latanie? Nie, dziękuję.

– Jake?

Żadnej odpowiedzi.

– Jake! Wiem, że tu jesteś. Zabiję cię, jak tylko znowu się spotkamy!

– Obiecałaś – jego głos dobiegał zewsząd.

– Chrzanić to! – wrzasnęłam, wstając. – Skoczyłam z jakiegoś cholernego budynku. Ktoś musi umrzeć.

– Skup się na Jagu. To on mnie zmusił do zaprogramowania tej

symulacji.

– Mogłam utonąć.

– Jesteś wodniaczką. Nie mogłaś. – W głosie Jake'a dosłyszałam uśmiech. Wyobraziłam go sobie na jego twarzy.

Mój gniew sflaczał.

– Akurat. Co teraz?

Jake nie odpowiedział.

Rozejrzałam się po pokoju z nadzieją, że ujrzę dużą strzałkę wskazującą mi właściwy kierunek. Korytarz był szczelnie zamknięty.

– Stąd nie ma wyjścia. – Panika narastała falami. Starłam się ją powstrzymać, biorąc głęboki oddech.

– Leć – szepnęłam sama do siebie. – To kompletnie bez sensu.

Teraz zielone światło płonęło pod środkowymi drzwiami. Po lewej stronie panowały ciemności. Prawa pulsowała na niebiesko.

Mój ekwipunek wyglądał na nienaruszony, więc zarzuciłam plecak na ramiona. I położyłam dłoń na drzwiach po lewej.

Siła techniki niemal odrzuciła mnie do tyłu.

W głowie mi wirowało. Próbowałam zabrać rękę, ale sprawiała wrażenie przy spawanej do metalu. Czułam ucisk w brzuchu. Moja klatka piersiowa płonęła.

Kiedy w końcu udało mi się oderwać, osunęłam się na kolana. Potrzebowałam jeszcze jednej purpurowej pigułki. Wolałam już nic nie wiedzieć, niż kiedyś spłonąć od wewnątrz.

Podpełzłam do następnych drzwi. Tych nawet nie musiałam dotykać. Technoszumy napełniły mi uszy, oczy, usta. Skrzywiłam się, jakbym zjadła coś kwaśnego.

Z jękiem poczołgałam się dalej, żeby je wyminąć. Wreszcie, uwolniona od osłabiającej techniki, mogłam wstać. Zza trzecich drzwi dobiegał tylko szmer.

– Technosymulacje – powiedziałam. Uświadomienie sobie tego było jak cios pięścią w brzuch. – Jake, już nie żyjesz! Nabrałeś mnie na te purpurowe pigułki!

– Ale teraz przynajmniej wiesz, że nie potrafisz panować nad żywiołami.

Jakby to miało poprawić mi samopoczucie.

– Mam nadzieję, że spisałeś testament!

– Obwiniaj Jaga – odparł.

– Och, obwiniam – warknęłam. – Uwierz mi, on też już nie żyje. –
Wyobraziłam sobie, jakby się uśmiechał, gdyby mnie zobaczył.

Nie zauważyłby nawet zbliżającej się pięści.

Jedyne drzwi, spod których technika nie lała się wiadrami, miały niebieskie, pulsujące światło. Gałka lekko raziała technoszumem, ale nie było to natężenie, którego nie mogłabym znieść. Na pewno nie pełen symulacyjny zapas.

Więc wzięłam głęboki oddech i otworzyłam je.

Niebieska jasność trwała niezmiennie u wylotu długiego korytarza. Drzwi za moimi plecami zatrzasnęły się, ale pozostały na swoim miejscu. To pomieszczenie było prawdziwe. Ruszyłam w stronę światła (znowu). I doszłam do wielkiego, owalnego okna. Błękitny kolor pochodził od słonecznego blasku przeświecającego przez wody oceanu. Fale chlupotały o szkło, dając efekt rytmicznego pulsowania.

Zawróciłam, prawie pewna, że drzwi okażą się zamknięte na klucz. Ale otworzyłam je bez trudu. Przede mną majaczył znajomy korytarz. Ponieważ pozostałe dwa przejścia znikły, doszłam do wniosku, że symulacja wreszcie się skończyła.

Serce waliło mi jak młotem. Mogłam po prostu wdrapać się na górę tymi absurdalnymi schodami. Wskoczyć do łodzi. Pożegłować do Przymorza.

Dlaczego miałam szwendać się tu, na dole? Po jakichś ciemnych tunelach.

Nie, wcale nie musiałam.

Więc ruszyłam z powrotem do magazynu. Energicznym krokiem minęłam regały pełne technogadżetów i zaczęłam wspinać się po kamiennych stopniach.

Jeszcze nie zdążyłam się zasapać, kiedy w górze rozległo się donośne bum!

Zamarłam.

Gdzieś wysoko nade mną wrzeszczeli ludzie. Ty. Jake. I tata.

– Wiem, że ona tu jest. Twoje podanie jej nie osłoni. – Miałam wrażenie, jakby jego głos grzmiał zaledwie kilka centymetrów od mojego ucha.

„Leć, dziecińko”.

Zawróciłam i umknęłam tą samą drogą, którą przyszłam.

– Nie możesz! – krzyknęła Ty. – To jest teren chroniony.

– Nie dla niej – odparł tata. – Idziemy, Zenn.

Popędziłam w głąb korytarza, przez jedyne drzwi i dalej, aż do okna. Prawie szlochając, przesuwałam dłońmi wokół szyby. Moje palce nie natrafiły na nic, za co można złapać; na nic, czym można by ją wyważyć.

W popłochu gwałtownie się odwróciłam. Korytarz był pusty. Drzwi nadal zamknięte.

Trzymając się ściany, pobiegłam z powrotem w kierunku wyjścia. Musiałam się stąd wydostać. W połowie korytarza moja ręka oderwała się od powierzchni muru.

Nie, niedokładnie tak. To powierzchnia muru zniknęła.

Zatrzymałam się i zajrzałam do... hm, do ściany. Sięgnęłam. Ręka przeszła przez pozornie twardą strukturę. I zanurzyła się w niej aż do łokcia. Ta ściana była projekcją.

Gałka u drzwi zagrzechotała. Przeskoczyłam przez projekcję i przycisnęłam się plecami do czegoś twardego. Z mojej kryjówki nie było widać korytarza.

Nie pomogło to złagodzić paniki, wzbierającej mi w brzuchu. Zwłaszcza kiedy otworzyły się drzwi i w pobliżu zadudniły kroki.

Po chwili tupot nóg przycichł. Pogoń się oddaliła. Niestety, o wiele za szybko kroki powróciły.

– Zenn, zarządz przeszukanie sieci tuneli w Przymorzu.

Z całej siły zagryzłam wargi, żeby powstrzymać krzyk. Tata był tak blisko, że właściwie mogłam słyszeć jego myśli.

Starłam się stłumić swoją kontrolę. Uczucia. Oddech.

Zenn monotonnym głosem powtórzył rozkazy mojego ojca.

– Każdy tunel bez wyjątku – ciągnął tata. – Chcę ją mieć. Jeśli uda jej się dotrzeć do centrum, nie będę mógł za nią pójść. Wtedy wszystko będzie zależało od ciebie, synu.

– Nie jestem pańskim synem. – Głos Zenna zabrzmiał ochryple, jakby nie używał go od tygodni. Przynajmniej wypowiedział słowa, które przedarły się przez łomot mojej krwi.

– Masz odnaleźć Violet i przyprowadzić ją do mnie. Powiedz, wyczuwasz gdzieś tutaj jej obecność?

Te słowa wywołały we mnie przyływ gniewu. Żeby mnie ścigać, tata nie potrzebował lokalizatorów ani przyczepiaków. Miał Zenna. Posiadał go na własność.

A Zenn mnie kochał.

– N-nie – wykrztusił.

– Dziwne. – Głos ojca ociekał niedowierzaniem. – W tej strefie nadal są jej odczyty.

– Pewnie symulatory – odparł Zenn.

– Może. Ale ty ją znajdziesz, prawda, specjalisto Bower?

– Tak jest, sir. Znajdę.

– Przy tym wyjściu zostaw kogoś na straży. Na wszelki wypadek.

Zenn powtórzył rozkazy i drzwi się zatrzasnęły. Jego głos znowu brzmiał obco.

Wypuściłam oddech, który dotąd powstrzymywałam. Jednak trudno mi było poczuć ulgę, kiedy uważnie rozejrzałam się po swojej kryjówce. Pomieszczenie byłoby całkiem puste, gdyby nie stojący w kącie poduszkopty.

„Leć, dziecińko”.

O mało nie roześmiałam się na głos.

Jakbym umiała pilotować poduszkopty. Mimo wszystko szybko do niego podbiegłam. Z agentem na posterunku przy drzwiach nie miałam szansy wydostać się zwyczajną drogą.

Wpęczając do poduszkopty, nałykałam się więcej kurzu niż powietrza. Sapałam chrapliwie. Starłam się głośno nie kasłać. Nic nie pomogło. Opadłam na fotel pilota i kichnęłam w zagięcie łokcia.

Zastygłam w oczekiwaniu na iskrę paralizatora. Na gniewny głos, krzyczący: Nie ruszać się!

Zaskrzypiały drzwi. Ktoś zrobił kilka niepewnych kroków. Zacisnęłam powieki, jakby mogło mnie to uczynić niewidzialną.

Po minucie, która dłużyła się jak godzina, drzwi się zamknęły.

Kiedy otworzyłam oczy, ujrzałam przed sobą wielki pulpit pełen różnych pokręteł. Żałowałam, że nie poświęciłam więcej uwagi tamtemu pilotowi. Nawet nie wiedziałam, gdzie położyć ręce.

Albo jak uruchomić to głupie urządzenie. Więc zrobiłam jedyną rzecz, którą potrafiłam wymyślić. Zażyczyłam sobie, żeby maszyna się

włączyła. I włączyła się.

Moja prawa ręka w zupełnie naturalny sposób sięgnęła po sterzący przede mną drążek steru, podczas gdy lewa majstrowała przy kilku pokrętłach na suficie.

Nie miałam pojęcia, co robię, ale wszystkie moje ruchy były wprawne. Precyzyjne. Pstryknęłam dwoma kolejnymi przełącznikami. Wirniki z turkotem ożyły. Odblokowałam przyrządy sterownicze i poduszkopter – tylko posłuchajcie – uniósł się w powietrze.

Chciało mi się wymiotować. Ale jakimś cudem latanie tą maszyną okazało się... łatwe.

Skierowałam ją w stronę wirtualnej ściany. A przynajmniej tam, gdzie sądziłam, że powinna się znajdować. Zgrzyt metalu o metal wykrzesał ogon iskier. Szarpnęłam poduszkopterem w lewo i weszłam w zakręt, gdy z impetem rozwarły się drzwi. Szybko nacisnęłam trzy guziki, jeden po drugim, i przycisnęłam drążek steru niemal do pulpitu.

Maszyna wystrzeliła do przodu, kierując się prosto na okno.

Tuż przed zderzeniem zamknęłam oczy. Tak, jestem tchórzem. Sądziłam, że odbiję się od przeszkody, zaleję krwią i zostanę aresztowana.

Zamiast tego szyba pękła. Poduszkopter wypłynął na ocean, zostawiając pogoń daleko w tyle.

W wodzie nie było już tak łatwo nim kierować. Wykonywałam niezgrabne zakręty, podążając nieznanym szlakiem. Jednak wydawało mi się, że zmierzam we właściwą stronę.

Z przodu, przede mną, rozbłysła jaskrawo koralowa ściana. Stalowe drzwi kusiły i wabiły.

Pstryknęłam przełącznikiem i rozsunęły się. Szybko wprowadziłam maszynę do obszernego, niezakłóconego żadną techniką tunelu. Znowu klepnęłam przełącznik i obróciłam się, żeby popatrzeć, jak wrota się zasuwają. Na podłodze połyskiwała woda z oceanu. Moja ręka znalazła kolejny guzik i nacisnęła.

W posadzce otwarły się niewielkie dziury, skutecznie osuszając całą powierzchnię. Skoncentrowana na pilotowaniu, zanim się zorientowałam, wleciałam do jaskini wykutej w ciemnobrązowej

skale.

Wylądowałam i wysiadłam. Przy jednej ze ścian znajdowały się cztery boksy. W każdym stał poduszkopter. Co za wspaniała jaskiniowa brama wjazdowa.

Po drugiej stronie pieczary znajdowała się jedna jedyna para drzwi. Kamienne ściany pamiętały czasy sprzed wielkich pożarów i powstania dyrektoriatu. Dno tunelu opadało, powietrze z każdym krokiem stawało się coraz chłodniejsze. Moje oczy łatwo przywykły do ciemności. Prawdopodobnie dlatego, że sobie tego zażyczyłam.

Światło z jaskini zdążyło już zaniknąć, kiedy korytarz rozwidlił się w dwóch kierunkach.

Kontrolować czy nie kontrolować?

W pojedynkę czy razem?

Zenn czy Jag?

Obowiązek czy śmierć?

Nienawidziłam mieć tylko dwie możliwości do wyboru. Naprawdę, naprawdę tego nienawidziłam.

Teraz, wpatrując się w litą skałę przed sobą, mogłam skrócić tylko w prawo lub w lewo, lecz bardzo chciałam mieć trzecie wyjście. Przycisnęłam palce do ściany. W dotyku była jednocześnie szorstka i gładka. Gorąca i zimna. Zamknęłam oczy i oparłam się o nią, życząc sobie, żeby ustąpiła.

Kamień pod moją ręką zaczął zatapiać się w sąsiednich. Wkrótce skała poruszyła się o piętnaście centymetrów.

Powietrzem wokół mnie wstrząsał donośny hałas. Cofnęłam się, a tymczasem ściana sunęła w bok, jakby bazowała na kulawej dawnej technice.

Przez szczelinę przecisnęłam się do jaskini bez sklepienia. Jag był bardzo blisko. Czulałam dreszcz na wspomnienie jego dotyku.

Z komory, w której teraz stałam, rozchodziły się liczne korytarze. Większy wybór.

Ocalić Zenna?

Przyłączyć się do taty i dyrektoriatu? Uciec z Jagiem i żyć na plaży? Ratować świat?

Zanim zdążyłam podjąć decyzję, za moimi plecami rozległ się

kontrolowany głos Zenna.

– Jest tutaj, sir. Odbieram jej obecność.

Niemal czułam na twarzy pieczętę jego rąk. Zatrzymałam się. Rozpaczliwie chciałam mu pomóc. On, tak samo jak ja, nienawidził być kontrolowany. Wiedziałam, że to dzięki niemu pozbyłam się przyczepiaka. Na tyle na ile był w stanie, Zenn zawsze mnie chronił.

– Musimy ją znaleźć, zanim przedostanie się do centrum – ton taty przejął mnie chłodem. Spróbowałam wysledzić umysły ludzi, którzy mnie ścigali. Thane'owi towarzyszyło dwunastu agentów Sił Specjalnych.

Violet, powiedział tata, odkrywszy, że czaje się w jego głowie.
Zenn cię kocha.

Stanowcza wobec raz podjętych decyzji, wypełniałam myśli wspomnieniami o Jagu.

Głos Zenna stawał się coraz donośniejszy. Wołał mnie po imieniu. Zażyczyłam sobie, żeby ściana wróciła na dawne miejsce, tarasując drogę pogoni.

Potem wybrałam tunel i pobiegłam.

Jag stał w okrągłej komorze. Oczy błyszczały mu, jakby właśnie brał udział w najlepszej przygodzie swojego życia. Spodnie zwisały na nim zbyt nisko, buty wyglądały na zbyt duże, czarna koszula zlewała się z otaczającym go mrokiem. Za to kamienie naszyjnika jarzyły się w ciemnościach. Ich światło zmiękczało zarys jego szczęki.

Podbiegłam i kiedy mnie pochwycił, oplotłam go nogami w pasie. Zakreślił się ze mną w objęciach i oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

Tak, owszem, byłam zakochana w Jagu Barque'u.

– Zenn tu jest – szepnęłam, wtulona w jego szyję. – Mój ojciec znowu go kontroluje.

– A gdzie Gavin? – Postawił mnie na ziemi i otarł mi policzki. Nie zdawałam sobie sprawy, że się rozplakałam.

– Właśnie, Gavin. Musimy o niej pogadać. – Cofnęłam się. Nie powiedziałam nic więcej. Bo mógłby zauważyć, co czuję.

Przyciągnął mnie do siebie i oparł się czołem o moje czoło.

– Ona nic dla mnie nie znaczy. To po prostu instruktorka.

– Jake mówił, że spędzaliście zamknięci w pokoju długie godziny.

– Nienawidziłam oskarżenia, kryjącego się za moimi słowami.

– Jake za dużo gada. – Oczy Jaga wypełniło uwielbienie, na które nie zasługiwałam. – Vi, ty jesteś moim dławicielem.

Nieznacznie kiwnęłam głową. Głupie łzy płynęły mi po policzkach. Jag wytarł je, zanim mnie pocałował.

– O co chodzi z tym idiotycznym symulatorem? – zapytałam. – Jake mówił, że to ty...

– Jak już powiedziałem, Jake za dużo gada. Musiałś przejść ten test. – Roześmiał się cicho. – Więc gdzie jest Gavin?

– Nie wiem. Jaki test?

Jag splótł swoje palce z moimi.

– Jake opracował ten wymyślny system do wykrywania talentów.

– System polegający na zmuszaniu ludzi, żeby wybierali drzwi?

– Tak. To też się przydaje. Widzisz, on programuje symulator na trzy talenty: technika, żywioły i przystosowania genetyczne. Każdy ranger podpada pod jedną z tych kategorii. Kiedy wybierasz drzwi zgodne ze swoim prawdziwym talentem, zostajesz wpuszczona.

– Więc to w ogóle nie jest symulator.

– Jasne, że jest. W przypadku dwóch talentów, których nie posiadasz. Każdy otrzymuje wskazówkę. Twoją napisałem ci w liście.

– W jego głosie zabrzmiała duma z własnej przemyślności.

Miałam ochotę poinformować go, że ta nędzna dwuwyrzowa wskazówka nie była specjalnie pomocna. Ale Jag ścisnął moją dłoń, więc się nie odezwałam.

– Pilotowałaś poduszkopter? – zapytał. – Czy szybowałaś na wietrze? A może się przystosowałaś? Kielkujące skrzydła albo coś w tym rodzaju?

– Kielkujące skrzydła?! – Co za szczęście, że nie wybrałam drzwi, za którymi było ciemno. – Chyba zwariowałaś. Poleciałam poduszkopterem.

– Wiedziałem. Dobrze sobie radzisz z techniką.

– A jest coś, czego nie wiesz? – Nie cierpiałam tego, że zawsze ma rację.

– Wcale nie zawsze. Po prostu widziałem, jak załatwiłaś jednego czy dwa Mediany. No, może dwadzieścia. Więc gdzie jest Gavin?

– Nie wiem. Tata... och, nie. – Kurczowo zacisnęłam palce na jego ręce. – Tata był u Ty. A jeśli ją aresztował?

– Dom Gavin jest chroniony. Thane nie może jej tam tknąć. – Ujął w dłoń moją twarz. Jego chłodny oddech muskał mi policzek. – Łączy was taka silna więź. I obie macie takie wielkie zdolności. Przypuszczam, że odziedziczyłyście je po ojcu.

Rozejrzałam się dookoła, żeby nie musieć myśleć o tacie. W jaskini, oprócz nas dwojga, nie było nikogo.

– A Zenn?

Jag zacisnął zęby. Odsunął się i bacznie mi się przyjrzał. Znałam ten wzrok. Sprawdzał moje uczucia. Nie próbowałam ich ukrywać. Liczyłam, że on zdoła uporządkować mój wewnętrzny galimatias.

– Ty mówiła, że Zenn zorganizował jej ucieczkę. A mnie pomógł pozbyć się przyczepiaka. – Podniosłam rękę, żeby Jag sam zobaczył.

Przesunął palcem po wąskiej bliźnie.

– Przez całe lata Zenn był moim najlepszym przyjacielem. Łączył nas ten sam cel, ale bardzo różniły metody, którymi, jak wierzyliśmy, można go osiągnąć.

– Nie możesz winić go za to, co zrobił, będąc pod kontrolą. To niesprawiedliwe.

– A jeśli używał swojego daru kontroli również w zły sposób? To co wtedy?

Przyjrzałam się twarzy Jaga i zobaczyłam w niej małego chłopca, który chce tylko, by ktoś go zapewnił, że wszystko znajdzie swoje rozwiązanie.

– Pomógł mi pozbyć się przyczepiaka – powtórzyłam.

– Co jeszcze nie znaczy, że teraz jest dobrym facetem.

– Nie ma dobrych facetów, Jag. Właśnie o to chodzi. Dobrzy, źli, to nieistotne.

W jego oczach zapłonął ogień.

– Nie wierzę w to. I ty też nie wierzysz. Są rzeczy, które uważamy za słuszne i takie, które uważamy za niewłaściwe.

Tak, miał rację. Ale dręczyło mnie wspomnienie słów taty. „Wszystko sprowadza się do wyboru komu uwierzyć”. A ja nadal nie miałam pojęcia.

– Co teraz? – zapytałam. – Jake mówił, że znajdę tu na dole to, czego potrzebuję.

– I tak będzie. – Jag podniósł z ziemi plecak. – Użyj swojej więzi z Gavin, żeby ją odszukać. – Wepchnął coś do tylnej kieszeni. – Muszę już spadać.

Chwyciłam go za rękę.

– Nie ma mowy. Dokąd idziesz?

– Wysyłamy naszych ludzi do Białych Skał. Na jutro rano wyznaczone jest spotkanie rady.

– Białe Skały?

– To kilkaset kilometrów stąd na północ. Nic się nie martw. Teleportujesz się z Pace'em. Ja muszę pomóc przy ewakuacji. Jeśli Thane się pojawi, mogę użyć głosu, żeby na pewno każdy zdążył uciec.

– Idę z tobą. – Tyle chciałam mu powiedzieć, ale nie potrafiłam. Jednak wszystko, co do niego czułam, zawierało się w tych trzech słowach.

Jag ujął moje dłonie i przez chwilę wpatrywał się w nie, zanim przemówił:

– Niedługo nadejdą Gavin i Pace. Potem wszyscy razem teleportujecie się do Białych Skał. Za kilka godzin spotkam się tam z wami. Proszę, zaczekaj na Pace'a.

– Nie. Ty nie dotrzesz do Białych Skał. – Po prostu to wiedziałam. Tak jak kiedyś wiedziałam, że nie zdoła wyjść ze swego domu w Złych Ziemiach. Jak wiedziałam, w jaki sposób pilotować poduszkopter.

– Jasne, że dotrę, dziecinko. Mówiłem, że nigdy cię nie opuszczę.

Jednak ja słyszałam kryjące się w tej obietnicy kłamstwo. A poza tym przedtem też mnie zostawiał. Pokręciłam głową, próbując powstrzymać łzy gniewu.

– Nie. Nie odchodź.

Jag pochylił się i zaczął mnie całować. W dotyku jego ust była jakaś nowa twardość, której wcześniej nie czułam. Coś desperackiego i surowego. Wydawało się, że nigdy nie przestanie. A potem nagle cofnął się i szepnął:

– Znajdę cię. Kocham cię. – Odwrócił się szybko i zniknął w głębi tunelu.

Stałam w ciemnej komorze – w miejscu, gdzie miałam napotkać to, czego potrzebuję. Ale niczego tu nie było. Tylko ja.

Szukałam po kieszeniach telefonu. Nagle palce zacisnęły mi się na czymś twardym. Pierścień teleportacyjny, który zabrałam Łysołowi. Oprócz technotelefonu, na mój arsenał składały się pomniejszacz, umiejscawiacz i kostka żywnościowa.

Zamknęłam oczy, żeby skontaktować się z Ty. Była kilkaset metrów dalej, po drugiej stronie ściany, którą miałam za plecami. Podeszłam tam i przyłożyłam rękę do skały. Ty zrobiła to samo. Czułam jej dotyk, niemal skóra przy skórze.

– Teraz w lewo – szepnęłam. Tyson nie odrywała dłoni od ściany, żeby podtrzymać naszą łączność. – Znowu w lewo – kierowałam nią. Jeszcze kilka zakrętów i weszła do mojej skalnej komory.

– Dzięki, Vi – powiedziała z szerokim uśmiechem. – Dobra robota. – W międzyczasie przebrała się w dżinsy. Swój telefon nosiła w kaburze, przymocowanej na ramieniu wokół bicepsu. – Masz to wrodzone.

Sprawdziła ekranik technourządzenia.

– Hm. Żadnych kierowniczych wskazówek. Żadnych dyrektorów. – Schowała telefon i wyciągnęła do mnie dłoń z purpurową pigułką.

– Nie chcę – powiedziałam. – Poprzednim razem, jak ją wzięłam, wyskoczyłam z wysokiego budynku.

– To nie przez pigułkę.

– Ale i tak nie chcę.

– Będziesz ich potrzebowała – upierała się moja siostra. – Thane spróbuje mącić ci w głowie za pomocą techniki. – Wcisnęła mi pigułkę do ręki. – Weź ją. Uwierz, będzie ci potrzebna.

Badawczo wpatrywałam się w twarz Ty.

– Dobrze. – Połknęłam lekarstwo i nic się nie wydarzyło.

Jeśli nie liczyć tego, że nie wyczułam technoszumów, nim

w wejściu nie ukazał się jakiś mężczyzna. Rzuciłam się za Tyson, która schroniła się w mrok.

Mężczyzna miał drgawki. Srebrzyste włosy, ściągnięte w kucyk, opadały mu na plecy. Ostatni dreszcz wstrząsnął jego ciałem i Pace Barque odwrócił się. Jego szare oczy nie błyszczały tak, jak zapamiętałam, a policzki były zapadnięte. Ty zapiszczała z radości i popędziła mu na spotkanie.

– Musimy iść – powiedział, kiedy już ją uściskał.

– Do Białych Skał? – Nie zamierzałam nigdzie ruszać się bez Jaga. Zignorował mnie i zmarszczył czoło.

– Thane... hm, wasz ojciec... niedługo tu będzie.

– Jake mówił, że tata nie może tutaj wejść – powiedziałam.

Pace sięgnął do kieszeni.

– Wiem, ale tylko Thane nie może. Zenn i jego ludzie mogą. I wkroczą lada chwila. Proszę, weźcie je. Za parę minut będziemy w Białych Skałach. – Podał Ty pierścień do teleportacji.

Mnie wręczył drugi. Wzięłam go i wsunęłam do kieszeni, w której spoczywał pierścień Łysola.

– Zabiorę Jaga i spotkamy się z wami już na miejscu.

– Nie możesz szukać Jaga – powiedziała Ty obcym głosem. – Odszedł do Wolności. To jedyny sposób, żeby zadowolić Thane'a.

Ogarnęła mnie ciemność skalnej komory. Zgęstniało powietrze, zbyt zimne, by nim oddychać.

– Do Wolności? – Nie, to nie mogło działać się naprawdę.

– Musimy już ruszać – powiedział Pace, zerkając przez ramię. – Obiecałem Jagowi, że dostarczę cię bezpiecznie do Białych Skał, Vi. Chodź. – Wyciągnął rękę, ale się cofnęłam.

– Bez niego nigdzie nie idę – oznajmiłam, odwracając się.

Tyson kurczowo chwyciła mnie za łokieć.

– Nie możesz. Jag nie...

– Zobaczyłaś, że go złapią? – zapytałam.

– Niezupełnie. On tam idzie dobrowolnie.

– A ty o tym wiedziałaś? – Spojrzałam na Pace'a. Gapił się w ziemię. – Oboje wiedzieliście i żadne z was mi nie powiedziało? – Gorące łzy szczypały mnie w oczy. Wymacałam w kieszeni dwa

pierścienie.

– Vi, Jag od początku znał swoją rolę. – Pace podszedł do mnie. Jego szare jak dym oczy zaszklily się łzami.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie. – To nie działo się naprawdę. Nie mogłam opuścić Jaga. On wypełniał moje puste miejsca.

Pace otoczył mnie ramionami i przytulił do piersi. Mocny rytm jego serca łomotał mi w uchu, tak samo jak kiedyś serce Jaga.

– Wiedział, że jest tym, który musi iść. Ale nie znał ciebie, dopóki nie pojawiłaś się w więzieniu. Wczoraj prawie uciekł. Nie był pewien, czy potrafi się z tobą rozstać. Zrobił to, żeby cię ocalić.

– Zrobił co? – Ledwie rozpoznałam własny głos. Oddech mi się rwał. Serce waliło o żebra.

– Jag musi odejść z Thane'em – powiedziała Ty. – Zobaczyłam to już dawno temu. Właśnie dlatego przyspieszył swoje szkolenie.

– A jeśli się mylisz?

– Nigdy się nie mylę – wyszeptała.

– Ale mnie nie widziałaś. – Każdy oddech podsyczał płomienie buchające mi w piersi. Chyba moje serce chciało przestać pracować, jakby myśl o utracie Jaga sprawiała, że nie miało już po co bić.

– Widziałam, że Jag znajdzie kogoś istotnego dla Ruchu Oporu. Znalazł ciebie. – Ty zamknęła oczy i głęboko zaczerpnęła tchu. Potem tylko pokręciła głową.

– Vi, Jag wiedział, że będzie musiał pójść – powiedział Pace.

– Zamknij się! – Odepchnęłam go. – Kłamiesz. On by tego przede mną nie ukrywał. Przyznaj się, że kłamiesz. – Wtargnęłam do ich umysłów, życząc sobie, by potwierdzili, że to wszystko nieprawda.

Nie potwierdzili.

Zamiast tego, z ponurymi minami przysunęli się bliżej do siebie.

Wiedziałam, że Jag kłamał, kiedy mówił, że nigdy mnie nie opuści. Przez cały czas wiedział, że to zrobi. Ta myśl spotęgowała gniew rozplywający się w moich żyłach.

Kiedy haustami łapałam powietrze, powróciły do mnie słowa Jake'a. „Pamiętaj o wszystkim, co ci mówił, nawet jeśli to drobnostki”.

Wypełniał mnie tlen i wypierał wściekłość. Mój umysł był już

całkiem spokojny, gdy przypominałam sobie coś, co powiedział Jag: „Nie wolno nam się rozstać. Razem mamy większą szansę przetrwania”.

I jego ostatnie słowa: „Znajdę cię. Kocham cię”.

Mógł sobie chcieć mnie opuścić, ale prędzej mnie diabli wezmą, nim ja opuszczę jego. Zanurzyłam rękę w kieszeni i wyciągnęłam jeden z pierścieni. Strach przemknął po twarzy Ty. Pacea niemal się uśmiechnął.

– On mnie potrzebuje – powiedziałam, wsuwając pierścień na palec.

– Nie! – Ty rzuciła się w moją stronę.

– Jag. – Zniknęłam, a dłonie Tyson chwyciły pustkę.

Nie mogłam oddychać i nic nie widziałam. Ale słyszałam. Wokół mnie ktoś szeptał i się poruszał. Co kilka sekund techniczne iskierki lizały moje zmysły. Kiedy wrócił mi wzrok, ujrzałam przed sobą stojących w szeregu ludzi.

Z przodu jakiś mężczyzna – Łysol – wszystkim wręczał pierścienie. Kolejne osoby nakładały je, coś mówiły i znikwały. Sznur oczekujących wił się wokół ciasnego, kwadratowego dziedzińca, a potem dalej, za sklepioną bramę.

Jag kręcił się w jej mroku. Z założonymi na piersi rękami, badawczym spojrzeniem mierzył twarze tych, którzy wchodzili na dziedziniec.

Kluczyłam wśród stłoczonych ludzi, dopóki nie wtopiłam się koło niego w ciemność.

– Jag – szepnęłam.

– Violet. – Jego głos leczył rany mojej duszy. Dotyk jego rąk wprawiał w drżenie mój umysł. Chciałam, żeby Jag trzymał mnie w objęciach, całował, mówił, że mnie kocha.

Ale również chciałam żyć.

– Prosiłem cię, żebyś poszła z Pace'em – odezwał się wreszcie.

– Tak, a ja prosiłam cię, żebyś nie odchodził. Powrócił do obserwowania kolejki.

– Teraz to będzie o wiele trudniejsze.

– Co będzie?

Zacisnął szczęki i nie odpowiedział. Ludzie przesuwali się do przodu i jeden po drugim teleportowali się.

Mój plan: pozostać z nim, bez względu na wszystko. Kiedy on wyprawi się do Białych Skał, to i ja.

Jag się wyprostował. W tej samej chwili ujrzałam jasne włosy,

alabastrową skórę i mętne, kontrolowane oczy Zenna. Tłum zaczął bezładnie pierzchać, ale ja tkwiłam na miejscu, przygwożdżona rozpaczą.

Pośród tego pandemonium zalewały mnie emocje taty: nienawiść i triumf, smutek i nadzieja. Masz moc, żeby zmieniać ludzi, huczał mi w głowie jego głos, jakby został wzmocniony i transmitowano go na cały dziedziniec.

Wcale o nią nie prosiłam, odrzekłam. Nie chcę jej. Ty nie panujesz nade mną, a ja nie będę panować nad innymi.

Obowiązek albo śmierć, zagroził. Sięgnęłam po dłoń Jaga.

– Chodźmy – wyszeptałam. – Proszę.

Chwycił mnie mocno za rękę, obrócił pierścień na moim palcu i wymamrotał coś nieoczekiwanego.

– Złe Ziemie.

Pełen bezsilnej złości ryk taty dźwięczał mi w uszach, kiedy rozpraszałam się na tysiące cząsteczek.

Wieczorny wietrzyk pieścił mi skórę. Ciemność sięgała nieskończoności. Moje płuca wołały o oddech, umysł wypełniała mgła. Objawy poteleportacyjne nigdy nie trwały tak długo. Wreszcie czerń pobieliała.

Powietrze wdarło się we mnie. Wciągałam je głęboko, jakbym mogła zmagazynować tlen na następny raz, kiedy znowu trzeba będzie użyć pierścienia.

Otworzyłam oczy i ujrzałam łagodny blask naszyjnika Jaga. Kolorowe szlachetne kamienie promieniowały życiem, w taki sam sposób jak ich właściciel. Błyskawicznym ruchem Jag zdjął naszyjnik i położył na mojej dłoni.

Pokręciłam głową i odsunęłam biżuterię.

– Nie, chcę, żeby był twój – powiedział, zaciskając moje palce na naszyjniku. – Bardzo proszę, dziecinko, weź go.

– Zależy mi na nim, tylko jeśli ty go nosisz.

– Jeszcze będę, obiecuję.

Kłamał, ale i tak schowałam naszyjnik do kieszeni. Kamienie wydawały się ciepłe, nawet przez materiał dzinsów.

– Gdzie jesteście? – Wyjrzałam za róg budynku. Ulica była

oświetlona, ale dziwnie cicha.

– Ulica Główna. – Jag mnie przytulił. – Hej, to tutaj pierwszy raz cię pocałowałem. Domyślam się, że wywarłem niezatarte wrażenie.

Parsknęłam śmiechem, jednocześnie dusząc szloch. Wydawało się, jakbyśmy szli tędy zaledwie wczoraj. Nie potrafiłam dokładnie określić chwili, kiedy się w nim zakochałam, ale to wszechogarniające uczucie teraz mnie wypełniało.

Milczałam, nadal kurczowo trzymając dłoń Jaga. Powietrze rozbrzmiewało bzyczeniem i szmerem owadzych skrzydełek. Cykały świerszcze. Ale na tym koniec. Nikt się głośno nie śmiał. Nikt nie wylegiwał się w parku. Nikt nie siedział w kawiarnianym ogródku, jedząc i ciesząc się swobodą.

Ulicą wlokły się nastolatki w koszulach z długimi rękawami, w jednym kolorze – beżowym i w szerokoskrzydłych kapeluszach. Skrawek odsłoniętej skóry, jaki mi mignął, był jeszcze ubarwiony słońcem, ale miała ona z czasem blaknąć, w miarę trwającego prania mózgów.

Ci, którzy w ogóle rozmawiali, robili to szeptem. Dziewczyny szły z dziewczynami. Chłopcy z chłopcami. Żadnych ukradkowych spojrzeń. Żadnych nieśmiałych uśmiechów. Żadnego trzymania się za ręce.

Żli stali się dobrzy.

– Jag... co się dzieje? Dlaczego tu jesteśmy? Co...?

Ogień w jego oczach zmienił się we wściekłość wystarczająco gorącą, żebym zamilkła. Drgał mu mięsień policzka.

Szerokim gestem wskazał kontrolowany tłum.

– To jest właśnie to, czego on od nas oczekuje – dobitnie wymawiał każde słowo.

Silna fala mdłości podeszła mi do gardła.

– Nie mogę tego robić.

– Czasami musimy robić coś, czego nie chcemy – odparł.

Przejrzałam jego myśli. Nie rozważał azylu w Przymorzu. Dla Jaga istniało wszystko albo nic. Zawsze tak było.

Obowiązek albo śmierć.

Już otwierałam usta, żeby coś powiedzieć, kiedy ścieżka techniki

w moim mózgu nagle zaszła mgłą.

– Kocham cię, Vi – szepnął Jag. – Nie zapomnij o tym. Nigdy. Zawsze będę cię kochał.

– Wzruszające. – Zza grupy przygnębionych Złych wyłonił się tata. Na twarzy nie miał wymalowanych słów: „Kocham cię, moja droga córko”. Raczej: „Mógłbym cię zabić bez mrugnięcia okiem”.

Ale był w swojej starej skórzanej kurtce. Pamiętałam jej dotyk na moim policzku, zapach pasty. Ta kurtka kojarzyła się z tatą, nie z Thane'em – drugim obliczem człowieka, który mnie przytulał i łamał przepisy.

Serce zabiło mi pod wpływem strachu i rozpacz. Kolejna iskra techniki i kilka kroków ode mnie ukazał się Zenn. Stał jak Mechan, nienaturalnie sztywny. W jego oczach nie było życia.

Mój uroczy, wspaniały Zenn.

Jag uścisnął mi rękę. Opuściły mnie napięcie i rozpacz.

– Dławiciele. – Tata wymówił to słowo tak szyderczo, jakby było nieprzyzwoite. – Nieoczekiwany kłopot. Musisz dokonać wyboru, Violet. – Uśmiechnął się, ale jego mina nie wyrażała ojcowskich uczuć. – Zenn czy Jag?

Już dokonałam. W cichym zakątku mojego umysłu kryło się pytanie, dlaczego ani Zenn, ani Jag nic mi nie powiedzieli.

– Zawsze są takie głosy, które nie chcą mówić zbyt wiele – oznajmił tata. – Gdyby Jag był szczery, nie byłoby nas tu teraz. To samo z Zennem. Ale głosy często boją się wpływać na ludzi za sprawą tego, co mówią. Twój ojciec też przez to przeszedł, Jag. Właśnie dlatego musiałem się go pozbyć.

Okrutny uśmiech wykrzywił twarz taty.

– Stefan Barque zrobił transmisje, których słuchałaś prawie całe życie, Violet. Czuł się z tego powodu tak źle, że rzeczywiście stał się zły. Był niebezpieczny, ale przynajmniej przekazał swój dar synowi.

Tata rozłożył ramiona i powiódł spojrzeniem po ulicy.

– Zobaczcie, co potrafimy. W ciągu kilku tygodni zmieniliśmy to niekontrolowane miejsce w oazę dobrobytu. Violet, masz niezwykle możliwości. Mogłabyś zarządzać miastem tego rozmiaru. Mogłabyś

zarządzać dziesięcioma miastami! Świat może należeć do ciebie. Bardzo niewiele osób ci dorównuje. Moglibyśmy pracować razem, znowu być rodziną. Proszę, V, wybierz mądrze.

Dźwięk tego zdrobienia przeszył mi serce. Czułam się rozdarta. Mogłam uczynić tak, jak chciał tata i służyć dyrektoriatowi. Podczas wędrówki do Przymorza wyobrażałam to sobie w dziesiątkach wariantów. Ale żaden z nich nie kończył się dobrze. Ani dla mnie, ani dla Jaga, ani dla Zenna.

Druga możliwość to wrócić do Przymorza, gdzie za pomocą daru kontroli robiłabym coś pożytecznego i cenionego. A Jag i Zenn mogliby pójść ze mną. I wszyscy żylibyśmy wolni.

Wybór, wybór, pomyślałam. Nienawidzę wybierać.

– Dyrektoriat ustanowił tu dyktaturę – powiedział tata. – Rozciągamy nasz program wychowania i rekrutacji na cały region południowy. Te tereny w przeszłości wydawały wielkich Tych-Od-Myślenia. – Przerwał i przygwoździł mnie niebezpiecznym spojrzeniem. – To twoja ostatnia szansa, żeby przyłączyć się do nas bez konsekwencji.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – zapytałam. – Zwyczajnie wróć do Wolności i zostaw mnie w spokoju.

Tata zbliżył się do mnie. Gniew mroczył mu twarz.

– Zależy mi, bo moja praca polega na znajdowaniu rangerów umysłu i dostarczaniu ich dyrektoriatowi.

Chciałam się odsunąć. Brutalne odkrycie, że on tylko wykonuje „swoją pracę”, ugodziło mnie prosto w serce. Przez chwilę sama siebie przekonywałam, że ten człowiek nie jest moim ojcem.

Uścisk Jaga stał się mocniejszy i rzeczywistość legła w gruzach.

Ten człowiek – Thane – był moim ojcem. Moim potwornym, praworządnym, odmóżdżającym ludzi ojcem. Ale ja nie chciałam w niczym go przypominać.

– Muszę wrócić do Wolności przynajmniej z jednym z was – oznajmił. – Violet, bardzo ułatwiłabyś wszystkim sytuację, gdybyś po prostu udała się tam ze mną. Zenn i Jag mogą obaj odejść wolno. – Zrobił kolejny krok w moją stronę. – Proszę.

– Czy ty chociaż mamę kochałeś? – wypaliłam, rozpaczliwe chcąc usłyszeć, że całe moje życie nie było wyłącznie wyrachowanym planem.

– Wybrałem kobietę najbardziej podatną, żeby moje geny całkowicie zdominowały jej. Na tej transakcji zarobiłem dwóch rangerów umysłu. – Uśmiech Thane'a przyprawiał mnie o mdłości.

Nagle to mama okazała się ofiarą. Musiała wiedzieć, że mąż jej nie kocha. A widok córek przypominał jej o tym każdego dnia.

Bezwładnie wsparłam się na Jagu, który oplótł ramieniem moją talię i szepnął:

– To bez znaczenia, Vi. Ja ciebie kocham. Ty też. Zenn zawsze cię kochał. Nawet Pace cię uwielbia. Nie potrzebujesz Thane'a. – Było mi już wszystko jedno, że znów użył swojego głosu; wszystko jedno, że może mówił nieprawdę; wszystko jedno, że oboje rodzice mnie nienawidzili.

Jag mnie kochał.

– Ja też cię potrzebuję, Violet – powiedział Thane. – Tak długo na ciebie czekałem. Przez całe życie pracowałem, żeby urządzić ludziom miasta jako miejsca schronienia, gdzie otrzymują pokarm, wodę i pracę. Gdzie nie wykańczają się na swobodzie. Wszyscy potrzebujemy przewodnictwa dyrektoriatu albo nasza planeta umrze.

– Niedługo Przymorze też padnie – ciągnął. – Dyrektoriat czeka tylko na moje sprawozdanie, zanim rewindykuje cały region oceaniczny. Mogłabyś tam rządzić, Violet. W taki sposób, w jaki chcesz.

– On kłamie – szepnął Jag. – Mamy technikę. Nasze sposoby podróżowania nie zanieczyszczają atmosfery. Nikomu nie grozi śmierć. – Jego oczy płonęły wewnętrznym ogniem, podobnym do blasku szlachetnych kamieni. Miał rację. Nasz świat wcale nie był taki zły, jak twierdził Thane. Naprawdę musimy kontrolować ludzi? Nie można ich przekonać?

– Nie, Violet. Nie można – rzekł tata, odpowiadając na moje ukryte wątpliwości. – Oni zawsze służyli samym sobie, zamiast pamiętać o obowiązkach wobec innych. Potrzebują kogoś takiego jak ty, żeby im mówił, co myśleć, komu pomóc, jak troszczyć się

o cokolwiek poza własnymi egoistycznymi potrzebami. Rasa ludzka ignoruje tych, którym szczęście mniej sprzyja, zakładając, że niedostrzeżenie problemu sprawi, że on zniknie. – Roześmiał się. Zabrzmiało to okrutnie. – Jednak tylko się rozejrzyj. Problemy nie znikają. Wręcz przeciwnie, nasilają się, aż wreszcie masz takich, którzy wysadzają w powietrze domy bez żadnych konsekwencji. Tak się dzieje, gdy brakuje Tego-Od-Myślenia. Jeżeli nie ma kogoś takiego jak ty, kto powie tym egoistycznym istotom, jak postępować.

Dał kolejny krok w moją stronę i leniwym gestem wskazał żywy posąg u swego boku.

– Muszę wrócić z jednym z was. Więc ma to być Zenn?

Spojrzenie jak promień lasera prześwidrowało Jaga.

– A może Jag?

Kiedy przeniosło się na mnie, rysy Thane'a złagodniały i jego twarz znowu przypominała mojego ojca.

– Ale naprawdę potrzebuję ciebie, V – szepnął.

Zanim zdążyłam się odezwać, Jag wsunął mi coś do ust.

– Połknij.

Posłuchałam i niemal w tym samym momencie jęknęłam, dźgnięta techniką. Chwilę później, kiedy purpurowa pigułka przepchnęła się w głąb przełyku, palenie w piersi ustało. Zamrugalam. Na przeciwległym chodniku stali Ty i Pace.

– Jedyne, co musisz zrobić, to dokonać wyboru. – Thane przysunął się bliżej do Zenna, który nieruchomym wzrokiem patrzył przed siebie. – Powiedziałem dyrektoriatowi, że nie potrafisz wybierać. Prosiłem o zgodę na zabicie albo pojmanie bez ostrzeżenia któregokolwiek z was. Nie chcieli o tym słyszeć... a ja przestrzegam prawa. – Natrafił spojrzeniem na Ty. – Witaj, córko. I co wy dwoje zamierzacie teraz zrobić?

Nikt się nie odezwał. Nikt się nie poruszył.

– Nie mogę uwierzyć, że własne dzieci obróciły się przeciwko mnie – ciągnął Thane. Jego słowa były ostre jak stal. – Wszystko poświęciłem dla was obu.

– Zamknij się! – warknęłam. – To największy stek gównianych bzdur, jakie kiedykolwiek słyszałam. A uwierz mi, słyszałam już sporo bzdur.

Jag parsknął śmiechem i zarzucił mi rękę na plecy.

– Moja Vi – szepnął, po czym pocałował mnie delikatnie w skroń.

Oczy Thane'a się zwęziły.

– Zabierz łapy od mojej córki.

Roześmiałam się trochę zbyt głośno.

– A to dobre. Przecież masz mnie gdzieś. Chcesz tylko wykorzystać moje zdolności. Gdybym cię obchodziła, nie odszedłbyś siedem lat temu. –

Powoli, przesadnym ruchem objęłam Jaga w pasie. Wetknęłam dłoń do tylnej kieszeni jego spodni i drwiąco się uśmiechnęłam.

– Musiałem. Ja...

– Tak, tak, jasne. Twoje obowiązki. Mam już tego serdecznie dość. Zachowaj te teksty dla kogoś, kogo wzruszą, tatusiu. – Wpatrywałam się w niego gniewnie, prowokując, żeby zareagował.

Odpowiedział mi takim samym spojrzeniem. I czekał.

– Gavin? – odezwał się pytająco Jag. Nie byłam pewna, ile niewypowiedzianych słów poprzedziło jej imię. Ty spojrzała na mnie, potem na niego i powoli pokręciła głową. Zrozumiałam. Cokolwiek wtedy zobaczyła, nie uległo zmianie.

Zenn zamrugał i popatrzył prosto na mnie. Wyglądał na kontrolowanego. Przyjrzałam mu się badawczo. Bez trudu znalazłam jego umysł. Kochał mnie. Nienawidził Thane'a. Przez cały czas opierał mu się na swój sposób, ale potrzebował mojej pomocy.

– Jag. – Usiłowałam wyrwać rękę z jego uścisku. – Musimy pomóc Zennowi. – Już został złamany, ale może wciąż da się go ocalić.

– Wypuść Zenna – powiedział Jag. Jego głos osiągnął nowy poziom kontroli. Był potężny, dobrze rozwinięty, rozkazujący. Poczułam nieprzepartą chęć, żeby chwycić Zenna i pociągnąć go do Jaga.

Uśmiech Thane'a się ulotnił. Z oczu znikły wszelkie uczucia. I wówczas powrócił palący płomień, jeszcze gorętszy i jaśniejszy niż poprzednio.

Thane znowu się roześmiał, tym razem głucho, przerażająco.

– To było niezłe. O mało mnie nie dopadłeś. – Jego twarz miała dziki wyraz. Niebezpieczny. – I co teraz?

Jedyne, o czym mogłam myśleć to: ratuj Zenna. Zrobiłam dwa kroki, zanim obie moje ręce zostały unieruchomione. Jag nadal miał jedną rękę wolną, bo teraz Ty trzymała mnie z drugiej strony.

Zenn. Ratuj Zenna. Miotając się w ich uścisku, wyemitowałam tę myśl do Pace'a. Jego spojrzenie napotkało mój wzrok. Rzucił się biegiem przez ulicę i wydawszy z siebie wściekły ryk, runął wraz z Thane'em na ziemię. Zachrzęściły kości, bryznęła krew.

Potem rozległ się przerażający łomot i Pace przestał się poruszać.

Mój ojciec podniósł się, splunął krwią i otarł usta. Ręka Ty pochwyliła juź kurtkę Zenna, kiedy pięść Thane'a wystrzeliła do przodu.

Strumień białej mgły uderzył Tyson w twarz. Zakrztusiła się i zatoczyła na Zenna, popychając go znów w stronę naszego prześladowcy.

Przytuliłam się do piersi Jaga, żeby nie patrzeć, jak umiera moja siostra.

– Przestań! – krzyknęłam. Wszystko nagle zamarło, ucichło. Thane czekał – jakbym to ja była tą osobą, która wydaje rozkazy.

Bo byłam.

Och. Nie. To ja tu zarządzałam.

Nie, nie, nie. Żółć wzbierała mi w gardle. Żołądek ścisnął się juź nie z powodu poplamionego krwią bruku. Rzecz w tym, że stałam się tym, czego nienawidziłam. Byłam dyrektorem.

Wreszcie odnalazłam siebie.

Jednak nie podobało mi się to, kim jestem.

Jasnoczerwona krew plamiła nieruchomą twarz Tyson. Rzuciłam się do mojej siostry, pragnąc przywrócić jej życie. Łzy strumieniami lały się po moich policzkach. Ale Jag chwycił mnie mocno i przytrzymał.

– Puść! – Szarpałam się z nim. Pozwalałam rozkwitać wściekłości, żeby zajęła miejsce bólu.

– Nie, Vi – głos Jaga był cichy i kojący. – Zostań ze mną – powiedział, nieomal mi rozkazując. Zwiłam bezsilnie na jego ramieniu, ale mój wzrok ani na chwilę nie oderwał się od Ty.

Czas zwolnił. Teraz świerszcze cykały bardzo głośno.

Thane przesunął się o krok, gdy po omacku grzebałam w kieszeniach, szukając mojej broni. Miałam cholerną nadzieję, że wystarczy mi sił, żeby zrobić to, co należało zrobić.

Dokonałam wyboru.

Odwróciłam się do Jaga. Jego policzki były mokre.

– Jag, kochanie, bierz to i spadaj. – Wcisnęłam mu w dłoń bransoletę pomniejszacza.

Spojrzał na urządzenie. W oczach błysnął mu sprzeciw.

– Do diabła, nie ma mowy. Nie będę znowu uciekał. Nie jestem ukrywającym się...

– Owszem, jesteś. Kocham cię, idioto, i odmawiam patrzenia, jak umierasz. No, idź. To moja walka.

Z powrotem wepchnął mi pomniejszacz do ręki.

– Nie. Co jest twoje, jest też moje. Nie... Zacisnęłam powieki i zmusiłam go, żeby zamilkł.

– Musisz odejść. To jedyny sposób, jaki znam, żeby cię uratować. Proszę, idź.

Jego piękne oczy się zaszklily. Palce dotknęły urządzenia, które mogło mu pozwolić ukryć się i uciec. I kiedy już myślałam, że założę bransoletę, spojrzał na mnie.

– Przecież obiecałem, że nigdy cię nie zostawię.

– Więc kłamałeś. Ja robię to przez cały czas. – W mojej duszy powstała wyrwa, która mogła nigdy nie zostać wypełniona. Wiedziałam, że go stracę. Zapewne na zawsze.

To mój wybór, pomyślałam, kiedy poczułam wagę swoich czynów. Thane powiedział, że bym dokonała wyboru.

Jag przesunął kciukiem po moim policzku. O mało się nie załamalam.

– Kocham cię – szepnął. – Obiecuję, że cię odnajdę. Skinęłam głową. Rozpaczliwie chciałam mu wierzyć.

– Wiem, że odnajdziesz. – Wyciągnęłam palce pomiędzy jego palców. Koncentrując się na oczach o barwie czarnych jagód, na wargach o wspaniałym smaku, w myślach poleciłam mu założyć bransoletę i biec. Wyobraziłam sobie, jak to robi.

Fala techniki buchnęła mi gorącem w twarz, aż się wzdrygnęłam. Tam, gdzie przed chwilą stał Jag, świeciła pustka.

Czułam się bezradna i samotna. Osunęłam się na kolana i zmęczona, trawiona moją nową mocą, zwinęłam się w kłębek na zimnych kamieniach. Przytłaczała mnie cisza. Potem powoli zbliżyły się czyjeś kroki. Poczułam, jak ostrożnie głaszcząc mnie ręka ojca. Rozszlochałam się pod dotykiem, za którym tęskniłam przez siedem lat.

– Ten chłopak cię zatrął, V. Wyszarpnęłam się i chwiejnie

wstałam.

– Kłamiesz. Jag mnie kocha.

Tata zerknął na Zenna, który nadal wyglądał jak nieżywy.

– Cóż, widzę, że będzie problem. – Twarz wykrzywiła mu determinacja, a ręka pomknęła w moim kierunku.

Próbowałam się uchylić, ale chwycił pełną garść moich włosów. Skórzany zapach kurtki drażnił zmysły niechcianą pociechą. Wiłam się na wszystkie strony, jednak Thane trzymał mnie mocno.

Moją świadomość przebijały lodowate palce kontroli, wpijające się tam, gdzie jego paznokcie ryły mi skórę na głowie.

– Violet Schoenfeld, zapomnisz o Jagu Barque'u. I nigdy więcej sobie o nim nie przypomnisz.

Walczyłam, próbując się wyszarpnąć.

– To ty o nim zapomnisz! Zostaw mnie w spokoju! – Mój rozkaz wdarł się do jego umysłu. Na ułamek sekundy uścisk się rozluźnił. Jednak nie na dość długo, żebym zdołała uciec, zanim Thane odzyskał samokontrolę.

Kopałam, wrzeszczałam, szarpałam się. Stał niezłomny, trzymając mnie na odległość wyciągniętej ręki, skąd nie mogłam go dosięgnąć. W jego oczach była zaciekła nienawiść.

– Zapomnisz o nim.

– Nie! Potrzebuję go! – Wczepiłam się w dłoń, którą mocno trzymał mnie za włosy. – Puść mnie! Nienawidzę cię! – Rozpacz przeważyła nad moją siłą kontroli.

Na twarzy Thane'a ukazał się okrutny uśmiech.

– A ja potrzebuję dawnej ciebie, a nie tej nowej Jagowej wersji. Violet Schoenfeld, zapomnij o Jagu Barque'u. Zapomnij, że kiedykolwiek go spotkałaś. Zapomnij, że on w ogóle istnieje.

Odpierałam jego głos, ale czarny ciężar wciskał się w mój umysł.

– Nigdy mnie nie zmusisz, żebym ci pomagała – wydyszałam, kiedy ciemność zalała moje wspomnienia, pochłaniając imię chłopaka, jego twarz, jego głos.

– Mogę zrobić wszystko, czego zapragnę, Violet.

Ból spływał falami od czubka głowy do karku i pleców. Myśli się rozpierzchnęły. Wspomnienia pogrążyły się w mrokach zapadlisk.

Oddalał się odgłos czyichś kroków. Chłód wtłoczył mnie do jamy tak głębokiej i wąskiej, że nie mogłam się poruszyć. Nie mogłam oddychać.

– Ja też – wykrztusiłam. – I ty nigdy... Nie dokończyłam, bo nie potrafiłam sobie przypomnieć, czego Thane nigdy nie zdoła zrobić.

Biegnę. Szybko.

Szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Kogoś gonię. Rozpaczliwie chcę zobaczyć jego twarz. On mnie nawiedza. Od miesiący.

Tym razem muszę go złapać. Nie mogę przeżyć kolejnej nocy, nie wiedząc, kim jest.

Postać przemyka do bramy jakiegoś budynku. Nocne niebo wokół mnie skąpane jest w czerwieni. Też daję nura w to wejście, ale nikogo tam nie ma. Coś pachnie znajomo. Sosnowe igły, ziemia i... chłopak.

Już tu kiedyś byłam.

Razem z nim.

On nie ma imienia. A przynajmniej takiego, które bym pamiętała. Miażdżąca ręka rozpaczy ściska moje rozkołatanе serce. Dotykam ceglanej ściany, oczekując, że chłód zakłuje mnie w palce. Jednak ściana wydaje się ciepła, jakby czyjeś ciało użyczyło kamieniom swego żaru.

Jednak nikogo tu nie ma. Nigdy go tu nie ma.

Jak we wszystkich snach, brama znika i teraz wędruję przez pustynię. Jest tak gorąco. Moja twarz i ramiona są obolałe i zaczerwienione. Ktoś trzyma mnie za rękę i wciera mi krem w spieczoną słońcem skórę.

Ale kiedy odwracam się, żeby na niego spojrzeć, jest tylko pustka. Czyjeś kroki koło mnie. Spojrzenie w gwiazdy. Cichy śmiech. Ktoś wymawia moje imię aksamitnym głosem.

Jestem zakochana w chłopaku, który jest pustką.

Gdzie on się podziewa? Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć jego imienia?

Ogarnia mnie panika. Strach. Przytłaczająca samotność.

Bo on naprawdę odszedł. I już nie wróci.

W tym momencie zawsze się budzę. Zapewne moje śniące „ja” nie może sobie poradzić z ciężarem życia bez niego. Jakbym potrafiła udźwignąć ten ciężar na jawie. Wręcz przeciwnie, paraliżuje mnie jeszcze bardziej.

Obracam się twarzą do ściany, rozpaczliwie usiłując odtworzyć twarz chłopaka. I znowu natrafiam na pustkę.

Kiedy nie mogę już dłużej wytrzymać leżenia w łóżku, wychodzę na balkon, popatrzeć na wschód słońca. Mija kilka minut, zanim wyczuwam, że pojawił się Zenn. Szczęście wylewa się z jego umysłu, bo Zenn wie, że dzisiejszy dzień przyniesie coś ekscytującego.

– Dzień dobry, moja śliczna. – Podaje mi kubek i otacza mnie ramieniem. Przechylam się ku Zennowi. Jego jedwabna piżama pachnie mlekiem i tostami, śniadaniem, które każdego ranka jemy razem.

Wschodzi jesienne słońce, niosąc ze sobą ciepły wiatr od wybrzeża.

– Uwielbiam to – wzdycham.

– Ja też. – Pochyla się i mnie całuje. Mój uroczy, wspaniały Zenn. – Dzisiaj masz umówione dwie wizyty. Spotykamy się po południu, pamiętasz? – Zanim się wyprostuje, wdycha jeszcze zapach moich włosów.

Kiwam głową.

– Spotykasz się z dyrektorem?

– Tak. Myślę, że on zamierza...

– Będziesz doskonałym asystentem. – Uśmiecham się do niego.

W czystych, błękitnych oczach Zenna tańczy radość.

– Tak sądzisz?

– Jasne.

Coś pika w jego kieszeni. Sięga prawą ręką, na której nosi cienki paseczek złota. Nieznacznie dotykam małżeńskiej obrączki na moim małym palcu, dowodu oddania i miłości Zenna.

– Zaraz wracam. – Zenn wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Zostaję na balkonie. Wiatr bawi się moimi włosami. Widok plaży na dole przynosi miłe wspomnienia. Przewędrowałam z Zennem każdy centymetr wybrzeża.

Dotykam sznura szlachetnych kamieni wokół mojej szyi. Jarzą się w słabym świetle poranka. Znowu pojawia się wokół mnie pustka. Ktoś dał mi ten naszyjnik. To ważne. Ten ktoś jest ważny.

Z nocnego stolika biorę umiejscawiacz – coś, co znalazłam w swoich dzinsach. Chcę spróbować odnaleźć chłopaka, który jest pustką. Zmusić, żeby powiedział, jak ma na imię. I dlaczego nie mogę wyrzucić go z myśli.

W kółko pstrykam włącznikiem umiejscawiacza. Ekranik na górze pozostaje czysty. Dlaczego nie potrafię przypomnieć sobie tego imienia?

Wpatruję się w umiejscawiacz pustym wzrokiem, rozpaczliwie pragnąc, żeby imię pojawiło się samoczynnie. Nie pojawia się.

Dzisiejszy dzień zapowiada się źle. Moje wizyty powinny zostać odwołane. Nie jest w porządku majstrować przy cudzych umysłach, kiedy własny ma się tak pochrzaniony.

Zenn puka do drzwi i w tej samej chwili je otwiera.

O mało nie upuszczam umiejscawiacza z balkonu. Wtedy nie miałabym jak odnaleźć chłopaka. Ale przecież. .. wtedy nie miałabym jak odnaleźć chłopaka. Nie jestem jeszcze gotowa, by się poddać.

– Idę. Muszę wziąć prysznic.

Zenn zatrzymuje mnie z jednym ze swoich słynnych marsów na czole.

– Jak to możliwe, że nie opowiedziałaś mi dziś o sennych koszmarach? – Jego pełne uwielbienia oczy zwykle mnie uspokajają. Ale nagle nie chcę w nie patrzeć.

Wsuwam umiejscawiacz do kieszeni. Pociesza mnie jego ciepło, które czuję na udzie.

– Nic nie pamiętam.

– To dobrze – mówi Zenn. – Ten rozdział jest zamknięty. Powinnaś wszystko zapomnieć. – Kładzie rękę na moim ramieniu. – Po prostu o tym zapomnij.

Kiwam głową. Mój umysł robi się pusty niezależnie od tego, jak bardzo staram się przytrzymać śliskie nici pamięci. Kiedy wychodzę spod prysznic, zastanawiam się, dlaczego myślałam, że ten dzień będzie zły.

Po zakończeniu wizyt wyruszam na plażę, upewniwszy się przed wyjściem, że rękawy mam obciągnięte aż do nadgarstków. Zenn będzie czekał na nabrzeżu, gotów wziąć mnie za rękę i ruszyć spacerem na południe. Resztę dnia spędzimy, obserwując fale i gawędząc o wszystkim i o niczym.

Nagle ktoś cicho woła mnie po imieniu.

Zamieram. Coś takiego już się kiedyś wydarzyło. Nie tutaj, nie w Wolności. W Złych Ziemiach. Natężam umysł, ale wspomnienie natychmiast pierzcha.

Zenn wybucha śmiechem. Ciągnie mnie do mrocznej bramy i zdejmuję kapelusz.

– Niespodzianka, moja śliczna. Pomyślałem, że dziś zjemy w mieście. – Jest szalenie przystojny z tymi swoimi bardzo jasnymi włosami i jeszcze bielszymi zębami.

– W mieście? – pytam, czując, jak chłód gładkiego kamienia znika, kiedy Zenn przytula mnie tak mocno, że nasze ciała stykają się całkowicie.

– Tak, to prawie moje urodziny. Chcę je świętować z tobą.

– Zenn, twoje urodziny są w marcu. Dopiero za sześć miesięcy.

– Wiem – mówi, mnie też zdejmując kapelusz. – Ale chcę być z tobą. Chcę, żebyśmy byli razem. – Wyobrażam sobie jego następne słowa, jeszcze zanim padną. – Kocham cię, moja śliczna Violet. – Pochyla się, chwilę czeka, a potem mnie całuje. Jego usta są ciepłe, znajome. I to wszystko. Nie napęlniają mojej duszy dławiącą tęsknotą. Myślę, że dawniej tak było, ale teraz jego pocałunek wydaje mi się taki... jałowy.

Wtedy chłopak, który jest pustką, zastępuje Zenna. Brama przypomina tę ze snu. Czy ten chłopak może być... Zennem?

Pozornie wszystko pasuje, a jednocześnie kompletnie się nie zgadza. Wyciągam z kieszeni umiejscawiacz. Jak przez mgłę słyszę, że Zenn mnie woła.

Przebiegam opuszką palca po ekranie. Potrzebuję imienia. Rozpaczliwie.

– Daj mi to, proszę – mówi Zenn. Jego długie palce zamykają się wokół mojej dłoni.

Z całych sił ściskam umiejscawiacz, zanim pozwalam go sobie odebrać. Wraz z nim zostaje mi odebrana nadal żywa część duszy. Potrzebuję umiejscawiacza, żeby znaleźć tego chłopaka. Tego, którego kocham.

I nie jest to Zenn.

Ale nie mogę sobie przypomnieć kto.

– Więc... lunch? – pyta Zenn głosem fałszywym i pogodnym. – Dobrze się czujesz?

Wreszcie odrywam wzrok od swojej pustej dłoni. Na twarzy Zenna maluje się uwielbienie. Dla mnie.

– Tak, jasne, lunch. – Nieomal się rozpadam. Nadal ściskając w rękę nasze kapelusze, Zenn wyprowadza mnie na światło dnia. Delikatne promienie słońca wydają się promieniami lasera, które grożą, że przetną moją, cienką jak włókno, ochronną powłokę.

Bo wewnątrz mam pustkę, która musi zostać wypełniona.

– Cokolwiek cię dręczy, powinnaś o tym zapomnieć – mówi Zenn swoim najbardziej kojącym tonem. – Dzisiaj jesteśmy tylko ty i ja.

Zapominam o chłopaku bez imienia, chłopaku bez twarzy i przytulam się do boku Zenna.

– Masz rację. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochanie.

Zenn wsuwa dłoń do tylnej kieszeni moich dżinsów i prowadzi mnie do najlepszej restauracji w mieście.

Podziękowania

Za to, że nagrywali moje ulubione programy telewizyjne, jedli zimne płatki zbożowe na (śniadanie, lunch oraz) obiad i cierpliwie czekali w kolejce: Adamowi, Isaacowi i Elizie, moim najprawdziwszym mistrzom i największym skarbom.

Za to, że przeczytały tak wiele wersji roboczych i nie wyłupiły sobie oczu: Christinie Fonsece, Windy Aphayrath i Amandzie Bonilli.

Za przyjaźń, lektury w wersji beta i nocne święta płaczu: Suzette Saxton, Bethany Wiggins, H.L. Dy er, Carolyn Kaufman, Mary Lindsey i Patrickowi McDonaldowi.

Za światełko rozjaśniające labirynty gramatyki i kompozycji: Lisie Roecker, Laurze Roecker, Beth Revis, Katie Anderson, LisieAmowitz, Shannon Messenger, famie Harrington, Shellijo-hannes-Wells, Danyelle Leafy, Cole Gibsen, Michelle McLean, Ali Cross, Jenn Wilks, Stacy Hemie i Sarze Olds.

Za to, że pomagali mi utrzymać się w ryzach: Michelle Andelman, Anice Rissi i całemu zespołowi Simon Pulse.

Za to, że przynosiły pyszności i sprawiały, że w czasie naszych pogawędek opluwałam się zimnymi napojami: paniom z WriteOnCon – Casey McCormick, Jamie Harrington, Shannon Messenger, Jen Stayrook oraz Lisie i Laurze Roecker.

Za to, że nie wyśmiali mojego pomysłu, przysyłali niezwykle książki i dopingowali mnie: grupie Bookanistas.

Za to, iż umacniali mnie w wierze, że potrafię wszystkiego dokonać: Jeffowi i Donnie Watkins.

Za to, że uczyniły mnie piękniejszą niż w rzeczywistości: Carol Johnson, Mary McBride, Amy Harris, Penny Welch, Jessica Cottle i Brigitte Ballard.

Za utrzymanie mnie przy zdrowych zmysłach: wszystkim

czytelnikom mojego blogu, a zwłaszcza tym, których komentarze podnosiły mnie na duchu w czasie kryzysów, wywoływały uśmiech albo pomagały zrobić następny krok. Sami wiecie, którzy to z was.

I moim pierwszym nastoletnim czytelniczkom, Haley Gallegos i Fabianie Fonesce. Oby było wielu takich jak wy.

Spis treści

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)
[9](#)
[10](#)
[11](#)
[12](#)
[13](#)
[14](#)
[15](#)
[16](#)
[17](#)
[18](#)
[19](#)
[20](#)
[21](#)
[22](#)
[23](#)
[24](#)
[25](#)
[26](#)
[27](#)
[28](#)
[29](#)
[30](#)
[31](#)
[32](#)
[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[Podziękowania](#)